

PROSTO Z WATYKANU
Papież, hierarchia,
patologia władzy

INNA CZWARTA RP
Wyczerpane państwo
potrzebuje konstytucji

SZCZEPIONKA
Komu, kiedy,
kto za nią zapłaci

MUZYKA BUNTU
Jak się gra
polską wolność

MIŁE BAGNO
W gościnie
u ślimaka

Kraków 22 listopada 2020 nr 47 (3724)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Upadek



W WYDANIU DODATKI

- GDZIE JESTEŚ? RDZ 3.9
- POLACY I NIEMCY
- KRZYSZTOF PENDERECKI



Premiera – podwójne wydanie specjalne!

ŚWIĘTO SPOTKANIA



Wiem, że kluczowym w sytuacji kryzysu jest dopuszczenie do siebie człowieka, który może przynieść rodzaj daru – sprowadzającego się do obecności, słowa – drogowskazów, które poprowadzą nas w najbliższym czasie.

Katarzyna Nosowska

Oczekiwanie. Uczta. Goście, których chcielibyśmy zaprosić do stołu, „kiedy to wszystko się wreszcie skończy”. Radość i zabawa.

Zmagając się z epidemią, przeżywając społeczne niepokoje, nie przestajemy zadawać sobie najważniejszych pytań duchowych i egzystencjalnych. I nie przestajemy myśleć o jakości naszego bycia razem, zarówno z najbliższymi, jak we wspólnocie obywatelskiej.

„Święto spotkania” – już od **środy 18 listopada** w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/swietospotkania

weź, czytaj!

KS. ADAM

Boniecki: Kardynał D.

KIEDY PO RAZ KOLEJNY WIDZĘ NA EKRANIE Piotra Kraśkę z kardynałem Dziwiszem albo fragmenty „Don Stanislao” Marcina Gutowskiego, nie czekając na nowe komentarze wyłączam telewizor. Tak już mam, że odruchowo stoję po stronie ściganego, który powoli się topi – nawet z własnej winy – w grzęzawisku. Fakt: wszyscy, czy prawie wszyscy, jesteśmy na kardynała D. wściekli. Cóż: ludzie są na ogół wściekli na tych, na których się zawiedli. Przyznam, że sam byłem wściekły, słuchając jego wykrętnych słów, widząc uniki zamiast klarownych odpowiedzi. Nie wiem też, dlaczego nie mógł uznać własnej winy w sprawie Janusza Szymika, którego, mimo obietnic, nigdy nie odwiedził. Nie pojęte.

W efekcie wszystko, co mówi kardynał D., straciło wiarygodność. Ludzie z niedowierzaniem słuchają jego zapewnień, że nie brał pieniędzy za umożliwienie spotkania z Janem Pawłem II. Ja tymczasem wiem, że za moim pośrednictwem umożliwił takie spotkanie dziesiątkom, jeśli nie setkom ludzi, i oczywiście zawsze czynił to gratis. Może czasem bywało i tak, że po spotkaniu ktoś chciał jakieś pieniądze ofiarować papieżowi na zbożne cele, a on to akceptował, w myśl zasady, że „nie stawia się tamy szczodrości”.

Na kardynała D. składa się również część odpowiedzialności za różne decyzje Jana Pawła II. A ja, z całym dla niego szacunkiem, sądzę, że będąc jednym z papieskich sekretarzy nie musiał być ani nie był jego doradcą. Kto znał kardynała Wojtyłę, a potem Jana Pawła II, ten wie, że jedną z jego cech był ogromny respekt dla kompetencji. Dlatego nie mogę sobie wyobrazić, by Jan Paweł II omawiał takie sprawy, jak nominacje biskupie czy kardynalskie w USA, ze swoim sekretarzem. To prawda: bp McCarrick swój list



– apologię *pro vita sua* – napisał do (wówczas) biskupa D. (więcej w Temacie Tygodnika). Ale tak postępował każdy, kto chciał, żeby jego list trafił do rąk papieża, a nie tylko do kogoś z grona urzędników odpisujących w imieniu Jana Pawła II. W watykańskim raporcie rola kardynała D. w sprawie nominacji McCarricka sprowadza się do przekazania papieżowi listu oraz do napisania do nuncjatury, ewidentnie na polecenie Szefa. Trudno jednak zgadnąć, czemu prosił, żeby z dokumentów dotyczących tej sprawy usunięto jego imię.

Dziś wszyscy pytają: „co wiedział papież?” i „czy mógł nie nie wiedzieć?”. Oczywiście, mógł. Żaden człowiek stojący na czele tak ogromnej instytucji, jak Kościół katolicki, nie jest w stanie i nie może wchodzić we wszystkie lokalne sprawy i spory. Od tego są kongregacje i inne watykańskie urzędy. Papież musi tym instytucjom ufać, jest na nie „skazany”. Może, co najwyżej, dobierać ludzi na kierownicze stanowiska w dykasteriach. To ci ludzie i te urzędy dostarczają mu materiały umożliwiające podejmowanie decyzji, np. w kwestii kandydatów na urząd biskupa.

Kardynał D. wyraził gotowość wyjaśnienia wszystkich kwestii przed komisją powołaną przez Watykan. I choć słysząc opinie, że tworzone przez Kościół komisje nigdy nie będą bezstronne, to przecież widać, że czasy się zmieniają. Autorom raportu w sprawie McCarricka trudno zarzucić stronniczość: zawarte w nim relacje obnażają zwyrodnienie systemu funkcjonowania Kościoła, którego owocem są ludzie tacy, jak ów zdegradowany hierarcha.

Kiedy kardynał D. stanie przed powołaną przez Watykan komisją, powie to, o czym nie chce rozmawiać z dziennikarzami. Sam zresztą o konieczności takiej rozmowy wspominał. Będzie trudna. Ale będę czekał. ©P

TP

KS. ADAM BONIECKI z medalem „Plus ratio quam vis” i Nagrodą ks. prof. Janusza Pasierba



Ks. Adam Boniecki i Jacek Popiel, rektor UJ

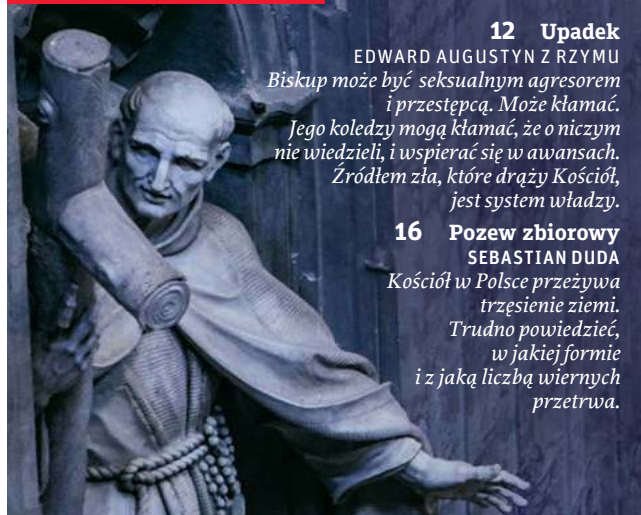
„Zadaniem katolickiego dziennikarza jest budowanie mostów, a nie murów. Ambicją jest rozmowa z innym, a klęską – odstraszenie czy wykluczenie innego. Celem – obudzenie zainteresowania, a nie nawracanie kogokolwiek. Narzędziem jest język zrozumiały dla wszystkich” – mówił KS. ADAM BONIECKI odbierając 10 listopada złoty medal „Plus ratio quam vis”, odznaczenie przyznawane przez Uniwersytet Jagielloński.

Laudację wygłosił prof. Piotr Sztompka – można ją przeczytać pod linkiem: powszech.net/laudacja-uj

Również w listopadzie KSIĄDZ ADAM BONIECKI został odznaczony Nagrodą im. ks. prof. Janusza Pasierba, przyznawaną przez Prezydenta Miasta Grudziądz oraz lokalny KIK.

NASZEMU REDAKTOROWI SERDECZNIE GRATULUJEMY I DZIĘKUJEMY!

TEMAT TYGODNIKA

**12 Upadek**

EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU

Biskup może być seksualnym agresorem i przestępcą. Może kłamać. Jego koledzy mogą kłamać, że o niczym nie wiedzieli, i wspierać się w awansach. Źródłem zła, które drażni Kościół, jest system władzy.

16 Pozew zbiorowy
SEBASTIAN DUDA

Kościół w Polsce przeżywa trzęsienie ziemi. Trudno powiedzieć, w jakiej formie i z jaką liczbą wiernych przetrwa.

**22 Inna IV RP**

RAFAŁ MATYJA

Władza straciła zdolność definiowania celów istotnych dla całej wspólnoty. Opozycja musi mieć horyzont wykraczający poza wygranie wyborów. Czas pomyśleć o zmianie konstytucji.

39 Przed szeregDEBIUTANCKI
FELIETON

ZUZANNY RADZIK

Gdy podliczone zostały głosy, Kamala Harris, nowa wiceprezydentka USA, powiedziała:

„Stoję na ich ramionach!”. Miała na myśli wszystkie pokolenia kobiet, które walczyły, żeby zapewnić sobie i innym wolność, równość i prawo do głosu. Umiesz wymienić kobiety, na których ramionach Ty stoisz?

**64 Lek i całe zło**

MAREK RABIJ

Mimo doniesień o powstaniu skutecznej szczepionki na COVID-19 wciąż pojawia się wiele pytań. Również takie, czy przy okazji walki z pandemią uda się uzdrowić relacje coraz słabszych państw z coraz silniejszymi producentami leków.

**88 Chaos, niepewność, euforia**

ROZMOWA Z RAFAŁEM KSIĘŻYKIEM: Kiedy rodziła się w Polsce wolność, interakcje młodych ludzi opierały się na muzyce. Była wówczas doświadczeniem podstawowym. Dzisiaj nikt już nie oczekuje od muzyki takich wstrząsów.

**110 Głosy**

mokradła

ADAM ROBIŃSKI

Często zadajemy sobie pytanie: co się stanie, jeśli wpadniemy do bagna? Okazuje się, że nic strasznego.

KOMUNIKAT DLA PRENUMERATORÓW

Z uwagi na dramatycznie narastającą liczbę zachorowań w kraju, a co za tym idzie, duże prawdopodobieństwo zakażeń wirusem SARS-CoV-2 także wśród pracowników Poczty Polskiej – naszego głównego dystrybutora

prenumeraty – zostaliśmy powiadomieni przez Poczte Polską o możliwości zaistnienia przejściowych opóźnień w dostarczaniu do Państwa skrzynek pocztowych prenumerowanej prasy, w tym „Tygodnika Powszechnego”. W przypadku ewentualnych opóźnień

upraszamy Państwa o wyrozumiałość w tej trudnej i niekomfortowej dla nas wszystkich sytuacji. Serdecznie prosimy o cierpliwość, dolożymy wszelkich starań, abyście Państwo otrzymywali nasze pismo bezzwłocznie.
WYDAWCA

6 Rząd nas zwodzi
MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Inna IV RP
RAFAŁ MATYJA

26 Trzy razy do tej samej rzeki
KLAUS BACHMANN:
*Jak nie uczymy się na błędach,
jakie popełnialiśmy w przygotowaniu
do drugiej fali pandemii*

28 Dobrzy sąsiedzi
JACEK TARAN:
*Czarny Dunajec przywraca pamięć
o tutejszych Żydach*

■ ■ **WIARA**

32 Bunt młodych
ROZMOWA Z KATARZYNĄ ZIELIŃSKĄ,
SOCJOLOGIĄ RELIGII: *Krytyka
Kościoła wyrażana na ulicach
to reakcja na zhierarchizowaną
strukturę i paternalistyczne podejście
do świeckich*

36 Dzban ze skarbami i dżinem
PIOTR SIKORA: *Jakie tajemnice
ujawniają starożytne apokryfy?*

■ ■ **ŚWIAT**

42 Jazda bez trzymanki
MARTA ZDZIEBORSKA
Z NOWEGO JORKU:
*Gdy Biden stawia pierwsze kroki
w roli prezydenta elekta,
Trump do końca pozostaje sobą*

45 Dwa piętra na całą republikę
PAWEŁ PIENIAŻEK ZE
STEPANAKERTU I ERYWANIA:
*Tutejsi lekarze mówią, że w Górskim
Karabachu przeszli koronawirusa
niemal wszyscy*

DODATKI SPECJALNE



57 Gdzie jesteś? Rdz 3.9
80. ROCZNICA ZAMKNIĘCIA
GETTA WARSZAWSKIEGO



69 Polacy i Niemcy
JAK WYJŚĆ Z HISTORYCZNEGO KLINCZU



101 Krzysztof Penderecki
(1933-2020)

■ **FELIETONY** ■

39 ZUZANNA RADZIK **108** JAN KLATA
109 PAWEŁ BRAVO **114** STANISŁAW MANCEWICZ
114 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: Św. Piotr z kluczami do niebios
przed bazyliką watykańską
FOT. PETER MACDIARMID / GETTY IMAGES

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

48 Po katastrofie, przed katastrofą
FRANCESCO M. CATALUCCIO
Z MEDIOLANU:
*Stolica regionu Lombardii
to dziś znowu kruche miasto*

50 Rower w koronie
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA:
*Pandemia sprawiła, że wielu
Francuzów zrezygnowało z metra*

53 Zagubione dusze
RADOSŁAW POWĘSKA Z BOLIWII:
*Ofiarze dla zmarłych stawiano
na Wszystkich Świętych jak kraj długi
i szeroki*

■ ■ **NAUKA**

64 Lek i całe zło
MAREK RABIJ

■ ■ **KULTURA**

88 Chaos, niepewność, euforia
ROZMOWA Z RAFAŁEM KSIĘŻYKIEM

92 Naga siła
MACIEJ TOPOLSKI:
*Helmut Newton to dziś legenda.
Urodzony Don Juan i najwybitniejszy
fotograf świata – taki obraz chciał
po sobie pozostawić*

96 Jesienna dziewczyna
ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Nigdy, rzadko, czasami, zawsze”
Elizy Hittman

98 Religia horroru
JAKUB MAJMUREK:
*„Dzień trzeci” to jeden z najbardziej
niepokojących, wizyjnych
i ekscentrycznych seriali tego roku*

108 Jesteśmy, by czytać
LEKTOR o książce Olgi Tokarczuk
„Czuły narrator”

■ ■ **ZMYŚŁY**

110 Głosy mokradała
ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Woś się jeży**

Czy w Ameryce przyszłości Republikanie wejdą w rolę lewicy
broniącej lud przed globalizacją? A Demokraci okopią się na
pozycjach konserwatywnych obrońców elit neoliberalnego
kapitalizmu? – pyta **RAFAŁ WOŚ** tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ **Miesiąc w nauce [Podkast Powszechny]**

Co bardziej szkodzi dzieciom – COVID-19 czy skutki uboczne
pandemii, takie jak zamknięte szkoły? Czy stare szympansy
przypominają starych ludzi? – na przegląd wydarzeń naukowych
zaprasza **ŁUKASZ LAMŻA** powszech.net/podkast



Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

RZĄD NAS ZWODZI

W Polsce badamy już tylko ewidentnie chorych.
Nie jesteśmy w stanie izolować przypadków bezobjawowych
lub z objawami słabymi – a więc śledzić i blokować dróg transmisji wirusa.

MACIEJ MÜLLER

WYGLĄDA NA TO, ŻE NARODOWA KWANTANTA nam nie grozi – choć kilka dni temu wydawała się nie do uniknięcia. Wskaźnik średniej liczby nowych zakażeń szybko piął się do wyznaczonego przez Mateusza Morawieckiego limitu 70 na 100 tys. mieszkańców. Premierowi przyszedł jednak w sukurs nieoczekiwany spadek liczby testów. Laboratoria dopiero co biły rekordy, sięgając 70 tys. testów dziennie, po czym efekty ich pracy spadły – najpierw do ok. 56 tys., a w poniedziałek 16 listopada do 35 tys.

Średni odsetek tych pozytywnych wynosi 44 proc. (przed nami tylko Meksyk). Według Światowej Organizacji Zdrowia jeśli wskaź-

nik ten przekroczy 5 proc., rząd danego kraju traci kontrolę nad epidemią. W Polsce badamy już tylko ewidentnie chorych, nie jesteśmy w stanie izolować osób, które zakażenie przechodzą bezobjawowo lub z objawami słabymi – a więc śledzić i blokować dróg transmisji wirusa.

„Wierzyliśmy, że pandemia jest w odwrocie, ja tak wierzyłem, bardzo wielu epidemiologów również” – mówił premier, odpowiadając na zarzut „przespania” całego lata i nieprzygotowania systemu na jesień. Wydawałoby się, że decyzje polityczne powinno się podejmować nie w oparciu o wiarę, ale analizy ekspertów, których od maja nie brakowało.

*Testy
na koronawirusa
przed szpitalem
na Solcu
w Warszawie,
23 października
2020 r.*

Gdy premier przyznawał, że atak koronawirusa jest istotnie groźny, minister zdrowia cieszył się z „wypląszenia”. O tym, że radość może być przedwczesna, świadczą pozostałe wskaźniki: nie spada liczba hospitalizowanych, a coraz więcej pacjentów umiera. Lekarze od dawna są zmuszeni stosować „odwrotny triaż”, czyli decydować, któremu z pacjentów należy się miejsce na intensywną terapię. W szpitalach covidowych spada ciśnienie instalacji tlenowej, brakuje leków i personelu. Płonne okazały się nadzieje, że system odciąża szpitale tymczasowe, z Narodowym na czele. Dyrektorzy mazowieckich placówek skarżą się, że nie udało im się tam przekierować nikogo. Dlaczego? Ze względu na wyśrubowane kryteria przyjęć. Okazało się, że Szpital Narodowy nie będzie leczył chorych z niewydolnością oddechową – co nie przeszkadzało wycenić dobowego pobytu w tym miejscu na 4,3 tys. zł, podczas gdy za dobę na intensywnej terapii pacjenta z COVID-19 NFZ płaci 1,1 tys. zł. Na Stadionie Narodowym powstało raczej gigantyczne izolatorium, ścianka dla polityków opowiadających o sukcesach. A poprzeczka była zawieszona wysoko: trudno przebić majową wypowiedź premiera na tle antonowa pełnego bezużytecznych chińskich maseczek.

Zdaniem immunologa dr. Pawła Grzesiowskiego, jednego z ekspertów na ogół dość surowo patrzących na decyzje rządu, nawet niedoskonałe statystyki pozwalają jednak na ostrożny wniosek, że sytuacja się stabilizuje. Zmniejszenia liczby zakażeń nie da się według niego wyjaśnić jedynie mniejszą liczbą testów – lekarz widzi w nich opóźniony efekt wprowadzanych od połowy października restrykcji, przede wszystkim zamknięcia szkół. Dla tego wielu epidemiologom zmroziła krew w żyłach zapowiedź ministra edukacji Przemysława Czarńka, że po 29 listopada placówki wrócą do zwykłego trybu pracy. Taki ruch trzeba zaplanować ostrożnie, z zastosowaniem znanych z innych krajów obostrzeń, jak lekcje na zakładkę, podział szkół na strefy czy rozgęszczenie klas. Inaczej będzie powtórka tego, co wydarzyło się we wrześniu. ©©

Giertych znów uderza taśmą

ANDRZEJ STANKIEWICZ



ZATRZYMANI NIEDAWNO PRZEZ CBA, POZBAWIONY prawa wykonywania zawodu, ale nie aresztowany Roman Giertych przystąpił do kontraktatu. Ujawnił w internecie fragment nagrania, na którym jego klient, znienawidzony w PiS miliarder Leszek Czarnecki kuszony jest ofertą pomocy. Składają ją były rzecznik PiS Adam Hofman i Robert Pietryszyn, jego wspólnik w doradczą firmie R4S, która żyje z pośrednictwa z władzą.

Proponują mu zatrudnienie Michała Krupińskiego, bankiera kojarzonego ze Zbigniewem Ziobrą, byłego prezesa PZU oraz PEKAO SA. Czarneckiemu przydałby się dostęp do władzy, bo jego banki są w tarapatkach, a prokuratura podejrzewa go o udział w aferze GetBack.

Na nagraniu Hofman mówi o Krupińskim wprost: „Może pójść do Zbyszka [Ziobry], powiedzieć: »Słuchaj, to ma takie konsekwencje, tak się to stanie. Na samym końcu będzie na ciebie i musisz wiedzieć, zanim tę decyzję podejmiesz, jakie są jej konsekwencje (...).« To może zrobić, a wiesz, to jest dużo”.

Giertych kreśli diaboliczny plan, pasujący do wyobrażeń tych, którzy uważają PiS za mafię. Oto w czerwcu Hofman proponuje Czarneckiemu udział w operacji przejęcia kontroli nad TVN24 przez spółki skarbu państwa. Zdaniem Giertycha, odmowa kończy się

wnioskiem prokuratury do sądu o areszt dla Czarneckiego w sprawie GetBack. Wtedy pojawiają się Hofman z Pietryszynem. Ale miliarder nie zatrudnia podsuwanego przez nich Krupińskiego. „15.10.2020 r. dochodzi do mojego zatrzymania dzień przed sprawą [sądową ws. aresztu] L. Czarneckiego, na której mam ujawnić dowody złożonej mu z powołaniem się na wpływy u Zbigniewa Ziobry oferty korupcyjnej. Agenci CBA szukają u mnie wyłącznie taśm” – kończy Giertych, sugerując, że władza próbowała powstrzymać publikację nagrań.

Czy taśma zaszkodzi PiS? Dotychczasowe nagrania suflowane przez Giertycha nie wstrząsnęły notowaniami partii władzy. A zwłaszcza taśmy z nagraniami Jarosława Kaczyńskiego negocjującego budowę w Warszawie wieżowca miały taki potencjał. Nawet inne taśmy Czarneckiego – który nagrał korupcyjne propozycje szefa KNF Marka Chrzastowskiego – miały większą wagę. Też nie zaszkodziły PiS.

Pamiętać jednak należy, że tamte taśmy trafiały w partię zwartą i potężną. A dziś obóz władzy znajduje się w wyraźnym kryzysie. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Zbiorowy portret seniorów: kilka epidemii naraz

DANE DO TEGO NAJBARDZIEJ przekrojowego badania najstarszych Polaków były zbierane przed pandemią. Ale ogłoszone właśnie – dekadę po pierwszej edycji – wyniki PolSenior 2 pokazują, na jaki zdrowotny i społeczny grunt padł koronawirus i towarzysząca mu domowa izolacja.

Ponad połowa Polaków 60+ cierpi równocześnie na trzy choroby lub więcej, a nadciśnienie tętnicze – przypadłość aż 75 proc. osób najstarszych, przy czym tylko 33 proc. jest skutecznie leczonych – autorzy nazywają wręcz epidemią. Co dziesiąty senior przeszedł lub przechodzi nowotwór. Dużym problemem jest także depresja: jej objawy dostrzegą u siebie co czwarty badany, ale odsetek ten wyraźnie wzrasta z wiekiem (częściej chorują

kobiety i osoby o niższym statusie społeczno-ekonomicznym).

– Badanie pokazuje też słabą dostępność systemu ochrony zdrowia, która teraz jest przecież jeszcze trudniejsza – mówi „Tygodnikowi” prof. Piotr Błędowski, ekonomista SGH, koordynator społecznej części badania, którego głównym wykonawcą jest Gdański Uniwersytet Medyczny. – Żle jest z dostępem do opieki dla seniorów niesamodzielnych: w Polsce mamy pod tym względem przede wszystkim rodzinę, a potem długo, długo nic. Pojawia się pytanie, czy w rzeczywistości izolacji krewni są w stanie nadal pełnić swoją rolę.

„Chrońmy naszych seniorów” – powtarzają politycy na czele z premierem Morawieckim. Ale PolSenior 2 pokazuje dobitnie, że polski system nie został przez lata przygotowany do ochrony najstarszych – nawet w normalnych czasach.

©© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Polska jesień radykalna

PAWEŁ BRAVO



PRZEŁOM PAŹDZIERNIKA I LISTOPADA był czasem mało sformalizowanych protestów ulicznych przeciw obecnej władzy i obecności Kościoła w realnym (a nie zapisanym w ustawach) ustroju państwa. Tezę, że było to szczególnie przebudzenie „młodej Polski”, trzeba ująć w nawias, bowiem nie wiadomo, ile osób powyżej np. 30. roku życia ruszyłoby się z domu z tą samą, ogólnie lewicową agendą, gdyby nie lęk przed zakażeniem. Skoro jednak poruszenie wokół praw kobiet miało faktycznie młodzieżowe oblicze, była to okazja do przypomnienia, że już wcześniej w tym roku doszło do niespotykanej mobilizacji osób w przedziale 18-29 lat w lipcowych wyborach prezydenckich.

Co więcej, najmłodsze roczniki bardziej, niż dotąd sądzono, różnią się preferencjami od pokoleń rodziców i dziadków. Ale fakt, że większość młodszych wyborców głosowała na Trzaskowskiego, oznaczał tak naprawdę kciuk w dół dla Dudy. Podobnie w preferencjach parlamentarnych: odwrócenie się plecami do PiS nie oznacza poparcia dla głównych partii opozycji. Zanim w katalogu dostępnych form antysystemowego protestu pojawił się ruch Hołowni, bardzo wysokie (w stosunku do „dorosłej” średniej) notowania miały wśród części młodzieży partie z prawego skraj, których obecnym wcieleniem jest Konfederacja (w swoim nurcie nacjonalistycznym, jak i libertariańskim).

W zeszłym tygodniu o tym fakcie można sobie było przypomnieć, obserwując obchody Marszu Niepodległości w Warszawie. Wszyscy mają w oczach obraz podpaleń i bitwę z policją. Jednak warto pamiętać, że za tą przemocową szpicą kryje się całkiem istotna socjologicznie formacja – PiS próbuje ją oswojać, wykonując gesty skierowane do liderów w rodzaju Roberta Bąkiewicza. Na tyle jednak nieudolnie, że i tak traci realny wpływ na elektorat, a za to bierze na siebie odpowiedzialność za burdy i mowę nienawiści, nad którymi, gdyby nawet chciał, Bąkiewicz zapowiadać nie był w stanie. © P

KRAJ W SKRÓCIE

PIĘKNIE NAPISANE

„Wyrażam wdzięczność, że daleście odpór wulgarnemu, barbarzyńskiemu nihilizmowi, który profanował miejsca kultu i symbole religijne, atakował kapłanów, a także niszczył narodowe świętości” – napisał Jarosław Kaczyński w liście do uczestników zjazdu Klubów „Gazety Polskiej”.

PIĘKNIE POWIEDZIANE

„Reakcja policji na wielu filmikach była nieadekwatna, ale znam wiele relacji, w których funkcjonariusze zachowywali się w sposób właściwy” – powiedział Mateusz Morawiecki, pytany na wspomnianym zjeździe o zającie z udziałem narodowców podczas obchodów 11 listopada.

JESZCZE PIĘKNIE POWIEDZIANE

„Zjednoczona Prawica w ciągu ostatnich lat dotknęła bardzo wielu bardzo często lukratywnych interesów” – wytłumaczył z kolei źródła niedawnych protestów Andrzej Duda i dodał, że „jeżeli ktoś zagarniał pieniądze”, to stać go „na różne działania, bardziej lub mniej zakulisowe”.



TVP SPORT

NAJPIĘKNIEJ POMILCZANE

Niestety, na podobne krasomówstwo nie było stać Roberta Lewandowskiego po przegranym meczu z Włochami. Zapytany, jaki był plan trenera na pokonanie rywala, kapitan reprezentacji Polski przez 8 sekund milczał.

Nie tylko my możemy wetować

POLSKI RZĄD grozi zawetowaniem nowego budżetu Unii, jeśli dostęp do funduszy zostanie w nim powiązany z przestrzeganiem praworządności. Ta groźba to element gry o symbole (projekt „pieniądze za praworządność” został już rozwodniony na tyle, że jest raczej bezpieczny dla PiS), ale podnoszone przez Warszawę hasła „suwerenności” i „obrony tożsamości” stanowią ryzyko, że skończy się klapą negocyjacyjną. Politycznie i finansowo to gra dla nas kosztowna.

Spór toczy się o pakiet finansowy Unii składający się z przepisów o budżecie na lata 2021-27, tzw. Funduszu Odbudowy oraz rozporządzenia wiążącego wypłaty z praworządnością. Do przyjęcia tego rozporządzenia potrzeba głosów 15 z 27 krajów Unii; pozostała część pakietu wymaga jednomyślności. To daje narzędzie nacisku Polsce i Węgrom, które od września zapowiadały wetowanie pakietu, jeśli zapisy praworządnościowe uznają za niemożliwe do zaakceptowania. Tyle że podobnym narzędziem może posłużyć się Parlament Europejski i kilka parlamentów krajowych, które uprzedzają, że zablokują pakiet nieobejmujący ochrony praworządności.

Obecny projekt pozwala na zawieszanie wypłat w razie złamania zasad praworządności (lub „poważnego ryzyka” tegoż), które ma „wystarczająco bezpośredni” wpływ na zarządzanie funduszami. To może ryzykowne dla Węgier, ale z punktu widzenia Brukseli w Polsce nie dzieje się w tej kwestii nic nadzwyczajnego. Mimo to, przez wzgląd na „jastrzębie” skrzydło obozu rządowego, premier Morawiecki nie chce dać zgody bez walki.

Utrzymanie weta mogłoby – to teraz najgroźniejsze – pchnąć Unię do przekonstruowania Funduszu Odbudowy (27 mld euro dla Polski), by np. w formie „eurostrefa plus” wykluczyć blokującą Warszawę czy Budapeszt. W Brukseli o opcjach awaryjnych już się mówi, lecz jeszcze nad nimi się nie pracuje. Uwaga skupia się teraz na szukaniu „deklaracji interpretacyjnych”, które grudniowy szczyt Unii dołączyłby do przepisów o praworządności w celu „rozwiązania wątpliwości” Polski i Węgier.

Taki polityczny teatr pozwoliłby Morawieckiemu i Viktorowi Orbánowi ogłosić „wygraną”. A Bruksela zyskałaby kolejne przepisy o praworządności – choć jej głównym problemem pozostanie brak woli politycznej do ich stanowczego użycia wobec „demokracji nieoliberalnych”.

© TOMASZ BIELECKI z Brukseli



SZYMON ŁUCYK opowie o tym, dlaczego

paryżanie przesiedli się na rowery (czytaj tekst na s. 50)
Agnieszka Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM,
w środę 18 listopada o godz. 15.20
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole
97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

– www.tokfm.pl



PAWEŁ PIENIAŻEK

Kryzys polityczny w Armenii

PO ZAWARCIU ROZEJMU między Azerbejdżanem a Armenią obywatele obu państw wyszli na ulice. Azerowie z radości, Ormianie (na zdjęciu) z gniewu. Wielu Ormian traktuje zgodę swoich władz na rozejm jako akt kapitulacji i zdrady. Ponieważ rząd informował o przebiegu 6-tygodniowego konfliktu zdawkowo i nieprawdziwie, byli zupełnie zaskoczeni porażką. Teraz 17 partii opozycyjnych, które protestuje przeciw decyzji premiera Nikoła Paszyniana, próbuje wykorzystać sytuację na swoją korzyść. Przeciwnicy rozejmu żądają dymisji rządu, a premiera, którego dwa lata temu do władzy wyniosły protesty uliczne, okrzyknęli „zdrajcą”.

Porozumienie – zawarte 10 listopada pod patronatem Rosji – kończy ostatnią odsłonę wojny o Górski Karabach. W efekcie Armenia jest zmuszona oddać znaczną część

terenów kontrolowanych dotąd przez nieuznaną Republikę Arcachu (tak Ormianie nazywają ten region), a rozejmu mają pilnować rosyjscy żołnierze. Wiadomo już, że podczas wojny zginęło co najmniej 2317 ormiańskich żołnierzy, choć wcześniej podawano liczbę 1338 zabitych. Zginęło też kilkudziesięciu cywilów po obu stronach. Azerbejdżan nie podaje liczby ofiar wśród swoich żołnierzy.

Tuż po zawarciu rozejmu ormiańscy demonstranci wtargnęli do parlamentu i pobili jego przewodniczącego. Potem doszło do przepychanek z policją i dwudniowych aresztów dla 10 polityków opozycji, którzy przyszli na największą jak dotąd demonstrację (wzięło w niej udział kilka tysięcy osób). Wśród zatrzymanych był szef partii Ojczyzna Artur Wanecian, któremu następnie postawiono zarzuty o próbę obalenia rządu i usiłowanie zabójstwa premiera.

© PAWEŁ PIENIAŻEK z Erywania

O Karabachu czytaj też w dziale Świat.

Wojna z powodu reform

ABIY AHMED, etiopski premier i pokojowy noblista, wywołał wojnę domową.

Na początku listopada armia wkroczyła do zbuntowanej północnej prowincji Tigray. W walkach zginęło ponad tysiąc żołnierzy, a Amnesty International alarmuje, że wojujące strony dopuszczają się zbrodni na cywilach. Abiy oskarża Tigrajczyków, Tigrajczy oskarżają wojska rządowe. Uchodźcy opowiadają o pogromach i grabieżach etiopskiego wojska. Tigrajczycy twierdzą, że atakowani są także przez wojska sprzymierzonej z Abiyem Erytrei (to za podpisanie z nią pokoju otrzymał on w zeszłym roku No-

bla), i że w odwecie ostrzelali z rakiet Asmarę i czerwonomorski port w Massawie.

Wojna wybuchła z powodu reform Abiia, który chce przerobić Etiopię z federacji na państwo unitarne. Sprzeciwiają się temu Tigrajczycy, niedawni towarzysze partyjni Abiia, którzy rządili w Addis Abebie przez ostatnich 30 lat, i którzy wynieśli go do władzy, by spacyfikować bunt jego rodaków, Oromów z południa, narzekających, że choć w Etiopii najliczniejsi, traktowani są jak obywatele drugiej kategorii. Tigrajczycy skarżą się, że umocniwszy się u władzy Abiy usuwa ich z urzędów i próbuje obciążyć ich całą winą za wszelkie zło z czasów, gdy rządili w Addis Abebie.

© P. WOJCIECH JAGIELSKI

Państwo terroru



WOJCIECH KONOŃCZUK

JEDNYM Z SYMBOLI SPRZECIWU wobec reżimu Łukaszenki stało się pewne podwórko na przedmieściu Mińska, otoczone wieżowcami. Wszystko dzięki wielkiej aktywności obywatelskiej okolicznych mieszkańców, koncertom antyreżimowych muzyków i muralowi wolności, o którym słyszała cała Białoruś. Choć wielokrotnie zamalowywany przez funkcjonariuszy, za każdym razem powracał.

Podwórko nazwano „placem Zmian”, a jednym z jego organizatorów był 31-letni Raman Bandarenka. Kilka dni temu zobaczył, że pod osłoną ciemności jacyś ludzie zrywają białoczerwono-białe wstążki, i wyszedł, by zaprotestować. Został pobity i wywieziony w nieznaną przez funkcjonariuszy w cywilu. Odnalazł się na oddziale reanimacyjnym, ale jego życia nie udało się uratować.

Bandarenka to siódma ofiara śmiertelna protestów. Jego śmierć wyjątkowo wstrząsnęła społeczeństwem: stała się symbolem ostatniej kulminacji represji. Od wyborów 9 sierpnia do połowy listopada zatrzymano ponad 20 tys. protestujących, tysiące pobito i skazano na karę aresztu, wszczęto tysiąc spraw karnych, z uniwersytetów wyrzucono kilkuset studentów i wielu wykładowców. Pracę straciła nieznaną liczbą strajkujących robotników, represje zaś dotknęły wiele grup zawodowych – od lekarzy po sektor informatyczny.

Skala represji pozwala mówić, że Białoruś stała się państwem milicyjnego terroru. Jedynym oparciem władzy zdelegitimizowanego Łukaszenki stał się sektor siłowy. Gdy reżim uznał, że liczebność demonstracji spada, przystąpił do kontrataku. Błędna jest jednak kalkulacja, że oznacza to spadek nastrojów protestacyjnych. Te nie tylko pozostają silne, ale wzmacniają się z każdym kolejnym przestępstwem władzy.

Choć nikt nie wie, ile to jeszcze potrwa, to na dłuższą metę żaden system w Europie nie może trzymać się tylko na przemocy.

©



PARÓQUIA SÃO PEDRO DO MAR

Biskup z faweli w Krakowie

NOWYM BISKUPEM POMOCNICZYM pod Wawelem został ks. Robert Chrzęszcz, misjonarz pracujący od 15 lat w Brazylii. Decyzja papieża, ogłoszona 11 listopada, była zaskakująca, choć we „Franciszkowym stylu”. Powołanie do biskupiej pracy w Polsce czynnego misjonarza, księdza zaangażowanego w pracę duszpasterską w społeczeństwie wielowyznaniowym i wielokulturowym, znającego problemy najbiedniejszych, także mieszkańców faweli, daje do myślenia.

Zdziwienia nie ukrywa sam zainteresowany. – Nie wiem, czy bardziej jestem zaskoczony czy przerażony – mówi „Tygodnikowi”. – Mam zostawić 15 lat mojego życia w Brazylii, wśród ludzi, których kocham i którzy mnie kochają, i przyjechać do Polski, której aktualnych problemów niemal nie znam. Ale chyba jestem częścią jakiegoś planu, skoro papież Franciszek znalazł mnie aż w Rio de Janeiro. I chce, bym z doświadczeniem pracy w Brazylii przyjechał do Krakowa. Nie rozumiem tego, ale wierzę, że będzie z tego jakieś dobro.

Ks. Robert Chrzęszcz pochodzi z Wadowic. Do Brazylii wyjechał w 2005 r., po 10 latach pracy w Polsce. Ostatnio pracował w parafii São Pedro do Mar w Rio, która ma wyjątkowe szczęście do proboszczów – w ciągu 11 miesięcy dwóch z nich zostało biskupami (poprzedni, ks. Zdzisław Błaszyk, pochodzący z Gdowa, został sufraganiem w Rio de Janeiro). Ks. Robert jest przekonany, że za jego nominacją, podobnie jak i jego poprzednika, stoi kard. Orani João Tempesta, który cenił sobie pracę Polaków. Świecenia biskupie ks. Chrzęszcza odbędą się prawdopodobnie pod koniec stycznia 2021 r. – W tej chwili muszę pozamykać swoje sprawy w Brazylii – mówi biskup nominat. – Do Polski przylecę w połowie grudnia. I na pewno się nie zmieni.

© EDWARD AUGUSTYN

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ŚMIERĆ KARDYNAŁA

16 listopada zmarł 97-letni kard. Henryk Gulbinowicz, arcybiskup metropolita wrocławski w latach 1976–2004. Zaledwie 10 dni wcześniej Stolica Apostolska, „w wyniku przeprowadzonego dochodzenia w sprawie oskarżeń” wysuwanych pod jego adresem i „po przeanalizowaniu innych zarzutów dotyczących przeszłości kardynała”, obłożyła go zakazem używania insygniów biskupich, wystąpień i celebracji publicznych, a także pozbawiła prawa do pochówku w katedrze.

BUNT

Parafianie z Korczewa pod Zduńską Wolą wyszli z kościoła, kiedy podczas mszy ogłoszono, że ich nowym proboszczem ma zostać ks. Piotr S., który pod koniec października w Czarnikowie groził bronią strajkującym kobietom. Zatrzymała go policja. Biskup Wiesław Mering odsunął go od posługi, po czym powierzył parafię w Korczewie. Parafianie chcą, by urząd objął wieloletni wikary, planują rozmowy z biskupem.



WIKIPEDIA DOMENA PUBLICZNA

WSPÓŁPRACA

Kościół Anglii zaproponował brytyjskiej służbie zdrowia NHS, by katedry stały się centrami szczepień przeciw koronawirusowi. Według szacunków tylko w katedrze Blackburn będzie można w ciągu tygodnia zaszczepić 1700 osób. Anglikańscy biskupi niedawno zaapelowali o sprawiedliwą dystrybucję szczepionki „wśród najbardziej narażonych, a nie tylko najbogatszych”.

Franciszek: ubodzy są dla nas szansą

„**TO SMUTNE**, kiedy chrześcijanin gra na obronę, zadowalając się jedynie przestrzeganiem zasad i poszanowaniem przykazań” – mówił papież podczas mszy, którą w bazylice św. Piotra odprawił z okazji IV Światowego Dnia Ubogich. Franciszek przyrównał takiego człowieka do „gnuśnego sługi”, który „wolał grzeszyć zaniechaniem niż podjąć ryzyko popełnienia błędów”. Z kolei ubogich Franciszek przyrównał do „bankierów”, którzy „zapewniają nam wieczny dochód” i pozwalają wzbogacić się w miłości. Pod koniec życia sukces, władza i pieniądze okazały się iluzją, a miłość prawdziwym bogactwem – zauważył papież.

Oprócz wolontariuszy i dobroczyńców w mszy uczestniczyło ok. stu osób biednych. Z powodu pandemii nie odbył się obiad organizowany od kilku lat dla ubogich w Watykanie. Jedynie kard. Konrad Krajewski zaprosił kilkanaście osób na prywatny posiłek. W ramach przygotowań do Światowego Dnia Ubogich w szpitalu polowym działającym w kolumnadzie Berniniego codziennie ok. 50 bezdomnych mogło się zaszczepić przeciwko grypie.

© ASK

Anglikanie biją się w pierś

ZWIERZCHNICZY KOŚCIOŁA ANGLIKAŃSKIEGO – arcybiskup Canterbury Justin Welby i arcybiskup Yorku Stephen Cottrell – przeprosili za „szkody i krzywdy” wyrządzone osobom LGBT+ w Kościele. „Rozważając kwestie tożsamości seksualnej i zachowania, musimy przyznać, że ogromne szkody i zranienia zostały wyrządzone, gdy mówienie o prawdzie, świętości i byciu uczniem było traktowane surowo, a nie jak balsam leczniczy. (...) Wyrządziliśmy i nadal powodujemy zranienia i niepotrzebne cierpienie. Za takie czyny każdy z nas i cały Kościół powinien się głęboko wstydzić i żałować. Bardzo nam przykro, że jako arcybiskupi przyczyniliśmy się do tego” – napisali Welby i Cottrell.

Słowa przeprosin znalazły się w 480-stronicowej książce zatytułowanej „Życie w miłości i wierze”, która rozważa nauczanie Kościoła na temat małżeństwa, seksualności i tożsamości płciowej. Książka jest elementem programu (obok niej przygotowano filmy, podcasty i kursy), który ma pomóc w inicjowaniu w parafiach dyskusji – tak by w 2022 r. Kościół na synodzie generalnym mógł podjąć wiążącą decyzję. Niektórzy uważają, że dojrzał czas do rozwoju doktryny o małżeństwie, i zakładają możliwość zaakceptowania związków homoseksualnych, ale nie jest to jeszcze przesądzone. Arcybiskupi we wstępie przyznają, że poruszane w książce problemy wciąż dzielą hierarchię anglikańską.

© ARTUR SPORNIĄK

KULTURA W SKRÓCIE

EUROPEJSKIE LAURY
„Boże Ciało” jest jednym z faworytów tegorocznych Europejskich Nagród Filmowych. Oprócz nominacji w kategorii najlepszy film szanse na statuetki mają także Jan Komasa (wyróżniony za reżyserię), Mateusz Pacewicz (scenariusz) oraz aktorów głównej roli, Bartosz Bielenia (na zdj.). Wśród nominowanych do ENF jest także Agnieszka Holland, twórczyni „Szarlata”. Zwycięzców poznamy na początku grudnia.



MATERIAŁ PRASOWY

DNI GÓRECKIEGO
Uroczysty koncert online zainaugurował w Filharmonii Śląskiej w Katowicach ósme Międzynarodowe Dni Henryka Mikołaja Góreckiego. W minionym tygodniu minęła dziesiąta rocznica śmierci kompozytora. Koncerty będą dostępne przez najbliższe dni tylko w trakcie trwania transmisji na żywo, ostatni zaplanowano na 6 grudnia.

PRZEMIANY ONLINE
Największe w tej części Europy spotkania teatralne z udziałem niepełnosprawnych artystów – choć dotychczas odbywały się w Lublinie – swój jubileusz trzydziestolecia obchodzić będą od 19 do 22 listopada online. Spektakle oglądać można na platformie Zoom, a webinary i studio festiwalowe na Facebooku (fanpage „Nieprzetarty Szlak”). Część wydarzeń zostanie przetłumaczona na polski język migowy.

Na huśtawce Ministerstwa Kultury

PIOTR KOSIEWSKI



OGŁOSZONO LISTĘ BENEFICJENTÓW FUNDUSZU Wsparcia Kultury. 2064 samorządowe instytucje, organizacje pozarządowe oraz firmy prywatne miały łącznie otrzymać 400 mln zł tytułem rekompensaty przychodów utraconych w pandemii. Wsparto wszystkich, którzy prawidłowo złożyli wnioski. Przy czym rekompensaty przeznaczono jedynie za działalność teatralną, muzyczną lub taniec. Dotyczą one okresu od 12 marca do 31 grudnia 2020 r. Za punkt wyjścia przyjęto przychody za analogiczny okres 2019 r., pomniejszone o wsparcie otrzymane z innych środków publicznych na przeciwdziałanie skutkom COVID-19.

Uwagę przykuły kwoty, jakie otrzymały firmy Renata Świerzyńska Bayer Full Impresariat (400 tys.) czy Golec Fabryka (prawie 1,9 mln), ale na liście beneficjentów można znaleźć też m.in. warszawskie i krakowskie teatry, Forum Muzyki im. Witolda Lutosławskiego (ponad 1,3 mln), Operę i Filharmonię Podlaską (2,8 mln) czy Fundację Krystyny Jandy (1,8 mln).

Fundusz po raz pierwszy ma potraktować kulturę jako sektor ważny dla gospodarki – od dawna domagano się uznania znaczenia kultury w tworzeniu PKB i dla rynku pracy. Oznacza to jednak odejście od podziału na twórczość popularną i wysoką. Założono też, że środki trafią nie tylko do artystów, lecz także do zaangażowanych w tworzenie wydarzeń i ich upowszechnianie.

Już po dwóch dniach, pod wpływem krytyki, wstrzymano wypłaty do czasu wyjaśnienia wątpliwości. Dlaczego np. instytucje samorządowe mogły otrzymać do 40, a pozostałe do 50 proc. utraconych przychodów? Czy konieczne było wykluczenie dotacji jako źródła przychodu – są one ważne dla finansowania instytucji kultury i NGO. Czy zagwarantowano utrzymanie poziomu zatrudnienia sprzed pandemii? Jednak przede wszystkim niezbędne jest rozszerzenie tej formy pomocy na pozostałe segmenty kultury, w tym sztuki wizualnej. Wreszcie: powinien powstać analogiczny program indywidualnego wsparcia dla twórców. ©

Nietoperze: słuch wyostrzony na obcych

DŹWIĘKI O WYSOKICH częstotliwościach służą im nie tylko do echolokacji – również do komunikacji, o której nauka wciąż wie niewiele. Właśnie okazało się, że te ssaki w wysokich tonach zawierają informacje o swojej przynależności grupowej.

Z opisanych w „Animal Behaviour” badań chińskich uczonych wynika, że wśród nietoperzy występują dialekty wokalne odróżniające jedne kolonie od innych. Congnan Sun i współpracownicy porównali nawoływania terytorialne samców w 9 koloniach tego samego gatunku – płatkonosu zbrojnego. Analizy wykazały różnice w kilku parametrach, m.in. w zakresach częstotliwości charakterystycznych dla danej grupy. Stopnia zróżnicowania nie wyjaśniały czynniki klimatyczne, bliskość geograficzna ani spokrewnienie genetyczne.

Jeżeli nietoperze wykrywają rozbieżności, to mogą one ułatwiać im wykrywanie intruzów. By to sprawdzić, najpierw odtwarzano nietoperzom nawoływania osobnika z jego grupy. Kiedy przestawał reagować, odtwarzano kolejne – osobnika z kolonii lub obcego. W pierwszym przypadku zareagowało 6 z 17 nietoperzy, w drugim – wszystkie. © KATARZYNA DZIADOWICZ

Piękny umysł

14 LISTOPADA zmarł prof. Piotr Francuz, wieloletni wykładowca KUL, jeden z najbardziej oryginalnych i wszechstronnych polskich badaczy umysłu. Zachorował na COVID-19. Miał 60 lat.

Jego pasją naukową była percepcja obrazu, w szczególności piękna. Słynął z precyzji prowadzenia badań. Jego książka „Imaginia. W kierunku neurokognitywnej teorii obrazu” zebrala wiele nagród i przyczyniła się do popularyzacji tzw. neuroestetyki. Wcześniej we współpracy z telewizją badał eksperymentalnie wpływ programów informacyjnych na rozumienie treści przez odbiorców. W ostatnich latach badania jego zespołu koncentrowały się także na zdolnościach poznawczych pilotów, interfejsach łączących ludzki mózg z komputerem oraz poznawczych korelatach uzależnienia od portali społecznościowych. Po zostawił po sobie blisko 150 prac – sześć z nich ukazało się w międzynarodowych czasopiśmie w tym roku. Z podrećnika „Liczby nie wiedzą, skąd pochodzą”, którego jest współautorem, od piętnastu lat adepci nauk społecznych uczą się statystyki i metodologii badań. © MATEUSZ HOHOL

TEMAT
TYGODNIKA

UPADEK

Biskup może być seksualnym agresorem i przestępcą. Może kłamać. Jego koledzy mogą kłamać, że o niczym nie wiedzieli, i wspierać się w awansach. Źródłem zła, które drażni Kościół, jest system władzy.

EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU

JESTEM ARCYBISKUPEM, WIĘC NIC SIĘ NIE stanie” – mówił Theodore McCarrick do kleryków, którym proponował wspólne łóżko. To zdanie z opublikowanego w ubiegłym tygodniu przez Watykan raportu o nadużyciach seksualnych byłego kardynała lapidarnie ujmuje całą istotę problemu.

Raport o stanie Kościoła

To nie jest trzęsienie ziemi. Ci, którzy spodziewali się udowodnienia tezy, że były arcybiskup Waszyngtonu zrobił kościelną karierę dzięki pieniądзом i gejowskiemu lobby, mogą być zawiedzeni. „Nie wykazano, żeby fundusze pozyskiwane przez kard. McCarricka kiedykolwiek znacząco wpływały na decyzje Stolicy

Świętej wobec niego” – czytamy już na pierwszych stronach raportu. Choć czytamy też, że do końca kariery „nie przedstawiał dawać prezentów urzędnikom kurii rzymskiej czy nuncjatury, jak to miał w zwyczaju”. Pieniądże, które pozyskiwał od sponsorów, i którymi hojnie dysponował, na pewno mu w awansach nie przeszkodziły. Podobnie jak homoseksualne skłonności, których od pewnego momentu nie ukrywał.

Ale za to dowiedzieliśmy się dużo o funkcjonowaniu Kościoła. O tym, że można w nim zrobić karierę, choć przez lata wykorzystuje się seksualnie młodych mężczyzn i coraz więcej osób o tym mówi. Raport miał odpowiedzieć, jak to możliwe.

Przedstawiciele Sekretariatu Stanu przesłuchali ponad 90 osób. Są wśród nich księża i byli klerycy, którzy świadczą o nagannym zachowaniu biskupa, są pracownicy nuncjatury w USA, urzędnicy kurii rzymskiej, ale też były sekretarz osobisty Jana Pawła II, kard. Stanisław Dziwisz, papież emeryt Benedykt XVI i papież Franciszek. A jako że pamięć ludzka jest ułomna, co dla niektórych z pewnością stało się błogosławioną wymówką, zeznania konfrontowano z dokumentami zebranymi w archiwach sześciu kongregacji i w nuncjaturze w USA, a także zgromadzonymi podczas wcześniej zakończonego procesu karno-administracyjnego czy nadesłanymi przez kościelne instytucje i diecezje ze Stanów Zjednoczonych.





Po mszy beatyfikacyjnej Jana Pawła II
w Bazylice św. Piotra. Watykan, 1 maja 2011 r.

wiedział papież o krążących już oskarżeniach wobec 70-letniego wówczas hierarchy?

„Z pewnością czasem zabrakło mi roztropności, ale przez 70 lat mojego życia nie miałem żadnych stosunków seksualnych [sexual relations] z żadną osobą, mężczyzną czy kobietą, młodym czy starym, duchownym czy świeckim, ani nigdy nie wykorzystalem nikogo, ani nie potraktowałem bez należącego szacunku” – napisał bp McCarrick w 2000 r. do bp. Stanisława Dziwisza. To kluczowy moment historii i najważniejszy dokument raportu. Czy osobisty sekretarz mógł wpłynąć na papieża w sprawie nominacji?

– Nie wierzę w to – mówi „Tygodnikowi” Luigi Accattoli, jeden z najważniejszych watykanistów z lat pontyfikatu Jana Pawła II. – Oczywiście, wraz z upadkiem sił papieża pomagał mu w podejmowaniu decyzji, ale raczej tak, by były zgodne z ogólnym kierunkiem polityki Jana Pawła II. Nie manipulował papieżem, bo myślał dokładnie tak samo jak on: im obu chodziło o unikanie publicznego skandalu. „Problemy należy rozwiązywać dyskretnie”: tak uważali Jan Paweł II i sekretarz stanu, kard. Angelo Sodano. Dziwisz nie nadużywał ich zaufania, tylko ułatwiał prowadzenie polityki zmierzającej głównie do dbania o interes i wizerunek instytucji.

Pomysł, by Jan Paweł II pytał bp. Dziwisza o radę w ważnych sprawach Kościoła, rzeczywiście brzmi niedorzecznie. Watykański raport sugeruje, że powodem, dla którego papież bardziej uwierzył w zapewnienia McCarricka, niż wysuwane wobec niego oskarżenia, było osobiste doświadczenie z komunistycznej Polski, gdzie władza niejednokrotnie rozsiewała plotki o niemoralnym prowadzeniu się księży (w tym samego Wojtyły), by uderzyć w Kościół.

Nie bez znaczenia była też znajomość papieża z nominatem. Oraz dobra opinia bp. Agostina Cacciavillana, który był nuncjuszem w USA i konsekwentnie bronił McCarricka. Papież ściągnął go właśnie z Waszyngtonu do Watykanu, by powierzyć mu kierowanie Administracją Dóbr Stolicy Apostolskiej, i na pewno traktował jako eksperta w sprawach amerykań-

skich. Uwierzył jemu, a nie nieprzychylnemu McCarrickowi nowemu nuncjuszowi, abp. Gabrielowi Montalvo. W lutym 2001 r. Cacciavillan został kardynałem. Na tym samym konsystorzu czerwone birety dostali Theodore McCarrick i Jorge Bergoglio.

Żadnych uwag

McCarrick urodził się w 1930 r. w Nowym Jorku. Gdy miał trzy lata, zmarł mu ojciec. Matka poszła do pracy, a chłopca wychowywały ciocia i babcia. Skończył prestiżową katolicką szkołę średnią Fordham Preparatory School, później spędził rok w Szwajcarii, w międzynarodowym kolegium Rosenberga, gdzie uczył się głównie języków: francuskiego, niemieckiego i włoskiego. Po powrocie do kraju obronił pracę z filozofii na Fordham University i – w wieku 24 lat – wstąpił do seminarium, a po skończeniu teologii został wyświęcony na księdza diecezji nowojorskiej. Był dobrze wykształcony (zrobił jeszcze doktorat z socjologii), ponadprzeciętnie uzdolniony, pracowity i bardzo ambitny. Przełożeni szybko to dostrzegli, zaczął więc otrzymywać coraz bardziej odpowiedzialne funkcje, które zwykle są szczeblami do kościelnej kariery: był rektorem małej uczelni (w Ponce), wicerektorem dużej (Catholic University of America) i wreszcie sekretarzem kard. Terence’a Cooke’a, dzięki któremu poznał nie tylko najważniejsze osoby w Kościele, ale też wszedł w świat polityki i biznesu. Prowadził działalność duszpasterską i charytatywną. Wśród biednych rodzin Nowego Jorku znany był jako „wujek Ted”, który co roku zabiera dzieci na wakacje.

Biskupem został w 1977 r. W tajnych ankietach, które nuncjatura przeprowadza przed przesłaniem kandydatur do Watykanu, otrzymał pochlebne opinie, jako osoba „o zdrowej moralności, która na pewno nie stanie się przyczyną żadnego skandalu, kapłan pobożny i gorliwy, rozważny, dobrze przygotowany, oddany służbie bliźniemu i Kościołowi”. Nikt nie słyszał o „ewentualnym niewłaściwym zachowaniu seksualnym wobec dorosłych i dzieci”.

Z raportu wiemy jednak, że pierwsze zarzuty o molestowanie seksualne chłopców dotyczą początku lat 70. Na jaw wyszły dopiero w 2017 r., za pontyfikatu Franciszka.

Szczęśliwie w zbiurokratyzowanej kurii każdy dokument jest rejestrowany i archiwizowany; z każdego spotkania sporządzana jest notatka, często przez wszystkie strony; najdrobniejsze decyzje przekazywane są na piśmie i kontrasygnowane. Pisemnie potwierdza się niemal wszystko. Może z wyjątkiem datków, tradycyjnie przekazywanych w zaklejonych kopertach.

Ma być dyskretnie

Z perspektywy światowych i polskich mediów najważniejsze wydaje się pytanie o odpowiedzialność Jana Pawła II za nominację McCarricka na metropolitę Waszyngtonu w 2000 r. i wyniesienie go do godności kardynalskiej w 2001 r. Ile

Szczodry Ted

→ W 1976 r., gdy był jeszcze sekretarzem arcybiskupa Nowego Jorku, McCarrick został ściągnięty z wakacji na Bahamach, by zaopiekować się odwiedzającym USA kardynałem z Krakowa, „który nie wiadomo, czy dobrze zna angielski”. Tak poznał kard. Karola Wojtyłę i jego sekretarza, ks. Dziwisza.

Gdy dwa lata później świat obieła sensacyjna wiadomość o wyborze Polaka na papieża, ambitny Amerykanin wiedział już, że z szans od losu trzeba korzystać. Opowiadał dziennikarzom, że wkrótce po konklawe poleciał do Rzymu, by spotkać się z Janem Pawłem II. „Jestem Ted McCarrick, sekretarz kardynała Cooke’a”, powiedział, całując pierścion. „Pamiętam, pamiętam – odpowiedział papież. – Udało się księdzu dokończyć tamte wakacje?”. Watykański raport potwierdza, że Jan Paweł II docenił błyskotliwą inteligencję i poczucie humoru amerykańskiego opiekuna. I że bp McCarrick był częstym gościem w Watykanie.

W 1981 r. Jan Paweł II mianuje go ordynariuszem niewielkiej diecezji Metuchen. 5 lat później stoi już na czele archidiecezji Newark. Pod koniec lat 80. zakłada Papal Foundation, która przekazuje Watykańowi ofiary od najbogatszych Amerykanów. Ma też własną fundację, której pieniędzmi rozporządza w sposób niemal niekontrolowany. Bo McCarrick jest nie tylko świetnym organizatorem, ale też wyjątkowo skutecznym fundriserem.

Jego sekretarka powiedziała watykańskim śledczym, że codziennie pisał dziesiątki listów – każdy w innym, w zależności od adresata, stylu i tonie. Spotykał się z setkami osób, szybko przełamując konwenanse. Dużo podróżował, pełniąc dla Kościoła mniej lub bardziej oficjalne misje dyplomatyczne. Zaczynał pracę o 5, kończył po 22. Był wymagającym, ale hojnym pracodawcą. Lubił wręczać prezenty.

Kuria w Waszyngtonie potwierdziła, że w dokumentach przekazanych ostatnio Watykańowi były listy osób, które otrzymywały pieniądze od kard. McCarricka. I że figurowały na nich postacie z najwyższych stanowisk w Watykanie. Zresztą już rok temu dziennikarze „Washington Post” pisali, że w latach 2001-18 na konta biskupów, kardynałów i papieży McCarrick przekazał w sumie ponad 600 tys. dolarów. Wśród beneficjentów wymieniano nazwiska kard. Leonardo Sandriego, zastępcy (substy-

tuta) Sekretarza Stanu, kard. Josefa Di Noję (podsekretarza w Kongregacji Nauki Wiary) oraz kolejnych sekretarzy stanu: kard. Angela Sodano, kard. Tarcisia Bertonego i kard. Pietro Parolina. Pieniądze mieli też otrzymywać bezpośrednio papież Jan Paweł II i Benedykt XVI (mowa tu o przelewach realizowanych przez „prywatną” fundację McCarricka; Papal Foundation przekazywała sumy wielokrotnie większe, ale trafiały one na cele charytatywne wskazane przez papieża, m.in. na wspieranie Kościoła i opozycji demokratycznej w krajach Europy Środkowo-Wschodniej).

Bo będzie skandal

Pierwsze informacje o niestosownym zachowaniu biskupa trafiły do nuncjatury w Waszyngtonie i do wielu amerykańskich hierarchów w połowie lat 80. Dotyczyły okresu pracy ks. McCarricka w Nowym Jorku. Zignorowano je jako anonimowe. Z raportu wiemy, że wysłała je kobieta, której rodziną opiekował się „wujek Ted” i która zauważyła jego niestosowne zachowanie wobec jej synów. W 1989 r. jeden z młodych księży poinformował bp. Edwarda Hughesa, następcę McCarricka w diecezji Metuchen, o molestowaniu, którego dopuszczał się wobec niego poprzedni ordynariusz. W latach 90. podobne świadectwa składali inni wykorzystani księża. Bp Hughes nikogo o tych oskarżeniach nie powiadomił aż do roku 2000, gdy nuncjatura próbowała wyśnić pogłoski o zachowaniu McCarricka, wówczas już kandydata na objęcie „kardynalskiej” stolicy biskupiej w Waszyngtonie. W raporcie wymienieni są też inni biskupi amerykańscy, którzy widzieli niestosowne zachowania kolegi wobec kleryków i młodych księży, ale nie reagowali.

Choć nie wynika z tego, że nikt nic nie robił. W raporcie widać zwiększoną aktywność kilku osób – tak w USA, jak i w Watykanie – które przeczuwały, że „może wybuchnąć jeszcze większy skandal”. O skłonnościach biskupa pisze lokalna prasa, mówią duchowni. Gdy abp McCarrick zabiega, by Jan Paweł II podczas pielgrzymki do USA odwiedził Newark, nuncjatura prosi o „rozeznanie sprawy” kard. Johna O’Connora z Nowego Jorku. Już wcześniej część doniesień trafiała także na jego biurko. Zawsze lojalnie informował o nich McCarricka, który radził się go nawet, czy nie powinien uruchomić swoich kontaktów w FBI, by od-

naleźć autorów anonimów. Gdy pojawiły się pierwsze oskarżenia i żądanie odszkodowań ze strony ofiar biskupa, zastanawiano się, jak odpiierać ataki. Nad tym problemem pracowało kilku prawników zatrudnionych przez McCarricka, konferencję biskupów USA i nuncjaturę.

Kolejne zintensyfikowanie działań mających zapobiec „większemu skandalowi” nastąpiło w 1999 i 2000 r., gdy nazwisko McCarricka pojawiło się na listach kandydatów do objęcia najważniejszych diecezji: Chicago, Nowego Jorku i Waszyngtonu. Nominację do pierwszej z nich Watykan rozstrzygnął dość szybko, natomiast nad obsadą dwóch kolejnych dyskutowano dłużej. Kard. O’Connor, mimo że oficjalnie nie wierzył w zarzuty wobec McCarricka, sprzeciwił się mianowaniu go swoim następcą. Jego pisma do nuncjatury i Watykanu przekonywały bp. Giovanniego Battistę Re, nowego szefa Kongregacji ds. Biskupów, że na wszelki wypadek biskup Newark powinien zostać w dotychczasowym miejscu. Była ku temu dobra wymówka – McCarrick zbliżał się do 70. roku życia, więc można było uznać, że powierzanie mu nowej, ogromnej diecezji na 5 lat przed emeryturą jest nieracjonalne.

Ale tu do akcji wkroczył sam zainteresowany, któremu zamarzył się kardynalski kapelus. Napisał cytowany wcześniej list do bp. Dziwisza.

Zgorszenia muszą przyjść

– Myślę, że taki raport nie mógłby powstać 20 lat temu, za Jana Pawła II – mówi Luigi Accattoli. – Gdyby papieżem był wtedy Ratzinger, też nie. Prawdopodobnie nie mógłby powstać nawet, gdyby papieżem był wówczas Bergoglio. Nie było jeszcze przekonania, że upublicznienie skandalu może pomóc w wykorzenieniu zła.

Bądźmy precyzyjni: takie raporty powstawały od wieków, tylko nie oglądały światła dziennego. Śledztwa są w Watykanie niemal rutyną. Dotyczą czasem złego prowadzenia się, czasem np. nieprawnomyślnych poglądów. Ale dotąd dowiadaliśmy się o nich – jeśli w ogóle – po minimum 60 latach, gdy odtajniano kolejne partie watykańskich archiwów. Raport McCarricka dotyczy wydarzeń bieżących i wciąż żyjących osób.

Przez ostatnie dwie dekady Kościół rzeczywiście przeszedł długą drogę. Wszystko zaczęło się od Drogi Krzyżo-

wej: – W marcu 2005 r., na niespełna dwa tygodnie przed śmiercią Jana Pawła II, kard. Ratzinger napisał rozważania na to wielkopiątkowe nabożeństwo w Kołoseum, pod hasłem: „Ileż brudu w Kościele” – przypomina Accatoli. – Potem, jako nowy papież, prosi o przebaczenie, spotyka się z ofiarami, chce finalizacji procesu Maciela Degollady. Najszybciej pojmuje pedagogikę ewangelii, która mówi, że skandale, zgorszenia, muszą przysiąc.

Owszem, Benedykt XVI też nie uchronił się od błędu. O ile decyzja Jana Pawła II z 2000 r. przepełniła czarę goryczy, i pojawiły się nowe, już nie anonimowe, doniesienia o ciemnych stronach życia McCarricka, o tyle brak reakcji kolejnego papieża na te wiadomości był jeszcze bardziej gorzki. Benedykt XVI nie nałożył żadnych sankcji na McCarricka i nie zlecił żadnego formalnego dochodzenia w jego sprawie. Trudno uwierzyć, by długoletni prefekt Kongregacji Nauki Wiary o niczym nie wiedział. A jednak przyjmował McCarricka w Watykanie, wysyłał mu okolicznościowe listy z życzeniami, powierzał kolejne misje, przyjmował „hojne ofiary”, a nawet poprosił go o pozostanie na czele archidiecezji, gdy przyszedł czas emerytury. Dopiero w obliczu kolejnych doniesień prasowych i głosów oburzenia zgodził się z opinią kard. Re, że był to błąd: po roku McCarricka nakłoniono, by jednak ustąpił z urzędu. Poproszono go też o zaprzestanie aktywności publicznej i opuszczenie apartamentu w seminarium duchownym.

Tylko druga z tych prośb została spełniona. W latach 2007-08 emerytowany kardynał bez ograniczeń uczestniczył w życiu Kościoła, święcił księży, otrzymywał nagrody, wygłaszał odczyty. Podczas pielgrzymki Benedykta XVI do USA odprawiał z papieżem mszę w katedrze waszyngtońskiej i uczestniczył we wspólnej kolacji w Nowym Jorku. Prowadził też – na prośbę lub przynajmniej za zgodą Watykanu – liczne misje dyplomatyczne. I nawet jeśli wiele osób odczuwało z tego powodu dyskomfort, kończyło się na tradycyjnej wymianie korespondencji pomiędzy nuncjaturą, Sekretariatem Stanu i kongregacjami. Nikt nie miał pomysłu, jak wyjść z kłopotliwej sytuacji.

Nic więcej

Przez pierwsze lata swego pontyfikatu Franciszek też żył w przekonaniu, że za

emerytowanym arcybiskupem Waszyngtonu ciągną się jakieś plotki o bliżej nieokreślonych „homoseksualnych incydentach” sprzed pół wieku, jednak gruntownie już wyjaśnione za Jana Pawła II, gdy hierarcha był awansowany, albo za Benedykta XVI, który nie zdecydował się nawet na wszczęcie kanonicznego postępowania. Zwłaszcza że czarujący i dobrze ustosunkowany kardynał przyznawał się – owszem – do błędów młodości, ale zapewniał, że nigdy nic poważniejszego mu nie udowodniono. Podkreślał, że trzy duże tytuły prasowe („Boston Globe”, „Washington Post” i „Washington Times”) prowadziły dziennikarskie śledztwa w jego sprawie i niczego nie znalazły.

Bo wersja McCarricka wyglądała tak: wyjazd z klerykami na plażę, na ryby albo na mecz New York Yankees. Domek nad morzem albo mieszkanie w Nowym Jorku, zawsze z mniejszą liczbą łóżek niż gości. Oswajanie młodych mężczyzn z niecodzienną, intymną sytuacją („bo przecież wszyscy tak robią”), bez jakichkolwiek gestów, które mogłyby ich zaniepokoić. Dobieranie do towarzystwa tych, którym „to może się spodobać” (jak się okazało, nie zawsze trafnie). Potem

wspólne łóżko, przypadkowy dotyk, zarobliwy gest, masowanie obolałych barków. Przytulenie się w nocy. Nic więcej.

„Być może McCarrick jeszcze się nam do czegoś przyda” – powiedział w marcu 2016 r. Franciszek. Ale już rok później nakazał wszczęcie przeciwko niemu dochodzenia. W czerwcu 2017 r. do archidiecezji nowojorskiej, która wprowadziła specjalny program pomocy ofiarom duchownych, wpłynęła informacja, że w początku lat 70. ks. McCarrick „dotykał w niedopuszczalny sposób” osobę niepełnoletnią (16-17 lat). Zadziałały nowe procedury, dotyczące pedofilii.

Gdyby nie one, amerykańskiemu kardynałowi do dziś kłaniano by się w pas, choćby i z dwuznacznym uśmiechem. Dalej jeździłby po świecie, zbierał fundusze i rozdawał prezenty.

Obrona przez atak

Trzeba powiedzieć wprost, że ubiegłotygodniowy raport miał na celu także obronę papieża Franciszka przed zarzutami o bezczynność i wspieranie homoseksualnego lobby w Kościele. Postawił je w sierpniu 2018 r. abp Carlo Maria Viganò, kolejny nuncjusz apostolski →

POZEGNANIE

14 listopada w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie zmarł na skutek zakażenia wirusem COVID-19 i spowodowanych tym powikłań zdrowotnych

Ś.†P.

Mirosław Mąka

Etnolog, antropolog sztuki, księgarz i antykwariusz, alpinista, andysta, turysta górski i podróżnik. Działacz opozycji demokratycznej w Peerelu, członek założyciel Stowarzyszenia Sieć Solidarności, uhonorowany medalem „Dziękujemy za wolność”. Absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, absolwent Katedry Etnografii Słowian UJ, stypendysta École Pratique des Hautes Études na paryskiej Sorbonie. Wybitny znawca kultury Indian Quechua, mitologii i religijności ludowej rdzennych mieszkańców Peru oraz problematyki synkretyzmu religijnego i kulturowego. Autor książek z zakresu antropologii sztuki („Najstarsza fotografia górali tatrzańskich”, 2014; „Pejzaże drugiego planu i ukryte treści w malarstwie sakralnym Małopolski”, 2015). Wielki znawca kultury Tatr, Podhala i Małopolski.

Nade wszystko pozostanie Mirek w naszej pamięci jako wspañiały kolega, oddany przyjaciel, człowiek dzielny i dobry.

Jego przedwczesna śmierć jest dla nas bolesną raną.

Rodzinie i Przyjaciółom Mirka składamy wyrazy najgłębszego współczucia.

ELŻBIETA I MAREK JODŁOWSCY, ANITA PIOTROWSKA I JACEK ŚLUSARCZYK

→ w Waszyngtonie, wcześniej urzędnik Sekretariatu Stanu i autor kilku bardzo negatywnych wobec McCarricka opracowań. Decyzja o przygotowaniu raportu zapadła miesiąc po tym, jak Viganò wezwał Franciszka do dymisji. A efekt końcowy jest dla byłego nuncjusza miażdżący. Po pierwsze, Watykan wykazał, że Franciszek jako jedyny z papieży zadziałał szybko i zdecydowanie. Gdy okazało się, że sprawa dotyczy seksualnego wykorzystywania nieletnich, McCarrick został pozbawiony godności kardynalskich (czerwiec 2018), a gdy jeszcze udowodniono mu przestępstwo kanoniczne polegające na nakłanianiu do praktyk seksualnych podczas sakramentu spowiedzi, został wykluczony ze stanu duchownego (luty 2019).

Po drugie – wykazano, że bezpodstawne były zarzuty Viganò wobec kard. Sodano (nominacja McCarricka była decyzją Jana Pawła II, którą Sodano otrzymał na piśmie), jak i wobec kard. Bertone (nie tylko nie zlekceważył opinii Viganò, ale podzielał ją i optował za wszczęciem procesu kanonicznego wobec McCarricka; Benedykt XVI się na to nie zdecydował).

Po trzecie – w 2012 r., gdy Viganò był już nuncjuszem w USA, otrzymał z Watykanu polecenie zbadania wiarygodności nowego świadka, księdza z diecezji Metuchen, który zeznał w sądzie cywilnym, że był ofiarą molestowania przez biskupa. Nuncjusz ani nie skontaktował się z przedstawicielami diecezji, którzy mogli potwierdzić wiarygodność zeznań księdza, ani nie spotkał się z nim samym, ani nawet nie odpowiedział listownie, gdy ten prosił go o dokumenty. Jedyna aktywność, jaką się wykazał, to telefon do urzędującego biskupa Metuchen, który podczas rozmowy uznał świadka za osobę niewiarygodną.

Szukając kościelnego DNA

„Skandale dotyczące nadużyć seksualnych są wstrząsem, który porównałbym do splądrowania Rzymu przez Wizygotów” – mówił bp Heiner Wilmer na łamach „TP” dwa lata temu (czytaj na powszech.net/wilmer). Kościół przeszedł wówczas „tożsamościowy kryzys” – zaczęto się zastanawiać, dlaczego Bóg dopuszcza do zniszczenia chrześcijańskiego świata. Podobny problem – jak pogodzić Boską dobroć i wszechmoc ze złem świata i cierpieniem ludzi – pod-

noszono w Oświeceniu, po tragicznym trzęsieniu ziemi w Lizbonie. Czy teraz też będziemy świadkami zmiany myślenia o Kościele, zwłaszcza gdy zło wychodzi z samego jego środka? – zastanawiał się bp Wilmer. Proponował pożegnać wyświechtaną formułkę o „świętym Kościele grzesznych ludzi” i przyjąć do wiadomości, że istnieją w nim „struktury zła”. „Nadużywanie władzy jest w DNA Kościoła” – dodawał.

Raport na temat McCarricka jest tego dowodem. „Struktury zła” to niekoniecznie zorganizowane grupy o mafijnym charakterze. To brak kontroli nad kościelną hierarchią. Przekonanie, że władzy raz zdobytej nikt już nie skontroluje, a jeśli nawet, to będzie to kontrola pozorna, prowadzona przez znajomych. Że nie tyle o prawdę albo wsparcie dla ofiar chodzi, co o dobre imię instytucji.

System władzy w Kościele przez wieki budowany był na lojalności i dyskrecji. Na wygodnym manipulowaniu słowami i pojęciami – Kościół, w zależności od potrzeb, może być i świętą matką, której imienia się nie kala, i wspólnotą grzeszników, których trzeba zrozumieć. Na przekonaniu, że dobre imię, którego należy bronić, i monopol na prawdę, którą sam Bóg przekazał, dotyczą tak całego Kościoła, jak i poszczególnych jego urzędników.

Dokładne przesłedzenie 450-stronicowego dokumentu pozwala zobaczyć, na jak nieprecyzyjnych, niejasnych i korupcyjnych zasadach opiera się system karier w Kościele. Jak hierarchiczna i autorytarna struktura władzy sprzyja hipokryzji, zakłamaniu, serwilizmowi, klientelizmowi. Jak wciąga i brudzi tych, którzy – nawet jeśli początkowo powodowani szczytnymi pobudkami – stają się jej częścią. Jak odbiera poczucie odpowiedzialności i chęć dążenia do prawdy.

Rzeczywiście, jeszcze 20 lat mogliśmy o tym nie wiedzieć. Dziś jednak ten zmurszały system opisują media, do których każdy ma równy dostęp (wiele czynów McCarricka ujrzało światło dzienne dzięki informacjom na blogach i stronach internetowych pojedynczych osób). Od środka natomiast rozbija go, systematycznie i po kawałku, jeden nieprzewidywalny człowiek, który w instytucji opartej na zonglowaniu pojęciami i świętej dyskrecji głosi, że trzeba wdrażać jasne procedury i być transparentnym. © EDWARD AUGUSTYN

Pozew zbiorowy

SEBASTIAN DUDA

Kościół w Polsce przeżywa trzęsienie ziemi. Trudno powiedzieć, w jakiej formie i z jaką liczbą wiernych przetrwa.

BARDZO MOŻLIWE, ŻE OBECNY ROK zostanie kiedyś uznany za przełomowy w historii Kościoła katolickiego w Polsce. Autorytet instytucji przez wieki kształtującej nasze życie publiczne i duchowe błyskawicznie obraca się w ruinę. Po masowych ulicznych protestach przeciwstawiających się orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego, łamiącego wieloletni „kompromis aborcyjny”, okazuje się, że duża część młodego pokolenia nie chce mieć z katolicyzmem nic wspólnego. Niemal dokładnie w tym samym momencie dwóch kardynałów traci szacunek wielu Polaków, a uderzenie w nich rykoszetem trafia w postać dotąd nietykalną: Jana Pawła II. Kościelny krajobraz to krajobraz moralnego spustoszenia.

Jesień hierarchii

Opublikowany 6 listopada komunikat nuncjatury brzmiał sucho. Poinformowano w nim, że 97-letni kard. Henryk Gulbinowicz ma zakaz uczestnictwa w celebracjach i spotkaniach publicznych oraz używania insygniów biskupich, a także traci „prawo do nabożeństwa pogrzebowego w katedrze i pochówku w katedrze”. Byłemu metropolicie wrocławskiemu (zmarł 10 dni później, 16 listopada) nakazano wpłacenie „pewnej sumy pieniędzy jako darowizny na działalność Fundacji św. Józefa powołanej przez Konferencję Episkopatu Polski w celu wspierania działań Kościoła na rzecz ofiar nadużyć seksualnych, pomocy psychologicznej oraz prewencji i kształcenia osób odpowiedzialnych za ochronę



Kard. Stanisław Dziwisz podczas konferencji prasowej przed konsekracją kościoła św. Jana Pawła II na krakowskich Białych Morzach, październik 2016 r.

nieletnich”. Podobna degradacja nie ma precedensu w najnowszej historii Kościoła w Polsce.

Październik i listopad 2020 r. to również czas katastrofy wizerunkowej kard. Stanisława Dziwisza. Najpierw TVN wyemitował wywiad, jakiego osobisty sekretarz Jana Pawła II udzielił Piotrowi Kraśce. Pytania dziennikarza dotyczyły m.in. braku reakcji byłego metropolity krakowskiego na przekazaną mu przed laty informację o wielokrotnych gwałtach popełnionych w latach 80. przez ks. Jana Wodniaka – dawnego sekretarza kard. Macharskiego – na małoletnim wówczas Januszu Szymiku oraz tuszowania afer seksualnych i finansowych założyciela Legionu Chrystusa Maciela Degollado. Kraśko zastanawiał się, czy najbliższy współpracownik Jana Pawła II istotnie mógł o tych wszystkich sprawach nie słyszeć. Odpowiedzi kardynała były kuriozalne: zasłaniał się niewiedzą, niepamięcią czy brakiem odpowiednich prerogatyw do rozstrzygania w przypadkach nieleżących w jego kompetencji, ale trudno było nie odnieść wrażenia, że oszczędnie gospodaruje prawdą.

9 listopada w TVN 24 obejrzelśmy z kolei reportaż Marcina Gutowskiego zatytułowany „Don Stanisław”. Druga twarz kardynała Dziwisza”. I tym razem okazało się, że kardynał unika konfrontacji z niewygodnymi dla siebie kwestiami. Jego linia obrony to nie tylko zasłona (rzekomej)

niepamięci, ale i nieustanne odwoływanie się do własnego 39-letniego trwania „w pokorze” przy świętym papieżu dla dobra Kościoła i Polski. Choć przecież w reportażu pojawiły się dobrze udokumentowane sugestie, że podczas pracy w Watykanie Dziwisz przyjmował raczej mało pokorną rolę „wicepapieża”: wpływał na obsadę kluczowych stanowisk w Kościele, cenzurował informacje docierające do Jana Pawła II (szczególnie w ostatnich latach pontyfikatu), tuszował rozmaite afery, a także zawierał bliskie znajomości z osobami, niekoniecznie wykazującymi się wysokimi kwalifikacjami moralnymi. Jeden z zarzutów wobec kardynała to przyjmowanie pieniędzy za możliwość udziału w prywatnych mszach celebrowanych przez Jana Pawła II.

Dzień po emisji „Don Stanisław” okazało się także, że nazwisko byłego metropolity krakowskiego 45 razy pojawia się w opublikowanym przez Sekretariat Stanu Stolicy Apostolskiej raporcie na temat pozbawionego przed dwoma laty godności kardynalskiej, a następnie wydalonego ze stanu kapłańskiego Theodore’a McCarricka, byłego metropolity Waszyngtonu, który okazał się jednym z największych drapieżców seksualnych w amerykańskim Kościele. Z dokumentu [o którym więcej pisze na poprzednich stronach Edward Augustyn – red.] można wysnuć wnioski, że świadom padających wobec McCarricka zarzutów osobisty se-

kretarz Jana Pawła II przyczynił się do jego nominacji na arcybiskupią stolicę w Waszyngtonie.

Kard. Dziwisz zapowiedział, że będzie bronił swego dobrego imienia. Chce powołania niezależnej komisji, która zbadałaby zarzuty. Nie da się jednak zaprzeczyć, że informacje na jego temat kładą się cieniem na wizerunku Jana Pawła II.

Jesień patriarchy

Kard. Dziwisz był bowiem od lat strażnikiem spuścizny po zmarłym papieżu. I skoro jego autorytet z każdym dniem okazuje się coraz bardziej iluzoryczny, trzeba zadać pytanie, jak wpływa to na pamięć i postrzeganie Jana Pawła II. Kwestia ta jest szczególnie ważna dla Kościoła w Polsce, gdzie od lat najważniejsze strategie duszpasterskie budowane były na kulcie świętego z Wadowic. Episkopat, jak pamiętamy, nie przejmował się zbyt łatwo utyskiwaniami, że to kult powierzchowny, często graniczący z groteską, o czym świadczyły nie tylko szpetne pomniki, męczące akademie ku czci czy powtarzana w nieskończoność opowieść o kremówkach. Wiernopoddańcze deklaracje o straży nad dziedzictwem Jana Pawła II nie przełożyły się na pogłębione zainteresowanie jego myślą. Cóż z tego, że na lekcjach religii od przedszkola po klasy maturalne o Janie Pawle II mówiono również często jak o Jezusie?

Skutki mogliśmy oglądać niedawno na ulicach. Dla wielu młodych postać polskiego papieża jest albo śmieszna, albo uosabia najgorsze cechy hierarchicznego Kościoła. Ci, którzy mimo wszystko próbują odnosić się do niej z szacunkiem, otwarcie przyznają, że nauczanie Jana Pawła II jest dla nich niestrawne ze względu na hermetyczny język i zmianę historyczno-kulturowych okoliczności. Czynienie ze świętego z Wadowic głównego bohatera w przekazie chrześcijańskiej wiary to teologiczne nieporozumienie i duszpasterska ślepa uliczka.

Problemem jest także odpowiedź na pytanie, dlaczego papież promował do najwyższych godności w Kościele ludzi tak zdeprawowanych jak McCarrick. Czy zawiniło tu „klębowisko żmij” w jego bezpośrednim otoczeniu oraz ekspozytura tego „klębowiska” w różnych krajach? A jeśli tak, to czy jednym z głównych współtwórców systemu tuszowania rozmaitych skandali (nie tylko seksualnych) nie był właśnie sekretarz Jana Pawła II? ➔

→ Wielu próbuje usprawiedliwić brak koniecznych działań ze strony papieża albo przywiązaniem do celów „wyższych” niż kontrola struktur, albo nadmierną naiwnością i zaufaniem pokładanym w bliskich współpracownikach, albo zniedołężnieniem i chorobą, które uniemożliwiły mu jasny ogląd sytuacji w ostatnich latach życia. Są jednak też tacy, którzy wskazują na nieuleczalną chorobę Kościoła. Jego funkcjonariusze – nawet przy najlepszych intencjach – poddają się jałowemu biegowi trwania, w który wpisana jest zgoda na istnienie systemowej deprawacji (hasło „święty Kościół grzesznych ludzi” to teologicznie słuszne, ale w praktyce pozorne jej wyjaśnienie). Być może wszystkie te tłumaczenia są – przynajmniej częściowo – prawdziwe. Czy jednak są w stanie zwolnić Jana Pawła II z odpowiedzialności za tak dramatyczne skutki zarządzania instytucją w jego imieniu?

Większość polskich biskupów przyznaje się do głębokich więzi – osobistych bądź duchowych – ze św. Janem Pawłem II. Episkopat nieustannie powołuje się na jego przykład. W krajobrazie moralnego spustoszenia tego typu liczmany oddziaływać będą coraz słabiej. Abp Gądecki na publikację watykańskiego raportu w sprawie McCarricka zareagował wypowiedzią o „cynicznym wykorzystaniu Jana Pawła II” przez byłego metropolitę Waszyngtonu. Dla wielu to nie jest przekonujące wyjaśnienie, ale raczej dowód na intelektualną i duchową bezradność nie tylko metropolity poznańskiego, ale i wielkiej części hierarchicznego Kościoła w Polsce.

Zwłaszcza że problemy dotyczą nie tylko dalekiej przeszłości i odległego Watykanu.

Nie mów nikomu

Opublikowana w „L'Osservatore Romano” 7 listopada notatka jednoznacznie wskazuje na treść wysuwanych pod adresem kard. Gulbinowicza oskarżeń: watykański dziennik podał, że chodziło o przypadki molestowania, akty homoseksualne oraz współpracę z komunistyczną bezpieką. W polskim Kościele mówiło się o nich od lat, jednak wobec braku twardych dowodów i relacji osób pokrzywdzonych wszystko pozostawało na poziomie plotki.

Sytuacja zmieniła się w zeszłym roku. Po emisji filmu dokumentalnego braci

Sekielskich „Tylko nie mów nikomu” o wykorzystywaniu seksualnym małoletnich przez katolickich duchownych poeta posługujący się pseudonimem Karol Chum oświadczył, że w 1990 r. jako 15-letni uczeń Niższego Seminarium Duchownego w Legnicy był molestowany przez kardynała. Pewnego dnia wysłano go z korespondencją do wrocławskiej kurii. O tym, co się wtedy stało, opowiedział „Gazecie Wyborczej”: „Poproszono mnie, żebym został na noc. Miałem kłaść się spać, kiedy do mojego pokoju bez pukania wszedł kard. Henryk Gulbinowicz. Był ubrany po cywilnemu, ale od razu go poznałem. Gdy jechałem do kurii, marzyłem, żeby go spotkać, chociażby zobaczyć. Kardynał był legendą. Jak wszedł do pokoju, szybko zakryłem się kołdrą, bo miałem na sobie tylko majtki. On spytał, jak mi się podoba w seminarium, czy mam kłopoty z nauką, a potem przysiadł się do mnie, włożył rękę pod kołdrę i zaczął masować mi penis”.

Prokuratura Okręgowa we Wrocławiu odmówiła wszczęcia śledztwa w tej sprawie ze względu na przedawnienie, ale na tym się nie skończyło: w czerwcu na łamach czasopisma „Glaukopis” prof. Rafał Łatka z Biura Badań Historycznych IPN opublikował artykuł „Rozmowy operacyjne funkcjonariuszy SB z kardynałem Henrykiem Gulbinowiczem (1969–1985)”. Dowodził w nim, że przez wiele lat hierarcha spotykał się z wysokimi funkcjonariuszami Departamentu IV MSW. Mówił m.in. o wewnętrznych konfliktach w episkopacie, a swoje kontakty utrzymywał – w przeciwieństwie do innych hierarchów – w tajemnicy. Prof. Łatka zasugerował, że jednym z powodów podjęcia przez Gulbinowicza współpracy z bezpieką była obawa przed publicznym ujawnieniem własnego „niemoralnego życia”. Komuniści niewątpliwie wiedzieli, że ks. Gulbinowicz podczas pracy w Wyższym Seminarium Duchownym „Hosianum” w Olsztynie (w latach 1963–70 był jego rektorem) i jako biskup administrator apostolski w Białymstoku (1970–76) miał kontakty seksualne z młodymi, choć już pełnoletnimi mężczyznami.

Dotąd niektórzy mogli widzieć w kontaktach Gulbinowicza z SB rodzaj inteligentnej gry. Dziś mało kto byłby w stanie dać wiarę takiemu tłumaczeniu. A za kilka dni ukaże się książka „»Dialog na-

leży kontynuować...«. Rozmowy operacyjne Służby Bezpieczeństwa z ks. Henrykiem Gulbinowiczem 1969–1985. Studium przypadku”, której prof. Łatka – wraz z prof. Filipem Musiałem – jest współautorem. Teza publikacji jest jasna: Henryk Gulbinowicz został metropolitą wrocławskim dzięki kontaktom z bezpieką. Komuniści uznali, że nie będzie dostatecznie lojalny wobec prymasa Wyszyńskiego.

Układ wrocławski

Gulbinowicz był przez wiele lat bardzo ważną postacią Kościoła. Miał m.in. duży wpływ na nominacje biskupie, a do grona jego najbliższych współpracowników należeli inni kontrowersyjni duchowni. Jednym z nich był Leszek Sławoj Głódź, który – jako młody ksiądz w Białymstoku – osobiście podwoził bp. Gulbinowicza na spotkania w Departamencie IV MSW i w esbeckich notatkach jest określany jako „zaufany” swojego pryncypała. Wdzięczny przełożony skutecznie promował kolejne awanse gdańskiego arcybiskupa seniora, który również ma dziś kłopoty: 4 listopada – na dwa dni przed publikacją komunikatu w sprawie kard. Gulbinowicza – nuncjatura poinformowała, że kard. Kazimierz Nycz został „upoważniony do przeprowadzenia dochodzenia w sprawie zasygnalizowanych zaniedbań arcybiskupa Sławoja Leszka Głóźdza w prowadzenie spraw o nadużycie seksualne na szkodę osób małoletnich ze strony niektórych duchownych archidiecezji gdańskiej”.

Za rządów kard. Gulbinowicza w archidiecezji wrocławskiej biskupami pomocniczymi zostali jego wychowankowie: Jan Tyrawa (obecnie biskup ordynariusz bydgoski) oraz Edward Janiak (do niedawna biskup kaliski). Obaj duchowni to negatywni bohaterowie drugiego filmu braci Sekielskich, „Zabawa w chowanego”. Zarzucono im tuszowanie afer seksualnych z udziałem duchownych. Tyrawa miał przyjąć do swej diecezji (za poręczeniem Gulbinowicza zresztą) księdza z archidiecezji wrocławskiej, o którym doskonale wiadomo, że wielokrotnie dopuszczał się molestowania nieletnich. Oskarżenia wobec Janiaka okazały się jeszcze poważniejsze i zakończyły się rezygnacją z urzędu biskupa kaliskiego. Po przeprowadzonej naprędce wizytacji

apostolskiej zamknięto czasowo kaliskie seminarium.

W kręgu bliskich znajomych kard. Gulbinowicza znajdował się również ks. Józef Kowalczyk – po upadku komunizmu nuncjusz papieski w Warszawie, a następnie metropolita gnieźnieński i prymas Polski. Obaj duchowni znali się z czasów, gdy w olsztyńskim seminarium Kowalczyk był klerykiem, a Gulbinowicz wykładowcą. Dziś już wiadomo, że nuncjusz także tuszował afery seksualne z udziałem duchownych (odegrał np. negatywną rolę w sprawie abp. Juliusza Paetza). A był przy tym osobą niezwykle wpływową – to on zbierał kandydatury na biskupie urzędy i wysyłał do Watykanu.

Nic dziwnego, że ów krąg ścisłych znajomych kard. Gulbinowicza niektórzy publicyści nazywają „układem wrocławskim” (obok wspomnianych hierarchów miał do niego należeć następca skompromitowanego kardynała w archidiecezji, abp Marian Gołębiowski, któremu zarzuca się tuszowanie afer seksualnych duchowieństwa w czasach, gdy był jeszcze ordynariuszem koszalińsko-kołobrzeskim). Obecnie układ ten jest w rozsypce. Trudno jednak uwierzyć, że była to jedyna tego rodzaju grupa w polskim episkopacie. Z poufnych informacji, jakie docierają z Watykanu, wynika, że w przypadku co najmniej kilkunastu byłych i obecnych ordynariuszy prowadzone są dochodzenia odnośnie do afer seksualnych z udziałem duchownych.

W polskim Kościele wybuchnie jeszcze niejedna bomba.

W działaniach
Stolicy Apostolskiej
widać determinację.

Konkubinat z PiS nie pomaga
w odzyskaniu wiarygodności.

Idzie fala

Wygląda więc na to, że w polskim Kościele wybuchnie jeszcze niejedna bomba. W działaniach Stolicy Apostolskiej widać determinację. Konkubinat Kościoła z rządzącą w Polsce partią nie pomaga w odzyskaniu wiarygodności. Procesy sekularyzacyjne postępują błyskawicznie (czemu sprzyja czas pandemii, gdy w celebracjach liturgicznych uczestniczy z konieczności znacznie mniejsza liczba wiernych), a kompromitacji wielu biskupów i kapłanów będących największymi beneficjentami chorego systemu kościelnego nie da się powstrzymać. Ruszyła fala pozwów o odszkodowanie za krzywdy popełnione przez duchownych. Reakcją mogą być próby materialnego zabezpieczenia kleru i pokusy, by głoszenie Ewangelii odłożyć na bliżej nieokreślony „lepszy moment”. Dotychczasowe strate-

gie duszpasterskie poniosły przecież klęskę, o czym najdobitniej świadczy odchodzenie młodych z Kościoła.

Upadek polskich kardynałów to jednak także symptom poważniejszej choroby. W Kościele powszechnym rośnie świadomość, że średniowieczny model papieskiej monarchii absolutnej – powielany w mniejszej skali w diecezjach całego świata – kompletnie się wyczerpał. Przestępstwa seksualne, korupcja, personalne intrygi w instytucji mieniającej się znakiem Boga dla ludzkości, w erze globalizacji i rewolucji komunikacyjnej nie dają się ukryć w zamkniętych przed postronnymi kościelnymi komnatami. Świadomość, że funkcjonująca od wieków struktura władzy i hierarchii nie jest święta, staje się udziałem coraz większej liczby wiernych. Oni coraz częściej nie wierzą już, że lekarstwem może być tylko transparentność w ramach klerykalnego systemu czy kolejne komisje duchownych zajmujące się wyjaśnianiem różnorakich afer. Powierzchnowe reformy struktury niewiele zmieniają, nawet jeśli przerażone uwiadomienie swojej pozycji duchowieństwo (ów lęk na pewno nie dotyczy wszystkich prominentnych księży czy księżątek Kościoła) dawać będzie coraz więcej koncesji świeckim.

O Kościele trzeba zacząć myśleć zupełnie na nowo, jeśli istotnie ma on być sakramentem Boga dla świata. Do tego jednak potrzebna jest refleksja nie tylko o skandalach, ale o sprawach w chrześcijaństwie najbardziej podstawowych.

© SEBASTIAN DUDA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rąbi, Marcin Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczyńska (kierownik), Anna Dziurdzikowska,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska,
Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska,
Piotr Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata,
Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech
Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz
Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Magdalena
Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał
P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina
Przewrocza-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szmer-Brysz, Joachim Trenkner

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczyńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA



S-NET zapewnia
wsparcie technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie
drukuję „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAJA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Dzietne i niedzietne



ZIEMIA IZRAELA, ZE WZGLĘDU NA SZCZEGÓLNE położenie geograficzne, była po wielokroć nawiedzana przez wojny, plagi głodu i epidemie. Czyż w dziesiętkowanej populacji oczekiwanie, by kobiety miały liczne potomstwo, nie było wyjątkowo dojmujące? Ale spośród czterech pramatek oraz praojcowych żon drugorzędnych – Hagar, Bilhy i Zilpy – jedynie Lea miała więcej niż dwójkę dzieci.

Jak mówi Pismo, Najwyższy widzi, że Lea – w przeciwieństwie do swojej siostry Racheli – nie jest przez Jakuba kochana, i dlatego „otwiera jej łono”. Inna jest pozycja kobiety, która urodziła syna – dzieci dają jej wyższy od dotychczasowego status. Znamienne jest też stwierdzenie Racheli po urodzeniu Józefa, która ma poczucie, że teraz Bóg zdjął z niej hańbę. Bezplodność staje się udziałem Sary, Rebeki i Racheli na długie lata. Rabini starają się zrozumieć przyczynę takiego stanu rzeczy i dochodzą do przeróżnych wniosków.

Najbardziej budujący jest ten, że pramatki były bezplodne, ponieważ Najwyższy pragnął ich modlitw. Uzasadnienie mniej wzniosłe dostrzega deformację i brak powabu w poporodowym kobiecym ciele: dzięki bezplodności pramatek ich mężowie mogli się nimi nacieszyć, a Sara do dziećmi wychodziła tak samo jak pod ślubnym baldachimem.

Talmud stawia mężczyznę, który nie spłodził potomstwa, na równi z żebrakiem, trędowatym i niewidomym. Przykazanie posiadania potomstwa dotyczy tylko mężczyzny (ciekawie, jak ma dokonać tego sam...). Spełnił on swój obowiązek, gdy ma według jednej opinii dwóch synów, a według konkurencyjnej – syna i córkę.

Jeśli przez dziesięć lat niezakłóconego pożycia nie pojawi się potomstwo, i żona w międzyczasie nie poroni, mężczyzna ma dalej się starać. W praktyce od ponad tysiąca lat, w ciągu których Żydom aszkenazyjskim zakazane jest posiadanie więcej niż jednej żony, oznacza to konieczność rozwodu. Taka rozwódka może jeszcze raz wyjść za mąż i spróbować z jeszcze jednym mężczyzną – pojawia się więc świadomość, że „wina” leży niekoniecznie po jej stronie.

W tradycji funkcjonuje historia o szczęśliwym bezdzietnym małżeństwie. Para miała się już rozwodzić i mąż powiedział żonie, żeby wzięła coś cennego z jego domu i wróciła do domu ojca. Żona upiła w sztok męża i zabrała go – nieświadomego – do domu ojca. I tu nastąpił *happy end*: poruszony czynem kobiety, pomodlił się za nich słynny rabin i jednak potomstwo się pojawiło.

Tak że nadzieja zawsze jest, a historie nieplodnych par pramatek i praojców stanowią niewyczerpane źródło pociechy. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Śmierć – czyje to dzieło?



JEŚLI CHODZI O BOGA, TO JEDNEGO MOŻEMY być pewni. O Jego miłość nie musimy się starać. „Tak mówi Pan Bóg: »Ja sam będę się troszczył o moje owce i sam będę ich doglądał. Ja sam będę paść moje owce. Ja też będę je prowadził na legowisko – wyrocznia Pana Boga. Będę szukał zaginionej, zabłąkaną zawrócę, skaleczoną opatrzę, chorej przywrócę siły, tłustej i mocnej będę strzegł«” – czytamy w prorocztwie Ezechiela.

Co więcej, nie ma też potrzeby przeproszania Boga za grzechy. Z czego nie wynika, że możemy niechby tylko na chwilę zapomnieć, iż jesteśmy grzesznikami, i że nie potrzebujemy przed zgromadzonym w kościele Kościołem wyznawać: „Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina!”. Ale spowiedź nie musi się zaczynać od „Obraziłem Boga następującymi grzechami”, a msza od „Przepróśmy Boga za nasze grzechy”, skoro w Mszale stoi napisane: „*Fratres, agnoscamus peccata nostra, ut apti simus ad sacra mysteria celebranda*”. Czyli: „Uznajmy przed Bogiem, że jesteśmy grzeszni, abyśmy mogli z czystym sercem złożyć Najświętszą Ofiarę”. Otóż pierwsza połowa zdania została przełożona poprawnie, ale druga? Przecież w łacińskim tekście, biorąc dosłownie, jest: „abyśmy byli odpowiednio przygotowani do sprawowania świętych misterii”. Tłumacz, przekładając *mysteria* na ofiarę, zawężił znaczenie owych misterii, jako że odnoszą się one do pozostałych sakramentów.

A wracając do owego: „Przepróśmy Boga za nasze grzechy”. Jeśli już ktoś ma przestać się gniewać, to my na Boga, a nie Bóg na nas. I jeśli ktoś z kimś ma się przeprosić, to my z Bogiem, a nie Bóg z nami. Jeśli więc mamy prosić Boga o przebaczenie, to najlepiej o to, by pomógł nam uwierzyć, że już je otrzymaliśmy, zanim o to poprosiliśmy, jako że Bóg „gniewem się nie unosi” i „złego nie pamięta”. A jednak, skoro wierzymy w niczym nieuwarunkowaną miłość Boga do ludzi i całego stworzenia, męczy nas bezwzględna konieczność śmierci, a co za tym idzie, perspektywa sądu. Jak to wszystko pogodzić z miłością Boga nie tylko do ludzi, ale całego stworzenia, przecież też śmiertelnego?

Gustave Martelet w książce „Odnalezione życie wieczne” radzi czytelnikom: „Wobec takiego nieszczęścia [jakim jest śmierć] nie recytujmy zbyt szybko oklepanego »refrenu« na temat grzechu pierwotnego, aby wytłumaczyć to, że umrzemy. Ponieważ fakt śmierci (...) nie pochodzi z grzechu: jest prawem natury, które dotyczy gwiazd, wszystkich stworzeń i ludzi”. Na innym miejscu dopowiada, że „nie ma żadnego życia, które mogłoby istnieć bez śmierci”. W takim przypadku pozostaje człowiekowi jedno: zgodzić się na śmierć, jednocześnie wierząc, że skoro i ona jest dziełem Boga, to z pewnością nie wyrządzi nam krzywdy. Przecież Bóg jest Panem życia. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Bezinteresowność

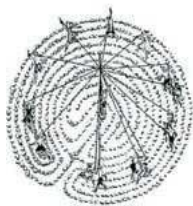
Cały wszechświat
uczestniczy w tańcu. Amen.
Kto nie tańczy, nie wie,
co się dzieje.

HYMN CHRYSTUSA TAŃCZĄCEGO



*I pojąłem Umysł,
który nie może być pojęty,
gdyż trwa w sobie.
I ucieszyłem się, Ojczy,
bo zobaczyłem
Twój uśmiech.
Świat się ucieszył
i nie ma stworzenia,
które byłoby pozbawione
Twego życia.*

O OGDOADZIE I ENNEADZIE



Wybrał PIOTR SIKORA



„KTO Z WAS, MAJĄC sługę, który orze czy pasie, powie mu, gdy on wróci z pola: »Pójdź zaraz i siądź do stołu«? Czy nie powie mu raczej: »Przygotuj mi wiesz, przepasz się i usługuj mi, aż zjem i napiję się, a potem ty będziesz jadł i pił«? Czy okazuje wdzięczność słudze za to, że wykonał to, co mu polecono? Tak i wy, gdy uczynicie wszystko, co wam polecono, mówcie: »Słudzy nie-użyteczni jesteście; wykonaliśmy to, co powinniśmy wykonać« – te słowa Jezusa (Łk 17, 7-10) usłyszeliśmy niedawno w liturgii.

Kluczem do ich zrozumienia jest pojęte z racji redakcyjnych słowo „jednak” – pierwsze zdanie owej perykopy brzmi dokładnie: „Kto jednak z was, mając sługę...”. Owo „jednak” odsyła do poprzedniego wersetu (Łk 17, 6), który brzmi: „Gdybyście mieli wiarę jak ziarno gorczycy, powiedzielibyście tej morwie: »Wyrywaj się z korzeniem i przesadz się w morze!«, a byłaby wam posłuszna”. Wyrwanie morwy z korzeniami i zasadzenie jej w morzu to podwójny obraz niemożliwości – z racji niezwykle rozbudowanego systemu korzeniowego morwy. I takie też – absolutnie niemożliwe do wykonania – wydaje się przytoczone na wstępie polecenie Jezusa. Nieprawdaż? Pracujesz, człowiecze, cały dzień. I kiedy wracasz wreszcie do domu – wykończony i głodny – z nadzieją na choćby moment wytchnienia, słyszysz:

przyrządź kolację i podaj mi ją do stołu. Poczekaj, to jeszcze nie koniec próby. Po tym wszystkim usłyszysz, że jesteś „sługą nie-użytecznym” – to znaczy dłużej już nie-potrzebnym (por. Mt 25, 30: „sługę nie-użytecznego wyrzucie na zewnątrz”). To więcej niż niesprawiedliwe. Znacze kogo-kolwiek, kto by tak postępował?

Jezus! Kiedy „pod wieczór” swej publicznej działalności wszedł na Ostatnią Wieczerzę z uczniami – nie czekał, aż zostanie obsłużony, lecz „wstał od stołu”, przepasał się i jak sługa wymył im wszystkim nogi. Następnego zaś dnia został rzeczywiście „wyrzucony na zewnątrz” (na śmierć poza murami Jeruzolimy) – już dłużej nie-potrzebny nikomu z tych, których w poprzednich miesiącach nakarmił, uzdrowił, rozgrzeszył, a nawet wskrzesił. Umarł bez słowa skargi na „niesprawiedliwość”.

Przeraża was to czy pociąga? Przeraża aż taka niesprawiedliwość czy pociąga aż taka bezinteresowność? Jeśli pociąga – to kluczem, by tego doświadczyć (niezależnie, jak dalece wydaje się nam to niemożliwe), jest wiara jak ziarno gorczycy. Nie światopogląd czy system moralny, ale żywa relacja z Jezusem. Potrzeba bycia z Nim – niekoniecznie jakiegoś nieustannego czy niebywale zachłannego z Jego strony. Jak ziarno gorczycy. Dwa czy dwadzieścia zdań z Ewangelii przeczytanych w ciągu dnia? Jeden czy pięć aktów strze-listych – choćby w formie Modlitwy Jezusowej: „Jezu, Synu Boga żywego, miej litość nad mną, grzesznikiem”? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (22 – 29 XI)

34. niedziela zwykła – uroczystość
Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata:
Ez 34, 11-12. 15-17; Ps 23;
1 Kor 15, 20-26. 28; Mt 25, 31-46;
Poniedziałek: Ap 14, 1-3. 4b-5; Ps 24; Łk 21, 1-4;
Wtorek: Ap 14, 14-20; Ps 96; Łk 21, 5-11;
Środa: Ap 15, 1-4; Ps 98; Łk 21, 12-19;

Czwartek: Ap 18, 1-2. 21-23; 19, 1-3. 9a;
Ps 100; Łk 21, 20-28;
Piątek: Ap 20, 1-4. 11 – 21, 2; Ps 84;
Łk 21, 29-33;
Sobota: Ap 22, 1-7; Ps 95; Łk 21, 34-36;
1. niedziela adwentu: Iz 63, 16b-17. 19b;
64, 2b-7; Ps 80; 1 Kor 1, 3-9; Mk 13, 33-37.

INNA IV RP

Władza straciła zdolność definiowania celów istotnych dla całej wspólnoty.
Opozycja musi mieć horyzont wykraczający poza wygranie wyborów.
Czas pomyśleć o zmianie konstytucji.

RAFAŁ MATYJA

GNIEW NIE JEST WYSTARCZAJĄCĄ PRZESŁANKĄ zmiany politycznej, choć często jest jej napędem. Połączony z rozpaczą podpowiada jedynie zemstę. Połączony z nadzieją może być źródłem naprawy sytuacji. Naprawy trudnej, bo trzeba ją będzie – to już jasne – dokonywać wbrew rządzącej dziś partii oraz jej sojusznikom z episkopatu i Radia Maryja. Trudnej także dlatego, że PiS zbudował silną, amoralną elitę partyjno-państwową, która będzie bronić istniejącego porządku, bo poza nim jej wpływy będą znikome.

Moment konstytucyjny

Nie napisałbym tego ostatniego zdania, gdyby nie seria absurdalnych z punktu widzenia obowiązującego porządku konstytucyjnego i zdrowego rozsądku wypowiedzi wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego i całkowity brak reakcji racjonalnie myślących ludzi w jego własnej partii. Wicepremier odpowiedzialny za bezpieczeństwo dysponuje pełnią środków niezbędnych do tego, by chronić budynki kościelne, jednak mobilizuje do tego swoją partię i jej zwolenników, ryzykując wzmocnienie napięcia i konfrontację polityczną na ulicach. Jakby tego było mało: ten sam wicepremier nazywa z trybuny sejmowej posłów opozycji przestępcami. Wszystko to dzieje się w warunkach, w których najważniejszym problemem państwa jest walka

z koronawirusem i niezbędne do tego zaufanie, łączące obywateli o różnych poglądach politycznych.

Po wydarzeniach ostatnich tygodni ta perspektywa jest dalsza niż kiedykolwiek w historii III RP. To niezwykle istotny moment dla opozycji. Nie może ona poprzestać na konstataowaniu i wykorzystywaniu słabości rządzących, licząc na to, że z tej konfrontacji wyjdą na tyle osłabieni, iż nie będą w stanie wygrać już żadnych wyborów. W świetle kryzysu, w którym znalazło się państwo – to może być za mało. Przez trzy letnie miesiące obserwowaliśmy bezzadność władzy wobec nadciągającego zagrożenia epidemicznego, a zarazem jej zadziwiającą koncentrację na sprawach wobec tego wyzwania drugorzędnych.

To także dlatego – a nie wyłącznie ze względu na hasła ogromnych manifestacji, które przeszły przez kraj – potrzebujemy pozytywnego horyzontu, wykraczającego poza dymisję rządu czy nawet zmianę rządzącej krajem formacji. Horyzontu, który wyznacza jedynie zmiana konstytucji.

Wśród trzech podstawowych przesłanek uruchomienia procesu konstytucyjnego na pierwszym jest potrzeba przywrócenia instytucjom państwa sprawności i koniecznego do funkcjonowania minimum zaufania. Drugą przesłanką są źródła gwałtownego obywatelskiego protestu, jakiego jesteśmy świadkami po



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

22 października. Nie tylko ich główne hasła, ale też czynniki, które nadały im tak szeroki zasięg i gwałtowny charakter. Trzecim elementem jest wzgląd na europejskie aspiracje Polaków, przeciwko którym rząd i jego propagandowa machina wystąpiły nie wprost, ale za to konsekwentnie. Wpisując się – bez wzglądu na intencje – w propagandową i polityczną ofensywę Kremla wymierzoną w stabilność Unii Europejskiej.

Te trzy przesłanki nie wyczerpują oczywiście *ratio legis* nowej konstytucji. Można je rozszerzyć o ciekawe propozycje stowarzyszenia Iustitia, dotyczące powołania Trybunału Rzeczypospolitej, kwestii przywrócenia praworządności czy zasadne postulaty dotyczące ustrojowego wzmocnienia pozycji samorządu terytorialnego i zablokowania perspektywy pełzającej centralizacji państwa.



Tworzenie tych projektów musi przebiegać w warunkach wyrazistej zmiany pokoleniowej i traktować na serio parytet płci. Zasadna przez lata reguła, że wiek sprzyja kumulacji doświadczenia potrzebnego przy stanowieniu prawa, dziś nie ma racji bytu. Liczne wystąpienia publiczne pokazują, że ludzie, którzy aktywnie tworzyli politykę III RP, nie tylko nie rozumieją 30- i 40-latków, ale także zmian, którym ulega współczesny świat – w wymiarze technologicznym, kulturowym czy intelektualnym.

Podobnie rzecz ma się z zasadą równej reprezentacji płci. Nawet jeżeli, wskutek długiego trwania męskiej przewagi, większa liczba ekspertów to mężczyźni, w tym procesie nie warto bawić się w systemy kwotowe. Wszystkie organy decydujące o kształcie nowego ustroju powinny odzwierciedlać zasadę równości

płci, jeżeli naruszana, to w przeciwną niż dotąd stronę. Jeżeli tego nie zrobimy, zafundujemy nowym porządkom błąd założycielski.

Minimum współpracy

Zarzut wobec partii rządzącej nie polega na tym, że przez pięć lat nie naprawiła w państwie żadnego mechanizmu, który mógłby posłużyć w walce z epidemią. Nie taki był cel PiS, a jego liderzy nigdy nie kryli się z państwowym nihilizmem. Była to polityka uprawiana w interesie wąsko rozumianego „obozu patriotycznego”. Zmarnowaliśmy wysiłek trzech wiosennych miesięcy, w imię zwiększania szans na reelekcję Andrzeja Dudy, a potem czekania na rozstrzygnięcia wewnętrznych napięć w obozie władzy.

Przesłanka epidemiczna oparta jest na fakcie, że możliwe okazały się rządy

otwarcie ignorujące znane już zagrożenie. Po pierwszej, niezwykle kosztownej społecznie wiosennej fali pandemii nie podjęto przygotowań do bardzo prawdopodobnej fali jesiennej. Co więcej: prowadzono politykę oderwaną od racjonalnych przesłanek, zezwalając na organizację wesel nawet po tym, jak okazały się one jedną z głównych okazji do zakażeń. Nawet znając pogarszające się statystyki, rząd wprowadzający wszystkie restrykcje z dnia na dzień odwlekał ograniczenie liczby uczestników wesel, a gdy już je wprowadził – to wraz z bezprecedensowym *vacatio legis*.

Jak wpisać te doświadczenia do nowej konstytucji? Zaczniemy od tego, że władze powinny być zobligowane do przestrzegania innych standardów przejrzystości działań i dostępu do wiedzy. Także tej eksperckiej. Co nie mniej istotne: ➔

→ potraktowanie wiedzy zbieranej przez państwo jako dobra publicznego powinno dotyczyć nie tylko dostępu ze strony obywateli, lecz także obowiązku jej wymiany między instytucjami rządowymi a samorządowymi.

Po drugie, kluczowe jest określenie nie tylko praw opozycji w parlamencie, ale także minimalnych warunków współpracy w warunkach kryzysu – wszystko jedno, czy międzynarodowego, związanego z działaniem sił natury czy z funkcjonowaniem gospodarki. Dziś wszystko opiera się na dobrej woli rządzących. A o tym, ile warta jest ta rachuba, przekonaliśmy się przy okazji brawurowej próby przeprowadzenia wyborów prezydenckich z pominięciem PKW. To samo dotyczy polityki restrykcji, wprowadzanych nie tylko bez rozmów z opozycją czy podmiotami samorządowymi, ale w sposób szalenie uznaniowy i często niepoparty nawet próbą przedstawienia ich uzasadnienia. Niezdolność do wzbudzania zaufania i dyscypliny opartej na czymś innym niż strach spowodowany dramatycznymi obrazami napływającymi do nas wiosną z północnych Włoch to dziś jedna z najważniejszych słabości systemu walki z epidemią.

Po trzecie, ominięcie formuły stanu wyjątkowego politycy rządzącej większości uzasadniali niechęcią do płacenia odszkodowań, a zatem naturalne uprawnienie dające rękojmię solidarności społecznej zostało zastąpione łaską władzy wyrażaną w ustawach „tarczowych”. Co więcej, późniejszy przebieg wypadków pokazywał, że rządzący jednym okazali więcej łaski i zrozumienia, a innym mniej. To zaś oznacza, że zabrakło wiarygodnej formuły określającej solidarność społeczną w warunkach dzielenia się kłopotami.

Po 30 latach mamy wystarczająco dużo doświadczeń, by nie skupiać się – jak na początku lat 90. – na relacjach między prezydentem a premierem i parlamentem. Chodzi o to, żeby pisać konstytucję dla państwa, którego zadaniem jest nie tylko rozstrzyganie konfliktów politycznych, lecz także zdolność skutecznego współdziałania obywateli i władz różnych szczebli.

Koniec przywilejów

Przywileje, jakimi cieszył się Kościół w ostatnich 30 latach, można uznać za pełne zadośćuczynienie za krzywdy do-

Po obecnych protestach trudno myśleć o powrocie do stanu sprzed 2015 r.

Zasadniczych zmian wymaga także model stosunków państwo–Kościół, z obecnością religii w szkole i konkordatem włącznie.

znane w PRL. Problem w tym, że tego zadośćuczynienia innym odmówiono lub wykonano tylko częściowo. Dziś nie ma żadnych przesłanek, poza egoizmem wyznaniowym, by przywileje te kontynuować. Przesądza o tym również toksyczny wpływ, jaki dostojnicy i niektóre struktury kościelne wywarły na państwo polskie w ostatnich latach. Udział w nagonce na mniejszości seksualne i osoby żyjące samotnie, kwestionowanie procesu rozliczania problemu pedofilii w Kościele – to tylko niektóre symptomy choroby. Dodajmy do tego przywileje, jakimi cieszy się ośrodek katolickiego fundamentalizmu zbudowany wokół Radia Maryja, które nie znajdują uzasadnienia w jakimkolwiek porządku moralnym i politycznym, poza prymitywnym klientelizmem i polityką transakcyjną, której stronami są partia rządząca i Tadeusz Rydzyk.

Wydaje się, że nowy porządek powinien być oparty na zasadzie równości obywateli i wolności religijnej, realizowanej poprzez rzeczywisty rozdział Kościołów od państwa, wypowiedzenie konkordatu, wycofanie nauki religii ze szkół i wprowadzenie reguł ograniczających udział duchowieństwa w instytucjach i przestrzeni publicznej. Nie powinno to naruszać praw katolików w zakresie swobody wyznania, kultu, korzystania z tych samych praw obywatelskich czy współpracy w kwestiach pomocy społecznej, opieki nad osobami niepełnosprawnymi lub starszymi i innych dobrych działań podejmowanych przez struktury kościelne.

Sama sprawa aborcji powinna być rozstrzygnięta w referendum, przeprowadzonym w możliwie obiektywny sposób, którego rezultaty zostaną bez korekt i wewnętrznych kompromisów elity politycznej przeniesione na poziom ustawodawstwa.

Bez względu na to, jak pod wpływem obecnego sporu zmienia się poglądy społeczeństwa. To, co stało się w ostatnich tygodniach na ulicach, i tak wpłynie na jego postawy wobec religii, spraw obyczajowych i przywilejów instytucjonalnych Kościoła. Będzie miało to skutki w postawach nie tylko młodego pokolenia – w szeregu decyzji w sferze prywatnej. Jednak niezwykle istotne jest to, by zostało również dobrze i jasno opisane w sferze publicznej. Choćby po to, by obecność księży na uroczystościach państwowych nie stała się przedmiotem nieustannej walki, by spór nie toczył się wokół symboli religijnych w sferze publicznej. Byśmy nie otworzyli frontów walki o sprawy drugorzędne, a kluczowe kwestie – pozostawili bez zmian.

Głębsza integracja

Państwo po remoncie powinno być bowiem z założenia bardziej przyjazne wobec otoczenia. Nawet wobec tego, od którego zostanie wyrażone oddzielenie. Nie może być państwem PiS *à rebours*. Nie oznacza to bezkarności tych, którzy złamali prawo. Raczej zablokowanie zezwasy na beneficjentach obecnych rządów – ekonomicznych i prestiżowych.

Model działania polegający na lekceważeniu przez rządzących głosów nie tylko opozycji, ale też procedur konsultacji, na pomijaniu krytycznych głosów ekspertów był nie tyle „demokracją nieliberalną”, co demokracją raz na cztery lata. Z przekonaniem, że mandat zwycięzcy uprawnia do upokarzania pokonanych i do nieliczenia się z kimkolwiek. Znakiem przykładem był sposób przeprowadzenia „piątki dla zwierząt”. Nie kwestionując słuszności jej zapisów, była to metoda, którą można określić jako „kaprys prezesa”. W momencie, gdy się na to zdecydował, zmiany należało przeprowadzić natychmiast i bez względu na jakiekolwiek – społeczne czy ekonomiczne – konsekwencje. Działo się to w sytuacji, gdy wcześniej nie zrobiono dość, by wzmocnić kontrolę weterynaryjną nad łamiącymi istniejące zasady zakładami hodowli zwierząt na futra.

Tryb działania państwa wobec obywateli powtarza się w działaniach na arenie międzynarodowej, kiedy ignoruje się możliwe reakcje naszych partnerów. UE traktuje się jak salon oszustów, wobec których musimy zachowywać podejrzliwość i daleko posuniętą rezerwę. Idea

obrony interesu narodowego w ramach tej wspólnoty została sprowadzona do groteskowego *splendid isolation*. Sprawa nie ograniczała się przy tym do dyplomacji, ale była powiązana też z propagandowym urabianiem opinii przez kluczowych polityków i działające na ich zlecenie media. Próba ukształtowania jej antyzachodniego nastawienia odniosła częściowy sukces.

Dlatego w procesie konstytucyjnym za zasadniczy wektor działania państwa trzeba przyjąć porzucenie nieufności wobec obywateli i wrogości wobec struktury i państw UE. Ustawa zasadnicza powinna uwzględnić doświadczenia ostatnich kilkunastu lat członkostwa w Unii, z których wynika dobra perspektywa uczestnictwa Polski w jej rozwoju. To znaczy również – nie tworzyć nadmiernie silnej bariery pogłębiania integracji. Unijna jedność to warunek skutecznego działania np. w sprawie klimatu, migracji, kontroli nad potentatami informatycznymi, którzy dysponują ogromną wiedzą o europejskich społeczeństwach.

Projekt konstytucyjny musi być zatem – na ile to możliwe – wychylony ku przyszłości i nowemu modelowi działań państwa. Warto, by zrywał z nieuzasadnionym samozadowoleniem z rozwiązań wprowadzanych 30 lat temu (nierazko ze świadomością, że są prowizoryczne). Warto też, by był tworzony z założeniem, że konstytucja stwarza nowy porządek ustrojowy, a nie jedynie koryguje stary.

Ponad protestem

Polityczny sceptycyzm jest dobrą postawą w czasach, gdy podstawowym problemem jest przesyt obietnic i narracji budujących obrazy raj na ziemi. Jest dobrą postawą w czasach populizmu i fake

newsów. Ale w warunkach rozpadu wspólnoty politycznej – a to jest treścią dokonujących się w Polsce procesów – nie wystarcza.

Moment konstytucyjny, o którym mowa, nastąpi wówczas, gdy na kształt nowego prawa nie będzie miała decydującego wpływu obecna ekipa rządząca, kiedy reguły wolności religijnej nie będą w szczegółach negocjowane z episkopatem, kiedy pojawi się nowa większość, nieobawiająca się perspektywy ściślejszej integracji z Unią. Te założenia z perspektywy minionej dekady wydają się niemożliwe do spełnienia. I w najbliższych latach wcale nie będą łatwe do osiągnięcia, a dla niektórych polityków i zwolenników opozycji – być może nie będą oczywiste.

Porzucenie takiej perspektywy oznaczać będzie, że dzisiejsza opozycja – już po przejściu władzy – będzie skazana na politykę skupioną na rozliczeniach personalnych i kilku spektakularnych zmianach ustawowych. Jednocześnie logika kampanii wyborczej będzie ją popychała do rywalizacji w dziesiątkach spraw. Strategiczne porozumienie wokół nowej konstytucji może okazać się jedynym wątkiem spajającym ugrupowania opozycji nie tylko ze sobą, ale z licznymi grupami sprzyjającymi jej, ale na stałe funkcjonującymi na obrzeżach polityki. Dawać poczucie, że w grze z PiS chodzi o coś więcej niż rywalizację dwóch nieznoszących się elit.

Rozumiejąc dynamikę ostatnich protestów opozycja nie może ograniczać się do prób surfowania na fali społecznego oburzenia. To, co jest autentyczne w ustach manifestantów, może zabrzmieć sztucznie z trybuny sejmowej czy zza mikrofonów na konferencji prasowej. Nie rezy-

gnując z obrony protestujących, czy nawet z podejmowania części ich haseł, politycy z ugrupowań opozycyjnych muszą skupić się na tym, w czym nikt ich nie zastąpi.

Tym podstawowym zadaniem jest zawsze budowanie alternatywy. Po protestach jest jasne, że nie poprzez odwoływanie się do *status quo* sprzed roku 2015, ale do czegoś, co może powstać po załamaniu się rządów PiS. Przeciwwstawienie polityce rządzących wyraźnie lepszej – przynajmniej dla części Polaków – perspektywy.

W niezwykle ważnym 2020 r. Prawo i Sprawiedliwość nie tylko nie uczyniło nic, co łagodziłoby ostrość sporu, ale przeciwnie – doprowadziło do jego niezwykle zaognienia. Konfrontacyjna linia Jarosława Kaczyńskiego – tak werbalna, jak i realna – odsunęła perspektywę porozumienia politycznego poza horyzont tego, co prawdopodobne. Uczyniła wewnętrzny konflikt trudniejszym do rozwiązania na bazie jakiegokolwiek kompromisu.

Jakkolwiek jednak potoczy się polityka w najbliższych kilku miesiącach, horyzont ułożenia państwa na nowo nie zniknie. Bez względu zatem na umiejętności taktyczne, zdolność zdobywania poparcia i zawierania kompromisów, dzięki perspektywie zmiany konstytucyjnej opozycja może uzyskać nowy status. Może znaleźć sposób na dodanie do gniewu niezbędnej do życia społecznego nadziei.

© RAFAŁ MATYJA

Autor jest politologiem, publicystą, wykładowcą Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Był jedną z pierwszych osób, które wprowadziły do debaty publicznej koncepcję budowy IV Rzeczypospolitej. Ostatnio wydał książkę „Wyjście awaryjne. O zmianie wyobraźni politycznej” (2018).

REKLAMA

Sprzedaj używane książki w Tezeuszu – największym antykwariacie w Polsce!



Wszystko
załatwimy
za Ciebie



Szybka
wycena
książek



Miejsce
na nowe
książki



Recykling
literatury

Działamy na terenie całego kraju! Bezpłatny dojazd i odbiór książek! Płatność gotówką przy odbiorze. Interesują nas także duże zbiory instytucjonalne, wycofywane z bibliotek. Mniejsze zbiory możesz sprzedać samodzielnie na www.skupksiazek.pl

tel. +48 539 915 890
kontakt@skupksiazek.pl
www.skup.tezeusz.pl



Trzy razy do tej samej rzeki

KLAUS BACHMANN

Nadzieja wywołana przez szczepionkę pomaga nam nie uczyć się na błędach, jakie popełniliśmy od wiosny w przygotowaniu do drugiej fali pandemii.

DUŻO SIĘ JUŻ PISAŁO, JAK RZĄD ZMARNOwał kilka miesięcy po dość skutecznym (a społecznie i ekonomicznie niezmiernie kosztownym) lockdownie wiosną: nie przygotował szkół, służby zdrowia ani aktów prawnych, które teraz Sejm i Senat uchwalają w trybie ekspresowym i jako „inicjatywy poselskie”, pełne wad, luk i błędów. Jeśli minister Szumowski faktycznie zostawił jakieś plany na jesień, to się chyba zagubiły. W „strategii wobec pandemii”, którą posłowie PO wydobyli z Ministerstwa Zdrowia w październiku, nie ma ani jednego słowa o tym, że trzeba w porę uczyć lekarzy obsługi respiratorów.

Mogło być dobrze, a wyszło jak zawsze. Ale bardzo podobnie było w innych krajach, nawet w Niemczech, które obecnie mają na tle innych państw europejskich niski przyrost infekcji i na tyle niewykorzystane zasoby służby zdrowia, że znowu mogą oferować krajom sąsiednim wolne miejsca w oddziałach ratunkowych i wolne respiratory. Także i tam ciężar dostosowania szkół do lekcji po wakacjach spoczywał na dyrektorach placówek i na samorządach, i to w sytuacji, kiedy stan budynków i wyposażenie w komputery i internet były często o wiele gorsze niż w polskich szkołach.

Zawiedliśmy też my, tzn. obywatele, bo wielu z nas – w niemal każdym kraju – zakładało, że po (często nadmiernie represywnym) lockdownie wystarczy czekać na szczepionkę i wszystko będzie dobrze. Ludzie chodzili bez masek, organizowali imprezy, wesela, wyjeżdżali na urlopy.

Kiedy wreszcie zdejmujemy maseczki

Zawiedliśmy nie tylko jako obywatele, ale też jako Europejczycy. Są kraje, jak Korea Południowa i Tajwan, które dotąd

nie odnotowały drugiej fali, nowe przypadki są tam bliskie zera, a zmarłych na COVID-19 nie ma od wielu miesięcy. Kiedy wybuchła pandemia, Tajwan uruchomił system monitorowania infekcji, aplikację na smartfonach. Następnie przebudowano budynki szkolne, dodając odrębne wejścia, tworząc małe grupy uczniów, były też sale, w których dzieci nie mogą kaszleć na siebie, bo dzieli ich przegroda z pleksi. Najwyraźniej – po doświadczeniach z SARS – Tajwańczycy wiedzieli, jak ważne są szkoły nie tylko dla psychiki dzieci i poziomu edukacji, ale też dla gospodarki. Zamiast wypłacać zasiłki rodzicom pracującym w domu podczas pilnowania dzieci, rząd wołał inwestować w szkoły.

Zamiast się uczyć od Koreańczyków i Tajwańczyków, woleliśmy się uczyć na własnych błędach. Rzadko europejska arogancja bywa bardziej widoczna i namacalna i rzadko tak mocno uderza w nas samych. Niektóre o wiele biedniejsze kraje afrykańskie radziły sobie znacznie lepiej niż sporo państw europejskich.

Jest duże ryzyko, że to się powtórzy. W niektórych państwach druga fala doprowadziła do regionalnych lockdownów, w innych do zapaści służby zdrowia, w jeszcze innych próbuje się temu zapobiec przez ponowny krajowy *lockdown*, co rujnuje gospodarkę. Granice się zamykają, przewoźnicy upadają, bezrobocie, bieda i nierówności – te społeczne wewnętrznie krajów i te między krajami – zaostrogają się. Lecz kiedy liczba infekcji spadnie, znowu wszyscy odczuwają ulgę, czekając na coraz bliższą szczepionkę, zapominając o tym, że wirus nadal krąży, zdejmując maseczki i będzie im się wydawało, że wszystko wróci do stanu sprzed roku.

Ale tak nie będzie. Szczepienia staną się powszechnie dostępne zapewne na



wiosnę. Musi minąć sporo czasu, zanim szczepionki – nawet jeśli obecnie już są produkowane na zapas – dotrą do wszystkich. Kraje, które same nie produkowały szczepionek albo nie uczestniczyły w kosztach ich wytworzenia i nie zakontraktowały w ciemno ich wielkich ilości, będą musiały dłużej czekać. To też znaczy, że ich gastronomia, ich hotele i ich lotniska będą dłużej czekać na gości z innych krajów.

Część obywateli uchyli się od szczepienia – antyszczepionkowcy i ludzie, dla których szczepienie jest niewskazane ze względu na inne choroby i ryzyko poważnych powikłań. To wystarczy, aby wirus krążył dalej i docierał do grup ryzyka. Można go unieszkodliwić na zawsze, ale dopiero po wielu latach. Tymczasem służba zdrowia będzie musiała sobie radzić nie tylko z trzecią falą, ale i ze średnio- i długookresowymi skutkami wirusa u ludzi, którzy mieli tylko lekkie albo żadne objawy i u których następstwa ujawnią się dopiero po czasie.

Jest też parę czynników, które obecnie nie odgrywają jeszcze żadnej roli w polskiej dyskusji o skutkach pandemii: człowiek coraz głębiej penetruje przyrodę i żyje bliżej zwierząt, które dawniej trzymały się od niego z daleka. Zwiększa to ryzyko przechodzenia kolejnych zwierzę-



Jeśli transport publiczny ma się rozwijać mimo pandemii, trzeba co najmniej potroić tabor będący w ruchu. Poznań, 3 listopada 2020 r.

na kwarantannę), a dzieci wyjdą z pandemii z większą wiedzą, niż miałyby bez niej. Można też instalować w każdej szkole system hybrydowego nauczania za pomocą kamer, które pozwolą dzieciom w kwarantannie obserwować lekcje. Nawet kiedy wirus już będzie w odwrocie, uczniowie będą mogli z tego korzystać, kiedy poważnie zachorują na gripę sezonową lub cokolwiek innego, co zmusi ich do pozostania w domu.

Tak postąpiła Estonia już długo przed pandemią: wyposażono uczniów w laptopy i tablety, wprowadzano incydentalnie zdalne nauczanie, aby dzieci, rodziców i nauczycieli przyzwyczaić do takiej formy i podnieść ich kwalifikacje cyfrowe. Dzięki temu Estonia przoduje w rankingach PISA, w najnowszych technologiach, a nad pandemią panuje lepiej niż wiele innych państw europejskich. Długofalowo przygotowana cyfryzacja szkół nie tylko zresztą chroni przed wirusami, ale łagodzi nierówności wśród uczniów.

Kiedy w 2015 r. zamachy terrorystyczne zatrzęsły Francją, Wielką Brytanią i Niemcami, kraje te wdrożyły systemy alarmowe ostrzegające za pomocą esemesów przed niebezpiecznymi miejscami. Mimo powszechnego lęku przed zamachami w Polsce podobny system powstał dopiero dwa lata później. Przed tegorocznymi wyborami majowymi obóz rządzący nadużywał go do mobilizacji wyborców. Wielu obywateli teraz wyśmiewa jego wiadomości.

W czerwcu Ministerstwo Cyfryzacji uruchomiło aplikację ProteGo Safe, która technicznie i z punktu widzenia ochrony prywatności niewiele różni się od podobnych aplikacji w innych krajach UE. Problem w tym, że mało kto jej ufa. A swoją funkcję może spełnić tylko wtedy, gdy ludzie mają do niej zaufanie i gdy dzięki dużej liczbie testów sanepid może w nią wprowadzać odpowiednio dużo informacji. W czerwcu nie była jeszcze konieczna – sanepid mógł ręcznie śledzić kontakty zarażonych. Teraz już nie może.

Polacy zaczęli się wzajemnie ostrzegać i załatwiają sobie kwarantannę po znajomości. W ostatnich miesiącach bill-

boardy w Warszawie pokazywały reklamy ubrań, supermarketów, promocję Muzeum Piłsudskiego, koncertów i patriotyczny kicz – kampanii na rzecz używania aplikacji ProteGo nie było. Na Tajwanie, w Singapurze, w Chinach i częściowo nawet w Rosji smartfony, sztuczna inteligencja i roboty pomagały ograniczyć skutki pandemii (choć wiązało się to do pewnego stopnia z naruszeniem prywatności użytkowników). Te doświadczenia można wykorzystać przy kolejnej fali i każdej następnej pandemii. Pod warunkiem, że ma się jakieś doświadczenia.

Dopasować transport

Ograniczenia wprowadzone w ramach walki z pandemią opróżniły transport publiczny i powiększyły korki w miastach, bo wszyscy, których na to stać, poprzestali się do samochodów. Trudno to uznać za postęp.

Nie ma powodu, aby w finansowo tak napiętej sytuacji ratować system mobilności, który się nie sprawdził, bo zatyka nasze miasta, zabija smogiem i zmusza do coraz większego zabetonowania krajozrazu w sytuacji, w której i tak mamy coraz mniej przyrody i otwartej przestrzeni. Jeśli transport publiczny ma się rozwijać mimo pandemii, trzeba w niego inwestować tak, aby faktycznie, przy normalnym obłożeniu, w ruchu był trzykrotnie większy tabor niż obecnie. Wtedy przy następnej pandemii niczego nie będziemy musieli zmieniać.

Przez prawie rok menadżerowie i naukowcy zdążyli się przyzwyczaić do myśli, że spotkania i konferencje mogą się odbywać zdalnie. To poważny czynnik ograniczający koszty; trudno założyć, że firmy z tego zrezygnują. Już choćby dlatego nie ma co planować powrotu do sytuacji sprzed pandemii w lotnictwie, które *de facto* było mocno dotowane, np. przez zwolnienie z podatków paliwa. Pandemia skądinąd przeszkodziła planom niektórych rządów i Komisji Europejskiej, by te ulgi stopniowo skasować.

W momencie największej zapaści transportu lotniczego w historii władzom Berlina, Brandenburgii i federacji niemieckiej udało się otworzyć nowe, budowane z wieloletnim opóźnieniem lotnisko pod Berlinem. Już wiadomo, że przez pierwszy okres trzeba będzie je mocno dotować, choć przejmie ruch, który do

cych patogenów na człowieka, a gęstość zaludnienia gwarantuje ich szybkie rozprzestrzenianie. Możemy czekać, aż ta fala nieszczęść nas pogrzebie. Albo możemy to zamienić na naszą szansę.

Przeogrody i aplikacje

Pandemia w wielu dziedzinach przyspieszyła zmiany, które były i tak nieuniknione. Można się im przeciwstawić albo je akceptować i wykorzystać. Możemy zaplanować teraz to, czego nie zdążyliśmy przed drugą falą: zmodyfikować budynki szkolne, zachęcić nauczycieli tak, jak obecnie rekrutuje się lekarzy i pielęgniarki – podwyżkami pensji, tworzeniem lepszych warunków, ściągając emerytów, obniżając warunki zatrudnienia. Można wtedy tworzyć klasy składające się z kilku lub kilkunastu uczniów, które grupowo wchodzi i wychodzi z budynku, a lekcje śledzą zza przegród, regularnie dezynfekowanych.

Można instalować oczyszczacze powietrza z filtrami antywirusowymi i długo wietrzyć klasy. Rząd Turynii nie tylko kupuje takie oczyszczacze, postanowił je na trwałe zamontować w budynkach. Dzięki temu podczas następnej fali pandemii nie trzeba będzie zamykać szkół (lecz co najwyżej niektóre klasy wysłać

→ niedawna był obsługiwany przez trzy porty. Jakie szanse miałyby w obecnych warunkach nasz centralny port w Baranowie?

Niektóre kraje europejskie przywracają sieć nocnych pociągów. W Polsce i w Niemczech nie udało się na razie uchronić pasażerów od przepełnienia wagonów. Jeśli zamiast dotować ekspansję nieekologicznego transportu, zainwestujemy w dopasowanie go do obecnych ograniczeń, to nawet bez pandemii będziemy mieli lepsze powietrze, mniejsze zmiany klimatu, więcej wygody podczas podróży i mniejsze prawdopodobieństwo zarażenia się mniej groźnymi wirusami na lotniskach i w samolotach.

Inwestycje albo kroplówka

Zamiast przygotować się do tak oczywistych i przewidywalnych zadań, rząd opracowuje teraz plan rozdysponowania szczepionek, których jeszcze nie ma i o których skuteczności i dostępności nic pewnego nie wie.

Możemy sprawić, że kolejny patogen dotknie nas nie w takim stopniu jak obecnie, ale raczej tak jak SARS-CoV-2 uderzył w Koreę i Tajwan. Przedsiębiorstwa, samorządy, szkoły i służba zdrowia mogłyby poważnie myśleć o zmianach działania i własnej infrastruktury, gdyby dostały jasne komunikaty z wyprzedzeniem. Albo możemy czekać na kolejne fale tej i następnej pandemii, improwizować, manipulować statystykami. A potem środki, których się nie wydało na wzmocnienie opieki zdrowotnej i pokrewnych służb, transportu publicznego, testy czy cyfryzację szkół, przeznaczyć na dotację dla upadających przedsiębiorstw, kolejnych „tarcz anty kryzysowych” i pomocy dla rosnącej rzeszy bezrobotnych.

Decyzja – przynajmniej w Polsce – chyba już zapadła, najpóźniej w momencie, w którym premier Morawiecki tak długo i namiętnie mówił o nadziejach, jakie wiąże z szczepionką na początku przyszłego roku. To jasny sygnał: nic nie trzeba zmienić na stałe – bo wkrótce wszystko wróci do normy. Będziemy dalej kupować czas, czołgać się od lockdownu do lockdownu i improwizować.

© KLAUS BACHMANN

Dobrzy sąsiedzi

JACEK TARAN TEKST I ZDJĘCIA

Najmłodsza ofiara: jednoroczny Szymon Langer. Najstarsza: 92-letnia Beila Neuman. Czarny Dunajec przywraca pamięć o tutejszych Żydach.

FILMOWIEC WILHELM HOLLENDER, szlifierz diamentów Steiner z Antwerpii i młody żołnierz Horowitz – co, oprócz żydowskich korzeni, łączy ich biografie? Urodzili się w Czarnym Dunajcu, gminie na południu Małopolski, która włącza się w przywracanie pamięci o dawnych, żydowskich mieszkańcach.

– Obok synagogi murowanej była drewniana, dla kobiet. Wiele razy widziałam, jak starsze kobiety wyprowadzali na ulice i od razu rozstrzelali. Tylko starsze: młodsze wywozili. Raz przyszło dwóch Niemców, oblali czymś drewnianą synagogę i podpalili. Krzyk był straszny, ciągle mam to w uszach, ciągle widzę, jak te kobiety z dziećmi na rękach uciekają z ognia. Ja strasznie płakałam, bo tam też się spaliły moje koleżanki. Mieszkiałam wtedy bardzo blisko i jak dzisiaj idę tą ulicą, to jakbym to widziała – mówi Stanisława Walkosz, jedna z najstarszych mieszkanek Czarnego Dunajca.

Przed wojną żydowska społeczność wsi liczyła ponad trzysta osób. Byli zasympilowani, często zakładali góralskie stroje, mówili gwarą. Ale zachowywali swoją odrębność, o czym świadczą pozostałe do dziś najważniejsze ślady: cmentarz i synagoga. Starania o przywrócenie pamięci o dawnych mieszkańcach gminy podjął Dariusz Popiela. Jest kajakarzem, olimpijczykiem, wicemistrzem Europy i brązowym medalistą mistrzostw świata. Przede wszystkim jednak inicjatorem projektu „Ludzie, nie liczby” i założycielem Fundacji Rodziny Popielów „Centrum”. To dzięki niemu w październiku udało się odsłonić pomnik upamiętniający blisko pięćuset Żydów, mieszkańców Czarnego Dunajca i okolic. Wcześniej podobne działania prowadził w dwóch innych małopolskich wsiach – Krościenku i Grybowie.

Na początku była łąka

W całej tej historii ważna jest sprawiedliwość. Dlatego musimy cofnąć się do roku 2016. Wtedy to pochodzący z Czarnego Dunajca dziennikarz stołecznej „Gazety Wyborczej”, Michał Szaflarski, jako pierwszy podejmuje się sprzątania czarnodunajckiego cmentarza. – To miejsce było w stanie niegodnym – wspomina dzisiaj. – Musiałem to zrobić, to było moje zobowiązanie wobec społeczności tego miasteczka, wobec naszych sąsiadów, którzy nagle zniknęli. To jest mój głos przeciwko zapomnieniu. Miałem kiedyś takie marzenie, by przynajmniej raz w roku przyjeżdżać tu z Warszawy i zbierać śmieci, kosić trawę, sprzątać. Ale to, co tutaj się teraz dzieje, ilu ludzi się w to zaangażowało, jaką pasją zaraża wszystkich Darek, przerosło moje oczekiwania.

Darek Popiela: – W Czarnym Dunajcu najpierw była łąka, nawet tutaj okoliczni mówili na nią „żydowska łąka”. Od 2016 r. regularnie odwiedzała ją grupa ludzi zebranych przez Michała. Dopiero bardziej regularne działania pozwoliły odkryć to, co naprawdę w tym miejscu jest.

Gdy w jedną z sierpniowych sobót spotykam się w Czarnym Dunajcu z Darkiem, właśnie trwa porządkowanie. – W Krościenku byliśmy we dwóch z Jakubem Dydą, w Grybowie w kilka, czasami kilkanaście osób – mówi. – A tu cmentarz sprząta ponad trzydzieści osób.

Kilka miesięcy temu na cmentarzu nie było macew, poza jedną, popękaną, niemożliwą do odczytania. Dziś udało się znaleźć dwadzieścia, z czego dzieśięć zachowanych w całości. – Na początku sceptycznie podchodziłem do sygnałów, że ktoś widział u kogoś na podwórku, że ktoś wie, gdzie są porzucone – wspomina Popiela. – Przy wcześniej-



Uroczystość odsłonięcia pomnika oraz odczytania imion i nazwisk ofiar Holokaustu na cmentarzu żydowskim w Czarnym Dunajcu, 11 października 2020 r.

szych pracach w Krościenku czy Grybowie takie sygnały sprawdzały się bardzo rzadko. O pierwszej macewie opowiedziała nam pani Małgorzata Kulawiak z Urzędu Gminy. Poznała nas z artystą rzeźbiarzem Piotrem Długopolskim. Sam zgłosił się z informacją, że ma macewę i chce ją oddać. Dziś jest odnowiona, ma złożone napisy. Później wójt gminy Marcin Ratułowski ogłosił apel z prośbą o informacje o macewach. Zgłosił się do nas wtedy Wojtek Głowacz, który jest informatykiem w gminie. Bardzo zaangażował się w te poszukiwania. Na podwórku jednego z mieszkańców znaleźliśmy osiem macew. Gospodarz, u którego były ukryte, sam nie wiedział, że jest ich tyle. Kiedy skuliśmy mu część podwórka, okazało się, że są jeszcze fragmenty innych. Pokryliśmy mu potem koszty naprawy. Jego nazwisko będzie wymienione na tablicy z podziękowaniami.

Z macew, które zachowały się jedynie w niewielkich fragmentach, utworzono lapidarium w obrębie dawnego domu pogrzebowego. Jednym z jego elementów będzie umieszczona centralnie menora. – Padł pomysł, by na dawnej studni, która wtedy była odsłonięta na jakieś 30-40 cm, postawić reflektor – relacjonuje Popiela.

– Wojtek Głowacz z bratem Grześkiem zaczęli wydobywać z niej kamienie i ziemię. Na głębokości dwóch metrów okazało się, że oprócz cegieł i gruzu z rozbórki domu pogrzebowego są też fragmenty macew. Doszliśmy w końcu do czterech metrów i znaleźliśmy kawałki kolejnych, pięknych, z białego marmuru. Leżały pod naszymi stopami przez ponad siedemdziesiąt lat.

Pepka Wyklęta

W projekcie uczestniczy też dr Anna Staszal – wykładowczyni krakowskiego Uniwersytetu Ekonomicznego. Jedną z nielicznych zaangażowanych w projekt osób, która ma żydowskie korzenie. Na tym cmentarzu odnalazła ślady swoich przodków. – Pamiętam jedną z akcji sprzątania – opowiada. – Czyściłam grób i Michał Szaflarski mówi, że już kończymy. Ja mu na to: „Czekaj, tylko odczyszczę napis”. Zdziwił się, bo wcześniej nie było żadnych napisów. Odkryłam na macewie inskrypcję napisaną polskim alfabetem: „Amalia Horowitz”. Karolina Panz [socjolożka, prowadzi badania dotyczące społeczności żydowskiej na Podhalu, współautorka książki „Dalej jest noc” – red.] zaczęła szukać w archiwach

i natrafiła na relację przechowaną w Yad Vashem autorstwa Sali Horowitz. Pisze tam o Pepce Szwab, która była jej kuzynką. A Pepka Szwab to moja prababka.

Ta historia ma drugie dno. Anna Staszal opowiada, z trudem kryjąc wzruszenie: – Ojciec mojego dziadka był góralelem, a mama Żydówką, która się ochrzciła. Została przez to wyklęta z rodziny. Urządzono jej nawet symboliczny pogrzeb z siedmiodniową żałobą. Z ich związku urodził się mój dziadek. Niestety nigdy nie została zaakceptowana przez swoją teściową, góralkę. Prawdopodobnie zabrano jej dziecko, którego nie mogła samodzielnie wychowywać. Jej mąż mieszkał dalej ze swoją mamą i z dzieckiem, a ona osobno, w domu należącym też do rodziny męża. Wyrzekła się jej własna rodzina i nie zaakceptowała jej rodzina męża. Może gdyby bardziej o nią dbali, to miałyby szanse przeżyć?

Została rozstrzelana przez Niemców 4 grudnia 1942 r. w więzieniu w Nowym Targu.

Zagłada przez firankę

Podobnych historii Popiela zna mnóstwo: – W relacjach świadków, do których docierałam ja czy Karolina Panz, →

→ bardzo często pojawiają się stwierdzenia: „widziałem przez firankę”, „słyszałem przez ścianę”.

Naoczny świadek jednej z takich historii mówił w 1984 r. przed Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich: „W okresie okupacji mieszkaliśmy z rodzicami w Czarnym Dunajcu przy ulicy Kmietowicza. Na wprost naszego domu mieszkała rodzina żydowska Kolberów. Jednego dnia latem zobaczyłem, że do domu naprzeciwko przyszło dwóch gestapowców. Wyszedłem na stajnię i patrzyłem przez małe okienko na ogród. Zobaczyłem, jak z domu wychodzi małżeństwo Kolberów. Za nimi szedł jeden gestapowiec, krzyknął coś na nich po niemiecku. Oni się położyli na trawniku i objęli się rękami. Wtedy wyszedł drugi gestapowiec. Ten pierwszy wskazywał na nich i ten oddał strzały do leżących. Potem obaj odeszli. Poszli do domu innych Żydów, Ligasów, stamtąd też słyszałem strzały, ale nie widziałem egzekucji”.

Darek wymienia nazwiska. Opowiada historię rodziny Horowitzów, która chętnie fotografowała się w góralskich strojach. Najmłodszy z nich, Szlomo Horowitz, zginął w pierwszych dniach kampanii wrześniowej w 1939 r. Mówi o pięknej Alfredzie Bachner, która na zdjęciu zrobionym przez fotografa w getcie śmieje się, jakby usłyszała właśnie dobry dowcip (przeżyła wojnę, zmarła w styczniu 2020 r. w wieku 98 lat). Opowiada o Reginie Leher, która rzuciła się na gestapowców rozstrzeliwujących jej ojca i chwilę później sama zginęła od kuli w głowę.

Cios zadany oprawcom

To zdanie bardzo często pojawia się we wpisach Popiela na facebookowej stronie: „Ludzie, nie liczby – People, not numbers”. Jak dziś rozumieć jego sens, kiedy oprawcy, tak samo jak ich ofiary, od dawna nie żyją? – Wiem, że nie przywrócimy nikomu życia – mówi Popiela. – Ale mamy wpływ na to, co się dzieje teraz. Robimy coś wbrew tym, którzy mordowali Żydów. Mieliby prosty cel: unieścić i wymazać po nich wszelką pamięć. Po to były niszczone synagogi, cmentarze. Wszystko, co jest wbrew temu, zadaje cios zbrodniczej ideologii. Jeśli widzę zapomnienie np. w moim Nowym Sączu, gdzie Żydzi stanowili jedną trzecią populacji, czyli jedenaście tysięcy istnień jak ty czy ja, to trudno mi się z tym pogodzić. W Krościenku przywróciliśmy świadomości



Dariusz Popiela, inicjator projektu „Ludzie, nie liczby”

o istnieniu 256 ludzi, w Grybowie o 1774, w Czarnym Dunajcu 494. Łącznie to 2524 ofiary wymienione z imienia i nazwiska. Trzeba jednak pamiętać, że w tej akcji najważniejsi są potomkowie. To nie były przecież moje rodziny, to nie była moja babcia czy dziadek. Gdy widzę, jak przyjeżdżają ich wnuki, jak płaczą, jak przytulają się nawzajem, jak dziękują nam za pracę, to mam poczucie, że ta historia nie skończyła się 75 lat temu.

Kiedy ponad dziesięć miesięcy temu rozpoczynano prace przy cmentarzu w Czarnym Dunajcu, Karolina Panz spodziewała się, że w archiwach znajdzie około dwustu nazwisk. Znalazła blisko pięćset. „To są całe rodziny, ludzie w każdym wieku. Kiedy patrzymy dziś na te tablice, to każdy z nas może znaleźć swoich rówieśników” – mówiła w czasie otwarcia cmentarza.

Najmłodsza ofiara upamiętniona na granitowej tablicy to jednoroczny Szymon Langer. Najstarsza – Beila Neuman, lat 92.

Wujek, a nie Żyd

W Czarnym Dunajcu o Żydach mówi się raczej dobrze. – Zawsze tak było – wspomina pani Stanisława Walkosz. – Tu nikt z dzieci nie mówił do nich inaczej jak „ciocia” czy „wujek”. Co nas to interesowało: Żyd czy nie Żyd? To byli po prostu dobrzy sąsiedzi. My mieliśmy krowę, i gdy przychodziła do nas Żydówka Julianna po mleko, to zawsze coś przyniosła dla mamy czy dla dzieci. Miałam też koleżankę, Kristinę. Bawiliśmy się razem, przychodziła do nas do domu.

Pani Stanisława nie ma wątpliwości: miejsca pamięci są potrzebne przede wszystkim młodemu pokoleniu: – Moje dzieci nie chciały mi nigdy wierzyć w to, co opowiadałam o wojnie.

Podobnego zdania jest wójt Ratułowski, który w projekcie „Ludzie, nie liczby” widzi szansę na turystyczny i kulturowy rozwój gminy: – Chcemy w synagodze zrobić dom pamięci historycznej. Pokazać, jak społeczność żydowska zasymilowała się z góralami. Chcę, by powstało tu centrum dialogu społecznego, które będzie oddolnie wspierało relacje pomiędzy narodami. Cmentarz będzie miejscem ciszy, synagoga miejscem życia: koncerty, konferencje, wystawy. To też nasza cegiełka do budowania pokoju. Chcemy pokazać, że nawet z małej, wiejskiej gminy może wyjść coś o ogromnej wartości.

Popiela wspomina jeszcze jedno, nietypowe spotkanie: – Akurat byłem sam, kiedy przy bramie zatrzymało się terenowe auto. Wysiadł wielki, wytatuowany typ, taki co to jak go widzisz, to przechodzisz na drugą stronę. Podeszedł i spod bluzki wyciągnął wiszący na szyi złoty łańcuch z gwiazdą Dawida i napisem „Jude gang”. Zaczęliśmy rozmawiać, okazało się, że to jeden z byłych szefów kiboli Cracovii. „Cracovia Pany – naród wybrany» – ja to hasło wymyśliłem”, mówił z dumą. Pogadaliśmy o historii, o Żydach, o kibolskich sojuszach. „Kiedyś goniliśmy po ulicach ludzi kolorowych czy gejów, to co oni nam wtedy przeszkadzali? – dodawał. – Głupi jakiś byłem. Dzisiaj sam mówię do młodych, żeby piłką się zajęli, a ludzi zostawili”.

■■■

Ze względu na ograniczenia epidemiczne otwarcie cmentarza miało charakter symboliczny. Wzięło w nim udział nieco ponad trzydzieści osób. Zmówiono krótką modlitwę, po czym wspólnie odczytano nazwiska ofiar. Oficjalne otwarcie, z udziałem potomków i przedstawicieli duchowieństwa, zaplanowane jest na przyszły rok. Prace na cmentarzu sfinansowane zostały przez Fundację Rodziny Popielów „Centrum”, Fundację Rodziny Nissenbaumów, Konsulat Generalny Niemiec w Krakowie, Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny, Forum Dialogu oraz przez rodziny potomków i prywatnych darczyńców.

© JACEK TARAN



**NAGRODA
PREZYDENTA
MIASTA GDAŃSKA
ZA TWÓRCZOŚĆ
TRANSLATORSKĄ**
im. TADEUSZA
BOYA-ŻELEŃSKIEGO



**Nagroda Prezydenta Miasta Gdańska
za Twórczość Translatorską
im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego**

Przyznawana jest w dwóch kategoriach:
za przekład dzieła i za całokształt twórczości
translatorskiej.

**Do 30 listopada 2020 roku trwa nabór
zgłoszeń do Nagrody.**

Kandydatów w obu kategoriach mogą zgłaszać:

- ✕ wydawnictwa
- ✕ literaturoznawcy i krytycy literaccy
- ✕ pisarze i tłumacze
- ✕ stowarzyszenia i związki twórcze
- ✕ uczelnie wyższe

Laureatów poznamy podczas Gdańskich
Spotkań Literackich „Odnalezione w tłumaczeniu”
w kwietniu 2021 roku.

instytut
kultury
miejskiej



ODNALEZIONE
W TŁUMACZENIU

Szczegóły oraz regulamin Konkursu:
www.odnalezionewtłumaczeniu.pl

Laureaci Nagrody
im. T. Boya-Żeleńskiego w 2019 roku:
Małgorzata Łukasiewicz (całokształt twórczości)
i Marcin Szuster (za przekład powieści
„Ostępy nocy” Djuna Barnes).



**SPACE
OF JAZZ**

18 listopada 2020, godz. 19.00

**WOJTEK MAZOLEWSKI
TRIO**

24 listopada 2020, godz. 19.00

MICHAŁ SALAMON

2 grudnia 2020, godz. 19.00

**BASIA DRAZKOV
& BARTEK SMORAŃIEWICZ**

9 grudnia 2020, godz. 20.00

**KUBA WIĘCEK
feat. PAULINA PRZYBYSZ**

16 grudnia 2020, godz. 19.00

EABS

Koncertы / streaming online / live

facebook.com/mazowieckinstytutkultury



**YESTEŚMY
W PRZESTRZENI ONLINE**

Więcej na mik.waw.pl
i profilu MIK na Facebooku

MAZOWIECKI
INSTYTUT
KULTURY

JEDNOSTKA
ORGANIZACYJNA
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA
MAZOWIECKIEGO

MAZOWSZE.
serce Polski

BUNT MŁODYCH

KATARZYNA ZIELIŃSKA, SOCJOLOGKA RELIGII:

Krytyka Kościoła wyrażana na ulicach to reakcja na mocno zhierarchizowaną strukturę i paternalistyczne podejście do świeckich.

ARTUR SPORNIAK: W polskich protestach uczestniczą głównie młodzi. Dlaczego?

KATARZYNA ZIELIŃSKA: Z moich obserwacji wynika, że dominuje młodzież ze szkół średnich oraz młodzi dorośli. Ich bunt jest wielowątkowy i należy go rozumieć szerzej niż tylko jako niezgodę na wyrok Trybunału Konstytucyjnego. Wątek dotyczący wprost aborcji wyzwolił wściekłość przeciwko temu, co się w ogóle w Polsce dzieje, a zwłaszcza przeciwko sposobowi sprawowania władzy, w tym bratania się władzy politycznej z Kościołem katolickim. Chodzi o bezpodmiotowe traktowanie ludzi przez obie instytucje: i państwo, i Kościół.

Napisy na transparentach oprócz wściekłości („Kurja mać!”) i pocucia opresji („Zajmijcie się ciałem Chrystusa!”) wyrażają też lęk przed przyszłością, np. hasło: „Mam 12 lat, liczę na lepszy świat”.

Przypominając sobie protesty z ostatnich lat, nie pamiętam, żeby któryś z nich był aż tak naładowany emocjami. Świadczy to rzeczywiście o doświadczanej opresji. Świeccy wierzący nie tylko są z góry traktowani przez hierarchię, ale ma ona też wpływ na ich życie poprzez sojusz z władzą. W ten sposób dotyka także osoby niewierzące. Stąd wściekłość i jednych, i drugich.

Przewodniczący episkopatu abp Stanisław Gądecki w pierwszych dniach protestu zaznaczał, że to przecież nie do

Kościółu powinno się mieć pretensje, bo to nie on stanowi prawa. To znamienita wypowiedź. Oczywiście, że hierarchia ma prawo wyrażać swoje stanowisko i kierować je do osób będących członkami i członkiniami Kościoła. Ma prawo także wypowiadać się na temat prawa. Ale abp Gądecki pomija ważny aspekt polskiego kontekstu: głos hierarchów jest szybko podchwytywany przez rządzących polityków. Zwykle też na wyrażaniu samych opinii przez hierarchów się nie kończy.

Przypomnijmy, że kiedy były procedowane ustawy dotyczące *in vitro*, hierarchowie grozili ekskomuniką tym politykom, którzy nie będą głosować po ich myśli. I właśnie oczekiwanie ze strony Kościoła, że jego nauki powinny przełożyć się na stanowione prawo, jest w Polsce mocno kontestowane.

Poza tym doświadczenie opresji młodzi wynieśli też z lekcji religii – mam na myśli prowadzenie katechezy z odgórnym przekazywaniem treści i traktowaniem uczniów przedmiotowo bez pozostawiania im przestrzeni wolności.

Jeszcze do niedawna z badań wynikało, że młodzi są liberalni w sprawach seksu z wyjątkiem aborcji. W 2016 r. na tych łamach dyrektorka CBOS prof. Mirosława Grabowska mówiła: „Co ciekawe, młodzi są bardziej restrykcyjni niż starsi. Także zmiany w czasie są wyraźnie w kierunku pro-life”. To się zmieniło?

Faktycznie, z badań wynika, że mniej więcej od 2012 do 2016 r. zaznaczyła się w naszym społeczeństwie tendencja, by w mniejszym stopniu akceptować aborcję. Przede wszystkim chodziło o przesłankę wykreśloną teraz przez Trybunał Konstytucyjny. Był to prawdopodobnie efekt intensywnych działań ruchów anti-choice, jak je nazywam. W tym okresie pojawiały się liczne inicjatywy promujące albo ograniczenie, albo całkowity zakaz aborcji.

Ale w 2016 r., kiedy wybuchają pierwsze protesty kobiet, sytuacja się zmienia. Badania po marszach czarnych parasolek różnią się od tych z początku 2016 r., na



JACEK TARAN



„Odzyskajmy nasz Kościół” – protest katolików pod kurią biskupią w Krakowie, 10 października 2019 r.

które powołuje się jeszcze prof. Grabowska. Dlaczego? Wydaje się, że Strajk Kobiet i czarne marsze stworzyły przestrzeń publiczną, w której różne doświadczenia kobiet mogły zostać wyartykułowane. Do tego momentu aborcja była przedstawiana przy pomocy języka dyskursu antyaborcyjnego. Po tym momencie kobiety zaczynają rozmawiać o swoich doświadczeniach bardziej otwarcie i za pomocą innego języka.

I okazało się, że problem jest bardziej skomplikowany?

Dokładnie. W publicznej świadomości zaczyna się kształtować trochę inny obraz

tęgo, czym jest aborcja – okazuje się, że tej rzeczywistości nie da się do końca opisać zero-jedynkowo, jak czynią to ruchy antyaborcyjne.

Wielu protestujących pytanych przez dziennikarzy odpowiada, że nie są za aborcją.

Gdyż bardziej chodzi im o możliwość wyboru. To też w takiej skali nowe zjawisko, na które wpływ ma zapewne kontekst. W pandemii wiele decyzji władza podejmuje bez zrozumiałych dla ludzi przesłanek. Co chwilę są bez większej logiki wprowadzane nowe zakazy. O zniesieniu przesłanki odnoszącej się do upo-

śledzenia lub nieuleczalnej choroby płodu także zdecydowano ponad głowami ludzi. Ważne rozstrzygnięcie w sprawie jednego z konstytucyjnych dla polskiego społeczeństwa sporu zostało dokonane bez otwartej debaty w Sejmie.

Wskaźniki religijności młodych są różne w dużych miastach i małych miejscowościach. Na przykład w tych pierwszych na katechezę w 2018 r. uczęszczało 44 proc. uczniów szkół ponadpodstawowych, a w tych drugich aż 78 proc. Protesty ogarnęły także małe miejscowości. Czy to zapowiedź zmian?



→ Już przy pierwszych marszach czarnych parasolek widać było mobilizację małych miast. Oczywiście teraz skala protestów jest tam znacznie większa. To rzeczywiście ciekawe, bo przed 2016 r. protesty kobiet inicjowane były zwykle w miastach, gdzie działają organizacje feministyczne. A poza tym w dużym mieście łatwiej być anonimowym. Wyjście na ulicę w Jasle czy Przeworsku, a wyjście w Krakowie – to inne doświadczenia. Obecnie widać, że gniew i złość budzą się u młodych także na prowincji.

Co do religijności młodych, w ostatnim czasie nastąpiło międzypokoleniowe złamanie. Wykazały to badania Pew Research Center z 2018 r. przeprowadzone w 106 krajach. Polska okazała się liderem w spadku uczestnictwa w niedzielnej mszy między osobami w wieku powyżej i poniżej 40 lat (55 proc. i 26 proc.) oraz w spadku uznania wiary za bardzo ważny element w życiu (40 proc. i 16 proc.). To niezwykle, jeśli weźmiemy pod uwagę historyczny kontekst Polski. Procesy sekularyzacyjne w naszym kraju przebiegały dotąd bardzo wolno. Nestor socjologów religii ks. Janusz Mariański z KUL mówił o pełzającej sekularyzacji. Teraz to się zaczęło zmieniać, mimo że mamy religię w szkołach, gdzie katolicyzm w jakimś stopniu organizuje czy nawet narzuca dynamikę życia szkolnego. Co się zatem dzieje, że młodzież od tego próbuje uciec?

Jakieś hipotezy?

Badania Mirosławy Marody na temat wartości dominujących w polskim społeczeństwie pokazują, że doświadczamy przejścia od troski o wartości materialne i ekonomiczne bezpieczeństwo do zainteresowania wartościami postmaterialnymi. Związane jest to z ekonomicznym rozwojem naszego kraju. Społeczeństwa, które odchodzą od lęku dotyczącego egzystencji i codzienności, często przesuwają zainteresowania w kierunku takich wartości, jak prawa człowieka, prawa kobiet, ochrona środowiska.

Czy religia do nich należy?

Wartości postmaterialne wiążą się z odchodzeniem od religii, są elementem procesu sekularyzacji. W Europie Zachodniej te zjawiska zaczęły się w latach 60. XX w. Stąd dziś wskaźniki tradycyjnej, kościelnej religijności są w tych krajach dużo niższe niż w Polsce. Być może właśnie zaczęliśmy tego procesu doświadczać u nas.



WACŁAW LABA / ARCHIWUM PRYWATNE

KATARZYNA ZIELIŃSKA

jest profesorką nadzwyczajną w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się socjologią religii, kwestiami z pogranicza religii i polityki oraz zagadnieniami związanymi ze społeczno-kulturową tożsamością płci.

A inne czynniki?

Kolejnym jest wpływ specyfiki katolicyzmu polskiego. Kościół w zachodnich społeczeństwach po II wojnie światowej musiał się mierzyć z sekularyzacją. Odpowiedzią na to był poniekąd Sobór Watykański II, który próbował dostosować Kościół do współczesności. W Polsce nie doświadczaliśmy tych procesów. Kościół zajęty był walką o wolność i nie musiał się martwić, że wierni przestaną przychodzić na msze i dawać na tacę. Zaspokajał nie tylko potrzeby religijne, stawał się także parasolem ochronnym w zmaganiach z opresyjnym reżimem.

Młodzi już w ten sposób nie kojarzą Kościoła. Dlatego odchodzą?

Nie kojarzą, ale teraz borykają się z Kościołem, który się nie zreformował, bo nic z zewnątrz go do tych reform nie pchało. Nie musiał dokonywać wewnętrznej demokratyzacji, by dostosować się do nowożytności. Przeciwnie, czasy PRL zamroziły jego przedsoborową mentalność. To widać np. w znikomej roli świeckich w strukturach kościelnych.

Robiłam badania wśród polskich katolików i katoliczek w Szwecji. Polscy imigranci mówili, że tam są zupełnie inni księża – oni muszą się liczyć ze świeckimi, bo inaczej świeccy przestaną przychodzić do kościoła. Jest inny niż w Polsce stosunek księży do świeckich i inne miej-

sce świeckich w strukturach parafii. Być może brak tego włączenia skutkuje obecnie obserwowanym odejściem młodych Polaków i Polek od Kościoła. To reakcja na mocno zhierarchizowaną strukturę i paternalistyczne podejście do świeckich. Znamienne, że to właśnie młodzi zorganizowali w zeszłym roku inicjatywę „Odyskajmy nasz Kościół” (zapalnikami stały się protesty przeciwko abp. Sławojowi Leszkowi Głódziowi), w której domagają się włączenia w struktury, dialogu wewnątrz Kościoła i większej jego demokratyzacji.

Odpowiedzi na tę inicjatywę ze strony hierarchii właściwie nie było. To kolejne potwierdzenie braku zainteresowania młodymi i ich zrozumienia. Nie dziwnym jest, że oni odchodzą. Nie widzą miejsca dla siebie, bo to, co oferuje hierarchia, im już nie odpowiada.

Trzecim czynnikiem jest powiązanie Kościoła z polityką, które stwarza mieszanekę wybuchową. Młodzi widzą w Kościele partnera „w zbrodni” opresyjności władzy.

A jakie znaczenie ma to, że buntuje się pokolenie internetowe?

Znaczenie ma już sam fakt, że są młodzi. Różne badania z zakresu socjologii religii pokazują, że w życiu religijnym istnieją cykle. Młodzież najczęściej jest mniej religijna niż np. osoby, które zakładają rodziny i mają dzieci. Rodzice wracają do religijności, gdyż uważają ją za ważny element socjalizacji dziecka. I oczywiście w starszym wieku mamy tendencję do tego, żeby być bardziej religijnym, gdyż religia pozwala lepiej radzić sobie z lękiem przed nieuniknionym końcem życia.

Paradoksalnie w Polsce to się dotychczas nie sprawdzało – młodzież była o wiele bardziej religijna niż w innych krajach i nie zaznaczały się tak silne różnice pokoleniowe. W tej chwili wygląda na to, że zaczynamy mieć podobne charakterystyki religijności, co w innych krajach Zachodu.

A fakt, że młodzi nie znają świata bez internetu?

To na pewno ma wpływ. Dzisiaj młodzi mają egalitarny dostęp do wiedzy, również religijnej. Mogą błyskawicznie różne rzeczy sprawdzać, dlatego bycie księdzem nie daje automatycznego autorytetu. Atrakcyjny jest też inny przekaz. Kto umie się nim posługiwać, jest słuchany.

Jak ojciec Adam Szustak.

On „spłaszca” relacje, skracając dystans pomiędzy młodzieżą a sobą – nie mówi „z góry”. To nie jest normą w Kościele, gdzie hierarchiczność zdaje się być główną zasadą porządkującą relacje z wiernymi.

Badania pokazują, że wśród uczniów szkół ponadgimnazjalnych najbardziej wzrosła liczba niewierzących: z 5 proc. w 1996 r. do 17 proc. w 2019 r. Jaka jest jednak religijność pozostałych 83 proc.?

Dane wskazują na proces indywidualizacji wiary. Nadal wielu młodych deklaruje wiarę w Boga, ale nie odczuwa potrzeby chodzenia do kościoła. Dwoje socjologów z UW – Sławomir Mandes i Maria Rogaczewska – opublikowało w 2013 r. ciekawy artykuł: „Ja nie odrzucam Kościoła katolickiego, Kościół katolicki odrzuca mnie”. Pisali o niedopasowaniu oferty religijnej do potrzeb współczesnych młodych ludzi.

To tłumaczy, skąd się bierze indywidualizacja wiary. Młodzi szukają czegoś, co jest bardziej dostosowane do ich estetyki i emocjonalności. Znajdują to w indywidualnych praktykach, w niektórych wspólnotach albo korzystają z „religijnych festiwali”. Światowe Dni Młodzieży są tego rodzaju festiwalową wersją religijności. To jednak bardzo specyficzny rodzaj doświadczenia religijnego: emocjonalny, intensywny i chwilowy. Pytanie: ilu z uczestników ŚDM chodzi co tydzień do kościoła? Młodzi odrzucają praktyki zinstytucjonalizowane i narzucone, i szukają praktyk mniej formalnych, bardziej zindywidualizowanych, lepiej dopasowanych do ich emocjonalności i potrzeby samoekspresji.

A jaka grupa młodych została w domu i nie chodzi na protesty? Czy wśród młodych też są podziały na „dwa plemiona”?

Moim zdaniem tak – dowodem Marsz Niepodległości. Ci, którzy na niego chodzą, mają inną koncepcję narodu i wspólnotowości, miejsca katolicyzmu w niej, a także roli kobiet we wspólnocie narodowej.

Czy to się uwidacznia w badaniach?

Ok. 8 proc. określa się jako osoby głęboko wierzące. Więc ci młodzi są mocno zaangażowani, tylko pytanie: w co? Czy kościołów podczas protestów broniły

właśnie te osoby? Czy raczej przychodzili tam ci, którzy traktują katolicyzm jako „marker tożsamości”? Takie ujęcie wybrzmiało w przemówieniu Jarosława Kaczyńskiego: katolicyzm jest istotą polskości. Część młodych traktuje religię podobnie. Ale jest też na pewno grupa młodych religijnie zaangażowana – np. członkowie wspólnot oazowych. Ich widać choćby w takich społecznych mobilizacjach, jak „Różaniec do granic”.

W badaniach Ireny Borowik z 2016 r. ujawniła się tendencja do wyrównywania się wskaźników religijności młodych kobiet i młodych mężczyzn. Dla Kościoła powinno być to niepokojące, gdyż to głównie matki przekazują religijność dzieciom.

Kobiety się emancypują. Z badań w Wielkiej Brytanii wynika, że religijność kobiet aktywnych zawodowo zaczęła przypominać religijność mężczyzn. Kobiety, przełamując przypisanie do funkcji opiekuńczych, zaczęły się sekularyzować, co przełożyło się na zerwanie pokoleniowego przekazu religijności. Wówczas sekularyzacja gwałtownie przyspieszyła.

Wydaje się, że w Polsce ujawniają się podobne procesy. Badania przeprowadzane u nas pokazują, że młode Polki są bardziej wyemancypowane niż młodzi Polacy. Kobiety zaczynają w większym stopniu kwestionować religię. Z kolei katolicki zaczyna domagać się większego uznania w Kościele i dopuszczenia ich do

tych funkcji, które są dla nich formalnie dostępne. W Polsce kobiety nawet do takich funkcji nie są dopuszczane. Wielką rzadkością są np. ministrantki czy kobiety na wyższych stanowiskach w kurii. Nie bez znaczenia pozostaje mobilność młodych. Gdy wracają z zagranicznych podróży, przywożą doświadczenia Kościoła, w którym kobiety są bardziej widoczne i uznane w strukturach kościelnych. Dlatego młode katolickie są coraz bardziej świadome swoich praw.

Ciekawe, że w ostatnich protestach uczestniczy też wielu młodych mężczyzn. Czy to znaczy, że będą oni bardziej zaangażowani w walkę o prawa kobiet i bardziej partnerscy w relacjach? Być może to znak, że także młodzi Polacy zaczynają się emancypować w stosunku do obowiązujących modeli męskości.

Młodych razi też walka hierarchii z osobami LGBT+.

To wyraz owego niedostosowania do obecnych czasów.

Jaka przyszłość czeka Kościół w Polsce?

Przykład krajów zachodnich pokazuje, że sekularyzacja u nas może się pogłębić, jeśli Kościół nie podejmie jakichś działań naprawczych. Chodziłoby m.in. o zrealizowanie wskazań Soboru Watykańskiego II np. co do roli świeckich w Kościele. Teraz wydaje się to coraz trudniejsze, bo hierarchia traci zaufanie wiernych z powodu kryzysu pedofilskiego.

© © Rozmawiał ARTUR SPORNIĄK

POZEGNANIE

Piotrowi Kłodkowskiemu i jego Rodzinie

składamy wyrazy najgłębszego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

ś.†p.

Elżbiety Kłodkowskiej

PRZYJACIELE I WSPÓŁPRACOWNICY
z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” I FUNDACJI

Dzban ze skarbami i dzinem

PIOTR SIKORA

Zapomniane formy chrześcijaństwa wracają dzięki szczęśliwym przypadkom. Jakie tajemnice ujawniają starożytne apokryfy?

GÓRNY EGIPCT, ROK 367 N.E., PÓŻNA wiosna. Zbliża się noc. Kilku mnichów wymyka się z wielkiego klasztoru w Chenoboskion, założonego przez Pachomiusza, i zmierza w kierunku skalistego klifu nad Nilem, leżącego parę kilometrów od klasztornych zabudowań. Rozglądają się z niepokojem, jakby sprawdzając, czy ktoś ich nie śledzi. Niosą spory gliniany dzban. I łopaty. Przy skałach chwilę rozmawiają. Ziemia wokół sporego okrągłego kamienia wydaje się odpowiednia, a miejsce łatwe do odnalezienia dla tych, którzy tu raz byli. Mnisi wykopują dół, bardzo ostrożnie wkładają tam dzban i zasypują ziemią. Już w ciemnościach, które na pustyni górnego Egiptu zapadają nagle, po omacku wracają do klasztoru.

Morderstwo, przypadek i chciwość

Czy było tak? Bardzo możliwe. W dzbanie ukryto 13 oprawionych w skórę kodeksów. W tamtych czasach, w tamtej okolicy tak bogaty księgozbiór mógł się znaleźć tylko w bibliotece klasztoru. Skąd jednak pomysł ukrycia ksiąg? On też ma uzasadnienie. Otóż właśnie w 367 r. patriarcha aleksandryjski Atanazy swój list wielkanocny poświęcił w dużej mierze określeniu, które księgi należą do kanonu Pisma, potępiając wszystkich, którzy za natchnione uznawali inne, zwłaszcza dodatkowe ewangelie poza czterema: Marka, Mateusza, Łukasza i Jana. Wszystkich, którzy z pobożnością czytali np. Ewangelię Filipa albo Tomasza,



Karty z apokryfów odkrytych w pobliżu miejscowości Nag Hammadi w Egipcie.

uznał za heretyków i nazwał trupami. Ich pisma określił jako apokryfy i zabronił czytać.

Na zakazie lektury wtedy się zwykle nie kończyło. Nieprawomyślne dzieła były najczęściej niszczone. Jeśli pacho-miańscy mnisi cenili księgi uznane przez biskupa za niebezpieczne apokryfy, chcieli zapewne ukryć drogie sobie dzieła, licząc, że za jakiś czas będą one mogły wrócić do klasztornej biblioteki. Atanazy przecież nie raz już musiał uciekać z Aleksandrii, z ostatniego wygnania wrócił zaledwie rok wcześniej. Zakonnicy nie mogli wiedzieć, że tym razem wrócił na dobre. I że już odtąd zawsze będzie niekwestionowanym autorytetem w sprawach ortodoksji.

Co się stało z mnichami – nie wiadomo. Wiadomo, co stało się z dzbanem. Przez ponad 1600 lat leżał w ziemi. Aż w 1945 r. dwóch braci, chłopów z pobliskiej miejscowości Nag Hammadi, poszło wykopywać nawóz naniesiony przez rzekę. Doszli do okrągłego kamienia. Tam wbił łopatę. W pewnym momencie stuknęły o coś twardego. O gliniany dzban. Chłopi bali się go otworzyć – żeby przypadkiem nie uwolnić dzina.

Ciekawość, a może chciwa podejrzliwość, że w dzbanie jest skarb, jednak zwyciężyła. Rozbili dzban łopatą. Ulga i rozczarowanie. Ani dzin, ani monety. Jakies papirusowe karty.

Chłopi zanieśli znalezisko do domu. Parę dni później, wyrównując rodowe porachunki, zabili sąsiada. Przestraszywszy się, że policja, prowadząc śledztwo, przeszuka ich dom i znajdzie kodeksy, oddali je na przechowanie znajomemu księdzu. Ksiądz sam nie rozumiał słów zapisanych na starych papirusach. Pokazał jeden z kodeksów bratu, nauczycielowi. Ten zaś, choć też nie bardzo rozumiał, co tam zostało napisane, stwierdził, że można je dobrze sprzedać. Pojechał do Kairu i wymienił stary papirus na niezłą – w swoim mniemaniu – sumkę. Inni ludzie z Nag Hammadi poszli jego śladem. Kodeksy zaczęły krążyć po Kairze (pozabawione kilku kart, które żona znalazcy spaliła w piecu).

Większość pism jakimś cudem po pewnym czasie trafiła do stołecznego muzeum. Jedno przemyciono do Belgii. Kupiła go Fundacja Belingen i sprezentowała na 80. urodziny Carlowi Gustawowi Jungowi. Pozostałe leżały w kairskim mu-

zeum. Trwała wojna z Izraelem. Czas nie sprzyjał badaniom. Choć w środowiskach akademickich rozniosła się wieść o tajemniczym znalezisku, zachodnim naukowcom trudno było dostać pozwolenie na przyjazd do Egiptu i dostęp do papirusów. Badania ruszyły na dobre dopiero w latach 60. Tłumaczenia na języki kongresowe – w następnej dekadzie.

W Polsce także powstało kilka przekładów części pism z Nag Hammadi – większości dokonał zmarły niedawno ks. prof. Wincenty Myszor. Ukazywały się najczęściej w niszowych wydawnictwach uniwersyteckich. Niektóre zamieszczono w wielotomowym wydaniu apokryfów Nowego Testamentu publikowanym przez WAM. Niedawno w wydawnictwie Nearcha ukazało się jedno z ciekawszych pism z kodeksów z Nag Hammadi, Ewangelia Filipa, w nowym przekładzie Paula Kieniewicza. Jest to wydanie o tyle interesujące, że tekst został opatrzone komentarzem tłumacza nie tylko wprowadzającym w historyczny kontekst tego dzieła, lecz także wskazującym na egzystencjalne przesłanie tekstu, które może przemówić do współczesnego czytelnika.

To, że pisma z Nag Hammadi stają się dostępne po polsku, to bardzo dobra nowina. Gdy badacze zaczęli odcyfrowywać rękopisy nieco zniszczone przez czas i nieumiejętnych znalazzców oraz tłumaczyć sens zapisanych w nich dzieł, przed wszystkimi współczesnymi poszukiwaczami ducha otworzył się świat, przy którym historia odnalezienia dzban z 13 kodeksami zamiast skarbu lub dzina może wydać się nudna.

Zapomniani nowocześni

Jest to po pierwsze świat różnorodnych, ciekawych, a nawet fascynujących form chrześcijaństwa, które niestety zniknęły w dziejowych zawirowaniach.

Przez długi czas określano je mianem gnostycyzmu i traktowano jako jeden heretycki i niebezpieczny nurt, przeżyty dzięki intelektualnemu i duszpasterskiemu wysiłkowi pierwszych ojców Kościoła. Do czasu odkrycia tekstów z Nag Hammadi znaleźliśmy jedynie niewielkie fragmenty dzieł chrześcijan z tych wspólnot (m.in. z Ewangelii Marii Magdaleny). Nasz obraz tych nurtów wczesnego chrześcijaństwa nakreślony był ręką ich krytyków – jak się okazuje, często nierozumiejących tego, co odrzucają. Teraz możemy przekonać się o tym

sami, czytając (niektóre) oryginalne teksty zapomnianych chrześcijan.

Jak pokazuje zbiór z dzban z Nag Hammadi – a także inne dzieła odnalezione później w XX wieku, np. Ewangelia Judasza – traktowanie tych chrześcijan jako przedstawicieli jakiegoś jednego nurtu – „gnostycyzmu” – jest upraszczające i zafałszowuje rzeczywistość. Wielość odnajdywanych tam form życia, praktyk duchowych, sposobów symbolicznego i pojęciowego uchwytowania Boskiej rzeczywistości jest fascynująca i przytłaczająca zarazem.

Uczucie przytłoczenia bierze się m.in. stąd, że stajemy przed mnóstwem symboli, które intrygują, ale których sensu trudno się domyślić – brak bowiem żywego egzystencjalnego kontekstu, w którym funkcjonowały.

Weźmy choćby wspomnianą już Ewangelię Filipa. Opisuje ona rozmaite praktyki rytualno-sakramentalne, z których część jest znana także współczesnym chrześcijanom. Wspomina jednak także – jako o kulminacyjnym etapie rozwoju duchowego – o sakramencie „komnaty oblubieńców”. Z tekstów możemy wywnioskować, że chodzi tu o mistyczny związek, połączenie pierwiastka żeńskiego i męskiego, których rozdzielenie było upadkiem człowieka. Tym niemniej same informacje zawarte na kartach Ewangelii Filipa są zbyt skąpe, by stwierdzić, czy chodzi o małżeństwo, czy o jakiś odrębny rytuał. Nie da się też z całą pewnością stwierdzić, jak taki rytuał dokładnie wyglądał – czy seksualne motywy użyte w jego opisie należy rozumieć dosłownie, czy metaforycznie.

W Ewangelii Filipa odnajdujemy też bardziej zrozumiałe fragmenty, które można odnieść do uniwersalnych aspektów ludzkiej egzystencji. Przez całe to dzieło przewija się np. wątek „sił” tego świata, które wiążą człowieka. Tekst wskazuje drogę uwolnienia się z tego uwikłania – jest nią poznanie siebie oraz duchowego, a ostatecznie boskiego wymiaru rzeczywistości. Jeśli symbolikę tekstu pojmować jako odnoszącą się w metaforyczny sposób do procesów psychicznych – uzależnienia i odzyskiwania kontroli nad sobą, można tu znaleźć wiele osobistych inspiracji.

Dzieło to zawiera też zręby zaskakująco nowoczesnej teorii poznania. Wskazuje ona, po pierwsze, na binarny charakter naszego postrzegania rzeczywisto-

ści: „Światło i ciemność, życie i śmierć, strona prawa i lewa – są braćmi, nierozłącznymi. Dlatego dobro nie jest dobrem ani zło – złem. Życie nie jest życiem ani śmierć – śmiercią”. Owa binarność, jako uwarunkowana przez podmiot poznający, nie ma charakteru ostatecznego. Dlatego w procesie duchowego rozwoju musi zostać przekroczona: „Wszystko to zostanie roztopione do stanu swego źródła. Lecz ci, którzy są ponad światem, są nieroztopialni – nieśmiertelni”.

Po drugie, zauważa, że nasze zdolności poznawcze kształtują obraz świata, także w sferze religijnej. Dlatego, zdaniem Ewangelii Filipa, Jezus „nie objawił się takim, jakim naprawdę jest, ale takim, jakiego mogliśmy w sercach zobaczyć”.

Autor Ewangelii Filipa zdaje sobie sprawę, że z powodu naszego ograniczenia „nazwy używane na tym świecie są mylące. Odwołują nasze myśli od tego, co poprawne, ku temu, co niepoprawne. Kto więc słyszy słowo »Bóg«, nie myśli o tym, co prawdziwe, lecz fałszywe”. Z drugiej strony wie, że bez tych niedoskonałych narzędzi nie jesteśmy w stanie poznać ani świata, ani Boskiej rzeczywistości: „Prawda powołała nazwy do istnienia, bo bez nich nie moglibyśmy jej poznać”. I dalej: „Prawda nie przyszła na świat naga, lecz w symbolach i obrazach. Inaczej świat nie może jej przyjąć”.

Odwaga inkulturacji

Można przypuszczać, że właśnie świadomość tych ograniczeń poznawczych sprawiła, iż ludzie, którzy ukryli kodeksy na pustyni, otwarci byli na inspiracje duchowe z wielu źródeł. Kodeksy te zawierają bowiem zarówno dzieła bez wątplenia chrześcijańskie, jak również fragmenty „Państwa” Platona, dzieła literatury hermetycznej, a nawet powstałe we wspólnotach łączących z chrześcijaństwem rdzenne tradycje egipskie. Uzasadnieniem dla takiego impulsu „inkulturacyjnego” mógł być wers Ewangelii Filipa głoszący, że „prawda jest jedna, a jednak – z naszego powodu – wieloraka, by uczyć nas w miłości o jednym przez wielość”.

Można podziwiać duchową odwagę tych, którzy zgromadzili i ukryli w dzbanie kodeksy. Być może dodawał im jej inny apokryf – Ewangelia Prawdy. Niemal na samym jej początku możemy przeczytać: „Wszystko poszukuje Tego, z którego wyszło, a przecież wszystko →

→ przebywa w Nim, w nieosiągalnym i niepojętym, który jest wyższy ponad wszelką myśl. Nieznajomość Ojca jest przyczyną lęku i trwogi. Lęk zaś jest jak gęsta mgła, tak że nikt nie może już widzieć. I dlatego umacnia się Błąd”.

Obraz lęku, który jak gęsta mgła przesłania jasne rozpoznanie rzeczywistości i jest przyczyną panoszenia się rozmaitych błędnych poglądów, ma znaczenie uniwersalne. Lęk, który wypływa z nieznajomości, „zapomnienia” (by użyć innej kategorii ważnej dla Ewangelii Prawdy) Ojca – czyli Boskiej Pełni, Źródła wszystkiego, co istnieje.

Ewangelia Prawdy nie zostawia czytelnika w mgle lęku. Posługując się rozmaitymi metaforami i symbolami, próbuje otworzyć na „wołanie z wysoka”. Gdy ktoś to wołanie usłyszy, otwiera się w nim poznanie, „odpowiada i zwraca się ku temu, który go wzywa i idzie ku niemu”, „pragnie mu się przypodobać i dochodzi wreszcie do odpoczynku”. Kto poznaje w ten sposób, „wie, skąd przyszedł i dokąd idzie”, odzyskuje świadomość „jak ten, co się upił, a potem wytrzeźwiał”. Poznając, „wraca do siebie i porządkuje, co jego”.

Nieznane słowa Jezusa

Ewangelie apokryficzne z Nag Hammadi różnią się od tych czterech, które znalazły się w kanonie Nowego Testamentu – nie opowiadają o życiu Jezusa. Jest On w nich ważną postacią, ale teksty koncentrują się na wyjaśnianiu mistycznego sensu Jego nauki, natury Jego stanu zmartwychwstałego. Najbliższa ewangeliiom kanonicznym, zwłaszcza synoptycznym, jest Ewangelia Tomasza.

O ile pozostałe powstały najwcześniej w II wieku, to zdaniem części badaczy

Ewangelie apokryficzne z Nag Hammadi różnią się od tych czterech, które znalazły się w kanonie Nowego Testamentu – nie opowiadają o życiu Jezusa.

Ewangelia Tomasza może być równie wczesna, jak Marka. Wskazuje na to jej struktura – jest zbiorem logiów, powiedzeń Jezusa – takie zaś zbiory funkcjonowały najprawdopodobniej do czasu zapisania ewangelii synoptycznych. Niektóre stwierdzenia Jezusa z Ewangelii Tomasza podobne do tych znanych nam z Nowego Testamentu mają, zdaniem części badaczy, formę bardziej pierwotną od kanonicznej.

Jest więc prawdopodobne, że Ewangelia Tomasza przekazuje słowa Jezusa nie zapisane w ewangeliiach kanonicznych. Niosą one głębokie przesłanie, które może pogłębić naszą interpretację pism Nowego Testamentu.

Można powiedzieć, że wiara chrześcijan „tomaszowych” była nieustannym poszukiwaniem Tajemnicy zatracającej i fascynującej zarazem. „Mówi Jezus: »Kto szuka, niech nie ustaje, aż znajdzie. A gdy znajdzie, zatrwój się. A gdy się zatrwój – zdumieje się. I będzie królem nad wszystkim«”.

Stereotyp „gnostycyzmu” ukazywał go jako nurt religijny dość pesymistyczny, uznający Absolut za oddzielony od świata mnóstwem pośrednich bytów duchowych. Wbrew temu Ewangelia Tomasza

głosi powszechną bliskość Boga: „Mówi Jezus: »Ja jestem światłem, które jest ponad wszystkim. Ja jestem wszystkim. Wszystko wyszło ze mnie i wszystko do mnie wróciło. Rozłupcie drzewo – ja tam jestem. Podnieście kamień – znajdziecie mnie tam«”.

Poszukiwanie duchowe nie musi zatem wiązać się z odrzuceniem okoliczności, w których żyjemy. Jak czytamy w odnalezionym tekście: „Mówi Jezus: »Jeśli wasi przywódcy powiedzą: ‘Królestwo jest w niebie’, to ptaki niebieskie wyprowadzą was. Jeśli powiedzą: ‘Królestwo jest w morzu’, wyprowadzą was ryby. Lecz królestwo jest wewnątrz was i na zewnątrz was. Gdy poznacie samych siebie, zostaniecie poznani i zrozumiecie, że jesteście dziećmi Ojca żyjącego. A jeśli nie poznacie siebie, jesteście ubodzy i sami jesteście biedą«”.

Nie chodzi o ucieczkę „hen tam”, lecz o głębsze poznanie siebie – ale także tego, co wokół nas: „Mówi Jezus: »Rozpoznaj, co masz przed sobą, a to, co ukryte, objawi ci się. Gdyż nie ma nic ukrytego, co by się nie ujawniło«”.

Nie jest to też proces tylko poznawczy, ale integracja całego naszego bytu: „Jeśli uczynicie dwa jednym, to co wewnętrzne zewnętrznym, a zewnętrzne wewnętrznym, wyższe niższym, męskie i żeńskie uczynicie jednością, tak że męskie nie będzie męskim, a żeńskie żeńskim, jeśli włożycie oczy w miejsce oka, rękę w miejsce ręki, stopę w miejsce stopy, obraz w miejsce obrazu – wtedy wejście do królestwa”.

Co zaś może najważniejsze, boskie źródło, które czyni ów proces możliwym, jest w każdym z nas: „Jego uczniowie powiedzieli: »Pokaż nam miejsce, w którym jesteś, ponieważ musimy koniecznie go szukać«. Powiedział im: »Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha. Wewnątrz człowieka jest światło, i świeci na cały świat. Gdy nie świeci – jest ciemność«”.

To tylko ułamek treści, które wydobyły się z dzban, rozbitego pomimo obawy ludzi przed dzinem. Dżiny ponoć mają wielką moc i nie należą całkiem do świata materii. Jaka dokładnie jest ich natura – nie wiadomo. Naturą dzina, który krył się w naczyniu znalezionym przez wieśniaków z Nag Hammadi, były teksty pełne symboli. Jego mocą zaś – wprowadzanie w świat Ducha. Czyż taki dzin nie jest prawdziwym skarbem?

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku, pod sygn. akt I Ns 501/20, toczy się postępowanie z wniosku Mirosława Zająca o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na rzecz Krystyny Zajac (zm. 6 grudnia 2011 r.) własności działki ewidencyjnej nr 1898, o pow. 0,1040 ha, położonej w Jadownikach, gm. Brzesko, powiat brzeski, powstałej z parcel katastralnych: nr 8918 z KW TR1B/00022181/1, nr 8919/1 z lwh 2037 Jadowniki i nr 8919/2 z lwh 2465 Jadowniki. Jako właściciele wymienionych parcel wpisani są: Stefania Hronowska, Jan Martyna (w KW TR1B/00022181/1), Józef Krzyształ (w lwh 2037) oraz Jan Martyna i Maryanna Martyna (w lwh 2465).

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawców, o ile zostanie udowodnione.

ZUZANNA

Radzik: *Przed szereg*



GDY PODLICZONE ZOSTAŁY GŁOSY, KAMALA Harris, nowa wiceprezydentka USA, powiedziała: „Stoję na ich ramionach!”. Miała na myśli wszystkie pokolenia kobiet – czarnoskórych, Azjatek, białych, Latynosów, rdzennych Amerykanek

– które przez ponad sto lat walczyły i poświęciły wiele, żeby zapewnić sobie i innym wolność, równość, sprawiedliwość i prawo do głosu. „Myślę dziś o ich zmaganiach, ich determinacji i sile ich wizji”. Bez nich naprawdę by dziś tam nie stała.

Ale to nie portret Kamali umieściła na swoim profilu Leslie, moja koleżanka feministka i czarnoskóra katolicka teolożka. W stanie Georgia, gdzie mieszka, to 46-letnia Stacey Abrams jest bohaterką tych dni. Analityczna i strategiczna praca tej polityczki przed wyborami przyniosła Demokratom sukces.

Opisując Abrams, serwis Politico wspomina o wystudiowanym wyborze książek stojących za jej plecami podczas telewizyjnego występu. Ponoć nikt się z tego tożsamościowego księgozbioru nie śmiał, bo w pełnym nonsensu roku 2020 dosadność i powaga Abrams są odświeżające. Zresztą, kto z was nie czyta dziś grzbietów książek telewizyjnych gości i nie zwraca uwagi na to, co sam ma za plecami w czasie służbowej wideo-konferencji? Widok tytułów o problemach społecznych, rasowych, polityce, polaryzacji i sprawach międzynarodowych nie pozostawia wątpliwości co do progresywnych poglądów ich właścicielki. W tym jej lekko rozmytym tle znajduję książkę, o której nie słyszałam: biografię Idy Wells-Barnett autorstwa Pauli Giddings. Nie wiem, kim jest bohaterka, ale że ciekawi mnie Abrams, a poza tym jest sobota i do tego Światowy Dzień Feminizmu, to sprawdzam. I przepadam na wiele godzin.

Właściwie nie rozumiem, jak takie kobiety mogły wtedy żyć. Skąd się brały i skąd czerpały siłę? Trudno może uwierzyć, ale często – z głębokiej wiary. Biografie np. Harriet

Tubman czy Sojourner Truth rozwalają system, ekscytują i rozsadzają głowę tym rodzajem entuzjastycznego zachwyty, jaki wywołuje bohatersko i pięknie przeżyte życie. Jak żywoty świętych, ale takich, które chciały potrząsnąć rzeczywistością i ją zmienić. Tak jest też z Idą Wells, urodzoną w 1862 r. jako córka niewolników. Zasłynęła w okolicy, gdy jako 22-latką z sukcesem pozwie linię kolejową za to, że odmówiła jej, mimo kupionego biletu, wstępu do wagonu pierwszej klasy. W efekcie do współpracy zaprosiły ją dzienniki z Memphis i czasopisma czarnoskórych z całego kraju. Od 1889 r. była współwłaścicielką lokalnej gazety, na której łamach trzy lata później zajęła się tematem linczu – ofiarą był jej przyjaciel. Po krótkim śledztwie napisała gniewny tekst i pojechała na wakacje. Już z nich nie wróciła, bo tłum białych mieszkańców spalił prasy drukarskie jej gazety, a redaktorom zagroził śmiercią. Z Nowego Jorku kontynuowała dziennikarskie śledztwo, by wydać pierwsze studium zjawiska linczu, a po nim kolejne, ponad stustronicowe. Dowiodła, że masowa przemoc występuje na Południu od czasu zniesienia niewolnictwa i jest reakcją na awans społeczny i ekonomiczny czarnoskórych. Pokazała, jak uprzedzenia rasowe i genderowe łączą się w tym zjawisku. Choć jej praca miała wielki wpływ na świadomość problemu, dopiero w 2020 r. dostała pośmiertnie Nagrodę Pulitzera. Była sufrażystką, która nie zgadzała się na dyskryminację wewnątrz ruchu. Łączyła aktywizm z macierzyństwem, działała społecznie i angażowała się w politykę do końca życia.

Co zatem chciała powiedzieć Stacey Abrams, kładąc nam biografię Wells przed oczy? Przypomnieć o mrocznej historii linczu czy o tej konkretnej kobiecie? To, co je łączy na pewno, to świadomość znaczenia swojej pracy. Abrams, inaczej niż jest przyjęte w konwencji amerykańskiej polityki, wcale nie zaprzeczała, że chciałaby kandydować na wiceprezydentkę (a sztab Bidena poważnie to rozważał). Wyjaśniała to następująco: „Jestem osobą z takiego miejsca i regionu, oraz osobą takiej płci i koloru skóry, że takich osób nie bierze się pod uwagę, jeśli same nie wyjdą przed szereg”. I dodawała: „Nie jesteśmy naturalnymi dziedziczkami i naturalnymi posiadaczkami tych stanowisk. Gdybym miała odrzucić taką możliwość, to zrobiłabym to nie tylko za siebie, ale za każdą inną kolorową czy czarnoskórą młodą kobietę, która nigdy nie widziała dla siebie takiej możliwości”.

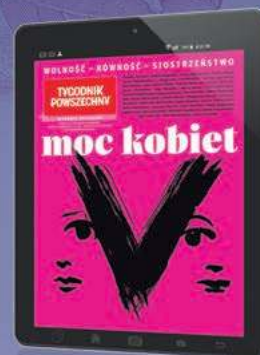
Umiesz wymienić kobiety, na których ramionach stoisz ? ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK
POWSZECHNY

Poczuj z nami wolność, równość, siostrzeństwo!

Wydanie specjalne „Moc kobiet” dostępne jako e-book na
powszech.net/emockobiet



weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@TygodnikPowszechny.pl, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.



i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

UWAGA!
Niższa cena prenumeraty tylko do 1 grudnia!



PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	



PREZENT!

* ważny do 1 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

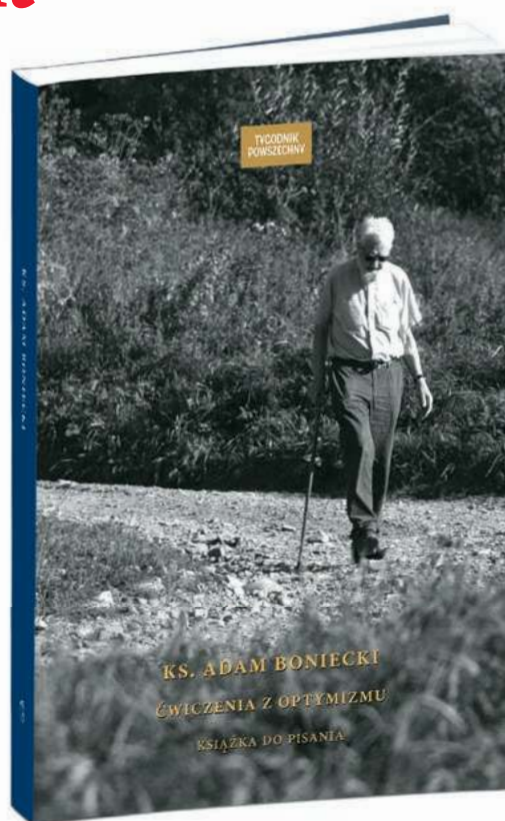
PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



Już teraz zaprenumeruj „Tygodnik Powszechny” i otrzymaj prezent

„Ks. Adam Boniecki.
Ćwiczenia z optymizmu.
Książka do pisania”
– to wyjątkowy notes
z fragmentami wypowiedzi
księdza Bonieckiego
ilustrowany zdjęciami
autorstwa Grażyny Makary
i z prywatnego archiwum
bohatera książki.



1. Już dziś zamów lub przedłuż roczną, półroczną lub kwartalną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.
2. Możesz to zrobić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate lub przez wpłatę na konto – cennik i szczegółowe zasady znajdziesz na sąsiedniej stronie.
3. Jeśli wykupisz lub odnowisz prenumeratę do 1 grudnia br., „Książkę do pisania” otrzymasz jeszcze przed świętami – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

Książkę w limitowanej ofercie otrzymają osoby, które 1 grudnia 2020 r. będą miały aktywną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.

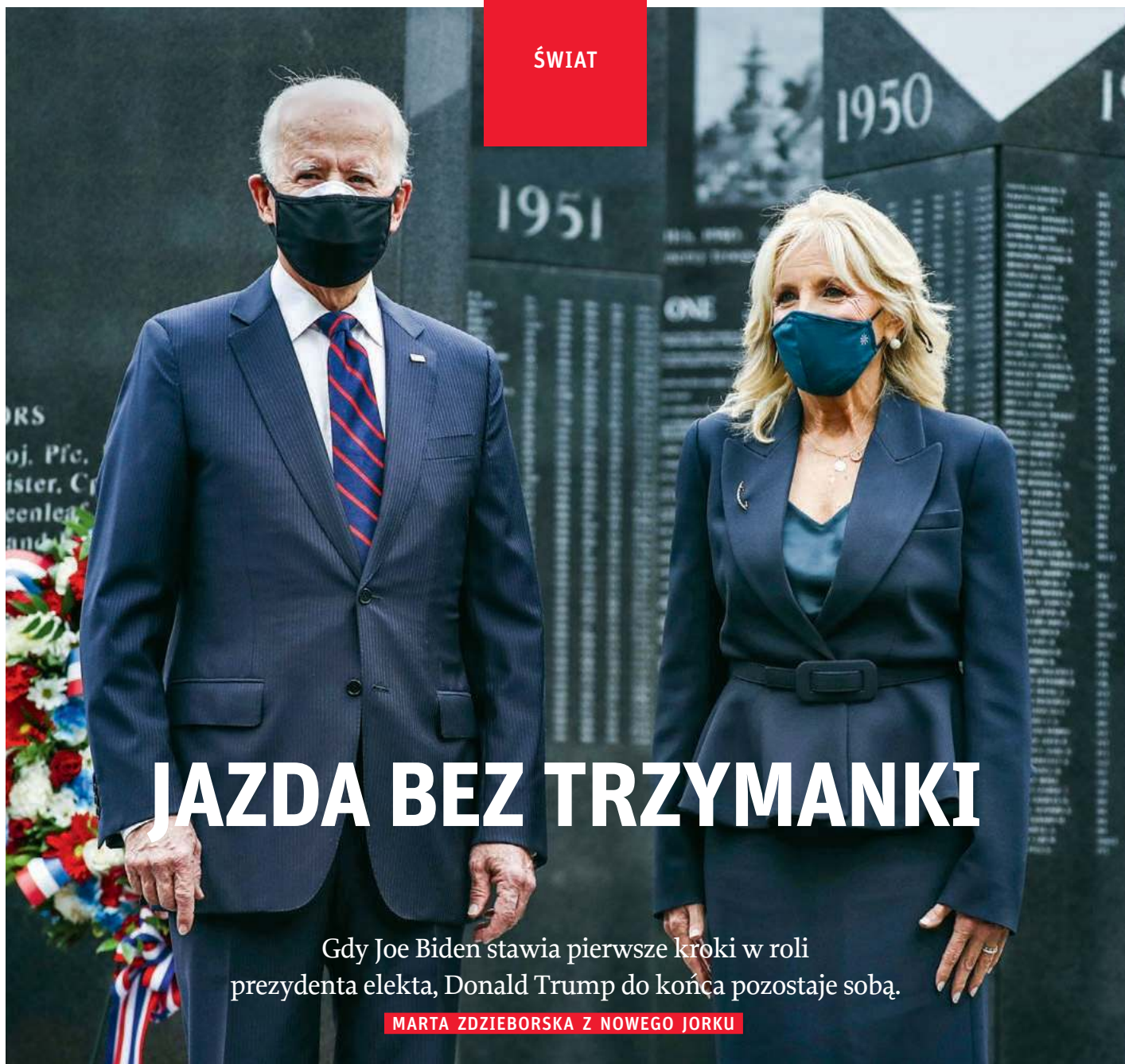
Życie ks. Adama Bonieckiego to długie pasmo podróży, przeprowadzek, wyjazdów i rozstań. Czasami planowanych, ale równie często nagłych i dramatycznych. Jak zachować optymizm i pogodę ducha? Jak nie poddać się zwątpieniu? Czy Bóg ma poczucie humoru? Ten zbiór cytatów pozwala nieco lepiej zrozumieć, jaką receptę na szczęśliwą wędrówkę przez życie posiadał redaktor senior „Tygodnika Powszechnego”.

Michał Olszewski, redaktor tomu

WYDAWCA:

**TYGODNIK
POWSZECHNY**


AUSTERIA



JAZDA BEZ TRZYMANKI

Gdy Joe Biden stawia pierwsze kroki w roli prezydenta elekta, Donald Trump do końca pozostaje sobą.

MARTA ZDZIEBORSKA Z NOWEGO JORKU

CENTRUM KONFERENCYJNE W WILMINGTON, w stanie Delaware. Joe Biden, przyszły 46. prezydent USA, podbiega na scenę, gdzie wygłosi zwycięską mowę. W tle słychać piosenkę Bruce'a Springsteena „We Take Care of Our Own” („Troszczymy się o siebie nawzajem”). Dla niektórych ten utwór brzmi znajomo: w 2012 r. wykorzystał go Barack Obama w kampanii o reelekcję.

Joe Biden, służący u jego boku jako wiceprezydent, nie spodziewał się pewnie wówczas, że będzie kiedyś grał w USA pierwsze skrzypce. Choć ma za sobą

48-letnią karierę w Waszyngtonie, do tej pory o prezydenturze mógł tylko pomarzyć. Wyścig o Białą Dom przegrał dwa razy i to w przedbiegach: w 1988 r. oraz w 2008 r., gdy o nominację Partii Demokratycznej rywalizował z Obamą.

Zwyciężając tegoroczne wybory, 78-letni polityk spełnił nie tylko swoje ambicje, ale także nadzieje amerykańskich liberałów. Pokonał Trumpa i sprawił, że po raz pierwszy w historii Stany będą mieć wiceprezydentkę – czarnoskórą Kamalę Harris. Ale Biden obejmie władzę w wyjątkowo trudnym momencie: będzie musiał stawić czoło pandemii,

odbudować gospodarkę i przynajmniej podjąć próbę zakopania podziałów w spolarzowanym kraju.

Przed wszystkim wirus

Podczas pierwszego przemówienia wygłoszonego już w roli zwycięzcy Biden zaznaczył, że chce być prezydentem jednoczącym, a nie dzielącym Amerykanów. „Będę przywódcą, który nie uznaje podziałów na czerwone i niebieskie stany [kolory Partii Republikańskiej i Partii Demokratycznej – red.]. Ubiegałem się o ten urząd, by uzdrowić duszę Ameryki, odbudować klasę średnią i sprawić, by nasz

Przed Dniem Weterana Jill i Joe Biden oddali hołd obywatelom Pensylwanii, poległym w wojnie koreańskiej. Filadelfia, 10 listopada 2020 r.

dań wynikało, że może być on dla pacjentów wręcz szkodliwy.

Sprzątanie

W przeciwieństwie do poprzednika Biden deklaruje, że będzie słuchać naukowców. Jako prezydent elekt zachęca Amerykanów do noszenia masek i prosi, by nie łączyć kawałka materiału z polityką. Trump był w tym mistrzem. Długo odmawiając noszenia maski w miejscach publicznych, stał się wzorem do naśladowania dla swoich zwolenników, którzy bez zachowania środków ostrożności tłoczyli się na jego wiecach. Biden najchętniej wprowadziłby ogólnokrajowy nakaz noszenia masek. Do tego potrzebuje jednak współpracy gubernatorów i władz lokalnych, co może być trudne w kraju, który składa się z 50 stanów posiadających sporą autonomię w sprawach wewnętrznych.

Są jednak sprawy, które Biden może załatwić jednym podpisem. Zapowiada, że na początku prezydentury wyda serię rozporządzeń odkręcających kontrowersyjne decyzje Trumpa. Chce więc zablokować rozpoczętą już procedurę wyjścia USA ze Światowej Organizacji Zdrowia, planuje także ponowne przystąpienie do paryskiego porozumienia klimatycznego. Należy się spodziewać, że cofnie zakaz wjazdu do USA dla obywateli 13 krajów, głównie muzułmańskich i afrykańskich. Na liście priorytetów jest też przywrócenie w całości programu chroniącego przed deportacją tzw. marzycieli – osoby, które jako dzieci przyjechały nielegalnie do Stanów.

Na te i inne zmiany Stany muszą jeszcze poczekać: Biden zostanie zaprzysiężony dopiero 20 stycznia.

Decydująca Pensylwania

Pierwsze chwile w roli prezydenta elekta Biden spędził zaskakująco spokojnie. Jak co niedzielę, 8 listopada poszedł do kościoła w rodzinnym Wilmington. Przyeszły prezydent i katolik (drugi w historii USA, po Johnie F. Kennedy) odwiedził też lokalny cmentarz. Pochowani są tam jego bliscy: zmarły na raka syn oraz pierwsza żona i córka, których stracił w wypadku samochodowym w 1972 r. Aż do niedzieli wieczorem Biden nie opublikował ani jednego tweeta.

Zupełnie inaczej niż Trump, który do chwili oddania tego tekstu do druku nie uznał swej porażki i roztaczał na Twitterze wizję sfalszowanych wyborów. Porażka jest dla niego szczególnie gorzka, bo o wygranej Bidena przesądziła robotnicza Pensylwania. Cztery lata temu Trump zwyciężył tam z Hillary Clinton, obiecując nowe miejsca pracy. Dziś role się odwróciły i to Demokrat uzyskał w tym stanie niewielką przewagę (co najmniej 45 tys. głosów więcej na ponad 6,7 mln oddanych). Dzięki zwycięstwu w Pensylwanii Biden przekroczył potrzebną do zdobycia prezydentury granicę 270 głosów elektorских. Co prawda do zeszłego czwartku 12 listopada trwało jeszcze liczenie głosów w Karolinie Północnej, Arizonie i Georgii, ale rozstrzygnięcia w tych stanach nie wpłyną już na ostateczny wynik.

Innego zdania jest Trump, który zasypuje sądy pozwami, próbując dowiedzieć, że podczas wyborów doszło do nieprawidłowości. Jego sztab poparł nawet pozew grupki wyborców z Arizony: tamtejsi zwolennicy Trumpa uczepili się teorii spiskowej i twierdzą, że karty do głosowania wypełnione cienkopisem były odrzucane przez komisję wyborczą jako nieważne.

Choć większość pozwów jest oddalana przez sądy, Trump nie daje za wygraną i zbiera fundusze na dalszą batalię. Dziennik „USA Today” donosi, że może mieć z tym jednak problem, bo republikańscy darczyńcy są coraz bardziej skupieni na stanie Georgia. Na początku stycznia odbędzie się tam druga tur wyborów do Senatu, od której będzie zależało, czy Republikanom uda się zachować większość w wyższej izbie parlamentu federalnego. To teraz szczególnie ważne, bo dzięki temu partia będzie mogła blokować proponowane przez Bidena ustawy.

Byle tylko utrudnić

Trump wplątuje w swoją walkę Departament Sprawiedliwości. Nominowany przez niego prokurator generalny William Barr upoważnił prokuratorów federalnych do przyjrzenia się „istotnym zarzutom” dotyczącym rzekomych nieprawidłowości podczas głosowania. Barr poprosił, by zrobili to do początku grudnia – wtedy stany poświadczą wynik wyborów na swoim terytorium. Decyzja Barra wywołała powszechne zdumienie, bo według dotychczasowej praktyki Departament powinien zacząć z takimi działaniami do oficjalnego zakończenia wyścigu.



JOE RAEDLE / GETTY IMAGES

kraj znów cieszył się szacunkiem za granicą” – przekonywał.

Prezydent elekt zapowiedział, że w pierwszej kolejności skupi się na walce z wirusem. Już 9 listopada ogłosił, kto wejdzie w skład jego zespołu ds. walki z pandemią. Wśród jego członków znalazł się m.in. Rick Bright, zwolniony przez Trumpa immunolog i były szef federalnej agencji pracującej nad szczepionką. Serwis Politico donosi, że Bright stracił pracę, bo sprzeciwiał się inwestowaniu w leki na malarię, które zdaniem Trumpa miały być skuteczne. Prezydent forsował ten sposób leczenia, choć z ba-

→ Administracja Trumpa stara się też utrudnić Bidenowi przygotowania do objęcia urzędu. W zeszłym tygodniu głośno było o Emily Murphy, szefowej agencji General Services Administration, która zwleka z wydaniem dokumentu uznającego wyborczą wygraną Bidena. Bez takiej formalności ekipa prezydenta elekta nie może uzyskać dostępu do funduszy rządowych ani porozumiewać się z agencjami federalnymi.

Atmosferę podgrzał sekretarz stanu Mike Pompeo, który stwierdził, że szykuje się już na drugą kadencję Trumpa. Doszło do absurdałnej sytuacji: Biden wydzwania do innych przywódców – m.in. do kanclerz Angeli Merkel i premiera Kanady Justina Trudeau – bez wsparcia logistycznego Departamentu Stanu.

Ekipa Bidena może też mieć pod górkę z wdrożeniem się w prace Departamentu Obrony: z dnia na dzień Trump zwolnił sekretarza obrony Marka Espera i trzech innych wyższych urzędników Pentagonu. Jego drogi z Esperem miały się rozjeść już latem, gdy sprzeciwił się sugestii Trumpa, aby wojsko wzięło udział w tłumieniu zamieszek towarzyszących czasem antyrasistowskim demonstracjom. W powszechnym odczuciu urzędujący jeszcze prezydent teraz się na nim zemścił.

Murem za Trumpem

Choć Trump urządził Stanom jazdę bez trzymanki – niemającą precedensu w historii kraju – to wciąż mógł liczyć na wsparcie swej partii. Do minionego czwartku tylko czterech republikańskich senatorów złożyło gratulacje Bidenowi. W obronie Trumpa stanął lider republikańskiej większości w Senacie Mitch McConnell: powiedział, że prezydent ma pełne prawo do procesowania się w sądach.

Stanowisko McConnella może wydać się politycznie absurdałnie, bo nawet republikańscy urzędnicy czuwający nad wyborami w kluczowych stanach nie doszukali się nieprawidłowości. Być może chodzi mu jednak o polityczną kalkulację: przed drugą turą wyborów w Georgii nie chce zdradzić z elektoratem Trumpa. Mimo czterech lat kontrowersji, ciągłych kłamstw, ataków na Twitterze i wreszcie fatalnej reakcji na pandemię – Trump wciąż przekonuje do siebie ludzi. W tych wyborach głosowało na niego ponad 72 mln Amerykanów (o 5 mln mniej niż na Bidena) i Trump może być z takiego



Po raz pierwszy od wyborów Trump pokazał się publicznie dopiero 11 listopada, gdy odwiedził Cmentarz Narodowy w Arlington.

wyniku dumny: zdobył o 9 mln więcej głosów niż w 2016 r.

Powrót w roku 2024?

Według sondaży *exit poll* Trump znacznie lepiej niż cztery lata temu poradził sobie wśród Afroamerykanów i Latynosów, grup uznawanych dotąd za elektorat Demokratów. Szczególnie ważne okazało się dla niego poparcie Amerykanów pochodzenia kubańskiego, dzięki którym wygrał na Florydzie. Biden rozczarował się też Teksasem: choć według sondaży siedział tam łeb w łeb z Trumpem, po zliczeniu głosów okazało się, że nie ma szans. Republikanin przekonał do siebie nawet wielu Latynosów z przygranicznych rejonów Teksasu. To duże zaskoczenie, bo w 2016 r. Clinton miała tam nad Trumpem bardzo dużą przewagę. Teraz Biden zdobył wprawdzie ten region, ale tylko minimalną przewagę.

Wygląda na to, że podobnie jak w 2016 r. Demokraci zamknęli się w bańce przedwyborczych prognoz i uznali, że nie muszą wiele robić, bo mają zwycięstwo w kieszeni. Gdy ze względu na pandemię Biden ograniczał liczbę wieców do minimum, Trump odwiedzał po kilka stanów dziennie. W pocie czoła pracowali też zaangażowani w jego kampanię wolontariusze: szacuje się, że tylko w ciągu tygodnia zapukali do drzwi miliona wyborców.

Choć ostatecznie Trump przegrał, jego populizm może zdomować się w Partii Republikańskiej na dobre. „New York Times” pisze, że to właśnie dzięki trumpsowskiej retoryce przedstawiającej Demokratów jako „marionetki skrajnej lewicy” Republikanie zdołali odbić kilka miejsc w izbie niższej Kongresu. Niektórzy członkowie partii, jak senator Lindsey Graham, nie wyobrażają sobie polityki bez Trumpa. Senator sugeruje, że jeśli przegra on powyborczą batalię są-

dową, powinien zastanowić się nad startem w wyścigu w 2024 r.

Demokracie nie pogratuluję

Bez względu na to, jak potoczą się dalsze losy Trumpa, wielu światowych przywódców niecierpliwie czeka na zmianę warty w Białym Domu. Biden, który przepracował osiem lat w administracji Obamy, to gwarancja powrotu do tradycyjnej dyplomacji. W przeciwieństwie do Trumpa nie będzie postponować organizacji międzynarodowych, jak NATO czy WHO. W czasie kampanii Biden zapowiadał, że postawi na odbudowę relacji z sojusznikami w Europie i walkę ze zmianami klimatycznymi. Ważne będą też dla niego kwestie praworządności i ochrony praw człowieka.

Ten ostatni punkt zapewne nie podoba się przywódcom Chin, Turcji czy Rosji, którzy dotąd nie pogratulowali Bidenowi zwycięstwa. Niechętny jest mu też premier Słowenii Janez Janša. W ślad za Trumpem sugeruje na Twitterze, że Demokraci dopuścili się oszustw wyborczych. Słowenię i Stany łączyły dotąd bliskie relacje choćby z jednego powodu: to rodzinny kraj Melanii Trump.

Czy ustępująca pierwsza dama tego chce, czy nie, jej miejsce w Białym Domu zajmie niebawem Jill Biden. Wyłamując się z tradycji, 69-letnia wykładowczyni akademicka oświadczyła, że nie zrezygnuje z pracy zawodowej. W innych warunkach takie deklaracje wzbudziłyby w USA zapewne sporo sensacji. Jednak w powyborczej rzeczywistości uwagę zaprzęta przede wszystkim to, kiedy Biden będzie mógł formalnie ruszyć z przygotowaniami do rządzenia.

Drugie pytanie, równie ważne, dotyczy Trumpa. Od czasu wystąpienia, w którym przedwcześnie ogłosił się zwycięzcą, po raz pierwszy pokazał się publicznie dopiero 11 listopada, gdy z okazji Dnia Weterana składał wieniec na Cmentarzu Narodowym w Arlington. W ciągu 10-minutowej ceremonii nie powiedział ani słowa. Złośliwi zastanawiają się, czy w najbliższych dwóch miesiącach, które zostały do zaprzysiężenia Bidena, prezydent będzie w ogóle zainteresowany rządzeniem krajem.

I pomyśleć, że to wszystko dzieje się w największym mocarstwie świata.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Tekst ukończono 12 listopada.



Malwina Badalan, szefowa oddziału chorób zakaźnych w szpitalu w Stepanakercie, zwykle nie nosi maski ani rękawiczek, bo twierdzi, że już przeszła covid. 27 października 2020 r.

Dwa piętra na całą republikę

TEKST I ZDJĘCIA: PAWEŁ PIENIĄŻEK ZE STEPANAKERTU I ERYWANIA

Tutejsi lekarze mówią, że w Górskim Karabachu przeszli koronawirusa niemal wszyscy. Ale z powodu wojny nikt nie zwraca na to szczególnej uwagi.

MALWINA BADALAN PRZECHADZAŁA się po korytarzach w białym fartuchu. Nie miała na sobie maski ochronnej, rękawiczek ani nakrycia głowy. Jak większość mieszkańców Stepanakertu, stolicy nieuznawanej republiki Górskiego Karabachu, nie potrafiła przejąć się koronawirusem, gdy tuż obok toczyła się wojna, a w okolicy co jakiś czas rozlegał się huk artylerii.

Nie byłoby to zaskakujące, gdyby nie fakt, że Malwina Badalan jest dyrektorką oddziału chorób zakaźnych – jedynego takiego w całym Górskim Karabachu.

Oddział, na którym teraz leżą chorzy na COVID-19, został przeniesiony z Cen-

tralnego Szpitala Republikańskiego, nowoczesnej placówki, do oddzielnego budynku. Nie jest przystosowany do przeciwdziałania epidemii ani do funkcjonowania w warunkach wojennych. Ma raptem dwa piętra i mieści do 25 pacjentów. Jeszcze do niedawna pracowały tutaj trzy lekarki. Gdy odwiedziłem oddział pod koniec października, zostały dwie – internistka Badalan i lekarz chorób zakaźnych Karina Akopian. W budynku nie ma izolatorium ani piwnicy z prawdziwego zdarzenia, gdzie można byłoby przeczekać ostrzały lub naloty.

– Gdy strzelali, schodziliśmy na dół. Kto z chorych mógł się ruszyć, to również

go tam zabieraliśmy, ale to przecież kontakt z wirusem. Nie dało się tam być długi czas – mówiła Badalan.

W końcu przestali się ukrywać w piwnicy. Choć pociski spadały w pobliżu szpitala, to personel i chorzy pozostawali na parterze lub pierwszym piętrze. W tej półpiwnicy – jak określa ją dyrektorka oddziału – z dwiema pryczami nocowała tylko lekarka chorób zakaźnych i jedna z pielęgniarek.

Pracownicy oddziału przyznają, że epidemia w Górskim Karabachu jest szeroko rozprzestrzeniona, nie są jednak w stanie ocenić jej rozmiarów. – Nie prowadzimy statystyk, bo nie było sensu, i tak wszyscy chorowali – stwierdziła Badalan. – Jeśli nie zarazili się dzisiaj, to zarażą się jutro.

Wojna znów zmienia granice

Najnowsza odsłona konfliktu między Azerbejdżanem a Armenią – trwającego od końca lat 80. XX w., który na początku lat 90. przerodził się w wojnę, zamrożoną w 1994 r. przez kruche zawieszenie broni – zaczęła się 27 września i po ponad sześciu tygodniach ciężkich walk radykalnie zmieniła sytuację w regionie.

Ćwierć wieku temu zwycięzcy Ormianie przejęli kontrolę zarówno nad Karabachem, jak też nad otaczającymi go

→ bezpośrednio terenami Azerbejdżanu, które uznali za swoją strefę buforową. Niemal 10-milionowy Azerbejdżan utracił 13 proc. terytoriów, a ok. 800 tys. azerskich mieszkańców musiało opuścić domy i uciekać w głąb kraju. Na tych terenach powstała nieuznawana przez żadne państwo świata Republika Górskiego Karabachu, przez Ormian zwana Arcach. Zgodnie z prawem międzynarodowym było to wciąż terytorium Azerbejdżanu, ale faktycznie Karabach miał własny rząd (blisko związany z Armenią).

Władze Karabachu twierdzą, że podczas tych sześciu tygodni walk zginęło co najmniej 1177 ormiańskich żołnierzy. Azerbejdżan nie informuje o swoich stratach militarnych. Życie straciło też co najmniej po kilkudziesięciu cywilów z obu stron. Według ONZ aż 130 tys. ze 150 tys. ormiańskich mieszkańców opuściło domy, uciekając przed ofensywą Azerów. Ogromna większość z nich udała się do sąsiedniej 3-milionowej Armenii; reszta znalazła schronienie w północno-zachodniej części Karabachu, która była spokojniejsza.

Zanim w nocy z 9 na 10 listopada zostało zawarte czwarte już – i wiele wskazuje, że tym razem skuteczne – zawieszenie broni, armia Azerbejdżanu osiągnęła duże sukcesy: zajęła jedną trzecią obszaru Karabachu i ziem przylegających (tej tzw. strefy buforowej). Tuż przed zawarciem rozejmu – doszło do tego za pośrednictwem Rosji, która natychmiast zaczęła przerzut do Karabachu kilku tysięcy swoich żołnierzy, mających pełnić rolę sił rozjemczych – Azery zajęli ważne strategicznie miasto Szuszi (po azersku: Szusza), skąd był już tylko krok do Stepanakertu (po azersku: Chankendi). Teraz w mediach pojawiły się pierwsze informacje o szczegółach umowy rozejmowej; padały nazwy miast i powiatów, które miałyby wrócić do Azerbejdżanu. Stwarzało to wrażenie, że strona ormiańska zgodziła się – w zamian za przerwanie azerskiej ofensywy – oddać część kontrolowanych terenów.

Gdy kończyłem pisać ten tekst, wydawało się, że tym razem rozejm będzie trwał. Do bitwy o stolicę Karabachu, gdzie przed wojną żyło 55 tys. osób, zatem nie doszło. Ale już wcześniej lokalne władze zaczęły ewakuację, miasto opuściło trzy czwarte mieszkańców.

To właśnie tutaj znajduje się oddział covidowy, którym kieruje Malwina Badalan.

Chorowali wszyscy

Gdy wybuchła wojna, Centralny Szpital Republikański przeniósł się w całości do podziemia. Lekarze i pielęgniarki tam spali i tam też udzielali pomocy pacjentom. W piwnicy zainstalowano również bloki operacyjne, przeniesione z trzeciego piętra – kluczowe podczas wojny, by ratować życie rannym cywilom i żołnierzom. Trafiło tam wiele osób z ranami od odłamków, odniesionymi podczas ostrzału prowadzonego przez artylerię i lotnictwo (przede wszystkim drony).

Oddział internistyczny znajdował się najpierw na drugim piętrze. Jeszcze przed 27 września został przekształcony w oddział dla chorych na COVID-19. Tam znajdował się też izolator. Po wybuchu wojny z powodu ostrzałów także drugie piętro zostało przeniesione do piwnicy.

W ciągu dnia, gdy sytuacja w mieście była spokojniejsza, personel szpitala wchodził na wyższe piętra, ale na noc wracał do podziemi, gdzie wszyscy byli stłoczeni na siłą rzeczy niewielkiej przestrzeni, a obieg powietrza był ograniczony. To czynniki sprzyjające rozwojowi wirusów. Dlatego na COVID-19 zaczęli chorować pracownicy szpitala i pacjenci – sytuacja wymykała się spod kontroli.

– W piwnicy zaczęliśmy się wzajemnie zarażać. W końcu wszyscy byli chorzy, włącznie z ordynatorem szpitala i ministrem ochrony zdrowia – przyznała Malwina Badalan.

Lekarze, nawet ci mający objawy choroby, w tym wysoką temperaturę, nie mieli czasu na zdrowienie. Musieli operować rannych. Doktor Badalan twierdzi, że praktycznie cały personel medyczny już przeszedł koronawirusa.

W ciągłym stresie

Karina Akopian, lekarka chorób zakaźnych, mówi, że gdy zaczęły się działania zbrojne, epidemia spadła na drugi plan i chwilowo zaprzestano przeprowadzania testów. Dopiero po kilku tygodniach, w drugiej połowie października, zaczęto znowu się tym zajmować.

– Jeśli nie byłoby wojny, wszystko byłoby łatwiejsze. Teraz działamy w ciągłym stresie, ale próbujemy nadążać ze wszystkim – mówiła Karina Akopian.

Malwina Badalan przyznaje jednak, że nie wszyscy chorzy na COVID-19 mogli liczyć na hospitalizację. Nie wystarczy miejsc, a siły personelu przerzucone są przede wszystkim na pomoc rannym. Dla ich ratowania niezbędne są często respiratory, które potrzebne są również pacjentom z ostrymi objawami covidowymi. Ale to ofiary wojny miały pierwszeństwo w obecnej sytuacji.

Coraz gorsze warunki sprawiły, że ostatecznie postanowiono przenieść chorych na COVID-19 do innego budynku. W Centralnym Szpitalu Republikańskim pozostały tylko nieliczne, najcięższe przypadki – ci, którzy muszą być podłączeni pod respirator.

Gdy ludzie dowiedzieli się o przeniesieniu oddziału chorób zakaźnych, zaczęli do niego tłumnie przychodzić. Trafiła na niego nie tylko chorzy na covid, ale także ci, którzy potrzebowali opieki internistów i kardiologów, choć żaden kardiolog tam nie pracuje. Wszyscy chorzy byli przemieszani i mogli wzajemnie przekazywać sobie choroby. Choć Malwina Badalan rozumie wynikające z tego zagrożenie, to przyznaje, że nie było innego miejsca, gdzie mogliby się podzielić pacjenci.

Wirus w schronach

Ostrzały miasta powodowały, że ludzie bali się opuszczać domy czy piwnice. Do tego celem dla artylerii, dronów i nalotów stały się drogi i poruszające się po nich pojazdy, więc dla mieszkańców innych miejscowości dotarcie do Stepanakertu wiązało się z coraz większym ryzykiem. Po tym, jak w mieście rozległy się pierwsze syreny ostrzegające przed nalotami i spadły pierwsze pociski, nie tylko szpital przeniósł się do podziemi – pod ziemię schowała się w zasadzie cała stolica nieuznawanej republiki.

Mieszkańcy znaleźli się więc w zatłoczonych piwnicach, gdzie często znajdowało się po kilkadziesiąt osób, co – w połączeniu z wilgocią i chłodem – tworzyło świetne warunki dla rozwoju wirusa. W razie objawów wielu wybierało przeleżenie choroby w łóżku lub na pryczy, z obawy przed pociskami i raketami. Nie było więc mowy o stosowanych gdzie indziej środkach prewencji, jak unikanie kontaktu z innymi ludźmi. Nikt nie nosił masek. W piwnicach, które odwiedzałem, ludzie często pokasływali i narzekali na problemy z płucami.



Ciężkie walki na froncie sprawiły, że lekarze coraz więcej uwagi musieli poświęcać rannym, natomiast epidemia spadła na drugi plan. Stepanakert, 6 listopada 2020 r.



Chorzy na covid przebywają w tych samych salach, co osoby wymagające opieki internistycznej i kardiologicznej. Stepanakert, 27 października 2020 r.

60-letnia Susana zeszła do piwnicy kilkupiętrowego bloku zaraz na początku wojny. To kilka obszernych pomieszczeń z szarymi betonowymi ścianami, pod którymi ustawiono prycze. Początkowo mieszkało tu 250-300 osób, z czasem ich liczba spadła do 50 – pozostali opuścili Stepanakert.

– A kto będzie w takiej sytuacji przejmował się covidem? – pytała Susana retorycznie. – Od miesiąca jesteśmy w piwnicy. W maskach można chodzić na zewnątrz, ale w piwnicy to bardzo trudne, bo się duszę.

Jej synowie byli na froncie i to przede wszystkim wojna zajmowała jej uwagę. Choć na oddziale chorób zakaźnych w Stepanakercie leżeli także żołnierze. Niektórzy byli półprzypadni, jeszcze

w mundurach, inni przebrani już w cywilne ubrania. Na frontowych pozycjach, gdzie również panował wilgoć i chłód, nieustannie ktoś pokasywał.

– Z posterunków i frontu trafiają do nas żołnierze z koronawirusem – przyznawała Malwina Badalan. Nie ma jednak danych o tym, jak szybko rozprzestrzenił się on wśród wojskowych.

Gdy odwiedziłem Susanę po raz kolejny, na początku listopada, nie była już w piwnicy. Poprawiała zasłony w mieszkaniu.

Mówiła, że musieli wynieść się z piwnicy, bo wśród mieszkańców rozprzestrzenił się koronawirus. Dlatego postanowiła uchronić się od choroby, nawet jeśli miałyby ją to wystawić na ryzyko rakiet czy bomb.

Pandemiczno-wojenny chaos

Malwida Badalan na początku listopada wyjechała do Erywanu. Sądziła, że na chwilę. Nie spodziewała się, że już nie wróci.

Także Armenia jest ciężko dotknięta epidemią. Ponad 3,6 tys. osób na 100 tys. było lub jest zakażonych. To plasuje ten kraj w pierwszej dziesiątce na świecie. W ostatnich tygodniach odnotowany jest znaczący wzrost zachorowań. Dla Armenii, kraju niedużego, kolejne tysiące chorych stają się poważnym obciążeniem.

– W szpitalach w Erywanu i innych miastach jest wielu rannych, przewiezionych tu z Karabachu, więc nie wystarcza środków, aby zapewnić właściwą opiekę chorym na covid – mówił mi Shant Shekherdian, profesor chirurgii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, który przyjechał z USA do Armenii, aby walczyć z epidemią.

Shekherdian przypominał o deklaracji ONZ o globalnym zawieszeniu broni, które zostało podpisane przez 170 krajów pod koniec czerwca, aby przeciwdziałać pandemii. Sygnatariusze, wśród których nie było Azerbejdżanu, podkreślali znaczenie „globalnej jedności i solidarności w stawieniu czoła tej pladze”.

– Wojna w środku pandemii to nie tylko okrucieństwo dla tych, których bezpośrednio dotyka, ale także dla wspólnoty międzynarodowej, która próbuje powstrzymać pandemię – mówił Shekherdian.

Na początku listopada do Centralnego Szpitala Republikańskiego trafiało codziennie po kilkudziesięciu rannych żołnierzy, niektórych ciężko. Stare samochody terenowe produkcji sowieckiej, UAZ-y, krążyły między linią frontu a szpitalem, transportując czasem po kilku rannych naraz. Gdy 7 listopada miejscowe władze podjęły decyzję o ewakuacji ludności cywilnej, miała ona objąć także personel medyczny. Z miasta na północ ruszyły sznury samochodów. W mieście mieli zostać praktycznie sami wojskowi.

Malwina Badalan straciła kontakt z personelem z oddziału chorób zakaźnych. Nie mogła się do nikogo dodzwonić. Nie wiedziała nawet, czy jej placówka dalej działa, czy została w całości ewakuowana. A co z pacjentami? Muszą sobie jakoś radzić sami, bo mimo zawieszenia broni szpitale wciąż są pełne rannych.

© PAWEŁ PIENIAŻEK



Po katastrofie, przed katastrofą

FRANCESCO M. CATALUCCIO Z MEDIOLANU

Stolica regionu Lombardii to dziś znowu kruche i przygnębione miasto, w kraju równie jak ono pogrążonym w epidemicznym chaosie.

DOBRZE JEST STALE MIEĆ NA OKU PEWNE pomniki i budowle. Za każdym razem, kiedy jestem w pobliżu, wchodzę do bazyliki św. Ambrożego, żeby spojrzeć na porfirową kolumnę, na której szczycie widnieje mojeszowy wąż. Według legendy wyrzeźbił go sam prorok. Rzeźba dotarła do Mediolanu z Konstantynopola około roku tysięcznego, przywieziona przez arcybiskupa Arnolfa. Lud wierzył, że dotknięcie węża leczy z chorób układu trawienego. A także, że w dzień Sądu wąż odpelnie w stronę doliny Jozafata.

Kilka dni temu, kiedy tylko o piątej rano zakończyła się godzina policyjna, po męczącej nocy spędzonej na oglądaniu amerykańskich wyborów, ruszyłem przez wymarłe miasto, aż dotarłem do św. Ambrożego. Ten jeden z najstarszych kościołów miasta to dla mnie także jeden z najpiękniejszych w ogóle kościołów we Włoszech – pomieszany stylistycznie, pełen ponownie wykorzystanych pogań-

skich rzeźb i kolumn. Zszedłem do pierwszego portyku, w którym pod koniec IV w. święty Ambroży rozmawiał i nawracał Augustyna z Hippony, i przeszedłem przez dziedziniec. Węza już nie było...

Na zewnątrz wszystko wyglądało normalnie, życie powoli się rozkręcało – na tyle, na ile może się kręcić w obecnej postaci, przypominającej rytmem czkawkę. Bary i restauracje pozamykane na głucho, spuszczone żaluzje ma też większość sklepów. Mało ludzi, wszyscy w maseczkach.

MEDIOLAN TO DZIŚ znów kruche, przygnębione miasto, w kraju równie jak ono pogrążonym w chaosie. Znowu zamknięto nas w domach, gdzie całymi dniami pracujemy, uczymy się i „socializujemy się” przed komputerem. A zwłaszcza jemy. Podczas poprzedniego lockdownu 54 proc. Włochów przytyło co najmniej cztery kilogramy. Według organizacji branżowej handlu spożywczego wy-

datki na jedzenie wzrosły o 10 mld euro. W tym na wino o 9,4 proc., na piwo o 16,2 proc., na wędliny o 10,2 proc., na sery o 12,5 proc., na jajka o 22 proc., a na mąkę aż o 59 proc. – jakby wszyscy naraz rzucili się z powrotem do pieczenia chleba.

Rząd i władze lokalne (którym należy się nieco szacunku i wyrozumiałości, mają do wypełnienia szalenie trudne zadanie, a brak im do tego narzędzi i politycznej siły przebicia) powtarzają, jakby to mogło być usprawiedliwienie, że inne kraje mają się jeszcze gorzej niż Włochy, i że jak zawsze robimy wszystko, co w naszej mocy. Najnowsze pakiety obostrzeń, których rząd ogłosił aż trzy w ciągu tygodnia, to owoc kruchego i nieskutecznego kompromisu naszpikowanego ogólnikami (wolno „przebywać w pobliżu miejsca zamieszkania”, ale należy „pozostawać w zamknięciu w najwyższym możliwym stopniu”), które pozwalają na najrozmaitsze interpretacje – zależnie od tego, co komu wygodnie.

Po katastrofie, która spotkała nas między marcem a majem, zrobiono zbyt mało, żeby poprawić sytuację przed przewidywaną jesienną falą. Należało znaleźć i zatrudnić 81 tys. lekarzy, pielęgniarzy i innych pracowników służby zdrowia, ale do października pojawiło się ich w systemie niecałe 34 tys. Lekarze domagali się utworzenia dodatkowych 3500 łóżek na oddziałach intensywnej terapii i 4200 na subintensywnej [dla pacjentów w stanie średnio ciężkim – red.], ale powstało ich w sumie tylko 1300. Brakuje 1600 respira-



Z lewej: Camilla De Leonardis, właścicielka bistro w mediolańskiej dzielnicy Isola, jak wszyscy restauratorzy może sprzedawać kawę tylko na wynos. 6 listopada 2020 r.

Galeria handlowa Vittorio Emanuele II w ostatnim dniu przed nowym lockdownem. Mediolan, 5 listopada 2020 r.

torów, a także szczepionek na gripę i zestawów do testowania.

COVID DZIAŁA TAK, że nie tylko ujawnia nasze słabości, ale jeszcze mocniej je pogłębia. To dotyczy nie tylko osób z „chorobami współistniejącymi”, lecz także relacji rodzinnych i społecznych, które nie wytrzymały próby wymuszonej izolacji – lub przeciwnie, wymuszonego mieszkania razem. A także gospodarek, ledwo zipiących od lat – w tym gospodarki włoskiej, która od lat 80. XX w. nie notuje istotnego wzrostu. W równym stopniu również systemów opieki zdrowotnej, w których od dawna postawiono na rozwój sektora prywatnego kosztem publicznego. Trzeszczy oświata, która mimo wysiłków grupy ofiarnych nauczycieli już od lat przestała zapewniać wykształcenie na tyle dobre, aby mogło niwelować nierówności społeczne.

Stosunki międzyludzkie uległy wyjałowieniu. Trudno dać wiarę tym, którzy w telewizji zapewniają, że „potem będzie lepiej”. Coraz bardziej widać wszechogarniające przeciążenie psychiczne. W opiniotwórczym serwisie Doppiozero filozof Rocco Ronchi zwracał niedawno uwagę na ważną i ciekawą różnicę: „Pierwsza fala koronawirusa wzbudzała zwierzęcy strach, horyzontem naszych doznań było wówczas zaskoczenie i brak przygotowania. Druga niesie głuchy lęk, bo po pierwszej już byliśmy przygotowani na jej nadejście, ale dalej nie jesteśmy w stanie »ująć« jej w żadną ludzką miarę. Jedna z teorii psychoanalitycznych uczy, że

pośród ludzkich emocji tylko lęk nas »nie oszukuje«, bo daje nam styczność z wymiarem istnienia, którego nie da się sprowadzić do kategorii, jakie na co dzień możemy przetrwać. Wszystkie inne uczucia okłamują, bo są sposobem obrony przed inwazją rzeczywistości. Tylko lęk przemawia do nas jasno. Na co nas wystawia przeżywanie pełnego lęku oczekiwania? Najprostsza odpowiedź: na czystą niepewność, przygodność istnienia”.

JAKIEKOLWIEK BY SNUĆ TEORIE, psychoterapeuci mają pełne ręce roboty i pracując zdalnie, przy pomocy komputera i telefonu, spędzają o wiele więcej godzin ze swoimi pacjentami. Apteki sprzedają więcej leków psychotropowych, uspokajających i nasennych niż leków na kaszel czy ból gardła. Wzrosła też znacznie sprzedaż produktów kosmetycznych – zgodnie z wolą rządu perfumerie są nadal otwarte. Zauważyłem, że w trakcie spotkań i zebrań przez internet kobiety pojawiają się na ekranie aplikacji nienagannie zadbane (dlatego przynajmniej w początkowej fazie obecnego lockdownu pozwolono – w przeciwieństwie do marca – działać fryzjerom).

Jednym z powodów tego, jak bardzo posypało się życie w Mediolanie, jest fakt, że ekspansja miasta przez ostatnie 30 lat była zbudowana na triumfie pozorów, zewnętrzności. Mediolan uważał się za „stolicę” mody, nikomu niepostrzebnego dizajnu, budynków tworzących przez gwiazdy architektury. Stolicę efektywności raczej pozornej niż realnej,

dobrobytu i radości życia ograniczonych do centrum, popołudniowego rytuału aperitif w gwarnych barach i dumnej z siebie samotności. Dramatyczna sytuacja sanitarna tylko wyostreza te sprzeczności.

KONTAKTY FIZYCZNE wszelkiego rodzaju są dziś widziane jako niebezpieczne i budzą grozę. Niedawno toczyłem po niemal wymarłym chodniku koło domu wózek z zakupami. Z drugiej strony pędził chłopczyk w śmiesznej pomarańczowej czapeczce. Nie dało się powiedzieć, żeby biegł sprawnie. Jego ruchy były chaotyczne, machał ramionami jak niezdarne kaczką, która uczy się, jak podnieść się do lotu. Potem potknął się, nie zdążył wystawić rąk i padł prosto na buzię, parę metrów przede mną. Zaczął się wydierać wniebogłose. Daleko za nim szła matka, pisząc coś w telefonie, ale jednocześnie obserwując dziecko.

On spojrzał na mnie oczyma pełnymi łez jak grochy, szukał pomocy i wsparcia. Szybko się do niego zbliżyłem, kątem oka dostrzegłem, że i matka przyspieszyła kroku. Pomyślałem sobie, że nie mogę zbliżyć się do dziecka – chłopiec nie miał maseczki – i dotknąć go, aby pomóc mu wstać. Cofnąłem się więc nieco, w tym czasie nadeszła matka. Podniosła go szorstko, zrugła za to, że upadł, zwłaszcza teraz, kiedy wszędzie jest tyle paskudnych bakterii i wirusów.

Szedłem w swoją stronę, podczas gdy ona próbowała przetrzeć mu zakrwawione kolana pomiętą chusteczką. Pociągając nosem, chłopiec patrzył na mnie spode łba, jakby chciał powiedzieć, że uważa mnie za „zdrajcę”. Wybełkotałem tonem usprawiedliwienia: „Przepraszam, ale w tych czasach lepiej się nie dotykać”. Matka, ledwo na mnie patrząc i ciągnąc syna za sobą, zrugła mnie: „Nigdy nie dotyka się cudzych dzieci!”.

CAŁA TA SYTUACJA, w której się znaleźliśmy, chaotyczna i ponura, zagraża już nie tylko naszemu zdrowiu cielesnemu i umysłowemu oraz gospodarce – stanowi też głęboką ranę dla współżycia społecznego i dla demokracji. Tak, pandemia nie tylko we Włoszech skraca oddech naszej demokracji. I tylko my możemy temu zapobiec – pamiętając, żeby jutro odbić sobie w dwójnasób dzisiejsze wyrzeczenia.

©

Przełożył PB



Na ulicach Paryża, 23 września 2020 r.

Rower w koronie

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Pandemia sprawiła, że wielu Francuzów zrezygnowało z metra i postawiło na rower. Zachęcają do tego lokalne władze, którym marzy się stolica bez aut. Pośpiech jednak nie zawsze jest dobrym doradcą.

BULWAR MAGENTA W STOLICY FRANCJI to dwukilometrowa arteria, która łączy Dworzec Północny z centralnym placem Republiki.

W ten jesienny poranek ścieżką rowerową pędzi w dół sznur rowerzystów (na rowerach zwykłych i elektrycznych), liczni użytkownicy hulajnóg, a także, choć z rzadka, elektrycznych monocykli. Co kilkadziesiąt metrów przecinają przejście dla pieszych – dzwonki, zdener-

wowani przechodnie, dźwięczące klaksony aut.

Co bardziej zniecierpliwieni cykliści uprawiają slalom: wymijają innych rowerzystów, zjeżdżają na jezdnię tuż obok samochodów, a potem wracają na pas rowerowy.

Rowerzysta – jeden, potem drugi i trzeci – mkną przez skrzyżowanie na czerwonym. Słychać z tyłu krzyk przechodnia: „Światła nie widzisz?!”.
 W miejskiej dżungli

W miejskiej dżungli

Znajduję się w samym środku tego ruchomego łańcuszka rowerzystów spieszących na złamanie karku w stronę placu Republiki. Tak jak oni wsiałam rano na rower, żeby dojechać do pracy. Tak jak oni wolę uniknąć jazdy metrem w godzinach szczytu, gdzie pasażerowie nie dość, że ściśnięci jak sardynki, muszą nosić maski. W erze covidu rower daje chwilę oddechu – w przenośni i dosłownie, bo cykliści są zwolnieni z obowiązku zasłaniania twarzy i nosa.

Jednak jazda rowerem w godzinach szczytu po centrum Paryża to także niezła dawka adrenaliny. Nie wiadomo, kto nagle wyskoczy zza zakrętu: niedzielny rowerzysta, turysta testujący hulajnogę czy skuter poruszający się, wbrew przepisom, po ścieżce rowerowej. Codzienny tor przeszkód dla dziesiątek tysięcy ludzi.

Jeszcze przed wybuchem pandemii szacowano, że ponad 4 proc. aktywnych zawodowo paryżan codziennie dojeżdża na rowerze do pracy. Pod tym względem

dwa kółka stały się we francuskiej stolicy częściej używanym środkiem transportu niż motocykl czy skuter. Teraz, podczas pandemii, ten odsetek lawinowo rośnie. Według danych stowarzyszenia Rower i Terytoria tylko między majem (tj. końcem wiosennego lockdownu we Francji) a wrześniem ruch rowerowy w mieście wzrósł o 72 proc.

Inne dane z liczników ruchu rowerowego, tzw. totemów ustawionych przez władze miasta w wielu ruchliwych punktach, potwierdzają ten boom. Według nich tylko na jednej trasie rowerowej w centrum stolicy – na ulicy Rivoli – zanotowano w ostatnich miesiącach do 10 tys. przejazdów dziennie. Od początku roku daje to łączną liczbę blisko dwóch milionów!

Choć od końca października ulice Paryża znów opustoszały na skutek wprowadzenia kolejnego lockdownu, a także nadejścia chłódów, to wielki powrót rowerzystów jest tylko kwestią czasu.

Pożycz, pojedź

Do masowego przesiadania się na dwa kółka zachęca nie od dziś mer Paryża, socjalistka Anne Hidalgo. Rządzi stolicą od sześciu lat w koalicji z Zielonymi; w tym roku wybrano ją na drugą kadencję. Hidalgo postawiła na czystą komunikację miejską, pragnąc uczynić z Paryża raj dla rowerów. Kontynuuje w ten sposób politykę ekologicznego przełomu, zapoczątkowaną kilkanaście lat temu przez swego poprzednika w tej funkcji, także socjalistę Bertranda Delanoë (rządził miastem w latach 2001-14).

To właśnie za jego rządów uruchomiono w 2007 r. tzw. veliby, czyli samoobsługowe wypożyczalnie rowerów. Szybko okazały się sukcesem i liczba ich stałych użytkowników z roku na rok rosła (dziś korzysta z nich 400 tys. osób, które opłacają abonament). W ten sposób Paryż stał się we Francji drugą – po Lyonie – metropolią, która udostępniła tego rodzaju sieć wypożyczalni (dziś analogiczny system istnieje także w wielu polskich miastach).

Od kilkunastu już lat stolica Francji zachęca też finansowo do porzucenia samochodów o napędzie spalinowym na rzecz czystego transportu. Jeszcze za rządów Bertranda Delanoë zrealizowano kolejny pomysł: dopłaty z kasy miejskiej do zakupu elektrycznych skuterów lub rowerów z elektrycznym wspomaganie

w wysokości jednej czwartej ich ceny. W dużej mierze dzięki tym dopłatom rowery elektryczne okazały się w Paryżu hitem ery pandemii.

Jak pisze dziennik „Le Parisien”, już od ponad dekady rower jest w Paryżu modny, a pandemia tylko nakręciła popyt na dwa kółka. Do tej pory paryżanin kwitował swój dzień trzema słowami: metro, robota, spanie (w oryginale: métro, boulot, dodo). Teraz stołeczny dziennik stwierdza żartobliwie, że nową dewizą jest: rower, robota, spanie.

Koronaścieżki

Hidalgo idzie konsekwentnie w ślady poprzednika, zamierzając uczynić z Paryża rowerową stolicę Europy. Jednocześnie jej plan jest dużo bardziej radykalny: pragnie do 2030 r. pozbyć się z centrum Paryża samochodów z napędem spalinowym. Jednym z pierwszych kroków w tym kierunku było zamknięcie dla ruchu samochodowego dużej części prawego wybrzeża Sekwany. Zamieniono go w deptak dla pieszych – na nic zdały się protesty kierowców.

Wiosną tego roku, ubiegając się o ponowny mandat wyborców, Anne Hidalgo obiecała zbudowanie tymczasowych 50 km nowych ścieżek, aby odciążyć komunikację miejską w dobie covidu. Jednak budowa – w praktyce oznaczająca zaadaptowanie części jezdni na potrzeby rowerzystów – odbywała się w ogromnym pośpiechu. Zmotoryzowanym odebrano po prostu jeden pas, oddając go teraz użytkownikom dwóch kółek.

Dziennik „Le Figaro” pisał, że wiele takich „koronaścieżek” (po francusku: *coronapistes*) rozkwitło w mieście w ciągu jednej nocy. Zdziwieni paryżanie spostrzegli rano, że w ich dzielnicy pojawiły się nagle namalowane na drodze żółte znaki z rowerami i prowizoryczne barierki, oddzielające pas dla cyklistów od pasa dla samochodów.

„Le Figaro” uważa, że jednym ze skutków pośpiechu w tworzeniu ścieżek są rosnące korki oraz mnożące się wypadki potrącenia pieszych przez rowerzystów. Gazeta pisze, że kierowcy i handlowcy są wściekli, bo np. w pobliżu reprezentacyjnej galerii handlowej La Fayette w ciągu doby z trzech pasów dla samochodów ostatecznie zostało tylko jeden – gdyż drugi zamieniono na ścieżkę rowerową, a trzeci na pas dla autobusów.

W niektórych przypadkach zamknięto dla samochodów całe arterie, np. reprezentacyjną ulicę Rivoli, łączącą Ratusz (Hôtel de Ville) z Luwrem, wraz z królewskimi ogrodami Tuleries. Przeszła ona niemal całkowicie we władanie rowerzystów. Oprócz nich mogą się po niej poruszać tylko autobusy, taksówki i – w określonych godzinach – auta dostawcze.

Nie dla zmotoryzowanych

Nowe poczynania ratusza ucieszyły wielu cyklistów, ale rozsierdziły kierowców.

Paryżanin Jean Mizrahi, szef dużej firmy, jeszcze niedawno poruszał się na co dzień po stolicy swoim ulubionym skuterem. Teraz jednak, jak mówi w rozmowie z „Tygodnikiem”, wyprowadził się z Paryża, bo stolica stała się praktycznie nieprzejezdna dla zmotoryzowanych.

– Zgadza się, że ruch rowerowy trzeba rozwijać, ale nie w sposób taki jak teraz. Uważam go za anarchiczny. W rezultacie potęguje się korki, już i tak wielkie w Paryżu, i paraliżuje się przejazd przez stolicę. A chaos na drodze zagraża głównie zdrowiu rowerzystów, którzy mieli na tym skorzystać – twierdzi Mizrahi.

Faktycznie, według danych policji paryskiej od stycznia do września tego roku liczba rannych rowerzystów wzrosła w mieście o prawie jedną trzecią w porównaniu z tym samym okresem minionego roku. W ostatnich miesiącach odnotowano wśród cyklistów dwa wypadki śmiertelne.

– Obecne władze chcą przekształcić Paryż w miasto-muzeum, bez aktywności ekonomicznej, gdzie w centrum nie będzie miejsca dla samochodów – kwituje szef paryskiej firmy. – To przykład triumfu ideologii, która grozi wymarciem życia w stolicy. Liczę tylko na to, że wcześniej czy później powróci zdrowy rozsądek.

Mizrahi dodaje, że rowery nie są rozwiązaniem dla wszystkich mieszkańców: nie mogą z nich korzystać osoby starsze, niepełnosprawne czy mieszkańcy dalekich przedmieść.

Piraci na dwóch kółkach

Oburzenie zmotoryzowanych to jedno. Innym kłopotem jest fakt, że nowi adeptci dwóch kółek często są na bakier z zasadami ruchu drogowego.



→ Martin (imię zmienione na prośbę rozmówcy), z zawodu dziennikarz, lat 45, ojciec trójki dzieci, od lat jeździ codziennie rowerem do pracy. Trasa – z placu Trocadero do okolic placu Zgody – zajmuje mu ok. 20 minut. Tak jest nie tylko zdrowiej, ale również szybciej niż metrem.

– Od września widzę, że na ścieżkach rowerowych jest okropny bałagan – opowiada Martin. – Po wakacjach pojawili się nowi rowerzyści, znęcani właśnie „koronaścieżkami”. Wielu jeździ ze słuchawkami na uszach, nie zatrzymuje się na czerwonym świetle – wylicza.

Przed brawurą na „koronaścieżkach” przestrzega także Paryż na Siodelku – stowarzyszenie, które od pięciu lat lobbuje na rzecz rowerów. „Są rowerzyści, którzy powinni zrozumieć, że nie jadą w Tour de France, i że jeśli przyjadą pięć minut później do biura, to nic się nie stanie” – mówi agencji AFP przedstawicielka tego stowarzyszenia, Camille Hanuise.

Jednocześnie krytykuje kierowców, którzy jej zdaniem stwarzają dużo większe zagrożenie na drogach niż nieodświadczeni cykliści. W rozmowie z „Tygodnikiem” Hanuise podkreśla, że znaczny wzrost liczby wypadków z udziałem rowerzystów jest zrozumiały, wzięwszy pod uwagę, że w związku z covidem nastąpił boom na dwa kółka. Hanuise dodaje, że według badań ośrodka Ifop z września większość paryżan (59 proc.) popiera nadal budowę w stolicy nowych ścieżek rowerowych i ograniczenie samochodom wjazdu do centrum miasta; przeciwnych temu jest 41 proc. mieszkańców.

Media twierdzą, że w obliczu nowej fali użytkowników dwóch kółek paryska policja ściga od września bez taryfy ulgowej tych rowerzystów, którzy łamią

Dziennik „Le Parisien” żartuje, że o ile do niedawna paryżanin kwitował swój dzień trzema słowami: metro-robotą-spanie, **o tyle nową dewizą jest: rower-robotą-spanie.**

przepisy. Agencja AFP donosi, że przy niektórych ścieżkach rowerowych, np. przy bulwarze Sebastopol, mandaty dla rowerowych piratów syją się wręcz lawinowo. Są wysokie: za przejechanie na czerwonym świetle cyklista może dostać grzywnę w wysokości 135 euro.

Czy jednak winę za chaos na ścieżkach można zrzucić tylko na piratów rowerowych?

Zdaniem Martina „koronaścieżki” robiono w wielkim pośpiechu, czego efektem jest zamieszanie. Uważa, że paryskie ścieżki rowerowe nie tworzą jednolitego systemu komunikacyjnego, jak w miastach Holandii czy Skandynawii. – Mam wrażenie, że projektował jej ktoś, kto nigdy nie jeździł rowerem po Paryżu. Bo jak to możliwe, że ścieżka dla cyklistów przebiega środkiem chodnika dla pieszych, powodując wśród nich pośluch? – pyta.

Miedzy utopią a zdrowym rozsądkiem

Niezależnie od tego, jaki dalszy przebieg będzie mieć pandemia, trudno spodziewać się odwrotu od ekspansji rowerzystów w Paryżu czy w innych francuskich miastach. Nie ulega też wątpliwości, że – mimo wszystkich zarzutów – w ciągu ostatnich dwóch dekad Paryż stał się mia-

stem dużo bardziej przyjaznym dla dwóch kółek. Pozostaje jednak wiele do zrobienia. Jak poprawić bezpieczeństwo ruchu rowerowego? I czy da się pogodzić interesy wszystkich użytkowników dróg?

Anne Hidalgo zapowiedziała już, że kontrowersyjne „koronaścieżki”, planowane jako tymczasowe, pozostaną w mieście po pandemii. Jednak ich trasy mają być skorygowane po konsultacji z mieszkańcami i stowarzyszeniami – tak aby uniknąć kolizji i wypadków.

Kluczową sprawą jest edukacja wszystkich użytkowników dróg. Np. stowarzyszenie Paryż na Siodelku prowadziło widowiskowe akcje adresowane do kierowców. Kilka lat temu grupa aktywistów zablokowała zmotoryzowanym – czyli skuterom i motocyklistom – dostęp do ścieżek rowerowych. Chcieli w ten sposób nakłonić ich do respektowania przepisów. Nie obyło się bez żywiołowych starć działaczy ze zmotoryzowanymi. Akcja zyskała medialny rozgłos i zwróciła uwagę na łamanie praw rowerzystów w stolicy.

Dzisiaj sytuacja dojrzała chyba do tego, żeby zrobić podobną akcję, ale skierowaną do użytkowników dwóch kółek. – Merostwo powinno przeprowadzić kampanię edukacyjną dla cyklistów, żeby nauczyć ich przestrzegania podstawowych zasad ruchu drogowego. Rowerzysta nie może się czuć bezkarnie – mówi Martin.

Przykładów szukać można np. w Strasburgu, który w rankingach cyklistów od lat uważany jest za francuską stolicę roweru. Strasburcy policjanci nie ograniczają się do karania. Co prawda nie wahają się wlepić mandatów rowerzystom łamiącym przepisy, ale stawiają na prewencję: odpytują cyklistów z kodeksu drogowego i tłumaczą konsekwencje pirackich zachowań.

Jak na razie, mimo deklaracji Anne Hidalgo, Paryżowi daleko do rowerowego raj.

Aktywiści rowerowi ripostują: nie od razu Amsterdam czy Kopenhagę zbudowano. Na to, aby wypracować prawdziwą kulturę rowerową, trzeba wielu lat, a nie kilku miesięcy.

Nie mówiąc już o tym, że zwykły paryżanin – obojętnie: za kierownicą, na siodelku czy na przejściu dla pieszych – nie przestrzega przepisów drogowych tak skrupulatnie, jak mieszkaniowiec miast holenderskich czy skandynawskich.

© SZYMON ŁUCYK

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, w Wydziale I Cywilnym, w sprawie sygn. akt I Ns 813/19, toczy się postępowanie z wniosku Alior Banku S.A. w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Henryku Cieślaku, zm. 20 października 2017 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałym w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności spadkobierców Henryka Cieślaka, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia wykazali przed tutejszym Sądem swe prawa do spadku i je udowodnili, w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



Juana Huallpa (z lewej) składa ofiarę z chleba na grobie swojego syna Eriberto na cmentarzu Mercedario w El Alto. Boliwia, 2 listopada 2020 r.

Zagubione dusze

RADOSŁAW POWĘSKA Z BOLIWII

Ołtarze dla zmarłych Boliwijczycy stawiali na Wszystkich Świętych jak kraj długi i szeroki. Dla ofiar koronawirusa ołtarzy jeszcze nie ma.

ROBI SIĘ TŁOCZNO. MUZYCY PRZYGRYWają na andyjskich instrumentach, ale w dzielnicy Senkata w mieście El Alto atmosfera jest poważna. Fotorporterzy przeciskają się przez tłum, walczą o najlepsze ujęcie, kiedy prezydent elekt Luis Arce z Ruchu na rzecz Socjalizmu zapala świecę. Pod namiotem świec jest już mnóstwo. Są też kwiaty, owoce, słodycze i napoje.

Pośrodku położono jedenaście *t'anta wawas* – to chlebki przypominające kształtem ludzkie postaci z naklejonymi twarzami z papieru. Symbolizują dusze, które 1 listopada wracają na ziemię zżytych. Są też zdjęcia zmarłych. Na nich – sami młodzi mężczyźni. Słyszę, że najstarszy miał 38 lat, ale przeważają znacz-

nie młodszy. To ich matki i żony ustawiły ten ołtarz, *mesa*, po ajmarsku *apxata*.

Rok temu, 19 listopada, w Senkata mieszkańcy z ludu Ajmara zablokowali drogę w proteście przeciwko prawicowemu rządowi tymczasowemu, oskarżając go o rasizm. Rząd ten powstał tydzień wcześniej – po tym, jak ustąpił prezydent Evo Morales, oskarżony o sfałszowanie wyborów. Aby umożliwić przejazd konwojowi z paliwem do położonego niedaleko La Paz, policja i wojsko otworzyły ogień do protestujących.

– W boliwijskiej tradycji Wszystkich Świętych *mesas* łączą żyjących ze zmarłymi. Ale gdy chodzi o ofiary masakry, ołtarz staje się polityczny – mówi Reyna Suñagua, jedna z organizatorek.

– To oskarżenie. Chcemy, aby władze o tym nie zapomniały. Dusze mają spoczywać w pokoju, ale nie będzie go, dopóki krewni nie doczekają się sprawiedliwości.

Do dziś winni tamtej masakry pozostają nierozliczeni, a z obiecanych przez rząd odszkodowań rodziny wciąż nie zobaczyły złamanego peso.

Sądziliśmy, że nas nie dosięgnie

Ołtarze dla zmarłych stawiane są 1 listopada w całej Boliwii. Dla ofiar koronawirusa ołtarzy jednak nie ma. – Dopiero zmarli, jeszcze się z tym światem dobrze nie pożegnali – mówi znajomy.

Roger Chambi opowiada, że nie wierzyli, iż epidemia ich dosięgnie. – Białych *jailones*, bogaczy z La Paz tak, bo oni są słabi. Ale nie nas Ajmarów, przecież mieszkamy na wysokości czterech tysięcy metrów i jemy naturalnie. Ale z czasem ludzie zaczęli padać jak muchy. Na moim osiedlu – mówi Roger – co chwilę było słychać muzykę graną na stypach, a na Facebooku wysypały się ogłoszenia znajomych o śmierci w rodzinie albo prośby o osocze ozdrowieńców. W jednej rodzinie zmarła matka, ➔



JUAN KARITA / AP / EAST NEWS

Na cmentarzu Villa Ingenio w El Alto w Boliwii. 2 listopada 2020 r.

→ tydzień później ojciec, potem najstarszy syn. Młodsza trójka, od siedmiu do dziewięciu lat, została sama.

To problem biedniejszej, rdzennej ludności w całym kraju – skarżą się rozmówcy.

Tymczasowa prezydent Jeanine Áñez zaczęła walkę z COVID-19, oblatując kraj helikopterem i modląc się o błogosławieństwo nad kolejnymi miastami. Potem był drastyczny *lockdown*, „kwwarantanna totalna”, jak nazwał go rząd. Z domu można było wyjść raz w tygodniu, pieszo, wyłącznie po żywność, tylko do południa. Patrole wojska i policji wyłapywały „dzikusów”, „nieodpowiedzialnych”, „ignorantów”, jak mówili o łamiących zakazy bogatsi, najczęściej biali Boliwijczycy.

Lud się wkurzył

A w kraju, gdzie 80 proc. mieszkańców pracuje w szarej strefie, pozostanie w domu to wyrok śmierci. Lud żyje z ulicznego handlu, z usług, budowlanki, prywatnego transportu miejskiego. – Zarabiamy i żyjemy z dnia na dzień. Co za różnica, czy umrzemy na covid, czy z głodu? – powtarzali ludzie.

Zaczęły się samobójstwa. Z głodu? Z braku pomocy w chorobie? To mogło

dotyczyć pacjentów, których nie stać na leczenie w prywatnym szpitalu. Z powodu depresji? Może wszystkiego naraz. Do lipca doliczono się 12 „covidowych” samobójstw. Głośno było o 12-latce z Montero, która powiesiła się po kłótni z młodszą siostrą o kawałek trzciny cukrowej i po ostrej reprimendzie matki.

Ludzie się wkurzyli, bo mniej więcej w tym samym czasie prezydent zachęcała do postu i modlitwy o ratunek przed epidemią, a jej córka świętowała urodziny, na które gości z drugiego końca kraju podrzucił wojskowy samolot. Ludzie się wściekli, ponieważ rząd kupił przez pośrednika po zawyżonej cenie kilkaset niesprawnych respiratorów. Brakowało sprzętu, personelu, lekarstw, testów.

Kiedy z braku łóżek chorzy jeździli od szpitala do szpitala i umierali w końcu pod jednym z nich, rząd opóźniał inaugurację nowo wybudowanego szpitala, bo przemaslowywał go z błękitu, koloru partii Moralesa, na zieleń ugrupowania pani prezydent. Był środek kampanii wyborczej.

Lekarstwo od handlarki

Tata Nelsona Cussi zachorował na początku lipca. Przed epidemią był nauczycielem, a w weekendy handlował na

targu. Jak wielu boliwijskich nauczycieli, którzy dorabiają jako murarze, kierowcy busów, drobni kupcy.

– Rodzice mieli przeczekać epidemię w rodzinnej wsi – opowiada Nelson. – Ale tata upierał się, żeby wracać i doglądać swojego straganu na targowisku 16 de Julio. Pewnie dlatego się zaraził. Miał gorączkę i kaszel. Kładłem mu ubite jaja na czoło, stopy i brzuch, obniżałem tak temperaturę. Do picia napary z rumianku, eukaliptusa, syrop z cebuli i czosnku. Jeszcze nie było wtedy słyhać, że najlepsze są napary z naszych rodzimych ziół wira wira (*Achyrocline satureioides*) i matico (*Piper aduncum*). W aptekach już niczego nie było. Jak ktoś miał szczęście, to za jedną tabletkę głupiego paracetamolu płacił 50 bolivianos [równowartość 27 złotych – red.].

– Po pięciu dniach tacie się pogorszyło, zaczęliśmy szukać szpitala – wspomina Nelson. – Zacząłem mu też dawać lekarstwo na chorobę khari khari. Dostajesz ją, jak napadnie cię khari khari osoba, która wyciąga ci z ciała krew lub tłuszcz. Powoli słabnie, aż w końcu umierasz.

Lekarstwo kupuje się od zaufanej handlarki, nie da się go dostać prosto od wytwórców. Nie wiadomo, z czego jest,

pewnie z jakichś ziół, do tego podobno dżdżownice, nikt nie wie na pewno. W każdym razie ojcu Nelsona ten specyfik pomagał.

Nelson: – W końcu udało nam się dostać do szpitala przejściowego, miejsce tylko na noszach. Ale po czterech dniach zabrali tatę do szpitala covidowego św. Jakuba. Nie pozwalali na odwiedziny, nie mogłem mu nic zanieść, kontakt tylko przez telefon. Po kilku dniach tata zadzwonił, że znów źle się czuje. „Dają ci lekarstwa?” – spytałem. Tata odpisał: „Już nic mi nie dają, tylko leżą. Wchodzą na chwilę i uciekają, boją się nas”.

Czy mogło być inaczej

Następnej nocy Nelson miał sen: – We śnie był mój tata, stał i wbijał we mnie wzrok. Nagle rozmył się, jakby zamienił się w plamę światła. Co za dziwny sen, powiedziałem sobie.

Tego dnia razem z matką mieli pójść do *yatiri* – to ajmarski mędrzec, wróżbita i uzdrowiciel. Chcieli złożyć ofiarę za zdrowie ojca i męża.

Nelson: – Tata od rana nie odbierał komórki i zacząłem mieć złe przeczucie. Dopiero o 10.30 udało się skontaktować. Słychać było tylko krótki urywany oddech, jakby umierał. Pędzę więc do szpitala, a tam mi mówią, że tata nie żyje. O 11.15 miał drugi zawał, mówią. Byłem w szoku, nie chciałem w to wierzyć, przecież przed chwilą słyszałem, że żyje!

Nelson poszedł do apteki, aby kupić fartuch i czepek, jakich używa personel. Z tyłu szpitala nie było ochrony, więc wszedł przez garaż. Zapytał sprzątaczkę, gdzie jest kostnica. Opowiada: – Wszedłem. Było tam chyba więcej niż 15 ciał. Na jednym worku było nazwisko taty. Dotknąłem go, był jeszcze ciepły – opowiada, płacząc. – I wtedy zacząłem go reanimować... Nie wiedziałem, co robić, byłem bezsilny. Uderzałem go, tato, obudź się!

Dziś mężczyzna czuje się winny. – Jakbym go nie oddał do szpitala, to mógłby żyć – przekonuje sam siebie. – Później słyszałem, że wiele osób wyleczyło się w domach. Ale wierzyłem, że tak będzie lepiej, bo tam miał butlę z tlenem. Nie respirator, zwykłą butlę. A taka na rynku kosztowała 8 tys. bolivianos. Może gdybym miał znajomości, dałbym łapówkę, mógłby trafić na terapię intensywną z respiratorem.

Zwłoki pacjentów covidowych szły do kremacji, ale Nelson nie chciał, aby ojciec został skremowany: – Zapłaciłem firmie pogrzebowej trochę więcej, żeby ciało ze szpitala przywieźli do domu. Kupiłem trumnę, choć było trudno, rzadki towar. Najtańsze były za pięć tysięcy, ale takie z dykty, były przypadki, że pękały. Szukałem cmentarza, ale nigdzie taty nie chcieli. W Boliwii normalnie chowa się ciało następnego dnia, a on cztery dni leżał w domu, zanim go pochowaliśmy.

– Może napisz, jak ważne jest, żeby korzystać z życia – mówi mi Nelson. – Tu-

taj ludzie poświęcają całe życie na pracę, żeby móc mieszkać w mieście, żeby dzieci skończyły szkoły. Życie ucieka, a powinni spędzić czas z rodziną, wydać czasem trochę na jakąś podróż albo dobre jedzenie.

Kiedy rozmawiamy, jego mama wypatraje przez okno. Nelson zerka i mówi: – Zapominamy się z mamą. Wyglądamy na plac, czy za chwilę nie wróci tata.

Gość niezaproszony

Zanim w sierpniu na ulice miast wyjechały mobilne krematoria, aby rozwiązać problem z lawinowo przybywającymi zwłokami (we wrześniu Boliwia była na trzecim miejscu w świecie pod względem liczby zachorowań i zgonów, liczonych na milion mieszkańców), wiele osób miało problemy z pochówkiem swoich bliskich.

Tak jak Paula Quenallata z La Paz, która w lipcu musiała pochować ojczyńca. Nie dostał się do szpitala, lekarstw nie było, leczył się tylko syropem z czosnku, cebuli, jabłka, pomarańczy i imbiru.

– Przez telefon powiedzieli nam, że dopiero za półtora tygodnia mogą przyjść zrobić test na covid – opowiada Paula. – Kiedy się pogorszyło, dzwoniliśmy po karetkę, ale nie było karetki. Kiedy zmarł, musieliśmy go zawieźć własnym autem do szpitala, żeby załatwić papiery, bez tego pochówek nie był możliwy. Był wieczór, zakaz poruszania się o tej porze, to było przestępstwo przeciw zdrowiu publicznemu. Ledwo ubłagaliśmy →

TYGODNIK
POWSZECHNY

Podkast
Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cykli
podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska
i jej goście

#DOM

czyli rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Sztuka powszechnie nieznana

Magdalena Łanuszka odkrywa
dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Opowieści z Izraela

korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!



Więcej na powszech.net/podkast



SALESiManago
marketing automation



DAVID MERCADO / REUTERS / FORUM

Na ulicy w boliwijskim La Paz, 21 sierpnia 2020 r.

→ policjanta przed szpitalem, żeby pozwolił nam zostać. Ojczym leżał w aucie do następnego dnia rano, bo nikt nie chciał do nas przyjść, ale w końcu załatwiliśmy dokumenty.

Paula: – Potem szukaliśmy firmy pogrzebowej, ale nikt nie chciał przyjąć zlecenia. Postanowiliśmy pochować go sami, cmentarze jednak odmawiały. W końcu dostaliśmy zgodę na pochówek we wspólnocie na wsi, 70 km od La Paz. Mama stamtąd pochodzi i z ojczymem ciągle mieli tam kawałek ziemi. Postanowiliśmy zawieźć tam zwłoki sami.

Wyjeżdżając z La Paz, co rusz trafiali na kontrole. Paula: – Prywatne auta bez autoryzacji nie mogą przejechać, do tego z ciałem. Mandat, kolejny, kolejny, zawracajcie! Kilku policjantom udało się dać łapówkę, ale znów trafiliśmy na upartego, który nas zawrócił. W końcu po trzech dniach znaleźliśmy firmę pogrzebową, która za 17 tys. bolivianos zgodziła się zawieźć ciało na wieś.

– Gdy przyjechaliśmy, było już ciemno – opowiada. – Świeciliśmy komórkami, kopiąc grób. Ja, mój mąż i brat kopaliśmy grób, ale mieliśmy tylko dwie łopaty, więc odgarniałam ziemię rękami. Rano przyszli do nas mieszkańcy wioski i pytali: czemu nie przyjechaliście, kiedy świętowaliśmy pożegnanie wirusa?

W wielu wspólnotach w Boliwii rdzenni mieszkańcy wierzyli, że covid jest jak wizyta. Jak nieproszony gość, którego należy jednak przyjąć serdecznie, tańcem, śpiewami i ucztą, aby jak najszybciej zadowolony sobie poszedł.

To jeszcze nie ich czas

– Nasza ciocia zmarła – opowiada Roger. – A po pięciu dniach, kiedy zdobyliśmy miejsce na cmentarzu i mieliśmy ją chować, zmarł wujek, jej mąż. Kuzyni zapłacili więc ludziom z cmentarza i pochowali wujka od razu w tym samym grobie.

Roger mówi, że był przerażony. Jak to? Kilka dni i kolejna śmierć? – Siostra zmarłej, ciocia Gregoria, płakała, że tak strasznie ją pochowali, w worku do trumny, nieuczesaną, bez jej najlepszej spódnicy, bez kolczyków, bez kapelusza. Babcia płakała, że przez kwarantannę nie mogliśmy zrobić niezbędnych rytuałów.

O ofiarach covidu *yatiris* mówią, że to nie był jeszcze ich czas, tak jak ofiar wypadków. Takim osobom trzeba zrobić rytuał pożegnania, bo dusze mogą być zagubione.

Roger: – Oprócz tego zwyczaj każe, że trzeciego dnia po śmierci pierzemy w ręce ubrania zmarłej osoby. Wierzymy, że kiedy ktoś umiera, może zabrać ze sobą kogoś jeszcze. Żeby zmarły

nie zabrał swoich dzieci, podczas prania krewni biją je mokrymi ubraniami po plecach, w stopy, żeby każda cząstka zmarłego, która pozostała na dzieciach, odeszła razem z nim. Kiedy odzież schnie, robimy piknik i wspominamy zmarłego. Wyschniętą odzież palimy i w popiele od czytujemy, czy następny zmarły w rodzinie będzie mężczyzną czy kobietą.

Przez epidemię te rytuały nie były możliwe. Roger: – Ja, moja dziewczyna i moja mama też byliśmy chorzy. Zaczęliśmy brać lekarstwo na khari khari. Nikt nie wie, z czego się je robi, ja słyszałem, że z ludzkiego łożyska. Oprócz tego robiliśmy napary z matico i wira wira. To była nasza jedyna broń. Ludzie bali się iść do szpitala, tam mogłeś umrzeć najszybciej. W czerwcu urodził się mój siostrzeniec, ale w domu, z akuszerką, bo w szpitalu siostra z synkiem tylko by się zarazili.

Roger uważa, że epidemia pokazała kompletną bezradność państwa: – Mogliśmy liczyć tylko na siebie i naszą własną medycynę naturalną, na nasze tradycje. Działania rządu były oderwane od rzeczywistości. Nie ma go, kiedy potrzebna jest pomoc zwykłym ludziom. Ten rząd pojawia się tylko po to, żeby mówić ci, czego nie możesz robić, zabrać ci pracę, obrażać cię, wyzywając od dzikusów.

Dusze wrócą za rok

W sierpniu cała Boliwia stanęła w blokadach. Ludzie domagali się wyborów. Miały być w maju, ale władze ciągle je przekładały, bo epidemia. Protestujący nie bali się wychodzić – mówili, że nie mają już nic do stracenia. Osamotnieni, ze wszystkim radzili sobie sami. Polityczny chaos, kryzys gospodarczy, brak pomocy podczas epidemii pchały ludzi na ulice. Zmiana władzy była jedyną nadzieją. – Rząd mówi, że przez blokady nie mogą dowieźć sprzętu do szpitali. To kłamstwo! – krzyczała protestująca kobieta. – Zresztą, czy my załapiemy się na respiratory? Nie, one są tylko dla bogatych!

W końcu, w niedzielę 18 października, przeprowadzono długo wyczekiwane wybory. Miażdżące zwycięstwo odniosła w nich partia usuniętego rok wcześniej prezydenta Moralesa.

Tradycyjnie 3 listopada Boliwijczycy pożegnali dusze bliskich, które przyszły z wizytą na Wszystkich Świętych.

Dusze wrócą za rok. Razem z nowymi.

© RADOŚLAW POWĘSKA

GDZIE JESTEŚ?

Rdz 3,9

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK SPECJALNY

**80. rocznica zamknięcia
getta warszawskiego**

„TP” 47/2020

WHERE ART THOU?

Gen 3:9

16.11.20 — 25.04.21

TEMPORARY EXHIBITION

WYSTAWA CZASOWA

16.11.20 — 25.04.21

Gdzie jesteś?

PAWEŁ ŚPIEWAK

**To jest wystawa adresowana do nas, żyjących dzisiaj.
Zbudowana z naszej czułości i zarazem wstydu, który nosimy,
z naszej bezradności wobec skali niewyobraźnego zła.**

Bóg zwraca się do nas pytaniem: gdzie jesteś? Nie jest to pytanie o miejsce zamieszkania, adres, ale o to, kim jesteśmy, co wiemy o sobie, gdy poznajemy siebie w sytuacji utraty niewinności i gdy rodzi się pierwsze poczucie winy. Pytanie: „gdzie jesteśmy?” jest dla osób mniej bądź bardziej religijnych pytaniem o ukrycie przed Jego obecnością. Czy potrafimy dostrzec choć część tego, co widzi Bóg?

W przypadku naszej ekspozycji są to pytania adresowane do widzów wystawy. Gdzie jesteśmy, patrząc na getto i zagładę Żydów? Czego dowiadujemy się o sobie, oglądając zdjęcia ze Śliskiej, Siennej, placu Grzybowskiego? Co widzimy na rysunkach wykonanych pośpiesznie w dzielnicy żydowskiej? Na co patrzymy, mając przed sobą okupacyjne zdjęcia niemieckie i żydowskie? Co słyszymy w okupacyjnych zapiskach? Gdzie jesteśmy?

Czy i do jakiego stopnia potrafimy współodczuwać i rozumieć ludzi w skrajnym poniżeniu, w sytuacjach granicznych? Co to w nas zmienia? Czy jesteśmy w stanie roztopić w sobie lód, którym chronimy siebie przed porażającymi obrazami i faktami? Czy wystarczy nam obojętności i dystansu, by dzisiaj w miarę spokojnie patrzeć na głód, śmierć na chodniku, zebrzące dzieci, łachmaniarzy? Czy mamy poczucie, że to działo się zaledwie osiemdziesiąt lat temu, na ulicach, jakie znamy, oswoiliśmy?

Topografia miasta

Znajdujemy się teraz na terenie getta. W tym miejscu, w tym budynku, gdzie obecnie mieści się Żydowski Instytut Historyczny, w czasie wojny urzędnicy Żydowskiej Samopomocy Społecznej wsłuchiwali się w relacje nędzarzy, wygnańców, osób wygłodzonych. Łączył ich wspólny los, naznaczony opaską z gwiazdą Dawida oraz ceglanym murem. Zostali, jak się okazało, na zawsze oddzieleni od reszty świata, od rasy ludzkiej. Byli bezsilni. Mogli tylko krzyczeć, prosić o pomoc. Pewnie wpadali w rozpacz, gdy tej pomocy brakło lub była zbyt mała. Urzędnicy zapisywali skargi, żądania, prośby, dzielili skromne fundusze.

To jest wystawa adresowana do nas, żyjących dzisiaj. Zbudowana z naszej czułości i zarazem wstydu, który nosimy, z naszej bezradności wobec skali niewyobraźnego zła. Urodziłem się w domu, w którym tamto cierpienie było czę-

ścią codzienności. Byłem nim przygnieciony, miałem jakieś niezrozumiałe poczucie winy wobec ojca i bezwiednie zadawałem sobie pytanie, kim jestem wobec ich przeżyć. Nie tyle niosłem w sobie poczucie ulgi, urodziłem się już po wojnie, ale rodzaj mgły czy ciemności, z której utkany był mój dom.

Nie sądzę, że byłem w swoich odczuciach wyjątkowy. Ta przepaść i bliskość owych czasów jest oczywista dla każdego wrażliwego człowieka. To nie jest pytanie, kim bym był tam w getcie. To jest poza wyobrażeniem. Ale jest i będzie w nas pytanie o nas samych, naszą wewnętrzną integralność, naszą wiedzę o sobie samych w zetknięciu z radykalnym złem.

Opublikowano setki relacji, pamiętników, opracowań historycznych. Ale większość ludzi, ta bezimienna masa, trafiła do dołów zapomnienia. Nie znamy ich imion, nazwisk. Nie mamy ich fotografii. Ocalało i przetrwało do naszych czasów kilkaset zdjęć, dwa krótkie filmy (jeden ohydny, szyderczy powstał na potrzeby nazistowskiej propagandy). Ocalało niewiele budynków. Teraz niszczeją. Rychło zostaną zburzone, zastąpione przez hotele czy biurowce. Przestrzeń i topografia miasta niewiele ma wspólnego z tą wojenną. Najważniejsze z ulic, jak Nalewki czy plac Muranowski, zniknęły. Również nasz budynek został ukryty za topornym wieżowcem, jakby Warszawa miała się odwrócić od swojej przeszłości i od pamięci o getcie.

Nie jesteśmy w stanie na planie miasta odnaleźć ulic Mylnej, Wołyńskiej, Tłomackie, placu Muranowskiego. Na tużpowojennych zdjęciach widzimy kilometry gruzu. Nie było śladu ulic. Była pustka, przez kilka powojennych lat odseparowana milicyjnym kordonem od reszty miasta. Nikt nie zna już języka warszawskich Żydów. Przeszłość się odrealniła, uparczywie zamieniana dzisiaj w patetyczny banał i pocziwe, a głupawe zawołanie: nigdy więcej.

Głosy

Jak współcześnie pokazywać getto? Jak ukazać ludzi tam zapędzonych, umierających z głodu, z chorób, zsiniałych ze zmęczenia i wygłodzenia? Z pewnością nie liczymy na nawet najlepszy film fabularny. Tam się wszystko inscenizuje, robi wrażenie, udaje, karmi i w istocie krzywdzi widza. Dobrze odżywieni aktorzy i statyści po sutych kolacjach i dobrych śniadaniach przebierają się w jakieś upozorowane na stare

łachy stroje, a charakteryzacja nadaje ich twarzom niezbędny blady wyraz. Nawet śmierć się inscenizuje. Ma robić wrażenie, ale z prawdą zdjęć, rysunków gettowych, z licznymi opisami archiwalnymi ma to bardzo niewiele wspólnego. Widz ma wyjść z ciemnej sali kinowej na światło dnia z poczuciem ulgi.

Postanowiliśmy wyjść poza znane nam schematy czy wręcz konwencje opowiadania o getcie. Wybraliśmy kilka narzędzi.

Najważniejszy jest głos ludzi zamkniętych za murem w ich czasie wypowiedzi. Mają mówić ci, którzy nie znają przyszłości, są zanurzeni w codziennym żywiole cierpienia tak, jak je widzą, jak mogą je opisać. Znają tylko swoją terażniejszość i przeszłość. Jeszcze nie wiedzą, jak to się wszystko skończy. To im musimy oddać głos. Mają do nas mówić i proszą, domagają się wysłuchania. Te słowa nie są zapisane na kartkach papieru. Do przeczytania. Mówią głosami aktorów.

Ta wystawa mówi rysunkami tworzonymi na gorąco, wykonanymi w getcie zarówno przez znanych, jak i niezapamiętanych artystów. Są tu rysunki między innymi Witolda Lewinsona, Romana Kramsztyka, Teofili Reich-Ranickiej. Niektóre z nich zyskały już status ikony, stały się znakiem rozpoznawczym getta, jak choćby szkic Kramsztyka przedstawiający ojca niosącego dzieci czy rysunek Lewinsona z wychudzoną dziewczynką wgrzyzającą się w ogryzek jabłka.

Najważniejsze dla nas: mają do nas przemawiać głosy, rysunki, fotografie z czasów wojny, tak, by zmuszać do myślenia, pozwolić zobaczyć getto takim, jakie je opisywali ci, którzy w nim się znajdowali. Wyszukaliśmy relacje w Archiwum Ringelbluma. To jest niewyczerpany skarb. Bez tych relacji nie mielibyśmy tak wnikliwej wiedzy o warszawskim getcie, sytuacji Żydów w Polsce. Dzieło Ringelbluma i jego liczne zespoły słusznie trafiło na listę Pamięć Świata. Ta pamięć porusza się po najwyższych rejestrach cierpienia i piękna.

Pamięć, czułość i emocje

Problemem dla mnie i osób przygotowujących wystawę było takie pokazanie getta, które oddawałoby jego dramat. Jak ukazać getto, a zarazem oddać to, co w tych przeżyciach jest uniwersalnego, odsłania nasze cechy antropologiczne. To jest wystawa o Żydach, getcie, im składamy hołd i im ofiarowujemy pamięć, czułość i emocje. To jest też wystawa o ludziach postawionych w sytuacjach granicznych.

To pojęcie czerpię z dzieła Karla Jaspersa. Opisuje ono sytuacje skrajne, takie, w których człowiek wykracza poza znane normy, szeroko akceptowane dotąd poglądy oraz zwyczaje i niejako staje nagi, bezbronny, zaskoczony, porażony niewyobrażalnymi dotąd sytuacjami, w których próbuje się odnaleźć na poziomie fizyczności i psychiczności. Ciało i nasza fizjologia krzyczą. Do nich zostajemy często sprowadzeni, co nie znaczy uprzedmiotowieni. Nie oznacza to też, że postawieni w obliczu takich sytuacji widzimy się lepiej czy pełniej. Nie sądzę, by tak było w chorobach czy głodzie. Widzimy się inaczej, ale bynajmniej nasza egzystencja nie zyskuje przez to jakiegoś objawienia czy głębszej samowiedzy.

Tu nie ma jakiegś gry z wolnością czy szyframi transcendencji. Zapewne najbardziej odczuwamy zerwanie z dawną rzeczywistością, poniżenie, rozpacz. Pewnie tych słów nam



Witold Lewinson „Brzemienna”, 1942 r.

■ Ilustracje i zdjęcia w tym wydaniu ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego

brakuje i tylko Hiob, zgarniając łyżką ze swego ciała strupy, krew i błoto, mógłby nam je podpowiedzieć.

22 miesiące

Nie mam wątpliwości, że od początku wojny zwłaszcza Żydzi polscy doświadczali sytuacji ekstremalnych, których nie mogli znać z przeszłości, nie wiedzieli, jak się w nich odnaleźć, ba, nie mieli ich zapowiedzi w żadnym religijnym doświadczeniu historycznym. Dawne słowo *churban* – zniszczenie, znane z ksiąg Jeremiasza, pisanych w czasach zburzenia Pierwszej Świątyni, nie znajdowało tutaj zastosowania. Churban było karą za grzechy, za niewierność Wiekui stemu, idolatrię. Ale jakże winić dzieci, chasydów, *mitnagdim* i setki tysięcy Żydów za ich wyimaginowane przewiny? Teodycea dobiegła kresu. Nie było na nią już miejsca. Rabini, a przynajmniej jeden, Kalonimus Szapiro, byli tego świadomi. Zerwanie z przeszłością było całkowite.

Porządkowaliśmy te relacje, rysunki, opisując poszczególne sytuacje graniczne. Są częściowo umieszczone na osi czasu. Większość powraca w rzeczywistości gettovej i niemal wszyscy zamknięci ludzie je przeżywali. Pisząc o nich, odrywam się od imion i nazwisk autorów tych tekstów. Nie wnikam w indywidualne biografie. Nie zajmuję się tym, co nazwałbym socjologią getta, czyli społecznymi, powtarzalnymi formami zachowań zbiorowych. Chcę zwrócić uwagę na te sytuacje, które dotykały wszystkich i które odsłaniały wymiary ludzkiego cierpienia. O radościach tutaj nic nie ma, choć musiały być. Choćby chwilowe, takie mogło dawać słońce ogrzewające dwoje wygłodniałych dzieciaków;

→ rychło zmarli z głodu, o czym pisała Rachel Auerbach w dzienniku.

Trudno zatrzymać się przy osi czasu, która jakoś pomaga porządkować wydarzenia. Znany jest początek i kres. Jest to czas wspólny, w którym wszyscy mają się odnaleźć. Ten czas był bardzo szybki i krótki. Getto w swej masie istniało od listopada 1940 do września 1942 r. Czyli 22 miesiące. To niewiele dla kogoś żyjącego w czasie pokoju, wedle swoich codziennych rytuałów i zwykłych zmarli. Te 22 miesiące, jak pisał Ringelblum, miały tempo obrazu filmowego.

Czas był bardzo intensywny. Każdy niemal dzień trudny do przeżycia. Zamknięto mury getta, wprowadzono dziesiątki ograniczeń, w tym zakaz opuszczania getta, a wyjście z niego karano śmiercią. Od 17 kwietnia 1942 r. wzmógł się terror. Niemcy zabijali przechodniów, działaczy politycznych, szmuglerów. Tysiącami wywożono ludzi do obozów pracy. Ponad sto tysięcy mieszkańców getta umarło z powodu chorób, głodu, wycieńczenia, zanim zaczęły się wywózki. Nie było pracy. Oszczędności starczały na krótko. Wyprzedawano wszelkie dobra, aż rodziny wpadały w nędzę i zaczynał się prawdziwy głód.

Działy jednak szpitale. Istniały też teatry, rewie. Setki kawiarni i knajp było otwartych. Wypijano morze wódki. Setki ton towaru szmuglowano przez mur w obie strony. Warszawa żyła z getta, jak pisał świetny prozaik Ludwik Hering. Karmiła się jego nędzą. Ulice dzielnicy zamkniętej wypełniały tłumy ludzi. Trudno było aż po nich przejść. Szli jeden za drugim. Na ulicach leżały trupy, które wymijano, z trudem miłosiernie przesuwano na bok. Setki żydowskich policjantów krążyło po getcie. Oni też jak śmierć polowali na swoje ofiary. Poniżone nędzą dziewczyny sprzedawały się dla chleba.

© PAWEŁ ŚPIEWAK

Autor jest dyrektorem Żydowskiego Instytutu Historycznego im. Emanuela Ringelbluma, współautorem wystawy „Gdzie jesteś? Rdz 3,9”. Tekst jest fragmentem dłuższego eseju, który znajduje się w katalogu wystawy.



Na ul. Karmelickiej, 19.09.1941

Fotografia Heinrich Jöst

Niebo

ABRAHAM LEWIN

W getcie wszystko się zmieniło. Tylko jedna rzecz pozostała nienaruszona – głębokie, błękitne niebo. Tylko tam nie sięga władza wszechmocnej dyktatury.

Każdy człowiek nosi w sobie odzwierciedlenie nieba. Patrzymy na nie cały dzień i pół nocy, ale pamiętamy je jedynie z wyglądu w pewnych momentach. (...)

Noszę w sobie obraz nieba widzianego w różnych okresach mojego życia i w różnych krajach. Zatem żyje we mnie do dnia dzisiejszego obraz nieba, które jednego razu w dzieciństwie widziałem z chederu (na Muranowie, w Warszawie) w deszczowy dzień, zdaje się, że był to właśnie Lag ba-Omer. Niebo było szarobłękitne, pokryte czarnymi chmurami, które gnały z wielką prędkością. Szybki bieg chmur wywarł na mnie duże wrażenie, tak jakbym dopiero pierwszy raz zauważył, że chmury mogą gnać tak hendum-pendum.

Niebo to, z prędko gniającymi lecącymi chmurami, pozostało mi w pamięci na całe życie. Byłem wtedy chłopcem w wieku 7–8 lat.

Pamiętam też niebo, które widziałem wieczorem z balkonu jednej z ulic we wschodniej części Berlina. Niebo pokryte było wspaniałą pajęczyną lekkich chmur, które tworzyły tajemniczą piękną mozaikę różnych geometrycznych kształtów. Siedziałem długo, patrzyłem i myślałem: jakże piękne i zachwycające może być niebo również w Berlinie! Było to latem 1923 r. Również tamto berlińskie niebo noszę w sobie do dziś.

Pamiętam również niebo z Erec Israel pewnego popołudnia w lutym 1924 r. Właśnie spacerowałem szosą z Mikwe Israel. Trochę padało. Jak



Szmugiel, Archiwum Ringelbluma



Widok ul. Miłej w czasie wielkiej akcji likwidacyjnej, 1942 r.

zwykle się zdarza w Erec Israel, zaraz się przejaśniło i pojawiła się tęcza, długa, długa tęcza. To właśnie szerokie niebo z Erec Israel z wielobarwną tęczą głęboko zapadło mi w pamięć. Zdawało mi się, że takiej świetlistej tęczy nie można zobaczyć w żadnym innym zakątku świata. I tamtejsze niebo z tęczą żyje w mojej duszy po dziś dzień. (...)

Wszystkie te wspomnienia na temat nieba przysły mi na myśl, kiedy przyglądałem się ludziom w getcie. Nic nie wygląda tutaj tak jak kiedyś, przed wojną. Ulice nie są takie same: teraz są brudne, opuszczone. Domy – wiele jest zniszczonych, w ruinach. Ludzie całkiem nieswoi. Chrześcijan nie widzi się w ogóle, z wyjątkiem nielicznych urzędników podatkowych i inkasentów gazu i elektryczności. Żydzi wyglądają raczej jak cienie, a nie jak ludzie. Spotyka się czasem tego czy tamtego, którego nie widziało się już dłuższy czas, i można się przestraszyć: ciężko po prostu rozpoznać. To nie jest ta sama osoba, tylko cień dawnej osoby. Jednym słowem: w getcie wszystko się zmieniło. Tylko jedna rzecz pozostała nienaruszona – głębokie, błękitne niebo. Tylko tam nie sięga władza wszechmocnej dyktatury. Mogą się do niego poderwać ciężkie bombowce i warczeć przeraźliwie, ale jakie znaczenie mają one w porównaniu z głębokim, wielkim i wolnym niebem? Często patrzę na niebo i dochodzę do wniosku, że niebo w getcie jest również piękne i zachwycające, nie jest brzydsze niż niebo w Rzymie i gdzie indziej. Jest to jedyne pocieszenie dla oka i dla duszy.

Bo gdzie indziej mamy zwracać nasz wzrok, kiedy dookoła unosi się destrukcja, zagłada i naga, zimna śmierć? Jednego brakuje naszemu gettowemu niebu: nie ma horyzontu. Getto jest tak małe i otoczone murami i ruinami. Nie ma wolnego miejsca, aby oko mogło swobodnie objąć większe pole i zobaczyć szerszy kawałek nieba z horyzontem. Widzimy je jedynie tak, jak aresztowany ze swojej celi. To jest bardzo smutne i przygnębiające.

Jedynie na cmentarzu na Gęsiej otwiera się dla nas szersze pole i szersze niebo. Jest jednak kłopot, że również cmentarz znajduje się poza granicami getta i „normalnie” trzeba wcześniej zamknąć oczy, zanim można swobodnie tam dotrzeć. Wtedy jest już jednak wszystko jedno: wąskie czy szerokie niebo, z horyzontem czy bez.

Hitler odebrał nam wszystko: przestrzeń, powietrze, chleb, nawet niebo. ©

■ Abraham Lewin, 30 czerwca 1942 roku; źródło: „Dziennik”, oprac. Katarzyna Person, w: „Archiwum Ringelbluma. Konspiracyjne Archiwum Getta Warszawskiego”, t. 23: „Dzienniki z getta warszawskiego”, oprac. Katarzyna Person, Zofia Trębacz, Michał Trębacz, Warszawa 2015 (tłum. Adam Rutkowski, Magdalena Siek), s. 87–88.

ABRAHAM LEWIN (1893-1943) był nauczycielem, w getcie warszawskim członkiem Oneg Szabat. Jego „Dziennik” odnaleziono po wojnie, został opublikowany przez Żydowski Instytut Historyczny.

„Gdzie jesteś? Rdz 3,9”

Wystawa w Żydowskim Instytucie Historycznym im. Emanuela Ringelbluma w Warszawie
16 listopada 2020 – 25 kwietnia 2021

Kuratorzy wystawy: PAWEŁ ŚPIEWAK, PIOTR RYPSOŃ we współpracy z ANNA DUBIŃSKĄ-SZULC i AGNIESZKA OLSTEN

Aranżacja wystawy:
ANETA FANER, MARCIN KWIETOWICZ

Opracowanie graficzne:
JAKUB WOYNAROWSKI

Relacje czytają: MARTIN BUDNY, MATEUSZ DAMIĘCKI, MAGDALENA LAMPARSKA, JERZY RADZIWIŁOWICZ

Patronat honorowy



PREZYDENT MIASTA STOLECZNEGO WARSZAWY

Patronat medialny



dwójka
POLSKIE RADIO

Wystawie „Gdzie jesteś? Rdz 3,9” towarzyszy katalog, pod tym samym tytułem do 30.11 do pobrania bezpłatnie ze stron www.jhi.pl i www.ksiegarnianatlomackiem.pl.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Wystawę „Gdzie jesteś? Rdz 3,9” przygotowano w ramach upamiętnienia 80. rocznicy zamknięcia getta warszawskiego. Całość obchodów została dofinansowana ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa i Sportu.

Więcej informacji o wystawie i obchodach na www.jhi.pl

Jesień 1940 roku w Warszawie

MARTA JANCZEWSKA

Wyznaczony na dzielnicę żydowską obszar był dalece niewystarczający dla mającej tam zamieszkać, prawie 400-tysięcznej społeczności warszawskich Żydów.

W isiałyśmy jak ptaki na gałęzi, uczone jednym pazurem nad ciemnością i niewiadomym” – w ten poetycki sposób w październiku 1940 r. Zofia Nałkowska oddała niepewność mieszkańców stolicy, wśród których od wielu miesięcy krążyły pogłoski o planowanych przez Niemców przesiedleniach ludności w obrębie miasta (w tym także o powstaniu getta dla Żydów). Kiedy 12 października 1940 r. (w żydowskie święto Jom Kipur) uliczne megafony na warszawskich ulicach podały rozporządzenie gubernatora Fischera o utworzeniu trzech dzielnic mieszkaniowych – niemieckiej, polskiej i żydowskiej, okazało się, że pogłoski przybiorą ostatecznie realny kształt, a konsekwencją rozporządzenia będzie przymus zmiany

miejsca zamieszkania, obejmujący około 25 proc. ludności miasta.

Mimo że planowana relokacja objęła zarówno ludność żydowską, jak i polską (sama Nałkowska także miała opuścić swoje mieszkanie przy ul. Podchorążych w związku z planowaną dzielnicą niemiecką), to przesiedlenia jesienią 1940 r. nie były wyznacznikiem wspólnego losu dwóch nacji. Podczas gdy dla Polaków przymusowe przeprowadzki (choć wiązały się z wieloma życiowymi dramatami) były zmianą miejsca zamieszkania, dla Żydów stały się kolejnym etapem trwającego procesu izolacji, którego elementami były wprowadzone wcześniej przez Niemców dyskryminujące prawa i stygmatyzujące opaski. „Nieliczni współczują, większość jest obojętna” – podsumował historyk Emanuel Ringel-

blum postawy polskiej ludności wobec antyżydowskiego ustawodawstwa.

Korekty granic getta

Ulice Warszawy opanował nieopisany chaos, potęgowany jeszcze przez nowe zarządzenia w sprawie getta, pojawiające się w ciągu następnych tygodni. Podstawową kwestią był brak jasno sprecyzowanych granic między dzielnicą polską a żydowską oraz ciągłe ich korekty i przesunięcia.

Nie miały wpływu na te zmiany miały starania Polaków, by w miarę możliwości swoje nieruchomości wyrwać z terenu getta. Biura w urzędzie szefa dystryktu wypełniły się polskimi petentami, którzy na różne sposoby, najczęściej przy pomocy łapówek, usiłowali uzyskać korzystną dla siebie zmianę granic między dzielnicami. Do prób wyrwania poszczególnych ulic



Ludzie na ul. Koźlej, 27.06.1941, fotografia Willy Georg

z projektowanego getta włączył się Zarząd Miejski, który wziął na siebie reprezentowanie jedynie społeczności chrześcijańskiej, pozostawiając Radzie Żydowskiej reprezentowanie Żydów. Katolicy księża zbierali podpisy, by mieszane narodowościowo ulice pozostały poza gettem, m.in. ulica Nowolipki (ze względu na znajdujący się przy niej kościół), a księża z parafii przy ul. Leszno nakazywali parafianom nie opuszczać mieszkań, by w ten sposób zachować ulicę dla chrześcijan (ostatecznie i Nowolipki, i Leszno znalazły się w obrębie getta).

„Okaze się, że ten cel – uzbrojenia jednej części społeczeństwa przeciw drugiej – osiągnęli Niemcy stosunkowo łatwo: przecież teraz dla Żydów każde obcięcie obszaru ghetta jest klęską!” – komentował te praktyki historyk Ludwik Landau, odnosząc się do faktu, że wyznaczony na dzielnicę żydowską obszar był dalece niewystarczający w porównaniu do mającej tam zamieszkać prawie 400-tysięcznej społeczności warszawskich Żydów. Co kilka dni wśród Żydów rozchodziły się plotki o „zagrożeniu” kolejnych ulic, znajdujących się pierwotnie w obrębie getta, a ludzie, którzy zmienili już swoje mieszkanie, musieli się w wyniku korekt granic po raz kolejny przeprowadzać, w przeprowadzkach tracąc resztki swojego dobytku.

Choć uliczne megafony powtarzały, że w stosunku do Żydów, którzy nie wyprawdzą się do getta do 31 października, zastosowane będą „wszelkie rozporządzone kary”, zwlekano z przeniesieniem się do ostatniej chwili. Mimo starań Polaków, by wyłączyć z getta jak największą część miasta, w dzielnicy żydowskiej pozostało ostatecznie wiele polskich zakładów produkcyjnych, których pracownicy każdego dnia za specjalną przepustką mogli wchodzić do getta.

Przypadek mienia

Największą troską tysięcy warszawiaków stało się znalezienie mieszkania na terenie odpowiedniej dzielnicy. Ściany domów pokryły się ogłoszeniami osób, które chciały wynająć pokój lub mieszkanie w „żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej”. Szybko powstawały firmy pośredniczące w wymianach lokali między rodzinami (przykładowe ogłoszenie z „Nowego Kuriera Warszawskiego” z połowy października 1940 r.: „Solidnie, dyskretnie załatwia zamianę wszelkich lo-

kali dzielnicy aryjskiej na obmurowaną Firmą »As«, Nowogrodzka 26 m. 1”).

Zamiany mieszkań na własną rękę były dozwolone, pod warunkiem że zostały one zatwierdzone przez Miejskie Biuro Kwaterunkowe. Przy Radzie Żydowskiej powstało także Biuro Kwaterunkowe, którego zadaniem było szukanie lokum dla tych, którym nie udało się to na własną rękę. Z powodu braku wolnych lokali najuboższych dokwaterowywano siłą do obcych rodzin; zdarzało się, że w jednym niedużym pokoju musiała pomieścić się cała kilkusobowa rodzina.

Między sytuacją Polaków i Żydów nie było symetrii. Polacy mieli do dyspozycji większy wybór lokali w różnych dzielnicach miasta; poza tym opuszczane przez nich mieszkania na terenie przyszłego getta były w przeważającej części biedne i ciasne. Nad Żydami wisiał przymus przeprowadzki na bardzo ograniczoną przestrzeń, z zakazem przewożenia dużych mebli (ostatecznie Niemcy nie egzekwowali tego ograniczenia), z widmem „getta zamkniętego”, którego nie będzie można opuszczać. Ze strony Polaków dochodziło do licznych nadużyć: zamieniając swoje mieszkania z Żydami, żądali odstepnego, przewiezienia swoich rzeczy, remontu mieszkania pożydowskiego etc.

Żydowscy właściciele starali się przenieść swoje sklepy i warsztaty na teren projektowanego getta lub próbowali je zabezpieczyć, najczęściej sporządzając antydatowane umowy i przepisując formalnie nieruchomości na „aryjskich” znajomych i sąsiadów (nie odnosiło się to do żydowskich domów mieszkalnych, które przeszły w zarząd komisaryczny). Wobec niepewności losu, a także przekonania, że przeprowadzka jest tylko na kilka miesięcy, często zostawiano u Polaków co cenniejsze meble czy inne wartościowe przedmioty. Najczęściej liczone, że w potrzebie łatwiej będzie je Polakom spieniężyć i przesłać właścicielom pieniądze do getta.

Historyk Emanuel Ringelblum szacował, że późniejszy zwrot oddanych na przechowanie ruchomości dotyczył zaledwie ich 5 proc. W pozostałych przypadkach mienie przepadało, przywłaszczone przez nieuczciwych sąsiadów, którym łatwo było wykorzystać fakt, że Żydzi „znikali” za murem. „Nawet porządni Polacy nie oddają rzeczy wziętych od Żydów [na przechowanie]. Żądają pieniędzy za pilnowanie. Inni oświadczają, że zwróca-

po wojnie” – notował Ringelblum (zapis z 27 listopada 1940 r.).

Zamykanie dzielnicy

W ostatnich dniach października 1940 r. ulice Warszawy wypełniły się konnymi wozami meblowymi i ręcznymi wózkami załadowanymi dobytkiem przesiedleńców. Zwłaszcza na moście Kierbedzia powstawały zatory, tworzone przez Żydów praskich przenoszących się na teren getta. Mimo że ceny przewozu mebli wzrosły kilkakrotnie, starano się zabrać najpotrzebniejsze przedmioty, zwłaszcza że nowe mieszkania były często ogłaćane przez poprzednich mieszkańców ze wszystkiego. Ostatecznie w związku z tworzeniem getta miejsce zamieszkania zmieniło 113 tysięcy Polaków i 138 tysięcy Żydów. (Jeśli chodzi o wysiedlenia w związku z tworzeniem dzielnicy niemieckiej, to były one prowadzone niekonsekwentnie i trwały aż do 1944 r.).

Zamknięcie getta 16 listopada 1940 r. było dla Żydów zaskoczeniem. Wielu nie zdążyło przenieść swoich warsztatów i sklepów, tracąc bezpowrotnie źródło dochodów. Polacy mogli jeszcze przez dziesięć dni wchodzić do zamkniętej dzielnicy. Jak notują diaryści, ulice przepełniały wówczas masy Polaków, którzy przyszli po raz ostatni pożegnać się z przyjaciółmi Żydami, przynosząc na pożegnanie produkty spożywcze i kwiaty. Inni, korzystając z okazji, postanowili wejść do getta i sprzedawać żywność, zarabiając na panującej w dzielnicy żydowskiej drożyznie.

Wielu Żydów zdecydowało się pozostać poza gettem. W wyniku akcji policyjnej w „aryjskiej” części miasta 16 listopada 1940 r. zostało schwytanych i odstawionych do getta ponad 11 tysięcy Żydów. Ci, którym udało się ukryć, nieustannie zagrożeni denuncjacją i śmiercią, zmieniali otoczenie i ukrywali się pod przybraną „aryjską” tożsamością. Nieliczni Polacy, którzy nie chcieli opuścić swoich mieszkań na terenie getta, byli nakłaniany do wyprowadzki przez polską i niemiecką policję, a najbardziej opornym wyrzucano dobytek na bruk i usuwano siłą.

©

MARTA JANCZEWSKA jest historykiem literatury, pracuje w Dziale Naukowym w Żydowskim Instytucie Historycznym im. Emanuela Ringelbluma.

LEKI I CAŁE ZŁO

Mimo doniesień o powstaniu skutecznej szczepionki na COVID-19 wciąż pojawia się wiele pytań. Również takie, czy przy okazji walki z pandemią uda się uzdrowić relacje coraz słabszych państw z coraz silniejszymi producentami leków.

MAREK RABIJ

WROZTRZĘSIONYM ŚWIECIE NOTOWAŃ giełdowych dochodzi czasem do zdarzeń o znaczeniu sięgającym daleko poza bieżącą chwilę. Tak było 9 listopada, kiedy agencje prasowe i serwisy internetowe zaczęły zonglować informacją koncernu farmaceutycznego Pfizer, który ogłosił, że ma wyczekiwaną od miesięcy szczepionkę przeciwko SARS-CoV-2. Po przebadaniu ok. 90 proc. spośród 43 538 uczestników testów z różnych krajów firma ogłosiła, że skuteczność jej preparatu sięga aż 90 proc. po siedmiu dniach od podania drugiej i ostatniej dawki (pierwszą podaje się trzy tygodnie wcześniej).

Giełdy na całym świecie oszalały z euforii. Nadzieja na rychłe opanowanie pandemii, która każdego dnia kosztuje globalną gospodarkę miliardy dolarów, zmaterializowała się w formie produktu znanej firmy farmaceutycznej. W górę – tyle że mniej zdecydowanie – ruszył także wykres akcji Pfizera na Wall Street. Pod koniec sesji notowania były już jednak na lekkim minusie, który – z przerwami na chwilowe wzrosty – powiększał się przez kilka kolejnych dni.

Co się stało? Być może informacja przedostała się do inwestorów wcześniej i wywołany nią wzrost zainteresowania akcjami Pfizera pokrył się z entuzjazmem, jaki zapanował na Wall Street w związku z coraz pewniejszym zwycięstwem Joego Bidena w wyborach prezydenckich. W piątek 6 listopada pod koniec sesji notowania Pfizera wystrzeliły w górę jak świeca, poniedziałkowa wyprzedaż by-

łaaby więc realizacją zysków. Albo – co wydaje się bardziej prawdopodobne – starzy giełdowi wyjadacze, wczytawszy się w detale komunikatu koncernu, doszli jednak do wniosku, że ogłoszone właśnie zwycięstwo w wojnie z pandemią jest w najlepszym razie wygraną w jednej bitwie.

Mecz do jednej bramki

Pfizer to jeden z najbardziej znanych koncernów farmaceutycznych, który ma na koncie kilka głośnych leków – jak choćby viagrę na zaburzenia potencji czy przeciwdepresyjny zoloft, który pojawia się w fabułach wielu amerykańskich filmów. Do osiągnięć firmy należy także zamiana naukowego sukcesu Alexandra Fleminga, jakim było odkrycie penicyliny, w lek, który w 1944 r. wszedł na stałe do arsenału medycznego US Army. W zeszłym roku przychody Pfizera przekroczyły 51 mld dolarów, co dało mu (pomimo spadku o prawie dwa miliardy dolarów rok do roku) drugie miejsce na liście największych producentów leków świata. Ten nieformalny klub, zrzeszający zwyczajowo 20 najbogatszych graczy branży, bywa nazywany także Big Pharmą. W ubiegłym roku próg wejścia stanowiły tu przychody rzędu 14,4 mld dolarów rocznie – tyle wypracowała zamykająca to zestawienie spółka Biogen z Bostonu. Dla przeciętnego Amerykanina czy Europejczyka są to oczywiście kwoty niewyobrażalne, ale w porównaniu z choćby przychodami cyfrowych gigantów z Doliny Krzemowej czy koncernów paliwowych nie robią już takiego

wrażenia, jak jeszcze przed dekadą. Dość powiedzieć, że na tej liście, i to gdzieś w połowie stawki, zmieściłby się w zeszłym roku PKN Orlen. W rywalizacji o miano najbardziej dochodowej branży światowej gospodarki Big Pharma nie jest już faworytem, ale wciąż ma się na tyle dobrze, by globalne zapotrzebowanie na szczepionkę przeciwko koronawirusowi traktować jako jeszcze jedno lukratywne zlecenie – ale nie kontrakt stulecia.

W sytuacji wywołanej przez ekspansję koronawirusa Big Pharma może w dłuższej perspektywie dostrzegać wręcz zagrożenie dla swojego modelu działania – nawet pomimo wielkich zysków, jakie niebawem zapewni jej sprzedaż szczepionki. Pandemia wymusiła bowiem coś, do czego większość krajów była dotąd niezdolna: budowę międzynarodowej polityki zakupowej leków. Jak zauważa Tadeusz Jędrzejczyk, szef Narodowego Funduszu Zdrowia w latach 2014-16, nawet Unia Europejska, która jakiś czas temu zgodziła się na wyjęcie polityki zdrowotnej spod prerogatyw państw członkowskich, wciąż nie potrafi utworzyć procedur, które pozwoliłyby na wspólne zakupy leków – a tym samym na spore oszczędności. Z punktu widzenia koncernów farmaceutycznych o wiele wygodniej rozmawiać osobno z każdym krajem →

*W laboratorium firmy Kocak w Terkidag trwają prace nad turecką szczepionką na COVID-19.
3 października 2020 r.*



→ członkowskim. Wygląda na to, że dopiero zagrożenie paraliżem gospodarek i społeczeństw, jakie wywołał koronawirus, zdołało przezwyciężyć opór lobbystów firm farmaceutycznych.

Big Pharma – jak pisze w książce „Prawda o firmach farmaceutycznych” Marcia Angell, wieloletnia redaktor naczelna branżowego amerykańskiego periodyku „The New England Journal of Medicine” – nie tylko produkuje i sprzedaje leki. Jej prawdziwym zajęciem jest wątpliwe etycznie kształtowanie świata polityki i gospodarki w taki sposób, by zwiększyć zapotrzebowanie na swoje produkty. Finansując badania naukowe może wręcz wpływać na to, co zostanie uznane za jednostkę chorobową. Kiedy przed kilku laty Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) obniżyła próg nadciśnienia, wielu lekarzy dopatrzyło się w tym właśnie interwencji Big Pharmy, która w ten prosty sposób poszerzyła grono potencjalnych klientów. Farmaceutyczne giganty nie tylko uczestniczą więc w rynkowej grze, ale także ustalają jej zasady. Chętnie obsadzają też swoich ludzi w podwójnej roli „niezależnych” ekspertów. W trakcie epidemii świńskiej grypy na początku tej dekady specjalnym doradcą rządu brytyjskiego został sir Roy Anderson, gorący orędownik masowych szczepień. Rządowa posada nie przeszkadzała mu w zasiadaniu w radzie nadzorczej

firmy GlaxoSmithKline, za co inkasował 116 tys. funtów.

Dotychczas sytuacja była jednak o tyle prostsza, że w walce o rządowe kontrakty firmy farmaceutyczne ryzykowały przy najmniej własny kapitał, finansując badania, produkcję, wreszcie marketing i lobbując. Tym razem jest inaczej – w wielu krajach za wszystko to płacą z góry nabywcy.

Kupić czas

Amerykańska administracja już latem za kontraktowała w firmie Pfizer 100 mln szczepionek za 1,95 mld dolarów, czyli po 19,5 dolara za sztukę. Waszyngton zamówił więc nieistniejący preparat o nieznanym właściwościach i nieprzebadanej skuteczności. Na podobny hazard zdecydowała się jednak większość krajów, wychodząc z założenia, że każda zwłoka w szczepieniu będzie kosztować więcej niż sam kontrakt. Czy umowy z koncernami zawierają klauzule umożliwiające renowację na wypadek, gdyby szczepionki okazały się nie tak skuteczne, jak przedstawiają to producenci? Nie wiadomo. Szczegóły kontraktów są tajemnicą stron. Tymczasem – jak zastrzega dr hab. Jarosław Woron, kierownik Zakładu Farmakologii Klinicznej Collegium Medicum UJ – wyniki badań klinicznych, które zapowiedział opinii publicznej Pfizer, mają świadczyć tylko

o tym, że w grupie ponad 40 tys. dobranych odpowiednio uczestników badania zanotowano 90 proc. skuteczność szczepienia. Jaką zaobserwujemy po zaszczepieniu setek milionów ludzi? Na jednoznaczna odpowiedź poczekamy co najmniej do końca przyszłego roku. Może się okazać, że preparat po podaniu faktycznie zapewni długotrwałą odporność 90 procentom zaszczepionych. Równie realny jest jednak scenariusz, w którym skuteczność będzie oscylować na poziomie 40 czy nawet 30 proc.

Pod znakiem zapytania stoi także trwałość nabytej w ten sposób odporności. Badania nad szczepionkami rozpoczęły się przecież kilka miesięcy temu. Kilka pierwszych kroków na drodze do jej stworzenia branża pokonała etapami w ciągu minionych dwóch dekad, kiedy na radarach farmaceutów pojawiły się SARS i MERS, niebezpieczne choroby układu oddechowego wywoływane również przez koronawirusy. Rozwój epidemii SARS udało się zdusić w zarodku w 2002 i 2003 r. Także MERS, która zagroziła światu w pierwszej połowie kończącej się właśnie dekady, nie zdążyła na szczęście przybrać rozmiarów pandemii.

Po obydwu zostały jednak w archiwach koncernów farmaceutycznych obszerne *dossier*, po które producenci sięgnęli na początku tego roku, kiedy stało się już jasne, że epidemii nowego koronawirusa

Szczepionka: jak to się zwykle robi

NAJCZĘŚCIEJ PODAJE SIĘ,

że wyprodukowanie szczepionki zajmuje kilkanaście lat. W niedawnym artykule mikrobiologa Floriana Krammera w „Nature” padła liczba 15. Co właściwie zajmuje tyle czasu?

■ PIERWSZYM KROKIEM

jest dogłębne poznanie przeciwnika. Bywa, że początkowo znana jest tylko choroba i nie wiadomo, jaki wirus ją wywołuje albo czy w ogóle jest to wirus. Gdy zidentyfikujemy podejrzanego, należy opisać jego strukturę,

otoczkę, mechanizm namnażania oraz wyizolować i poznać genom. W toku tych badań wytłania się zwykle „pomysł na szczepionkę”, który początkowo testuje się na liniach komórkowych albo zwierzętach. Wszystkie opisane dotychczas czynności określa się łącznie jako badania przedkliniczne. Mogą trwać latami, zwłaszcza gdy brakuje motywacji i/lub pieniędzy.

■ GDY POMYŚL NA SZCZEPIONKĘ

jest obiecujący, można zgłosić projekt badań klinicznych, czyli

plan testów z udziałem ludzi, prowadzący już do produktu. Standardowo wyróżnia się trzy fazy badań klinicznych. W pierwszej, przeprowadzanej z udziałem niewielkiej grupy (np. 20) ochotników, sprawdza się zwłaszcza, czy projekt spełnia elementarne wymogi bezpieczeństwa. Jeśli tak jest, przystępuje się do fazy drugiej (z udziałem, powiedzmy, 200 osób), w której bliżej ocenia się skuteczność i dobiera idealną dawkę. To właśnie na tym etapie zaczyna się prawdziwa praca nad „podkręcaniem” szczepionki:

testowaniem jej rozmaitych wersji, alternatywnych formuł, dodatków, stężeń. Najlepsi kandydaci trafiają do fazy trzeciej, do której zaprasza się już tysiące uczestników, dobranych tak, aby dobrze reprezentowali miliony. Są tam młodzi i starzy, przedstawiciele mniejszości etnicznych, osoby chorujące przewlekłe itd. Wszystko po to, aby w przyszłości, gdy szczepionka trafi na rynek, czekało nas jak najmniej zaskoczeń. Cała procedura badań klinicznych szczepionki, jak podaje Krammer, trwa typowo od 5 do 7 lat. Dlaczego? Na każdym etapie śledzi się skutki uboczne w skali miesięcy, a utrzymywanie się

nie uda się zatrzymać ani na rogatek Wuhan, ani w samych Chinach. Kiedy wirus rozlał się na wszystkie kontynenty, paralizując globalną gospodarkę i narodowe systemy opieki zdrowotnej, sytuacja stała się na tyle groźna, że do wyścigu po szczepionkę włączyły się rządy, oddając badaczom do dyspozycji praktycznie nieograniczone subsydia. W połowie marca niemieckie media ujawniły, że gabinet Donalda Trumpa miał zaofiarować firmie CureVac z Tybingi lukratywny kontrakt, który gwarantowałby USA pierwszeństwo w dostępie do szczepionki, nad którą naukowcy z CureVac pracowali wspólnie z badaczami państwowego Paul-Ehrlich-Institut.

W marcu Trump, który wcześniej bagatelizował zagrożenie ze strony SARS-CoV-2, zaprosił do Białego Domu przedstawicieli największych amerykańskich koncernów farmaceutycznych, aby wraz z lekarzami i administracją wytyczyć najprostszą ścieżkę do szybkiego opracowania szczepionki na wirusa wywołującego COVID-19. Inicjatywa Warp Speed, jak nazwano program, już pod koniec marca otrzymała od Kongresu finansowanie w wysokości blisko 10 mld dolarów, z czego 3 mld przekazano renomowanemu National Institute of Health, drugiej – po Uniwersytecie Harvardzkim – instytucji badawczej globu z największą liczbą przełomowych odkryć w dziedzi-

nie biochemii. W obliczu zagrożenia pandemią i wywołaną przez nią recesją nawet najwięksi krytycy polityki Trumpa przeszli do porządku dziennego nad faktem, że z kongresowych 10 mld dolarów niemal 65 proc. przekazano do dyspozycji Biomedical Advanced Research and Development Authority (BARDA), stosunkowo niewielkiej rządowej agencji, która łączy funkcję laboratorium pracującego samodzielnie nad nowymi lekami z działalnością rasowego funduszu *venture capital*, który w zamian za udział w przyszłych zyskach dofinansowuje badania prywatnych podmiotów farmaceutycznych.

Wraz z dodatkowymi funduszami BARDA dostała też z Waszyngtonu klawrowny przekaz: tym razem gra toczy się nie o godziwą stopę zwrotu z zainwestowanego kapitału, lecz o jak najszybsze wprowadzenie szczepionki do obiegu, nawet kosztem finansowania badań prowadzonych w sposób nie do końca zgodny z regułami sztuki (patrz: ramka). BARDA miała stać się po prostu rodzajem wehikułu, przez który pieniądze z budżetu federalnego przepłyną do prywatnych podmiotów po to, żeby jak najszybciej opracowały produkt, który budżet federalny następnie od nich kupi (dopiero kilka dni temu, po wyborach, że sztabu prezydenta elekta zaczęły docierać głosy, że pieniądze przelane agencji powinny być

zasilić program testów na COVID-19, zamiast finansować nierzadko wątpliwej jakości badania). Podobny nakaz obniżenia wymogów związanych z procedurą rejestracji nowego leku i wprowadzenia go do obiegu dostały także amerykańskie organa certyfikacji na czele z Agencją Żywności i Leków (FDA). Sukces, jaki (być może przedwcześnie) odtrąbiła Big Pharma, ogłaszając światu przybycie z antywirusową odsieczą, jest więc w dużej mierze zasługą władz, które nie tylko połączowały firmom proceduralne węzły, ale też hojnie rzuciły groszem, pozwalając prowadzić badania z rozmachem, a czasem wręcz z dezynwolturą, na jaką koncerny raczej by sobie nie pozwoliły wydając swój kapitał.

Świat do szczepienia

Tytaniczny globalny wysiłek, który zaowocował powstaniem szczepionki w rekordowo krótkim czasie, może jednak łatwo wziąć w łeb. Dla większości mieszkańców krajów wysoko rozwiniętych 20 dolarów za szczepionkę nie stanowiłoby wydatku nie do udźwignięcia – nawet gdyby przyszło pokryć go w całości z własnej kieszeni. Dla mieszkańców ubogich lub pogrążonych w ostrej recesji państw Globalnego Południa może być jednak – jak zwykle – nie do przeskoczenia. Niebagatelne mogą być też problemy logistyczne – szczepionkę Pfizera trzeba →

odporności nawet przez ponad rok. Dopiero kiedy spłyną wyniki takich obserwacji, przystępuje się do kolejnej fazy.

■ **JEŚLI WSZYSTKO PÓJDZIE PLANOWO** (a ogółem tylko jedna trzecia badań klinicznych nad szczepionkami kończy się sukcesem), projekt musi zostać zatwierdzony przez odpowiednią agencję (co zajmuje zwykle rok-dwa). Dopiero potem rusza produkcja.

■ CO TU MOŻNA PRZYSPIESZYĆ?

Jeśli wirus zostaje szybko zidentyfikowany, jego bliscy krewniacy zaś byli już wcześniej badani pod kątem szczepionki (a tak

właśnie jest z SARS-CoV-2), to badania przedkliniczne mogą ulec poważnemu skróceniu – i rzeczywiście, już w marcu pojawiły się pierwsze projekty badań klinicznych nad szczepionką na COVID-19. Jeżeli agencje oceniające nadadzą priorytet danemu wnioskowi, a producent zaryzykuje i zacznie produkcję szczepionki, nie wiedząc, czy będzie mu wolno ją sprzedawać, ostatnie etapy też ulegną skróceniu. Co jednak z badaniami klinicznymi?

■ **„MODEL SKRÓCONY”**, stosowany w przypadku nowego koronawirusa, przewiduje, że trzy fazy badań mogą się na siebie nakładać.

W przypadku szczepionki firm Pfizer i BioNTech faza I i II rozpoczęły się jednocześnie, 29 kwietnia tego roku (i wciąż trwają), a faza III – 27 lipca. To właśnie budzi największe kontrowersje. Model taki nie pozwala bowiem na stosowanie normalnej procedury udoskonalania szczepionki przed rozpoczęciem kolejnej fazy, nie mówiąc już o tym, że kilka miesięcy to za mało, aby spełnić elementarne wymagania związane choćby z monitorowaniem skutków ubocznych. Przykładowo, w opisie fazy I badań klinicznych nad szczepionką Pfizera rozpoznano, że skutki te powinny być monitorowane przez sześć miesięcy.

Dla niektórych pacjentów (ostatni został zaszczepiony 19 czerwca) okres ten jeszcze nie minął. Ruszyła jednak faza III, a władze firmy Pfizer ogłosiły już sukces i rozpoczęły negocjacje z władzami wielu krajów, obiecując, że do końca przyszłego roku są w stanie wyprodukować 1,3 mld porcji szczepionki. Tymczasem formalnie nie został jeszcze zakończony etap zbierania podstawowych danych fazy I!

W TAKIM TRYBIE I TEMPIE nigdy jeszcze nie przygotowywano szczepionki.

© P ŁUKASZ ŁAMŻA

→ przechowywać w temperaturze minus 70 stopni Celsjusza, co łatwiej uzyskać w Europie czy w USA, zwłaszcza zimą, niż w Afryce Subsaharyjskiej albo Azji Południowo-Wschodniej. A jeśli z powodów ekonomicznych nie uda się zaszczepić mieszkańców biedniejszych krajów, odbije się to negatywnie na efektach medycznych.

WHO szacuje, że w 2019 r. globalne wydatki na szczepionki sięgnęły 41,7 mld dolarów, z czego aż 74 proc. pochodziło z portfeli Amerykanów, Kanadyjczyków i Europejczyków – czyli ok. 11 proc. mieszkańców globu. Udział najludniejszego kontynentu, Azji (4,4 mld mieszkańców), w wydatkach na szczepionki nadal nie przekracza 12 proc., w przypadku Afryki oscyluje na poziomie zaledwie 4-5 proc. i od lat praktycznie drobi w miejscu – mimo że to właśnie ten ostatni kontynent cieszy się obecnie największym przyrostem naturalnym. W prognozach na pięć najbliższych lat WHO zakłada wzrost globalnych wydatków na szczepionki o blisko 25 proc. – do 54 mld dolarów – ale nie przewiduje właściwie żadnej zmiany struktury popytu: kluczowymi klientami producentów szczepionek pozostaną zamożni, lecz statystycznie coraz starsi obywatele rejonu Atlantyku, do których w nieco większej niż dotychczas liczbie dołączają najbogatsze warstwy znacznie młodszych społeczeństw Azji.

Jeśli założyć, że na tych samych, czy to wolnorynkowych zasadach miałyby się odbyć także dystrybucja szczepionek przeciw SARS-CoV-2, można z góry odtrąbić porażkę. Pod koniec października think tank RAND Europe opublikował wyliczenia, z których wynika, że gdyby taką kuracją objęto jedynie obywatele państw, które mogą samodzielnie wyprodukować szczepionki (USA, Niemcy, Francja, Szwajcaria, Chiny), straty wywołane w światowej gospodarce przez pandemię zmniejszyłyby się z 3,4 do 1,2 bln dolarów rocznie (znacząco, ale wciąż to wartość ok. 25 proc. rocznego PKB globu).

Amerykanie już latem zamówili 100 mln dawek szczepionki Pfizera

– preparatu o nieznanych właściwościach i nieprzebadanej skuteczności.

Gdyby szczepienia rozszerzono na resztę wysoko rozwiniętych krajów świata (grupa G20), straty gospodarki udałoby się zmniejszyć do ok. 292 mld dolarów rocznie. Gdyby podobne ograniczenie uderzyło jedynie w najuboższe państwa, światowe PKB skurczyłoby się w skali roku do 153 mld dolarów – ale paradoksalnie odczułyby je głównie gospodarki USA, Chin i UE, które wskutek niewyhamowanej pandemii traciłyby łącznie aż połowę tej sumy.

Cena zwycięstwa

O powodzeniu globalnej potyczki z koronawirusem za pomocą szczepionki zdecyduje więc w dużej mierze gotowość społeczności międzynarodowej do współpracy. WHO w tym celu stworzyła już porozumienie COVAX, którego celem jest ujednolicenie zasad dostępu do szczepionki dla wszystkich krajów globu. Wiadomo jednak, że za ten egalitaryzm będą musiały zapłacić najbogatsze kraje. Ile? To zależy głównie od sprzedającego.

Problem w tym, że firmy farmaceutyczne skrzętnie ukrywają wszelkie dane, które pozwoliłyby odpowiedzieć na pytanie, ile powinna wynosić „godziwa” cena leku. Z publikowanych informacji wynika, że opracowanie nowego preparatu i jego badanie kliniczne pochłania obecnie średnio 1,3 mld dolarów – o pół miliarda dolarów więcej niż na początku stulecia. Eksperci od ekonomiki leczenia podchodzą jednak sceptycznie do tych wyliczeń wskazując, że samo proste podzielenie wydatków na badania i rozwój przez liczbę preparatów wprowadzonych przez branżę do obiegu daje kwoty o wiele niższe, oscylujące w granicach 400 mln dolarów za nowy lek. Nieliczne przecieki z branży każą przypuszczać, że podawane oficjalnie koszty znajdują uzasadnienie tylko w przypadku preparatów opracowywanych od początku do końca przez koncerny farmaceutyczne – czyli

najwyżej co czwartego. Większość leków drogi do pacjenta nie rozpoczyna bowiem – jak przekonują PR-owcy branży – w laptopach i próbkach inżynierów koncernów, lecz w uniwersyteckich zaciśkach i małych firmach innowacyjnych. Co więcej, w przypadku nowego koronawirusa od samego początku społeczność naukowa konsekwentnie upubliczniała, bez ograniczeń, wszystkie wyniki swoich badań. Firmy farmaceutyczne otrzymały potężną ilość wiedzy za darmo.

Analiza raportów amerykańskiego stowarzyszenia firm farmaceutycznych PhRMA wskazuje, że dla dziesięciu największych graczy wieloletnia średnia wydatków na badania i rozwój nowych produktów oscyluje dziś w granicach 17 proc. rocznych przychodów ze sprzedaży. Jeśli jednak zestawić te kwoty z inną pozycją w raportach rocznych – marketingiem oraz wydatkami na administrację – okazuje się, że nakłady na innowacje nie stanowią nawet połowy kwoty wydawanej na ten drugi cel. Tę zaskakującą dysproporcję łatwiej zrozumieć po dokładniejszym przyjrzeniu się temu, co wypuszczają do aptek wielkie koncerny. Leki o działaniu rzeczywiście przełomowym stanowią – jak pisze Marcia Angell – najwyżej 15 proc. rocznej produkcji branży. Uwaga przemysłu koncentruje się dziś natomiast na preparatach zwanych z angielska *me-too drugs*, będących chemiczną wariacją znanych leków. Dzięki kosmetycznej czasem zmianie receptury koncerny uzyskują nowy preparat różniący się od poprzednika tylko tym, że jest objęty ochroną patentową dającą właścicielowi wyłączność na jego produkcję przez kolejnych kilkanaście lat. W tym czasie lek drożeje – jak wylicza Marcia Angell – średnio o 50 proc. Gdy kończy się ochrona patentowa i na bazie receptury opracowanej przez wielki koncern mniejsze firmy zaczną produkować generyki, cena referencyjnego preparatu spada zwykle do ok. 20 proc. tej ze szczytowego okresu ochrony patentowej.

Szczepionka przeciwko koronawirusowi niemal na pewno nie sprawi, że COVID-19 w kilka miesięcy zniknie z naszego życia. Być może ochrona nie będzie trwała – i przeciwko SARS-CoV-2 będziemy musieli się szczepić tak, jak obecnie na grype. Biorąc pod uwagę pełen rachunek pandemicznych strat – będzie to jednak i tak wielkie zwycięstwo.

© MAREK RABIJ



MAREK RABIJ będzie gościem Grzegorza Chlasy w środę 18 listopada

o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 47/2020

POLACY i NIEMCY: jak wyjść z historycznego klinczu



Polska i niemiecka straż graniczna w towarzystwie Angeli Merkel likwiduje granicę w Zittau po wejściu Polski do strefy Schengen, 21 grudnia 2007 r.

W tle: Niemcy niszczą polski szlaban graniczny i godło Polski na przejściu granicznym Orłowo Kolibki w Gdyni, 1 września 1939 r.

Jak wyjść z klinczu?

W TYCH DNIACH zbiegają się trzy rocznice dotyczące powojennych relacji między Polakami i Niemcami. 55 lat temu, 18 listopada 1965 r., polscy biskupi podpisali list do biskupów niemieckich, który do historii przeszedł zwłaszcza z powodu jednego zdania: „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie”. 50 lat temu, 7 grudnia 1970 r., kanclerz RFN Willy Brandt przyjechał do Warszawy, aby podpisać traktat o normalizacji stosunków z PRL; wizyta ta pamiętana jest głównie za sprawą jego gestu: składając kwiaty przed pomnikiem Bohaterów Getta, Brandt spontanicznie uklęknął. 30 lat temu, 14 listopada 1990 r., szefowie MSZ Polski (od niedawna wolnej) i Niemiec (właśnie zjednoczonych) podpisali traktat potwierdzający przebieg granicy; zamykał on kwestię, która wcześniej wywoływała w Polsce niepokój, a w czasach PRL służyła komunistom do legitymizowania ich władzy. O historiach tych pisaliśmy już w „Tygodniku” wielokrotnie. Dziś chcemy zastanowić się, jak wyjść z historycznego klinczu polsko-niemieckiego. Bo choć od II wojny światowej minęło 75 lat, są nadal sprawy odnoszące się do tamtej historii, które ciążyą.

„Postawmy tu tezę, która na pierwszy rzut oka może zabrzmieć prowokacyjnie: Polska, od tysiąca lat wschodni sąsiad Niemiec, oraz jej obywatelki i obywatele są dziś ofiarami drugiej kategorii w niemieckim postrzeganiu ofiar narodowego socjalizmu” – pisze w tekście otwierającym nasz dodatek Dieter Bingen. Wieloletni szef Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich był współinicjatorem apelu, który grupa Niemców wystosowała w 2017 r. do swego rządu i parlamentu: aby w Berlinie stanął pomnik ofiar niemieckiej okupacji w Polsce. Kilka naciętych dni temu Bundestag podjął w tej sprawie decyzję.

Prowokacyjnie zabrzmiała też teza, którą stawiają Nancy Waldmann i Łukasz Grajewski, nasi autorzy młodszego pokolenia: uważają, że stosunki polsko-niemieckie są wciąż postkolonialne. Z kolei Anna Przybył pisze o tym, jak silnie przeszłość obecna jest w polsko-niemieckiej dyskusji. Gerhard Gnauck portretuje Ostpolitik, politykę wschodnią – zanurzoną, jakżeby inaczej, w historii. Natomiast niżej podpisany opowiada o tym, jak Niemcy pomagają militarnie Izraelowi, i pyta, czy podobna szczególna relacja polsko-niemiecka w sferze obronności mogłaby być wyjściem z problemu reparacji. Tego, który rząd w Berlinie uważa za zamknięty, a rząd w Warszawie oficjalnie nie porusza, lecz który jest przecież wciąż obecny – i obciążający.

©© WOJCIECH PIĘCIAK

Autor (ur. 1967) jest redaktorem działów Świat i Historia w „TP”. Opublikował szereg książek o Niemczech i ich najnowszej historii.

Puste miejsce

DIETER BINGEN

W Berlinie zapadła właśnie decyzja o utworzeniu miejsca, które będzie wyrazem empatii i szacunku wobec Polski i ofiar, jakie poniosła podczas niemieckiej okupacji.

Był rok 2017, gdy kilkadziesiąt osób z Niemiec, skupionych w oddolnej inicjatywie obywatelskiej, zaproponowało, aby w centrum Berlina – konkretnie: na placu Askańskim – zbudować *Polendenkmal*: pomnik ofiar niemieckiej okupacji w Polsce. Pomyśl ten miał być odpowiedzią na swego rodzaju puste miejsce w niemieckiej kulturze pamięci albo, ujmując to inaczej – odpowiedzią na białą plamę, gdy idzie o historyczną wiedzę wielu Niemców na temat polityki okupacyjnej III Rzeszy w Polsce. Masowe zbrodnie, popełniane w latach 1939-45 na polskiej ludności cywilnej, do dziś są niemal nieznane niemieckiej opinii publicznej.

Ofiary drugiej kategorii

Postawmy tu tezę, która na pierwszy rzut oka może zabrzmieć prowokacyjnie: Polska, od tysiąca lat wschodni sąsiad Niemiec, oraz jej obywatelki i obywatele są dziś ofiarami drugiej kategorii w niemieckim postrzeganiu ofiar narodowego socjalizmu. W istocie jednak nie jest to prowokacja, lecz realistyczny opis stanu faktycznego, z którym zgadzają się niemieccy historycy i uważni obserwatorzy relacji polsko-niemieckich. Tematyczne priorytety w niemieckich debatach historycznych minionych dekad oraz priorytety w prawnych rozliczeniach ze zbrodniami narodowosocjalistycznymi (względnie ich brak) tylko podkreślają taką konstatację.

Ze świecą można by szukać niemieckiego policjanta, esesmana czy żołnierza Wehrmachtu (od generała po zwykłego szeregowca),

który zostałby skazany w Republice Federalnej za zbrodnie popełnione w okupowanej Polsce na ludności cywilnej, które nie miałyby [podkreślenie autora – red.] związku z Holocaustem. Przywołajmy choćby niesławną postać Heinza Reinefartha: odpowiedzialny za wymordowanie 50 tys. cywilów na warszawskiej Woli w sierpniu 1944 r., po wojnie robił karierę w Republice Federalnej, zawodową i polityczną – jako adwokat, poseł do parlamentu krajowego Szlezwiku-Holsztyna i wreszcie długoletni burmistrz miasta Westerland na wyspie Sylt, cieszący się szacunkiem otoczenia.

Polska: państwo skazane na unicestwienie

Gdy w Niemczech mowa jest o „pęknięciu cywilizacyjnym”, jakie miało miejsce w krajach podbitych przez Wehrmacht, zwykle opisywane jest ono takimi pojęciami jak Holocaust i Szoah. W istocie wymordowanie europejskich Żydów to niemieckie piętno Kainowe. Jego częścią było systematyczne uśmiercenie 90 proc. żydowskich obywateli przedwojennego państwa polskiego. Wiedza o tych wydarzeniach jest dziś w Niemczech obecna, przynajmniej w zarysach. Niemal nieobecna jest natomiast tu wiedza na temat represji i mordów, które dotknęły nieżydowskich obywateli okupowanego państwa polskiego, jak też dotycząca losów 1,8 mln polskich robotników przymusowych, którzy trafili do III Rzeszy.

Tymczasem celem niemieckiej polityki w okupowanej Polsce było nie tylko zabijanie, prześladowanie i niewolenie ludzi – w liczbach



Przewodniczący Bundestagu Wolfgang Schäuble (na wózku) podczas obchodów 80. rocznicy niemieckiego ataku na Polskę, które na berlińskim placu Askańskim zorganizował Niemiecki Instytut Spraw Polskich. 1 września 2019 r.

idących w miliony. Było nim także unicestwienie państwa polskiego, narodu i kultury. Tuż przed atakiem na Polskę, 22 sierpnia 1939 r., Adolf Hitler oświadczył swoim generałom, że jego celem jest właśnie „unicestwienie” (niem. *Vernichtung*) Polski i „likwidacja jej żywotnych sił” (niem. *Beseitigung der lebendigen Kräfte*).

Znamienne, w jaki sposób grupa posłów do Bundestagu – wywodzących się z różnych partii: chadekcy, SPD, Zielonych, FDP i Lewicy – uzasadniała (we wspólnym artykule, który ukazał się w 2019 r. na łamach stołecznego dziennika „Tagesspiegel”) potrzebę stworzenia w Berlinie miejsca pamięci poświęconego Polsce. Kwintesencją tego tekstu było zdanie: „Po 1 września 1939 r. wieloetniczna Polska stała się terenem, na którym narodowi socjaliści po raz pierwszy urzeczywistnili w całej rozciągłości wszystkie komponenty swojej rasowo-ideologicznej wojny na wyniszczenie (niem. *Vernichtungskrieg*), swojej okrutnej polityki okupacyjnej, swojej rasistowskiej ideologii »przestrzeni życiowej« (niem. *Lebensraum*), swojego dogłębnego antysemityzmu i także antyslawizmu. Obszar Drugiej Rzeczypospolitej został ponadto wykorzystany jako swego rodzaju laboratorium, w którym testowano sposoby dalszego prowadzenia wojny na wscho-

dzie Europy”. Dalej autorzy konstatowali, że wszystko to „od samego początku było celem i głównym elementem idei wojny przeciwko Polsce”.

Celowe unicestwienie świadectw kultury materialnej Polski, takich jak biblioteki, zabytki, muzea czy kościoły, a także rabunek dokonywany przez niemieckich ekspertów od sztuki i dyrektorów muzeów – wszystko to nie jest znane szerszej opinii publicznej w Niemczech.

Balast na polskich plecach

Kolejnym szczególnym aspektem niemieckiej polityki w okupowanej Polsce był ten diaboliczny balast, który reżim narodowosocjalistyczny niejako „delegował” na ziemię polską. Chodzi o mord na polskich i europejskich Żydach, zorganizowany na skalę przemysłową. Niezwykle tragizm sytuacji w okupowanej Polsce polegał także na tym, że okupanci, działający wedle zasady *divide et impera*, bezwstydnie wykorzystali do swoich celów *modus* współżycia wielu narodów na tych ziemiach (nawet jeśli przed rokiem 1939 cechowało go często jedynie „życie obok siebie” oraz liczne konflikty).

Ma to długofalowe konsekwencje, trwające aż do dzisiaj – dla polskiej samoidentyfikacji oraz dla obrazu Polski w świecie. Obciąża to dodatkowo i tak zło-

żone relacje między Polakami i Żydami. Żaden inny europejski naród nie doświadczył wówczas czegoś porównywalnego. Także dlatego do relacji polsko-niemieckich przylgnęło coś wyjątkowego – wyjątkowego w sensie negatywnym.

Wyparcie i jego przyczyny

Dlaczego dla wielu Niemców tak wielkim problemem jest dopuszczenie do siebie tego polskiego cierpienia? Bez wątpienia można wskazać na dwa główne powody tego powszechnego braku zainteresowania, wyparcia i zapomnienia.

Po pierwsze, w Niemczech istnieje wyobrażenie o cywilizacyjnej i kulturalnej asymetrii między Polakami a Niemcami, które swymi korzeniami sięga jeszcze XVIII stulecia, a które od tamtego czasu uzasadniało antypolską politykę (historyk Klaus Zernack nazwie to później tradycyjną „negatywną polityką wobec Polski”). Po drugie, w dyskusji społecznej w Niemczech co i rusz dają się zaobserwować różne próby zdjęcia z siebie przynajmniej części odpowiedzialności poprzez szukanie czegoś, co można by przeciwstawić niemieckim zbrodniom w Polsce. Jedni wskazują więc na politykę Drugiej Rzeczypospolitej wobec mniejszości niemieckiej, a inni na powojenne wygnanie milionów Niemców z ich →

→ rodzinnej ziemi, dokonywaną na nich zemstę i utratę historycznych niemieckich prowincji na wschodzie.

Wyższościowy – rzecz można: kolonialny – sposób patrzenia na wschodniego sąsiada zaostrzał się w trakcie rozbiorów, w których uczestniczyły Prusy. Potem antypolskie stereotypy nie tylko nie zniknęły, ale przeciwnie – w okresie międzywojennym uzyskały nowe życie, rozpowszechniając się szeroko w niemieckim społeczeństwie. Wzmocnione przez propagandę III Rzeszy, przetrwały jej upadek i pokutowały wciąż w latach 50. i 60., zresztą nie tylko w Niemczech Zachodnich, lecz także w komunistycznej NRD.

Emocje długiego trwania

Negatywne nastawienie wielu Niemców wobec Polaków po roku 1945 może wydać się na pozór niezrozumiałe – wszak Polacy stali się wówczas „współwięźniami” Niemców z NRD, a skutki żelaznej kurtyny dotyczyły zarówno podzielony naród niemiecki, jak też naród polski. Okazało się jednak, że negatywne emocje Niemców wobec komunizmu i Związku Sowieckiego zostały niejako przeniesione także na Polskę. Do tego doszedł obraz kreowany przez działaczy Związku Wypędzonych: w obrazie tym, pełnym emocji, mowa była o niemieckich osadnikach, którzy przez setki lat nieśli na wschód kulturę i cywilizację, jak też o utraconej ziemi rodzinnej oraz o panującym tam teraz chaosie i spustoszeniu.

Znamienne, że w niemieckim dyskursie o wygnaniu zza Odry i Nysy to głównie Polacy występowali w roli tych, którzy wypędzali Niemców; powstał nawet neologizm: słowo *Vertreiberstaat* [w wolnym przekładzie oddającym emocje: państwo winne zbrodni wypędzenia – red.]. Natomiast w roli tej rzadziej widziano Związek Sowiecki, choć to przecież z inicjatywy Stalina Wielka Trójka – przywódcy Związku Sowieckiego, USA i Wielkiej Brytanii – podjęła zgodną decyzję o przesunięciu granic Polski i przymusowym wysiedleniu ludności niemieckiej (a także polskiej, z ziem wschodnich II RP).

Mimo to zajęcie północnej części Prus Wschodnich przez Sowieców (obszaru obecnego obwodu kaliningradzkiego) przyjmowano – i do dziś przyjmuje się – do wiadomości znacznie łagodniej niż przesunięcie Polski na zachód; towarzyszyły też temu mniejsze emocje. Choć przecież Königsberg był miastem tak

samo niemieckim jak śląski Breslau czy pomorski Stettin.

Mimo wszystko: „cud pojednania”

W kontekście całej tej negatywnej historycznej spuścizny trudno nie zauważyć i nie docenić tego, co jednak udało się dokonać w naszych relacjach, także po stronie niemieckiej: obciążone przez antypolskie kody kulturowe tradycyjnych niemieckich elit, zadanie nowego uregulowania relacji z Polską wymagało w Niemczech maksimum samokrytycyzmu.

Dziś, po kilku dekadach „przeorania” zastanych wyobrażeń, skutek jest taki, że w niemieckich elitach kulturalnych i politycznych oraz w społeczeństwie Republiki Federalnej – zarówno w dawnych Niemczech Zachodnich, jak też we wschodnich landach, które kiedyś tworzyły komunistyczną NRD – pozytywne nastawienie do Polski jest niekwestionowane w stopniu takim, jak nigdy wcześniej w dziejach naszych dwustronnych stosunków.

Katolicki intelektualista i polityk Stanisław Stomma opisał to zjawisko jako przezwyciężanie „fatalizmu wrogości”. A prezydent Bronisław Komorowski – przemawiający 10 września 2014 r. na forum Bundestagu, w związku z 75. rocznicą niemieckiej napaści na Polskę – mówił nawet o „cudzie pojednania”.

Pamięć, szacunek, empatia

Nareszcie czas dojrzał także dla widocznego i trwałego gestu empatii oraz szacunku wobec Polski. Gestu, który powinien być osadzony w miejscu, gdzie niszczycielska polityka wobec naszego wschodniego sąsiada brała swój początek – w Berlinie.

Niezależnie od niezliczonych kontaktów, obywatelskich i kulturalnych inicjatyw, jak też stopniowego kształtowania się nowego pozytywnego obrazu Polski, musiało minąć ponad 70 lat od zakończenia II wojny światowej, zanim po stronie niemieckiej pojawił się apel, abyśmy my, Niemcy, stawili czoło tamtemu pęknięciu cywilizacyjnemu, którego nasi przodkowie dopuścili się w okupowanej Polsce – bez relatywizowania i bez odruchu obronnego – i abyśmy utworzyli godne miejsce pamięci, poświęcone ofiarom niemieckiej okupacji w Polsce.

Stosowny apel – skierowany do niemieckiej opinii publicznej oraz do par-

lamentu – przedstawiono na konferencji prasowej 15 listopada 2017 r. Wystosowała go oddolna inicjatywa skupiona wokół Floriana Mausbacha (byłego prezesa Federalnego Urzędu Budownictwa i Planowania Przestrzennego), Rity Süssmuth (byłej przewodniczącej Bundestagu z ramienia chadecji), Wolfganga Thiersego (byłego przewodniczącego Bundestagu z ramienia SPD), Andreasa Nachamy (ówczesnego dyrektora berlińskiego muzeum i miejsca pamięci Topografia Terroru) oraz autora tego tekstu, wówczas dyrektora Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich (Deutsches Polen-Institut) w Darmstadt. Ponad stu sygnatariuszy – wśród nich znane postacie ze świata nauki, kultury, religii i polityki – postulowało zbudowanie pomnika dla ofiar niemieckiej okupacji w Polsce.

Zainteresowanie, z jakim spotkał się ten projekt, oraz ożywiona dyskusja, którą wywołał on w Niemczech, wynikały zapewne także i z tego, co w przeddzień 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej stało się nieubłaganą oczywistością: że ostatni świadkowie, którzy mogą zdać osobistą relację z tego, co działo się w latach 1939-45, już wkrótce nas opuszczą. I że jest to ostatnia już okazja, aby taki gest mógł zostać zaadresowany w pierwszym rządzie właśnie do nich, do świadków – ludzi, którzy doświadczyli niemieckiej okupacji. Oraz aby możliwe było jeszcze spotkanie i rozmowa przy jednym stole ludzi z pokoleń wojennego z przedstawicielami młodej generacji, dla której II wojna światowa to dziś już bardzo odległa przeszłość.

Apel z listopada 2017 r. uruchomił więc w Niemczech szeroką i żywo prowadzoną debatę, która spotkała się z zainteresowaniem także w Polsce, ze strony mediów i polityków. W toku tej debaty wyłoniły się ostatecznie dwa odmienne wyobrażenia. Jedni popierali ideę takiego gestu empatii i szacunku, zaadresowanego zasadniczo do Polaków. Inni polemizowali, że konieczne jest utworzenie centrum dokumentacji i miejsca pamięci, które byłoby poświęcone wszystkim „zaniedbanym” do tej pory ofiarom narodowosocjalistycznego terroru w całej Europie (względnie – w całej Europie Wschodniej). Ci ostatni sprzeciwiali się, jak twierdzili, „unarodawianiu” pamięci. Po obu stronach głos zabierali uznani historycy i politycy. Zdarzało się, że zaciętość i awersja wobec osobnego uhonorowania oby-



SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

Od lewej: Andreas Nachama, Florian Mausbach i Dieter Bingen, współinicjatorzy apelu o zbudowanie pomnika polskich ofiar niemieckiej okupacji. Plac Askański w Berlinie, 15 listopada 2017 r.

wateli i obywateli Polski były czasem tak silne, że aż krępujące.

Tymczasem zwolennicy koncepcji *Pollenkmal* podkreślali, że nie mają zastrzeżeń wobec idei udokumentowania niemieckiej polityki okupacyjnej w całej Europie – uważali jednak, że nie powinna być ona traktowana jako alternatywa wobec ich pomysłu.

Pomnik i jego wymowa

Apel z listopada 2017 r. i towarzysząca mu dyskusja unaocznily też wyraźnie, kto powinien być adresatem takiego pomnika.

To my, Niemcy, jako społeczeństwo obywatelskie budujemy miejsce, które ma upamiętnić ofiary niemieckiej okupacji w Polsce z lat 1939-45. Kierujemy spojrzenie do wewnątrz, to znaczy ku niemieckiemu społeczeństwu, ale również – w kierunku Polski. Żyjący jeszcze świadkowie, jak też ich potomkowie w drugim czy trzecim pokoleniu, powinni wiedzieć, że my, Niemcy, niezależnie od naszego wieku i osobistej odpowiedzialności zrozumieliśmy, co Niemcy uczynili wówczas Polakom, oraz że chcemy okazać naszą empatię. Fakt, że takiego gestu dotąd nie było, jest w Polsce – niezależnie od generacji albo politycznej orientacji – zauważany i odczuwany jako brak. I to pomimo tego, że relacje między oboma narodami mają dziś zupełnie inny, o wiele lepszy charakter

niż jeszcze 30 lat temu. Nie sposób nie docenić więc oczyszczającego, głęboko katarskiego oddziaływania takiego miejsca, usytuowanego w centrum niemieckiej stolicy.

I rzeczywiście, z biegiem czasu można było zaobserwować coraz większe poparcie dla tego projektu we frakcjach poselskich w Bundestagu (z wyjątkiem frakcji AfD). Zaangażowali się tu zwłaszcza Manuel Sarrazin (przewodniczący Polsko-Niemieckiej Grupy Parlamentarnej w Bundestagu i rzecznik frakcji Zielonych ds. polityki wschodniej), Dietmar Nietan (skarbnik SPD i prezes zarządu Federalnego Związku Towarzystw Niemiecko-Polskich), Paul Ziemak (sekretarz generalny CDU, który urodził się w Szczecinie i tam spędził pierwsze lata życia), a także Alexander Müller (z FDP) oraz Thomas Nord (z frakcji Partii Lewicy); dwaj ostatni są wiceprzewodniczącymi Polsko-Niemieckiej Grupy Parlamentarnej z ramienia swoich frakcji.

To oni właśnie opublikowali w 2019 r. w dzienniku „Tagesspiegel” wspólny artykuł pod tytułem „Przestrzeń dla pamięci. W Berlinie konieczne jest utworzenie prominentnego miejsca spotkania dla Niemców i Polaków”. Postulowali w nim, aby w stolicy Niemiec powstało odpowiednie miejsce poświęcone ofiarom wojny i okupacji w Polsce; miałyby ono służyć pamięci, edukacji, porozumieniu i likwidowaniu uprzedzeń.

Apel z listopada 2017 r. poparł też przewodniczący Bundestagu Wolfgang Schäuble.

Oczekiwanie

Ale choć projekt uzyskał szerokie poparcie w parlamencie – odpowiedni wniosek poparło swoimi podpisami łącznie 260 posłów z CDU/CSU, SPD, Zielonych, FDP i Lewicy – sygnatariusze apelu z 2017 r. musieli z rozczarowaniem skonstatować, iż Bundestag nie podjął w tej kwestii decyzji przed 80. rocznicą niemieckiego napadu na Polskę.

Zamiast tego ze strony politycznej wykonano kilka gestów, które na krótką chwilę skupiły uwagę opinii publicznej. I tak, minister spraw zagranicznych Heiko Maas pojechał do Warszawy, aby wziąć udział w obchodach 75. rocznicy powstania z 1944 r. Podczas spotkania z grupą młodych Polaków i Niemców, 1 sierpnia w Muzeum Powstania Warszawskiego, Maas mówił: „Nie możemy cofnąć przeszłości. Ale możemy przyczynić się do tego, że ofiary zbrodni zostaną upamiętnione, i to w sposób adekwatny”. Poparł także inicjatywę zbudowania w stolicy Niemiec miejsca pamięci dla ofiar wojny i okupacji w Polsce. „Należało to uczynić już dawno temu” – dodał.

W Berlinie sytuację uratował chwilowo Wolfgang Schäuble, polityk bardzo wyczulony na punkcie adekwatnej polityki historycznej: zaprosił marszałka Sejmu do niemieckiej stolicy, na obchody rocznicy 1 września, które na placu Askańskim zaplanował Deutsches Polen-Institut. W międzyczasie nastąpiła zmiana na tym stanowisku i do Berlina przybyła ostatecznie nowa marszałkini Elżbieta Witek.

W ten sposób, w słoneczny letni dzień 1 września 2019 r., inicjatywa zupełnie oddolna zamieniła się, poniekąd symbolicznie, w obchody oficjalne z państwowym błogosławieństwem, które nie były przewidziane w kalendarzu organów federalnych.

Historyczna decyzja

Ostatecznie po długich zmaganiach, których celem było również uzyskanie możliwie jak najszerszego konsensu ponadpartyjnego, decyzja zapadła z górą rok później: kilkanaście dni temu, 30 października 2020 r., głosami wszystkich frakcji – CDU/CSU, SPD, Zielonych, FDP i Lewicy (posłowie AfD wstrzymali się) – przyjęto

→ rezolucję, w której Bundestag wzywa rząd federalny, aby „w prominentnej lokalizacji w Berlinie” powstało „miejsce, które w kontekście szczególnych relacji polsko-niemieckich poświęcone będzie polskim ofiarom II wojny światowej i narodowosocjalistycznej okupacji Polski, a które będzie miejscem spotkania i konfrontacji z historią. Powinno ono zbliżyć Polaków i Niemców, i w ten sposób przyczynić się do pogłębienia naszych relacji, do porozumienia i przyjaźni, jak też do likwidowania uprzedzeń”.

Dalej mowa jest o tym, że należy wypracować „konceptję [tego miejsca] we współpracy z polskimi i niemieckimi ekspertami i ekspertami ze świata nauki i społeczeństwa obywatelskiego, w tym z Deutsches Polen-Institut”, uwzględniając w tej koncepcji również przestrzeń dla „aktywności obywatelskich, takich jak praca z młodzieżą, edukacja polityczna, spotkania itd.”.

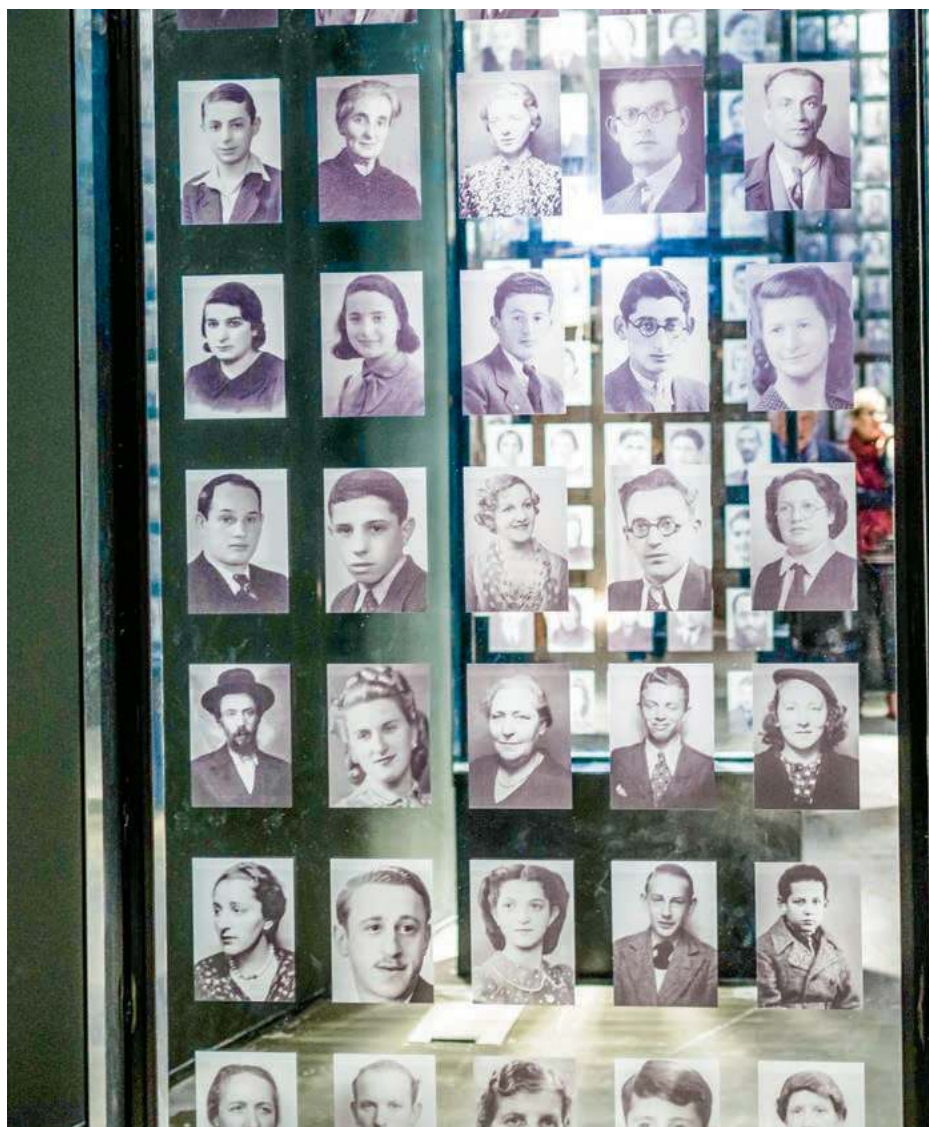
Decyzja Bundestagu naszkicowała więc pewne ramy, siłą rzeczy jeszcze ogólne, aby w przyszłości to puste miejsce w niemieckiej kulturze pamięci oraz w społecznej świadomości historycznej zostało wypełnione. W oparciu o wytyczne Bundestagu trzeba będzie stworzyć teraz – i to szybko, w jakimś przewidywalnym czasie – przekonującą koncepcję, która połączy trzy funkcje: miejsce pamięci (pomnik), przekaz informacji historycznej i polsko-niemieckie spotkanie.

Historyczna decyzja już zapadła. Teraz zaczął się kolejny etap.

© DIETER BINGEN

Przetłumaczył WP

Autor (ur. 1952) jest politologiem i historykiem, w latach 1999–2019 był dyrektorem Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich (Deutsches Polen-Institut – ośrodek badawczo-edukacyjny, założony w 1980 r. w Darmstadt przez tłumacza Karla Dedeciusa, zajmujący się polską historią, polityką, kulturą i społeczeństwem). Był profesorem gościnnym Uniwersytetu Technicznego w Darmstadt, jest profesorem honorowym Wyższej Szkoły Zittau/Görlitz, autorem licznych publikacji o Polsce i relacjach polsko-niemieckich. Jeden z inicjatorów zbudowania w Berlinie pomnika ofiar niemieckiej okupacji w Polsce.



Skazani na historię

ANNA PRZYBYLL

Polsko-niemieckie relacje wciąż są pełne odniesień do przeszłości, zwłaszcza tych dotyczących II wojny światowej. Inaczej chyba być nie może.

To musiało być na początku lat 90. ubiegłego wieku. Moją szkołę podstawową w Warszawie odwiedził weteran spod Monte Cassino. Z tej okazji na zajęciach plastycznych tworzyliśmy prace inspirowane bitwą z maja 1944 r. Najlepsze rysunki zostały pokazane starszemu panu w mundurze. Jeden z kolegów naryso-

wał płonący czołg, ale z ilustracji nie wynikało – aliancki czy niemiecki. Na widok rysunku weteran wykrzyknął: „Wspañiale odtworzona »Pantera«!”. Kolega nieśmiało spytał, skąd wiadomo, że to pojazd Wehrmachtu; najwyraźniej on sam chciał namalować po prostu czołg. „Skoro płonie, to czołg niemiecki. Tak musi być!” – padła odpowiedź.



Fragment wystawy w Muzeum II Wojny Światowej. Gdańsk, 29 stycznia 2017 r.

wpływa na współczesne relacje polsko-niemieckie, jest opóźnienie w udzieleniu *agrément* ambasadorowi Niemiec Arndtowi Freytagowi von Loringhovenowi, który długie tygodnie czekał na rozpoczęcie misji dyplomatycznej w Warszawie. Wielu komentatorów zwracało uwagę, że ojciec dyplomaty, Bernd Freytag von Loringhoven, w ostatnich miesiącach wojny pracował jako oficer sztabowy w bunkrze Hitlera – i że z tego powodu osoba ambasadora budziła zastrzeżenia w Polsce.

W cieniu polityki

Historia niestety bywa też instrumentalizowana na potrzeby polityki wewnętrznej.

Opowiada prof. Robert Traba z Instytutu Studiów Politycznych PAN: – W 2017 r., gdy byłem jeszcze dyrektorem Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie, przyjechałem około 1 sierpnia do Polski i doznałem szoku. W TVP ujrzałem spektakl nienawiści, jaki mogłem sobie wyobrazić w latach 60. XX w. Najpierw spot zaraz po „Wiadomościach” TVP, w którym lektor mówi „Niemcy, to z waszych podatków Adolf Hitler finansował zbrodnie i mordowanie ludzi!”, później politycy broniący baneru na stadionie Legii z niemieckim żołnierzem przykładającym pistolet do głowy dziecka. Napisałem obywatelski głos sprzeciwu.

„Przeszłość nie może stać się przedmiotem politycznej manipulacji. Jako historyk i polski patriota protestuję przeciw fali nienawiści wobec Niemców kreowanej przez polityków i podsycanej przez media publiczne. Jest to propaganda nie służąca prawdzie historycznej, lecz rozniecaniu negatywnych emocji w celu osiągnięcia doraźnych celów politycznych” – napisał wtedy Traba.

– Głos ten kosztował mnie interwencję ministra spraw zagranicznych u prezesa PAN. Na szczęście dostałem też liczne głosy wsparcia – wspomina niemcoznawca.

Jednak Waldemar Czachur uważa, że przyczyn ochłodzenia stosunków polsko-niemieckich i polskiej nieufności wobec Niemców należy szukać nie tylko w rządach PiS.

WOJTEK RADWAŃSKI / AFP / EAST NEWS

Mit romantycznego pojednania

Zmieniają się epoki, ustroje i rządy, a stosunki polsko-niemieckie płoną emocjami na tle sporów historycznych.

Propaganda PRL podtrzymywała widmo rewizji granic na Odrze i Nysie, zaszczebiała Polakom lęk przed utratą ziem zachodnich. Dzieci straszono Herbertem Hupką i Herbertem Czają jako czołowymi niemieckimi rewizjonistami, jak również kanclerzem RFN Konradem Adenauerem w krzyżackim płaszczu.

Gdy rozszerzała się Unia Europejska, uosobieniem niemieckiego zła stali się ówczesna szefowa Związku Wypędzonych Erika Steinbach i Rudi Pawelka z Powiernictwa Pruskiego, które chciało odzyskania przez Niemców majątków pozostawionych po wojnie w Polsce. I nie miało znaczenia zarzekanie się po stronie niemieckiej, że wpływy Steinbach są zni-

kome, a Powiernictwo jest prywatnym podmiotem bez poparcia rządu. Fala nieufności, czasem nawet antyniemieckości zalała wtedy polskie media, politykę i opinię publiczną.

– Tematy sporne, które się po 1989 r. pojawiły w polsko-niemieckich relacjach, burzyły powoli mit romantycznego pojednania, irytowały obie strony. Ale myślałem, że *summa summarum* wzmacniały nasze partnerstwo i jakość dialogu, bo poszerzały naszą wrażliwość na bólczki kraju sąsiedniego – uważa prof. Waldemar Czachur, wykładowca w Instytucie Germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego i przewodniczący Rady Fundacji Krzyżowa.

Spory o II wojnę światową, o pamięć o niemieckich zbrodniach i polskich ofiarach oraz o formy upamiętnienia w obu państwach często nas dzielą. Najświeższym przykładem tego, jak historia

→ – Gdyby władzę w Polsce objął rząd lewicowo-liberalny, byłoby więcej medialnej inscenizacji partnerstwa i przyjaźni, ale nie byłoby radykalnej zmiany ku strategicznemu partnerstwu na rzecz Europy – uważa Czachur. – Jeśli my nie zmienimy kanonu lektur, nie usuniemy z programów szkolnych zbędnej antyniemieckości, a z kolei Niemcy w swoich szkołach nie zmienią kanonu nauczania o historii II wojny i także patrzenia na wschód z poczuciem wyższości, to zawsze będziemy wychowywać obywateli, którzy są do siebie nastawieni antagonistycznie.

Powracający temat reparacji

Przykładem instrumentalizacji sporów polsko-niemieckich na rzecz polityki wewnętrznej w Polsce było zajęcie się tematem reparacji wojennych przez Biuro Analiz Sejmowych we wrześniu 2017 r., co zbiegło się w czasie z kłopotami Polski w Unii Europejskiej.

Komisja Europejska ogłosiła zamiar wszczęcia procedury przeciw Polsce, związanej z artykułem 7. unijnego traktatu. Równocześnie rząd miał obawy przed postulatami organizacji żydowskich, dotyczących dawnego mienia żydowskiego w Polsce. I akurat wtedy, jak królika z kapelusza, wyciągnięto roszczenia reparacyjne wobec Niemiec.

Choć wiadomo, że takie roszczenia finansowe z góry skazane były na niepowodzenie – rząd w Berlinie uważa je za prawnie zamknięte – to jednak samo podjęcie tematu skutków niemieckiej okupacji w Polsce wielu historyków, i to po obu stronach Odry, oceniło pozytywnie. A zatem, paradoksalnie, całe zamieszanie miało też pozytywne skutki.

Warto przypomnieć, że nie był to pierwszy raz, gdy reparacje stały się tematem w Sejmie. We wrześniu 2004 r. – gdy premier wywodził się z SLD, a opozycyjne Platforma Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość szykowały się do wspólnego (jak jeszcze sądzono) przejęcia władzy – izba niższa polskiego parlamentu przyjęła głosami wszystkich sił politycznych uchwałę „w sprawie praw Polski do niemieckich reparacji wojennych oraz w sprawie bezprawnych roszczeń wobec Polski i obywateli polskich wysuwanych w Niemczech”.

Wywołała ona w Berlinie tym większe zdziwienie, że dopiero co Warszawę odwiedził kanclerz Gerhard Schröder – z okazji obchodów 60. rocznicy powsta-



W serialu „Nasze matki, nasi ojcowie” żołnierze AK (na zdjęciu przedstawiający ich aktorzy) zdobywają niemiecki pociąg z żydowskimi więźniami, aby następnie pozostawić ich na pewną śmierć. Telewizja ZDF sprzedała ten film do ponad 80 krajów świata.

nia warszawskiego – i zapewniał, że rząd federalny nie popiera roszczeń niemieckich wypędzonych (było to w apogeum aktywności Eriki Steinbach). O co tym Polakom znowu chodzi, ciągle im mało – taki wydźwięk miały medialne doniesienia na temat uchwały w niemieckich mediach. Ale równocześnie towarzyszyły im zdjęcia zniszczonej Warszawy, a świadomość krzywd Polaków wzrastała.

Dr Paweł Ukielski, zastępca dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego i adiunkt w Zakładzie Europy Środkowo-Wschodniej Instytutu Studiów Politycznych PAN, zaznacza, że woli mówić o zadośćuczynieniu niż o reparacjach, gdyż jest to słowo dużo szersze, które przenosi debatę z poziomu formalnoprawnego na poziom polityczny.

– Sprawa zadośćuczynienia będzie toczyła się jeszcze bardzo długo. Będzie odbywała przy różnych zatargach polsko-niemieckich i politycznych rozgrywkach w Polsce oraz w Niemczech. Środki, które Polska dotąd uzyskiwała od Niemiec jako zadośćuczynienie, są dalece rozbieżne ze stratami wojennymi. Za jakiś czas być może strona niemiecka zdecyduje się na pewien gest finansowo-polityczny wobec Polski – prognozuje Ukielski.

Traktowanie protekcyjne

Ościeniem w naszych stosunkach jest też asymetria w traktowaniu niemieckiej Polonii na tle tego, jak Polska traktuje u siebie mniejszość niemiecką. Polskie rządy od lat zabiegają o przyznanie Polonii statusu mniejszości. Niemcy na to reagują

zimno, gdyż – jak argumentują – status ten mają jedynie tzw. mniejszości historyczne (Serbołużyczanie, Sinti i Roma, Fryzowie czy Duńczycy), a przyznanie go Polakom niechybnie spowoduje, że o to samo upomną się np. obywatele Niemiec pochodzenia tureckiego.

W 2014 r. niemieckie MSW odrzuciło wniosek Związku Polaków w Niemczech o nadanie Polakom statusu mniejszości. W polskiej narracji było to tożsame z utrzymaniem decyzji hitlerowskich Niemiec (delegalizującej organizację mniejszościową) i pokazem niemieckiej arogancji, mówiącej Polakom: jesteście jak wszyscy inni, nie zrobimy dla was wyjątku.

Dokładnie taki sam argument pojawiał się w kontekście budowy pomnika upamiętniającego polskie ofiary okupacji niemieckiej w latach 1939-45. – Niemiecka argumentacja, że nie chcą nam postawić pomnika, bo wtedy zgłoszą się do nich inne grupy narodowościowe po własne miejsca pamięci, była ponownie protekcyjnym potraktowaniem Polaków: jesteście jak inni – uważa Ukielski. Nie tylko on zwraca w tej dyskusji uwagę, że niemiecka okupacja w Polsce miała charakter wyjątkowy na tle Europy.

– Niemcy zarzucają nam nacjonalizację pamięci – mówi wicedyrektor Muzeum Powstania, który niedawno wydał książkę „Pamięć Polski, pamięć sąsiadów. Pamięć Europy”. – Wtedy odpowiadam im, że ginęliśmy właśnie dlatego, że byliśmy Polakami. Z polecenia ich przywódcy mieliśmy zniknąć, zostać starci z powierzchni ziemi właśnie z powodu

narodowości. I dlatego pomnik musi się odnosić do Polaków, do naszej narodowości. Próba rozmycia Polaków w pomniku słowiańskich czy wschodnioeuropejskich ofiar wojny, umieszczenia nas na równi z oprawcą sowieckim, również była przykładem aroganckiej argumentacji.

Widoczny znak

Dziś wiemy, że stworzenie takiego miejsca pamięci poświęconego Polsce dojdzie do skutku.

– Niemiecki parlament zdecydował niedawno, że powstanie widoczny znak, który ma upamiętniać to, co Niemcy wyrządzili Polakom podczas II wojny światowej. Będzie to znak, ale także centrum spotkań i rozmów o stosunkach polsko-niemieckich, o naszej trudnej, ale też inspirującej historii – mówi prof. Peter Oliver Loew, szef Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt, który zabiegał o utworzenie takiego miejsca. – Jak ono będzie dokładnie wyglądać, okaże się w toku narad w najbliższych tygodniach, miesiącach, nawet latach – dodaje Loew.

Waldemar Czachur nie kryje uznania wobec ostatniej debaty w Bundestagu na temat pomnika, ale na zimno ocenia jej szersze znaczenie. – W Bundestagu miała miejsce piękna, emocjonalna, wzruszająca debata na temat Polski i konieczności zbudowania pomnika ofiar z Polski, z okresu niemieckiej okupacji. Ale daleko mi do euforii, bo społeczeństwo niemieckie wcale tak jeszcze nie myśli, jak argumentowali podczas tej debaty niektórzy niemieccy deputowani – mówi germanista [więcej o tej inicjatywie pisze w tym dodatku Dieter Bingen – red.].

Nie wiemy, kiedy dokładnie ani w jakiej formie powstanie w Berlinie takie miejsce. Ale wiemy prawie na pewno, gdzie: przy placu Askańskim.

„Naprzeciwko przyszłego Centrum Dokumentacji Federalnej Fundacji »Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie« w Deutschlandhaus przy Askanischer Platz” jest „stosowne miejsce, aby wzniesić tu pnący się ku górze, z daleka widoczny znak upamiętnienia w polityczno-symbolicznym centrum niemieckiej stolicy” – pisali w apelu do Bundestagu niemieccy intelektualiści równo trzy lata temu, w listopadzie 2017 r.

– Temat wypędzenia wróci, gdy otwory się to Centrum Dokumentacji – przy-

pomina o tej trochę zakurzonej sprawie Robert Traba.

Pierwotną inicjatorką powstania Centrum, wówczas jeszcze pod nazwą Centrum przeciwko Wypędzeniom, była Erika Steinbach. Ze względu na to, że tuż obok centrum niemieckiej martyrologii wojennej ma teraz powstać widoczny znak polskiej krzywdy, zabiegi środowisk wypędzonych o otwarcie swojego ośrodka mogą przybrać na sile. Taki „wysięg” na miejsca pamięci może znów kosztować Polskę i Niemcy sporo nerwów.

W pierwszej dekadzie XXI stulecia, w okresie sporu wokół działalności Eriki Steinbach, nawet tak wyważony człowiek jak Władysław Bartoszewski (pełniący funkcję pełnomocnika premiera Donalda Tuska ds. dialogu międzynarodowego) mówił, że „ta kobieta uczyniła swoim zawodem rewanżyzm”, i nie krył wzburzenia, że Steinbach jest zaangażowana w projekty historyczne dotyczące Polski. Ona „tak się dokładnie nadaje do pertraktacji z Polską, jak zdecydowany antysemita do pertraktacji z Jerozolimą” – mówił Bartoszewski.

Dziś była już szefowa Związku Wypędzonych jest na marginesie niemieckiej polityki. Stała na czele fundacji związanej z populistyczną AfD i głosi ksenofobiczne hasła.

Co pokazuje barometr

Polaków wciąż boli, że Niemcy traktują ich z góry, również w kwestiach historycznych, przy jednoczesnym nikłym zainteresowaniu historią sąsiada. Wgląd we wzajemną asymetrię postrzegania historii przynosi doroczne badanie Instytutu Spraw Publicznych „Barometr Polska-Niemcy”. Z edycji 2020, zatytułowanej „Sąsiedztwo z historią w tle: spojrzenia przez granice”, dowiadujemy się, że wśród skojarzeń polskich respondentów dotyczących Niemiec najliczniejszą grupę stanowią pojęcia związane z dramatyczną historią: obejmują 30 proc. wszystkich asocjacji, podczas gdy w Niemczech jest to zaledwie 7 proc.

Zdecydowane różnice w polskich i niemieckich opiniach istnieją też w przypadku oceny, czy cierpienia i ofiary Polaków, jakich doświadczyli w swojej historii, zostały wystarczająco uznane przez międzynarodową opinię publiczną. Dokładnie połowa Polaków uważa, że tak się nie stało (50 proc.), podczas gdy więk-

szość Niemców sądzi, że tak właśnie jest (56 proc.).

– Niemcy mają poczucie, że przeszłość udało się przezwyciężyć, są z tego dumni. I być może słusznie. Ale idą krok dalej i uważają, że to jest wzór do naśladowania dla wszystkich innych, co w Polakach budzi irytację. Polacy są przekonani, że zrównywanie naszych podejść do historii jest okazywaniem niemieckiej wyższości, buty – uważa Paweł Ukielski.

– Szczególnie jest tak w kontekście Holokaustu – dodaje wicedyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego. – Prawdą jest, że w Polsce był problem szmalcownictwa, wydawania Żydów. Ludzi, którzy zachowywali się niegodnie, było bardzo wielu. Jednak to są jednostki, które działały wbrew swojej wspólnocie politycznej, wbrew władzom RP. Każde wydawanie Żydów było działaniem wbrew swemu państwu. To jest fundamentalna różnica, gdyż Niemcy robili to w imię swojego państwa.

„Niemcy jako sprawca zbrodni wojennych stały się dzisiaj depozytariuszem kapitału moralnego, wskazując siebie jako przykład, jak należy przepracowywać podobne tragedie stanowiące obciążenie dla własnego społeczeństwa, jak i sąsiedzkich relacji, oraz jak budować państwo oparte na pryncypiach demokracji liberalnej. Ta strategia rozrachunku i pojednania odbierana jest w Polsce przez część elit jako relatywizacja odpowiedzialności, ale także jako przejaw niemieckiej buty” – w taki sposób o tym zjawisku piszą Waldemar Czachur, Peter Oliver Loew i Agnieszka Łada w publikacji „Dynamiki (nie)równowagi. Jak Polacy i Niemcy komunikują się ze sobą i komunikują o sobie”.

Niemcy się zmieniają

Agnieszka Łada, wicedyrektorka Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich, zwraca uwagę na dwa ważne czynniki, które powodują w Niemczech zmniejszone zainteresowanie historią w relacjach z Polską: zmianę pokoleniową i zmianę etniczną w niemieckim społeczeństwie.

– Wielu młodych niemieckich polityków nie rozumie, dlaczego mają się zajmować tym tematem, szczególnie że coraz większy procent społeczeństwa to nie są rdzenni Niemcy. Niemiec z kolejnego już pokolenia nie będzie się czuł odpowiedzialny za Holokaust czy za zbrodnie popełnione w Polsce. Z kolei wizyta na

→ polskim cmentarzu ofiar wojny dla niemieckiej młodzieży imigranckiej z drugiej już generacji mieszkającej w Niemczech nie jest przeżyciem osobistym, bo to nie ich przodkowie ponoszą odpowiedzialność za zbrodnicze czyny. A przecież osoby o korzeniach nierdzennie niemieckich to także dzisiejsi nauczyciele, ministrowie w państwach związkowych – mówi Agnieszka Łada.

Wicedyrektorka Deutsches Polen-Institut zauważa równocześnie, że historia odgrywa coraz mniejszą rolę na poziomie współpracy miast partnerskich. – Nieraz polsko-niemiecka tragiczna przeszłość i chęć zadośćuczynienia była ze strony niemieckiej motywacją do podjęcia takiej współpracy, w latach 80. i 90. XX w. Niemcy nawiązywali te relacje z potrzeby serca, bo czuli się odpowiedzialni. Dziś osoby, które zajmują się tą współpracą, niekoniecznie są motywowane wydarzeniami z przeszłości – komentuje Łada.

„Polacy często przyznają, że historia nie odgrywa roli, i wręcz starają się nie tematyzować jej tak, aby mogło być to zrozumiane, że wypominają Niemcom ich zbrodnie i polską rolę ofiary. Niektórzy Polacy wręcz współczują Niemcom, że cały czas są oni konfrontowani z tą przeszłością, nawet jeśli nie mają z nią, w odczuciu polskich rozmówców, nic wspólnego” – czytamy w opracowaniu „Szukać tego, co łączy. Rozwój, szanse i wyzwania partnerstw miast z Polski i Niemiec”, wydanym w tym roku przez instytut w Darmstadt.

Leo, powtórz Grunwald!

Jak zatem rozmawiać z Niemcami o historii?

– Jeśli znamy dobrze niemiecki kod kulturowy, jeśli wiemy, jakich argumentów użyć, aby zyskać zaufanie partnera, oraz jak zachować w rozmowie ważny dla Niemców dystans i spokój, to może nam to pomóc skutecznie przeformułować polski punkt widzenia. Rozmowy polsko-niemieckie o historii, szczególnie przy wspólnych projektach, to bardzo często walka na słowa, np. czy używamy pojęcia „niemiecki”, czy też „nazistowski” – przekonywał Waldemar Czachur.

Na słowa i na obrazy, bo motywy wojenne goszczą nawet na okładkach. Szczególnie dwie odbiły się szerokim echem za Odrą. Pierwsza to okładka tygodnika „Wprost” z września 2003 r., przedstawiająca Erikę Steinbach w mundurze SS i do-

■ Pamięć historyczna Niemców jest ważna także dlatego, gdyż rzutuje na polityczne relacje Berlina z Moskwą.

siadającą czołgającego się na czworakach kanclerza Schrödera. Kontrowersyjnej grafice towarzyszył napis przypominający, że Niemcy są winni Polakom bilion dolarów za II wojnę światową.

Drugi zestaw z historyczną konotacją zafundowały kibicom bulwarówki w 2008 r. przed meczem obu reprezentacji narodowych. Fotomontaż w „Super Expressie” przedstawiał, jak polski trener Leo Beenhakker trzyma odcięte i ociekające krwią głowy piłkarza niemieckiej reprezentacji Michaela Ballacka oraz trenera Joachima Löwa. Powyżej napis: „Wojna polsko-niemiecka”. „Fakt” z kolei pokazywał Beenhakker'a przymierzającego się, by ściąć mieczem głowę Ballackowi, odzianemu w płaszcz krzyżacki i pikielhaubę. „Leo, powtórz Grunwald” – wołał nagłówek.

Podobny apel, tyle że w formie muzycznej, wystosował do słuchaczy zespół Armia, który w 2010 r. nagrał oficjalną piosenkę obchodów 600. rocznicy bitwy pod Grunwaldem pt. „Jeszcze raz, jeszcze dziś”. „Czy zapomniałeś, (...) kto przyjaćiel, a kto Twój wróg, nie umarł duch” – tymi słowami rockmani bisowali na oficjalnych obchodach, a niemieccy dziennikarze zastanawiali się, czy Polacy chcą „jeszcze dziś” ponownie bić się pod Grunwaldem, czy też wyrażają tylko ogólnie antyniemieckie nastawienie.

50 lat wcześniej, z okazji okrągłej rocznicy bitwy, 30 mln Polaków poszło do kina na „Krzyżaków” Aleksandra Forda (był to rekord rodzimej kinematografii). Obraz złego krzyżaka stał się elementem kulturowym.

Ich matki, ich ojcowie

W potęgę produkcji na srebrnym ekranie wierzą i Polacy, i Niemcy. Ale to nasi sąsiedzi są skuteczniejsi w pokazywaniu swojej historii w kinie i telewizji. Ich produkcje filmowe robione są z ściągnięciem hollywoodzkim rozmachem i przemawiają do wyobraźni przeciętnego widza na całym świecie, nie tylko w Niemczech.

W Polsce ogromne emocje wzbudziła zwłaszcza trylogia „Nasze matki, nasi ojcowie”, wyprodukowana w 2013 r. przez drugi kanał telewizji publicznej ZDF, w której kaleczący język polski partyzanci AK chwalą się, że Żydów „topią jak koty”. Apogeum tej antypolskiej narracji była scena, gdy akowcy atakują i opanowują niemiecki pociąg towarowy – po czym, gdy orientują się, że w wagonach znajdują się żydowscy więźniowie, bez słowa odchodzą, zostawiając Żydów na pewną śmierć w zaryglowanych wagonach.

Polscy krytycy serialu argumentowali, że jest to scena całkowicie zmyślona. Natomiast jego niemieccy twórcy twierdzili, że wszystko, co pokazali w tym filmie, ma pokrycie w źródłach. Ale choć ich do tego wzywano, nigdy nie pokazali źródła, w którym byłaby mowa o takim akurat wydarzeniu.

A to tylko jedna scena. Powiedzieć, że serial ten – sprzedany z sukcesem przez ZDF do ponad 80 krajów świata – zacierał różnice między niemieckimi oprawcami a polskimi ofiarami, to jeszcze niewiele powiedzieć.

Pokazany w niemieckiej telewizji publicznej dwa lata później film „Miasto 44” (wyemitowany pod tytułem „Warschau '44”) – jako polska odpowiedź na niemieckie przekłamania o polskim ruchu oporu – nie spotkał się w Niemczech z zainteresowaniem. Choć premiera została nagłośniona i towarzyszyło jej dużo historycznych dokumentów, to tamtego wieczoru Niemcy chętniej oglądali popularny niemiecki serial kryminalny „Tatort”. Film Jana Komasy obejrzało w ZDF 1,06 mln widzów, podczas gdy wcześniej ostatni z trzech odcinków kontrowersyjnego serialu „Nasze matki, nasi ojcowie” aż 7,6 mln. Polakom znowu nie udało się przebić do Niemców ze swoją narracją.

Historia i bezpieczeństwo

Natomiast do niewątpliwych sukcesów polsko-niemieckich rozmów o historii należy zaliczyć podręcznik „Europa. Nasza historia” – efekt pracy Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej.

W grudniu 2007 r. ministrowie spraw zagranicznych Polski i Niemiec poparli ideę powstania takiej pomocy naukowej. Ostatecznie wydano cztery podręczniki do historii dla uczniów w wieku 10-16 lat. Obie wersje językowe są identyczne pod względem treści i szaty graficznej. Ostatni tom pt. „Od wybuchu II wojny światowej

do czasów współczesnych” ukazał się w lipcu 2020 r. Niestety trudno ocenić, ile dokładnie szkół korzysta z tych książek.

Podręcznik do historii uwzględniający polską wiedzę i wrażliwość historyczną jest tym ważniejszy, że większa wiedza o historii Polski za Odrą działa na naszą korzyść także w kontekście międzynarodowym.

– Świadomość historyczna Niemców dotycząca II wojny światowej jest istotna, gdyż rzutuje także na relacje Niemiec z Rosją – uważa Justyna Gotkowska, koordynatorka programu bezpieczeństwa regionalnego w Ośrodku Studiów Wschodnich (istniejący od 1990 r., Ośrodek jest jedną z najważniejszych w Polsce instytucji analitycznych, z którego pracy korzystają kolejne rządy).

– To Rosja bowiem, jak żadne inne państwo okupowane przez nazistowskie Niemcy, jest postrzegana jako główna ofiara niemieckiego terroru w trakcie II wojny światowej. Przez lata przyczyniało się to do niechęci wobec większego zaangażowania się Republiki Federalnej w politykę obrony i odstraszenia NATO na wschodniej flance – dodaje Gotkowska. – Wzrost świadomości historycznej Niemców byłby dodatkowym czynnikiem, przyczyniającym się do koniecznych przekształceń niemieckiej polityki bezpieczeństwa [o kwestii Ostpolitik pisze w tym dodatku Gerhard Gnauck – red.].

Trochę więcej empatii

Czy jest szansa na przezwyciężenie historycznych napięć w relacjach polsko-niemieckich?

Mimo wszystko, Waldemar Cza-chur jest optymistą: – Klasyczne tematy kontrowersyjne zostały już w dużej mierze przerobione, odpowiednio zauważone w kraju sąsiada, wpłynęły do obiegu medialnego oraz politycznego i dzięki temu nasze sąsiedztwo jest mocniejsze, bogatsze – zauważa. – A z polskiej perspektywy jest ważne, że poszerzyło to niemiecką empatię dla polskiego punktu widzenia. © ANNA PRZYBYLL

Autorka (ur. 1984) jest doktorantką w Zakładzie Studiów nad Niemcami ISP PAN. Pracowała m.in. w dzienniku „Polska The Times”.



SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

Nord Stream 2 stał się symbolem relacji niemiecko-rosyjskich. Na zdjęciu: montaż gazociągu Eugal, będącego częścią Nord Stream 2, w pobliżu miejscowości Damerow. Niemcy, 26 marca 2019 r.

Tam, gdzie Ludmiła Putinowa zbierała truskawki

GERHARD GNAUCK

Polacy i Niemcy wciąż różnią się w postrzeganiu Rosji – nawet jeśli ostatnio i tak się do siebie w tej sprawie zbliżyli.

Tej jesieni, dokładnie 30 lat po zjednoczeniu Niemiec, miałem okazję wziąć udział w kilkudniowej wycieczce organizowanej przez biuro podróży z Drezna. Większość uczestników to byli Niemcy ze wschodnich landów (dawniej NRD); sądząc po kosztach wycieczki, nie najbiedniejsi. Sam wychowałem się w Niemczech Zachodnich, ale moi rodzice i przez to cała rodzina od lat 70. XX w. miała, jak mówiliśmy, oczy zwrócone na wschód: na NRD, na Europę Środkowo-Wschodnią, na Związek Sowiecki.

Towarzystwo na wycieczce, 50- i 60-latkowie, było sympatyczne. Ale prędzej czy

później pojawiła się polityka, zaczynając od krytycznych uwag na temat „przejścia” NRD przez kapitał zachodni i traktowania jej mieszkańców jako obywateli drugiej kategorii. Jako Niemiec z zachodu, czyli *Wessi*, a do tego dziennikarz, nasłuchiwałem się krytycznych uwag („Czy media mówią prawdę?”, „Dlaczego opisywanie nas nieprawdziwie?”).

Szczególnie ciekawe były rozmowy o Rosji i NATO. Towarzyszka podróży – dawniej w branży rolniczej, teraz w ubezpieczeniach – pytała: „Po co NATO robi manewry w Polsce?”. Odparłem, że NATO ćwiczy w Polsce, odkąd Rosja wysłała swoich ludzi na wschodnią Ukrainę. ➔

→ Dodałem, że wydaje mi się, iż Niemcy wprawdzie są w NATO, ale niektórzy Niemcy wschodni sercem jakby nie byli w Sojuszu. Usłyszałem gremialnie: „A niby dlaczego mielibyśmy być?”. Były oficer armii NRD (teraz w ubezpieczeniach) dodał: „Po 1989 r. nie chciałem odwrócić lufy karabinu o 180 stopni i poszedłem do cywila”.

Dowiedziałem się też ciekawych szczegółów o przyjaźni niemiecko-sowieckiej. Pani z branży rolniczej wspominała, jak to „Ludmiła Putinowa pomagała nam zbierać truskawki”. Wprawdzie, jak mówiła, żony sowieckich oficerów stacjonujących w NRD nie mogły pracować, ale od czasu do czasu podjeżdżał pod jej zakład autokar z kobietami, które chciały sobie dorobić. Wśród nich miała być ówczesna żona Władimira Putina, stacjonującego w Dreźnie oficera KGB.

Inny towarzysz podróży, muzealnik, twierdził, że Putin postawił Rosję na nogi, że ten kraj potrzebuje silnej ręki, że „zwykły Rosjanin miłuje pokój”, i że w swej historii Rosja prowadziła wyłącznie wojny obronne.

Mieszanka sprzecznych emocji

Pamięć zbiorowa Niemców z bylej NRD jest specyficzna – niepodobna ani do zachodnioniemieckiej, ani do polskiej. Niewątpliwie, co pokazują też sondaże, sentyment wobec Rosji i Rosjan, a także wyrozumiałość wobec autorytaryzmu rosyjskiej polityki są w Niemczech wschodnich większe niż w zachodnich. Ale niektóre z cytowanych opinii można usłyszeć także na zachód od dawnej granicy NRD-RFN.

Tak czy owak, po tym wstępie spójrzmy na Niemcy jako całość. O ich stosunku do Związku Sowieckiego, a dziś do Rosji stanowi w ostatnich dekadach mieszanka wyjątkowo sprzecznych emocji. Jest tu poczucie winy (wstydu, odpowiedzialności) za niemieckie zbrodnie na terenie Związku Sowieckiego podczas II wojny światowej. Jest też lęk: to w końcu „oni” wygrali tę wojnę, przy czym niemiecką ludność cywilną traktowali nieporównanie gorzej niż alianci zachodni. Do tego Stalin wymusił amputację jednej czwartej terytorium Niemiec. Później był lęk z powodu siły i – jak sądzono – nieobliczalności Moskwy, dysponującej arsenałem jądrowym. A potem pojawiła się też wdzięczność: Gorbaczow



Aleksiej Nawalny z żoną Julią w berlińskim szpitalu, 15 września 2020 r.

nie sprzeciwił się ani zburzeniu muru berlińskiego, ani demokracji NRD, ani zjednoczeniu Niemiec. A poza tym były tu (i częściowo są) elementy jakiejś atrakcyjności ideologicznej i politycznej (socjalizm, alternatywa do „zimnego” kapitalizmu, przeciwwaga do Ameryki), no i poczucie różnorodnych „więzi historycznych” oraz „bliskości kulturowej”.

Jednym słowem: wina plus strach plus wdzięczność plus zauroczenie ideologiczne i kulturowe – niezwykły koktajl emocji. Niestety, bardzo powoli do wyobraźni Niemców dociera fakt, że pod niemiecką okupacją Związku Sowieckiego ucierpiały przede wszystkim Białoruś i Ukraina oraz że związane z tym poczucie winy i odpowiedzialności powinno być skierowane zwłaszcza wobec Białorusinów i Ukraińców.

Pierwsi do rozmów

Dochodzą do tego oczywiście polityka i gospodarka.

Już w 1963 r. ówczesny burmistrz Berlina Zachodniego Willy Brandt oraz jego zaufany współpracownik Egon Bahr sformułowali cel *Wandel durch Annäherung*, czyli „zmiana poprzez zbliżenie” (zbliżenie obu bloków, a zwłaszcza obu części Niemiec). Mieli na uwadze trudną sytuację wyspy, którą stał się Berlin Zachodni po tym, jak w 1961 r. władze NRD otoczyły go murem, a także sytuację podzielonego narodu – i podzielonego konty-

nentu. Powoływali się przy tym na kielkujące wtedy odprężenie między Waszyngtonem a Moskwą, z udziałem Kennedy’ego i Chruszczowa.

W czasach, które nazywamy erą „polityki odprężenia” (niem. *Entspannungs-politik*) oraz „nowej polityki wschodniej” (niem. *neue Ostpolitik*), czyli w latach 70., Willy Brandt (już jako kanclerz) i jego następca Helmut Schmidt próbowali łagodzić skutki II wojny światowej i zimnej wojny poprzez uznanie niemieckiej winy, istnienia dwóch bloków oraz terytorialnego *status quo* – czyli uznanie utraty ziem niemieckich na wschodzie i podziału kraju na dwa państwa. Starano się też o ułatwienia humanitarne.

Ku rozczarowaniu władz PRL, politycy w Bonn nie ukrywali przy tym, że pierwszym partnerem do rozmów na wschodzie jest dla nich Moskwa, zgodnie z hierarchią panującą w bloku wschodnim. Ale symbol tej polityki jest jednak związany z Warszawą: to ukłęknięcie kanclerza Brandta przed pomnikiem Bohaterów Getta (w kwestii, na ile był to gest pokuty, gest polsko-niemiecki czy też adresowany do Żydów i Izraela, odsyłam do książki Thomasa Brechenmachera i Michaela Wolffsohna „Denkmalsturz? Brandts Kniefall” z 2005 r.).

Prawie równocześnie, bo od 1969 r., nastąpiło zbliżenie gospodarcze. Pierwsze wielkie umowy Bonn–Moskwa (zawarte przy udziale Austrii) przewidywały dostawy niemieckich części do rosyjskich rurociągów, które miały być – i następnie były – opłacane dostawami rosyjskiego gazu.

Partner przeceniany

Po przełomie lat 1989-91 starano się o zwiększenie współpracy gospodarczej. O ile więc przy rozszerzaniu NATO na wschód nie uwzględniano życzeń Moskwy, o tyle w sprawie gazociągów Nord Stream 1 i Nord Stream 2 – już tak. W ten sposób mamy sytuację, gdy Rosja jest – już od kilku lat – największym dostawcą gazu, ropy i paliw stałych, i to zarówno dla Niemiec, jak też dla całej Unii Europejskiej. A lobbyści Nord Stream dalej trąbią, że budowa kolejnych rur po dnie Bałtyku służy dywersyfikacji źródeł energii dla Niemiec. Niestety, tutejsze media i politycy długo wierzyli w to kłamstwo.

Kilka dużych projektów prowadzonych z Rosją i powszechna wiara

w „wielkość” tego kraju doprowadziły do tego, że w Niemczech często przecenia się wagę rosyjskiego partnera. Tymczasem już w latach 2009-2010 wartość handlu niemiecko-rosyjskiego była podobna do tej handlu niemiecko-czeskiego. Po 2014 r., za sprawą spadających cen ropy i gazu oraz sankcji, Rosja znalazła się dopiero na miejscu 13. na liście partnerów Niemiec w handlu zagranicznym (w 2019 r. miał on wartość 58 mld euro). Czechy były na 10., Polska zaś wspięła się na 6. miejsce (123 mld euro); w tym roku prawdopodobnie przegoni jeszcze Włochy.

Jednak w swojej kluczowej branży, surowcowej, Rosjanie trzymają się mocno, także jako inwestorzy. W Niemczech długo nikt nie dostrzegał (lub nie chciał dostrzec) strategicznego znaczenia tej sytuacji. Doszło do tego, że właścicielem dwóch największych magazynów gazu w Europie Zachodniej – w niemieckim Rehden i austriackim Haidach – jest Gazprom (a jak można przeczytać na stronie jego spółki-córki, Astora, moce magazynowe są rozbudowywane).

Na rozstaju dróg

Długo nic nie wskazywało, że budowa Nord Stream 2 może być zagrożona. Aż gruchnęła wieść o otruciu najbardziej znanego rosyjskiego opozycjonisty. Aleksiej Nawalny trafił do berlińskiej kliniki Charité. Po leczeniu i wybudzeniu go ze śpiączki spotkała się z nim, prywatnie, kanclerz Angela Merkel.

Równocześnie w Niemczech rozgorzała debata o Rosji, najostrzejsza od kilku dekad. O ile wcześniej nic nie zdołało zachwiać niemieckiego przekonania, że Rosja to stabilny dostawca energii i wiarygodny partner (nawet rosyjsko-ukraińskie zimowe „wojny gazowe”, w roku 2006 i 2009), o tyle stało się tak po próbie otrucia Nawalnego. Mam wrażenie, że argument moralny i prawny – państwo, w którym dochodzi do zamachów na czołowych krytyków władz, czyli Niemcowa i Nawalnego, nie może być wiarygodnym partnerem – przemówił do Niemców bardziej niż uwaga, że „za sprawą Nord Stream 2 Ukraina straci dochody z tranzytu gazu” (ten argument przeciw rurociągowi przywoływano wcześniej w wielu niemieckich mediach jako jedyny).

Teraz sprawa Nawalnego, której towarzyszyło miażdżenie protestów na Białoruś,

stała się dla niemieckich polityków i mediów okazją, aby przypomnieć listę rosyjskich przewinień z ostatnich lat. To przede wszystkim Krym i Donbas. Ale, jeśli idzie o same Niemcy, to także potężny atak (najpewniej) rosyjskich hakerów na Bundestag w 2015 r. (gdy wówczas temat ten poruszyła posłanka Zielonych Marie-Luise Beck, prawie nikt się nim nie zainteresował). To także zabójstwo weterana wojen czeceńskich w berlińskim parku Tiergarten, według niemieckiej prokuratury zlecone przez rosyjskie służby specjalne (proces mordercy toczy się w Berlinie od 7 października).

W wielu mediach pisze się, że relacje niemiecko-rosyjskie są dziś na rozstaju dróg. Stało się coś, co pewien rosyjski ekspert od stosunków międzynarodowych opisał krótko: „Tracimy Niemców”. Państwo Putina traci Niemców jako partnerów i jako tych, którzy je empatycznie rozumieją lepiej niż ktokolwiek inny w zachodniej części świata.

Ale niekoniecznie jako partnerów gospodarczych. Rząd w Berlinie uważa, że mimo wszystko należy dokończyć Nord Stream 2. Bronić takiego stanowiska będzie mu teraz łatwiej, bo znika ważny czynnik: Donald Trump, którego działania przeciw Nord Stream 2 przybrały nawet formę pogroźek wobec niemieckiego, bądź co bądź, sojusznika (w sumie była to niedźwiedzia przysługa dla jedności Zachodu).

Co dalej, zobaczymy. Jak już widzieliśmy, komponent gazowy ma w *Ostpolitik* długą tradycję.

Kto jest realistą

Oczywiście, typ *Putin-Versteher* (to neologizm: ironiczne określenie kogoś, kto jest gotów zawsze tłumaczyć putinowską Rosję i wszystko jej wybaczać) nie zniknie. Tacy ludzie są w kołach gospodarczych czy w świecie piłki nożnej. Są nawet wśród przywódców Kościoła ewangelickiego. Przejrzałem wszystkie wypowiedzi z lat 2014-15 zamieszczone na stronie internetowej władz tego Kościoła. Można dojść do wniosku, że jest to bardzo „polityczny” Kościół, którego biskupi wypowiadają się na temat problemów całego świata, od Ameryki Łacińskiej przez Jemen po Azję. Tymczasem na wydarzenia w Rosji i u jej sąsiadów nasz Kościół ewangelicki był ślepy i głuchy (no, chyba że chodziło o spór o kapłaństwo kobiet u ewangelików na Łotwie).

Polacy, Ukraińcy, Litwini, Estończycy, Gruzini – oni wszyscy rozumieją Rosję inaczej. Śmiej się, że bardziej realistycznie niż Niemcy.

Kiedyś istniał mechanizm polsko-niemieckich konsultacji na temat polityki wschodniej, na szczelbu MSZ obu państw. Latem 2014 r. podsekretarz stanu Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, uczestniczka tych rozmów, tak streszczała mi polski punkt widzenia: „Ponieważ reżim w Rosji dziś jest taki, jaki jest, będzie szedł tylko ku gorszemu. Trzeba go zatrzymać teraz, nawet jeśli przyjdzie płacić za to cenę w sensie gospodarczym. Jednak Niemcy – nawet w temacie agresji Rosji przeciwko Ukrainie – nadal widzą »pole do dialogu«. Ale nie ma takiego pola, albo jest bardzo małe. Dialog nie jest celem samym w sobie”.

W ten sposób Niemcy i Polacy wciąż różnią się w postrzeganiu Rosji – choć ostatnio i tak się do siebie w tej kwestii zbliżyli.

W cieniu historii

Od czasów cara Piotra I istniały dwa sposoby reagowania na wyzwanie, które przedstawiała sobą Rosja. Historyk Martin Schulze Wessel pisał niedawno na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, że były to „brytyjskie powstrzymywanie (*containment*) oraz prusko-rosyjskie szczególne relacje, których stałym elementem był obopólny interes polegający na wspólnym podbiciu Polski”. Autor spuentował swój tekst słowami: „Obstając przy Nord Stream 2, Niemcy bezrefleksyjnie idą dawną drogą owych szczególnych relacji, których elementem jest ignorowanie interesów krajów i narodów Europy Środkowo-Wschodniej. W ten sposób nigdy nie uda się osiągnąć celu, jakim jest dla Berlina uwspólnotowanie polityki zagranicznej w ramach Unii Europejskiej”.

© GERHARD GNAUCK

Korzystałem m.in. z tekstu historyka Manfreda Wilkego „Vor 50 Jahren: Die neue Ostpolitik der Bundesrepublik und der Moskauer Vertrag 1970” (dostępnego na stronie: www.bpb.de/312612).

Autor (ur. 1964) jest historykiem i politologiem, korespondentem dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung” w Warszawie. Po polsku ukazała się jego książka „Marcel Reich-Ranicki. Polskie lata”.



Coroczny polsko-niemiecki festyn Bunter Hering (Kolorowy Śledź). Słubice–Frankfurt nad Odrą, 6 lipca 2016 r.

Pierwszy świat, drugi świat

NANCY WALDMANN, ŁUKASZ GRAJEWSKI

**Czy stosunki polsko-niemieckie wciąż są postkolonialne?
Tak uważa dwoje naszych autorów młodszego pokolenia.**

Jesteśmy dwojgiem dziennikarzy, z Polski i Niemiec, mamy po trzydzieści kilka lat. Pracujemy na polsko-niemieckim pograniczu – tym geograficznym, wzdłuż Odry i Nysy, oraz tym intelektualnym. Postanowiliśmy napisać ten wspólny tekst po tym, jak na spontanicznym spotkaniu – i bez żadnych założeń wstępnych – zauważyliśmy, że w oparciu o nasze doświadczenia zwracamy uwagę na podobne problemy w relacjach polsko-niemieckich. A zwłaszcza na elitarność tej relacji, sprawiającą, że skrywane animozje i poczucie nierówności często są wypierane.

WALDMANN: DWUMIASTO

Mieszkam w dwumieście, bo tak można nazwać Frankfurt nad Odrą i Słubice. Jestem dumna z tego, że żyję w miejscu, gdzie kończą się dwa państwa narodowe, a na ich peryferiach powstaje coś nowego, hybrydowego. Nie chciałabym mieszkać tylko po jednej czy drugiej stronie Odry. Moje miasto to Frankfurt i Słubice.

Pierwszy raz przybyłam tu 16 lat temu. Od tego czasu zniknęło ogromne przejście graniczne, a widok na most łączący obie części stał się dzięki temu wyraźny. Między Frankfurtem i Słubicami kursuje wspólnie obsługiwany auto-

bus. Wielu Polaków zdążyło przeprowadzić się do Frankfurtu. Tworzą się polsko-niemieckie rodziny. Wśród Niemców zanika stereotyp Polaków-złodziei. W końcu trudniej o stereotypy, gdy polskich kolegów spotyka się codziennie w miejscu pracy.

Jednak wciąż są obszary, które wskazują, jak bardzo asymetryczne są stosunki po obu stronach dwumia. Wystarczy posłuchać Niemców, którzy udają się do Słubic na zakupy. Od lat, ba, od dekad przybywają tu, by zaopatrzyć się w tańsze papierosy, ale jakoś nie przyszło im do głowy, by nauczyć

się po polsku „dzień dobry” lub „dziękuję”. Dla nich bycie obywatelem dwumiaasta oznacza egzekwowanie swoich praw jako konsumentów.

Pod ich potrzeby urządzono sam wjazd do Słubic od strony niemieckiej. Po zejściu z mostu opuszcza się sterylny krajobraz Frankfurtu i wkracza do obklejonego reklamowymi banerami nieładu architektonicznego, któremu przyświeca jeden cel: zachęcić przybyszów do zakupów. Kilkaś metrów dalej, w centrum Słubic, pojawia się już inna estetyka, są gustownie urządzone lokale, restauracje. Ale wcześniej, przy moście, mamy reprodukcję obowiązujących od dekad stereotypów – po to, aby obie strony mogły się łatwo porozumieć. Przyjeżdża się tu nie po turystyczne wrażenia czy kulturowe wzbogacenie, lecz po sztangę papierosów i alkohol.

Ważnym punktem na mapie dwumiaasta jest więc bazar, który Niemcy nazywają Polskim Targiem (Polenmarkt). Wiele razy wieszczono mu już rychłą śmierć, za pierwszym razem z chwilą wejścia Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. Wbrew temu istnieje i ma się dobrze. W większości nie odwiedzają go mieszkańcy Frankfurtu, lecz raczej ludzie z Berlina, Magdeburga czy nawet Brunszwiku, położonego w centrum Niemiec.

To miejsce tworzone zwłaszcza dla Niemców z byłej NRD, zubożałej klasy średniej i ludzi żyjących z zasiłków socjalnych. Przyjeżdżają, aby zjeść bigos i wypić parę piw, aby najeść się w nadmiarze, „bo tanio”; atmosferę uміlają tandetne niemieckie szlagiery. Można tu kupić głównie podróbki ubrań i torebek znanych marek. Są też koszulki z hasłami dla lokalnych patriotów ze wschodnich Niemiec i dla prawicowych ekstremistów, np. z nazwami neonazistowskich zespołów, w Niemczech zakazanych. Do tego noże, wiatrówki, odżywki i lewa viagra. Polski Targ w Słubicach to park konsumpcji i rozrywki dla niemieckiego proletariatu.

Można by zapytać: i w czym problem? Polscy handlowcy zyskują, niemieccy klienci pomagają Słubicom i regionowi przygranicznemu sięgać po upragniony dobrobyt. Niektórzy handlowcy żyją zresztą lepiej niż ich niemieccy klienci. Słubiccy kupcy mówią mi, że to tutaj, na bazarze, a nie wśród polityków, którzy rzucają frazesy o Europie, powstała prawdziwa przyjaźń polsko-niemiecka.

Na dowód wymieniają swych długoletnich klientów, znają ich rodzinne losy.

Ale czy na pewno można mówić o przyjaźni? Gdy obserwuję codzienne spotkania na bazarze, widzę raczej relacje obsługiwanym i służącym. I to Niemcy, nawet ta zubożała grupa odwiedzająca targowisko, zawsze są tymi, których się obsługuje. Nie ma mowy o odwracaniu ról. Niemieccy klienci nie znają języka sprzedawców. „Przecież Polacy mówią po niemiecku” – usprawiedliwiają się. Dlaczego też mieliby się interesować ich życiem?

GRAJEWSKI: RELACJE

Pogranicze polsko-niemieckie boryka się z o wiele szerszą paletą problemów, których geneza tkwi w sieci nierówności. Wprawdzie można postawić tezę, że kłopoty są też na innych pograniczach – polsko-czeskim czy polsko-ukraińskim – ale tam przynajmniej nie zaklina się rzeczywistości tezą, że mamy do czynienia z wyjątkowo udaną dobrosąsiedzką relacją.

Rzekomo świetne i wyjątkowe oblicze pogranicza – to konik lokalnych i regionalnych polityków po obu stronach Odry. W rzeczywistości codzienne relacje są dość proste do opisanja: Polacy jeżdżą do Niemiec pracować, Niemcy do Polski jeżdżą na zakupy albo coś zjeść. Oba procesy wynikają jasno z przewagi niemieckiej gospodarki i waluty nad polską.

Dopiero od paru lat – po tym, jak przeprowadziłem się do Lipska – zacząłem częściej odwiedzać pogranicze polsko-niemieckie. Jedną z licznych miejscowości, do których udało mi się dotrzeć, jest Słońsk (15 km od Kostrzyna). Przed wojną Sonnenburg był dobrze radzącym sobie miasteczkiem z długą listą lokalnych kupców i przedsiębiorców. Był też celem turystów z Berlina, którzy zjeżdżali tu bezpośrednim pociągami. Czekala na nich wypożyczalnia samochodów i rowarów. Pojazdy były potrzebne, żeby dotrzeć nad Radacher See, jak wtedy nazywało się Jezioro Radachowskie. Oprócz chłodnej wody atrakcją była restauracja postawiona na palach przy brzegu. W środku wstawiono duże akwarium z rybami z jeziora i goście mogli sami dokonać wyboru, co chcą zjeść na obiad. Dziś nie ma stacji kolejowej, nie ma wypożyczalni, nie ma restauracji i nie ma urlopowiczów. Z wód jeziora wystają resztki drewnianej konstrukcji, na której stała re-

stauracja. Brzeg mocno zarósł i tylko niewielki jego kawałek służy za dzikie pole kempingowe.

Sam Słońsk też mocno podupadł. Jednym z symboli tego procesu jest zamek zakonu joannitów. Okazała budowla przetrwała w stanie nienaruszonym II wojnę światową. W czasach PRL-u zamek rozgrabiono i pozostawiono bez opieki – jako niechcianą, obcą pozostałość po Niemcach. Do dziś zachowały się ruiny.

Zaniedbania z polskiej strony pogranicza wynikają z dekad niepewności ludzi, których osiedlano na tych terenach. O nowe „swoje” nie dbali, bo aż do 1990 r. nie byli nawet pewni, czy w ogóle będą mogli tu zostać. Ale także dziś, trzy dekady później, niemiecką spuściznę odkrywają i chronią głównie grupy pasjonatów. Mieszkańcom trudno narzucić szacunek dla czegoś, co wciąż w głowach po części pozostaje obce.

Podczas podróży po pograniczu wielokrotnie spotykałem niemieckich turystów. „To takie ważne: odkrywać kraj sąsiada” – ta fraza, często powtarzana, brzmiała mi zawsze sztampowo, jak jakaś formułka, którą napotkani czuli się zobowiązani wypowiedzieć. Chciałbym poznać ich prawdziwe myśli, gdy krążą po ponemieckich włościach. Czy nie są źli, że tyle dziedzictwa kulturowego obróciło się w ruinę po zmianie gospodarzy?

Nieufność wciąż jest wpisana w relacje pogranicza. Podczas kilkudniowego pobytu w Szczecinie wyczuwałem wrogość Polaków do niemieckich turystów, np. wśród sprzedawców lub kelnerów. W szczecińskiej filharmonii na sali koncertowej usadowili się głównie niemieccy renciści, którzy przyjechali busami z pobliskich miejscowości. Z jednej strony: sukces, strefa Schengen w praktyce, europejskie marzenie. Z drugiej: poczucie, że to trochę jak z tym jeżdżeniem po tanie papierosy do Słubic. Konsumenci, tym razem kultury wyższej, wybierają Szczecin, bo koncerty muzyki klasycznej są po polskiej stronie dużo tańsze. A po uczcie dla uszu można wsiąść do autobusu i wrócić do siebie.

WALDMANN: PAMIĘĆ

Są Niemcy, którzy zupełnie inaczej przygotowują się do podróży do Polski. Część niemieckich wypędzonych – ludzi, którzy korzenie mają za Odrą i Nysą – niewiele ma wspólnego z prawicowo-rewizjonistycznym Związkiem Wypędzonych. ➔

→ Przykładem Grupa Robocza Landsberg Warthe / Gorzów, która przez długie lata prowadziła swój własny proces pojednania z polskim Gorzowem Wielkopolskim – zastąpił on ich była mała ojczyznę (dziś Grupa już nie istnieje: została rozwiązana z uwagi na malejącą liczbę członków i zaawansowany wiek tych, którzy zostali).

W przeszłości odbyłam kilkanaście podróży z Niemcami do ich dawnych małych ojczyzn: na Mazury, Śląsk czy do Nowej Marchii [obejmowała ziemię lubuską oraz pogranicze z Wielkopolską i Pomorzem Zachodnim – red.]. Nie były to podróże grupowe. Częścią naszego projektu „Heimatreise”, opracowanego we Frankfurcie, była reguła, że podróże te będą odbywać się indywidualnie. Gdy było to tylko możliwe, staraliśmy się z wyprzedzeniem uprzedzić mieszkańców domu o planowanej wizycie. Celem było doprowadzenie do rozmów byłych i obecnych mieszkańców. Sama tłumaczyłam i moderowałam te spotkania. Efekty były często zaskakująco pozytywne. W dużym stopniu dzięki tradycyjnej polskiej gościnności, którą okazywali gospodarze.

Niemcy porównywali swoje wspomnienia z teraźniejszością, opowiadali o rodzinach, o tym, co zdołali zapamiętać z czasu ucieczki. Z kolei polscy gospodarze opowiadali, skąd pochodzili ich rodziny – przecież najczęściej sami też byli wygnańcami. Mimo to trudno było podczas tych rozmów skierować uwagę na ich historię. Wynikało to nie tylko z logiki miejsca, które w naturalny sposób niosło ze sobą bardzo emocjonalne wspomnienia dla przybyszów z Niemiec. Niemcy nie potrafili umieścić rodzinnych historii Polaków w znanym im historycznym kontekście. Nie mieli pojęcia, gdzie są polskie Kresy, nie wiedzieli o deportacjach Polaków podczas II wojny światowej i po niej.

Trudno obwiniać pojedyncze osoby o brak wiedzy. Sama w szkole dowiedziałam się wiele o dyktaturze narodowosocjalistycznej, o II wojnie światowej i Holokauście, ale prawie nic o tym, w jaki sposób okupacja dotknęła nieżydowskich Polaków. Dla wielu Niemców refleksja nad Polską i historią II wojny światowej kończy się na ludobójstwie Żydów. Dla części, zwłaszcza dla niemieckiej lewicy, oznacza ona też, jak mówią, „szczególną odpowiedzialność wobec Rosji”. Ale nie

■ Niemcy pozostają dla Polaków źródłem frustracji. Na wojenne rany nakładają się rozczarowania posttransformacyjne.

szczególną odpowiedzialność wobec Polski, która była kolonizowana już w czasach pruskich.

Bardzo niewielu Niemców potrafi odróżnić powstanie warszawskie od powstania w getcie warszawskim. Natomiast niespodziewanie wielu ma dobrze wyrobione zdanie na temat polskiego antysemityzmu. Bohaterowie ruchu oporu, jak Witold Pilecki, są mało znani w Niemczech, podobnie jak rodzina Ulmów i inni Polacy, którzy w czasie niemieckiej okupacji ukrywali Żydów, za co płacili życiem. Nie znają ich – i to jest porażka nie tylko niemieckiej, lecz także polskiej liberalnej polityki pojednania prowadzonej po 1989 r. Dopiero rząd Prawa i Sprawiedliwości zajął się tymi postaciami i zaczął rozpowszechniać ich życiorysy w ramach własnej polityki historycznej, której istotą jest promowanie polskiego męstwa i patriotyzmu.

Bundestag podjął niedawno decyzję o utworzeniu w Berlinie centrum dokumentacji na temat okupacji hitlerowskiej w Europie. Pomysł ten jest konsekwencją konsensu wśród niemieckich elit politycznych co do faktu, że w kulturze pamięci wciąż są duże luki do uzupełnienia. Bundestag zdecydował też, że w stolicy Niemiec powstanie miejsce pamięci polskich ofiar II wojny światowej.

Czy to wystarczy, aby nadrobić zaniebdania? Czy nie powinna temu towarzyszyć debata na temat wypłat odszkodowań? Kolejne rządy niemieckie mówią, że ta sprawa została już „rozliczona”, co zamyka nawet możliwość rozpoczęcia wspólnej debaty na ten temat. Otwarte negocjacje w sprawie odszkodowań spowodowałyby, że publiczna debata nad niemieckimi zbrodniami w okupowanej Polsce stałaby się żywa i dotarłaby do dużej grupy ludzi.

WALDMANN: ASYMETRIA...

Problemu asymetrii w stosunkach polsko-niemieckich nie dotyka proces, który zwykliśmy nazywać pojednaniem polsko-niemieckim, gdyż to od początku aż po dziś dzień prowadzone było i jest na poziomie elit. List biskupów polskich z 1965 r. nie jest w Niemczech szerzej znany. Natomiast w Polsce przesłanie „wybaczamy i prosimy o wybaczenie”, jeśli już dotarło do zwykłych ludzi, to wywarło raczej sprzeciw niż akceptację. Dziś ten list sprzed 55 lat to historia: trudno traktować go jako ważny element współczesnych relacji polsko-niemieckich. Także dziś, w 2020 r., kościelni hierarchowie z Niemiec nie odgrywają znaczącej roli w kształtowaniu opinii publicznej. Również w Polsce ich głos gwałtownie traci na znaczeniu.

Przy okazji warto zastanowić się, dlaczego spośród wszelkich możliwych miejsc na symbol polsko-niemieckiego pojednania wyznaczono Krzyżową, a nie Warszawę, Wieluń albo Gdańsk? Prawdopodobnie dlatego, że Krzyżowa zrobiła wrażenie na niewielkiej grupie polskich intelektualistów. Z drugiej strony, Niemcy mogli w Krzyżowej przekonywać sami siebie, że niemieccy konserwatyści (jak rodzina von Moltke), w tym także wyżsi oficerowie Wehrmachtu, zostali niezłomni i przyzwoici, i że to nie niemiecki konserwatyzm doprowadził Europę do ruiny, że w Niemczech, nawet w czasach III Rzeszy, nie wszystko było złe.

Krzyżowa nie miałaby może takiego znaczenia, gdyby nie słynne zdjęcie Tadeusza Mazowieckiego i Helmuta Kohla, na którym politycy padają sobie w ramiona. Niestety, to zdjęcie fałszuje stan rzeczy sprzed 30 lat. To był czas twardych negocjacji, które trudno uznać za proces pojednania. Toczące się w tych gremiach rozmowy nie miały dużo wspólnego z codziennym życiem, pełnym wzajemnych uprzedzeń. Jak już wskazywaliśmy, uprzedzenia te nie zniknęły także po podpisaniu traktatów o granicy (1990 r.) oraz o przyjaźni (1991 r.).

GRAJEWSKI: ...A POJEDNANIE

Jak daleko Polacy oddaleni są od myślenia życzeniowego polskich biskupów i idealów środowiska Krzyżowej, naocznili mi trzy rozmowy, które odbyłem niedawno, w październiku. Podczas jednej napomknąłem, że przeprowa-

dziłem wywiad o zjednoczeniu Niemiec. „A zapytałeś rozmówcę, czy miał dziadka w NSDAP?” – usłyszałem komentarz znajomego Polaka. Kolejna rozmowa, tym razem prowadzona wirtualnie na grupie, na jednym z komunikatorów. „W Niemczech na pewno mają jakieś sposoby na radzenie sobie z chorymi na koronawirusa. Pewnie jakiś obóz mają” – pisze ktoś. „Stosują cyklon B?” – dodaje ktoś inny. I trzeci przykład: opowiadam, że byłem w Monachium i odwiedziłem jedną ze starszych piwiarni, opisuję sale i piwo lane z drewnianej beczki. „Normalnie jak za Adolfa” – rozmówca przerywa mój wywód.

Rzecz jasna, w każdym przypadku wypowiedzi były ironiczne. Każda z cytowanych osób ma wyższe wykształcenie i liberalne poglądy. Żadna nie głosowała na PiS. A jednak nawet krótka wzmianka uruchamia od razu analogie do II wojny światowej.

GRAJEWSKI: FRUSTRACJA

Niemcy pozostają dla Polaków przede wszystkim źródłem frustracji. Na wciąż niezagojone rany z czasów II wojny światowej nakładają się rozczarowania posttransformacyjne. Polacy po 1989 r. rzucili się gonić Zachód i jego dogonienie jest od 30 lat ich głównym celem. Niemal jedynym punktem odniesienia w tym wysiłku (z racji geograficznych – odniesieniem naturalnym) jest zachodni sąsiad Polski.

Niemcy zaś, ze swoim dążeniem do bycia najlepszymi we wszelkich możliwych dziedzinach (co absolutnie nie jest zarzutem), a także z kapitałem zgromadzonym w czasie, gdy Polska była sowieckim satelitą, nawet po 30 latach pozostają na dużo wyższym poziomie we wszelkich mierzalnych kategoriach. Zarobki, programy socjalne, znane firmy, drużyny piłkarskie, ilość rowerów na ulicach itd. itp. Trudno znaleźć dziedzinę, gdzie coś polskiego ma

szansę konkurować z niemieckim odpowiednikiem. Również i to powoduje, że część polskiej klasy politycznej i społeczeństwa zaczyna wątpić w obronę 30 lat temu drogę, widząc, że cel – dogonienie Zachodu, czyli Niemiec – mimo wielkich nakładów pracy wciąż jest tak oddalony.

Na rozładowanie tej frustracji nie wpływa również duża liczba Polaków mieszkających w Niemczech. Setki tysięcy obywateli PRL, którzy wyjechali do Niemiec Zachodnich, błyskawicznie się zasymilowały, wyrzekając się skutecznie polskiej tożsamości. Nowa wielka fala polskich migrantów do Niemiec zaczęła się po wejściu Polski do Unii, a przybrała na sile po 2011 r., gdy w Niemczech zniesiono ograniczenia dotyczące rynku pracy. Ci ludzie często nie trafiają w Niemczech do ziemi obiecanej, lecz do sektora najgorszych i najcięższych prac; nierzadko są wykorzystywani przez sieć pośredników i narażeni na nieuczciwe traktowanie przez pracodawców. Pozostają w dużej mierze obywatelami Unii drugiej kategorii.

WALDMANN, GRAJEWSKI:

POSTKOLONIALIZM

Wydaje się, że obecny polski rząd dobrze zdiagnozował źródła frustracji zwykłego Polaka, które wynikają z asymetrii stosunków polsko-niemieckich. Stąd sukces hasła „wstawania z kolan” oraz pewność, że każdy antyniemiecki materiał przygotowany przez media publiczne i prądowe skutecznie pobudzi poczucie dziejowej niesprawiedliwości – i to nie tylko wśród twardego elektoratu PiS.

Dla nas, autorów tego tekstu, relacje polsko-niemieckie mają charakter postkolonialny. Do tego wniosku doszliśmy niezależnie od siebie, zanim jeszcze podczas jednego ze spotkań postanowiliśmy wspólnie napisać artykuł na ten temat.

Przeglądanie się relacjom polsko-niemieckim z tej perspektywy to trochę

wkraczanie na nieznane terytorium. Choć słowo „postkolonializm” pada często z ust polityków PiS i polskich publicystów, nie ma badań naukowych tego zjawiska w kontekście polsko-niemieckim. Zapytaliśmy o to przedstawicieli Instytutu Zachodniego w Poznaniu, Polskiego Centrum Germanistyki, Centrum Willy’ego Brandta we Wrocławiu i Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie – wszyscy bezradnie rozkładali ręce.

Zresztą sytuacja w Niemczech jest pod tym względem podobna. Już sam status takich dziedzin naukowych jak polonistyka w Niemczech wskazuje na mocno postkolonialny rys. Co do zasady, przedmioty te są podłączone pod sławistykę lub studia wschodnioeuropejskie. Oba kierunki są w Niemczech w większości mocno rusocentryczne, a polonistyka – choć to filologia dużego sąsiedniego kraju – do dziś, w odróżnieniu od germanistyki w Polsce, pozostaje egzotyką. Cała koncepcja postsowieckiej Europy Wschodniej, która zaczyna się nad Odrą i sięga po Kaukaz, jest co prawda coraz bardziej podawana w wątpliwość we wschodnioznawczym środowisku akademickim Niemiec, ale ma to niewielkie przełożenie na struktury obowiązujące w świecie nauki.

W niemieckiej percepcji Polska pozostaje więc częścią Wschodu, czymś w rodzaju Drugiego Świata.

© NANCY WALDMANN,
ŁUKASZ GRAJEWSKI

Autorka (ur. 1983) pracuje w dzienniku „Märkische Oderzeitung”, którego redakcja mieści się we Frankfurcie nad Odrą. Od lat zajmuje się tematyką pogranicza polsko-niemieckiego.

Autor (ur. 1985) specjalizuje się w tematyce niemieckiej, w przeszłości był korespondentem „Dziennika Gazety Prawnej” i PAP w Niemczech. Stale współpracuje z „TP”. Mieszka w Lipsku.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 47/2020

REDAKCJA: Wojciech Pięciak

OKŁADKA: Marek Zalejski | TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn

WSPÓŁWYDAWCA:

PARTNERZY:



Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit

Niemiecka gwarancja bezpieczeństwa Izraela

WOJCIECH PIĘCIAK

Choć nie są do tego zobowiązane, Niemcy wspierają militarnie państwo żydowskie. Czy ten model może być wzorem dla Niemiec i Polski – zamiast reparacji?

Początek tej historii datuje się prawdopodobnie na rok 1957. W każdym razie, jak ustalił kilka lat temu niemiecki historyk Hannes Pichler, wtedy do bawarskiego miasteczka Rott am Inn przybył *incognito* 34-letni Izraelczyk. Miał spotkać się tam z pewnym 42-letnim politykiem zachodnoniemieckim, w jego domu, gdyż sam fakt tego spotkania miał być utrzymany w ścisłej tajemnicy.

Szymon Peres, bo o nim mowa, odpowiadał wtedy w ministerstwie obrony Izraela za zakupy broni dla młodego państwa żydowskiego, od początku istnienia zagrożonego przez sąsiadów. Peres był młody, ale w tej materii już doświadczony: wcześniej zajmował się pozyskiwaniem broni dla Hagany, żydowskiej organizacji podziemnej, która po 1948 r. stała się załóżką armii nowego państwa. Teraz objeżdżał różne kraje, aby pozyskać broń dla swojej ojczyzny, w której przemysł zbrojeniowy dopiero miał się rozwinąć. A że w tamtych latach Izrael nie miał zbyt wielu sojuszników, Peres negocjował, prosił, czasem zebrał.

„Pomagał, gdy potrzebowaliśmy”

Nie wiemy, czego po tym spotkaniu spodziewał się przyszły premier i prezydent Izraela. Ale możemy sądzić, że efekty przerosły jego oczekiwania. Gospodarz – był nim Franz Josef Strauss, wówczas minister obrony Niemiec Zachodnich (potem wieloletni premier landu Bawaria) – zrobił bowiem coś niezwykłego: od ręki zgodził się dostarczać Izraelowi sprzęt z zasobów Bundeswehry. Taki, który akurat był potrzebny – za darmo.

W praktyce wyglądało to tak, że w kolejnych latach niemieckie statki – transportujące przez ocean amerykań-

ską broń dla Bundeswehry (przemysł zbrojeniowy w RFN był dopiero kwestią przyszłości, powstała niedawno armia opierała się na sprzęcie z USA) – zmieniały czasem kurs i zawiąły nie do Hamburga, lecz do portów izraelskich. Tam wyładowywano czołgi, śmigłowce, radary, zestawy przeciwlotnicze, samoloty, amunicję, ciężarówki, części zamienne itd. itp. Izraelscy żołnierze, którzy mieli go obsługiwać, przechodzili szkolenie w RFN. Strauss „pomagał nam, gdy potrzebowaliśmy pomocy” – podsumował później Peres.

Wszystko odbywało się potajemnie (na szkolenia do Niemiec Izraelczycy przyjeżdżali po cywilnemu). Prowadząc tę operację, Strauss omijał bowiem budżet, w którym nie przewidziano takich wydatków, i łamał prawo RFN. Jego sekretarz prasowy Godel Rosenberg, który w maju tego roku przypomniał tę historię na łamach dziennika „Die Welt”, skonstatował, że gdyby informacja o pomocy dla Izraela przedostała się wtedy do opinii publicznej, „kariera pnącego się w górę polityka CSU z Monachium byłaby zakończona”.

Rosenberg twierdzi też, odwołując się do relacji byłych izraelskich wojskowych, że broń z niemieckich dostaw odegrała kluczową rolę podczas wojny sześciodniowej w 1967 r., zwycięskiej dla Izraela.

Szczególne relacje

Zainicjowana przez Straussa współpraca w sferze obronności na specjalnych warunkach była potem kontynuowana i rozwijana. Z czasem przestała mieć charakter *quasi*-partyzancki, została formalnie usankcjonowana. Choć kolejne rządy w Bonn nie chwaliły się nią – całkiem rozsądnie, opinia sojusznika Izraela mogła mieć dla Niemiec Zachodnich różne

skutki. Zamach, który podczas olimpiady w 1972 r. przeprowadziła w Monachium grupa Palestyńczyków, pokazał, jak łatwo jest przenieść konflikt bliskowschodni do Europy.

Ani Strauss, ani kolejne rządy Niemiec (Zachodnich, a po 1990 r. zjednoczonych) nie robiły tego dlatego, że musiały. Nie zmuszały ich żadne okoliczności natury formalnoprawnej, żadne powinności reparacyjne czy inne. Był to ich wybór, wynikający z przekonania, że po tym, co Niemcy uczynili Żydom w czasach III Rzeszy, demokratyczne państwo niemieckie ponosi szczególną odpowiedzialność za bezpieczeństwo państwa żydowskiego. O ile więc w sferze eksportu broni rządy Niemiec kierowały i kierują się zasadą, że nie wydają zgody na jej dostawy w rejonu konfliktów, to nie stosowano jej wobec Izraela – choć między nim a jego arabskim otoczeniem konflikt trwa nieustająco (zmienia się tylko jego charakter).

W przypadku relacji niemiecko-izraelskich zastosowania nie znalazła jeszcze jedna zasada, którą kierował się rząd w Bonn, a potem w Berlinie: aby nie przykładąć ręki do zbrojeń atomowych. Pierwsze decyzje, które utorowały do tego drogę, podjął kanclerz Helmut Kohl.

„Niemiecka hańba”

U źródeł decyzji Kohla leżało to, co stało się jawne w styczniu 1991 r., a co tygodnik „Stern” nazwał „niemiecką hańbą”.

Był to moment, gdy międzynarodowa koalicja pod przywództwem USA, zrzeszająca też kraje arabskie, rozpoczęła operację „Pustynna Burza”. Jej celem było wyzolenie Kuwejtu, pół roku wcześniej najechanego przez Saddama Husajna. Gdy dyktator z Bagdadu nie zastosował się do ultimatum, alianci podjęli działania



Okręt podwodny INS „Rahav” przypluwa do portu w Hajfie. To jedna z pięciu takich jednostek, które Niemcy zbudowały – i częściowo sfinansowały – dla Izraela. 12 stycznia 2016 r.

zbrojne i szybko okazało się, że iracka armia przegrywa. Zdesperowany Husajn kazał ostrzelać izraelskie miasta rakietami balistycznymi Scud, przystosowanymi do przenoszenia broni chemicznej (Irak ją wówczas posiadał).

Izrael nie należał do koalicji, lecz Husajn kalkulował, że sprowokuje zbrojną ripostę, w reakcji na nią kraje arabskie zmienią strony, by nie znaleźć się w jednym szeregu z państwem żydowskim, i koalicja się rozpadnie. Izrael powstrzymał się od reakcji, choć syreny w miastach wyły, a ludzie biegli do schronów z maskami gazowymi w rękach.

Ostatecznie większość z kilkudziesięciu Scudów przechwycono, inne chybiły, a Husajn nie uzbroił ich w broń chemiczną. Ale przez chwilę należało się liczyć z taką możliwością. Tymczasem, jak ujawniły wtedy media, wśród licznych światowych kontrahentów, którzy wcześniej kooperowali z Irakiem, było kilkadziesiąt firm z RFN: pomagały m.in. w produkcji broni chemicznej i modernizacji Scudów, która zwiększała ich zasięg.

Stąd był już tylko krok do skojarzeń z komorami gazowymi Auschwitz. Przywołali je sami Niemcy, w tym młodzi demonstranci, którzy w styczniu-lutym 1991 r. wychodzili masowo na ulice i skandowali: „Niemcy to handlarze śmiercią!”. Fakt, że z Husajnem handlował nie rząd RFN, lecz firmy prywatne

(łamiąc zresztą niemieckie prawo), niewiele zmieniał w odbiorze całej tej sytuacji w Niemczech i świecie zachodnim, a przede wszystkim w Izraelu...

Rakiety na U-Bootach

Oficjalnie nie było związku między tą „niemiecką hańbą” a decyzją, którą podjął wówczas kanclerz Kohl. Niemieccy autorzy, którzy mieli pisać o tym w kolejnych latach, taki związek jednak widzieli. W każdym razie, na początku lat 90. rząd Kohla przychylił się do prośby rządu Izraela, który od jakiegoś czasu zabiegał o okręty podwodne z niemieckich stoczní – po możliwie korzystnej cenie. Podobno Izraelczycy sondowali możliwość zakupu okrętów w różnych krajach, ale proponowane ceny były zaporowe (jeden taki U-Boot to koszt rządu kilkuset milionów euro, zależnie od wyposażenia).

Tymczasem Kohl zdecydował teraz, że jego rząd przejmie znaczącą część kosztów budowy okrętów, a kolejne rządy Niemiec kontynuowały ten program. W ten sposób do 2017 r. izraelską flotę zasiłowało pięć U-Bootów klasy „Delfin”, zbudowanych przez stoczní w Kilonii; w 2021 r. do służby ma trafić szósty.

W międzyczasie w mediach pojawiły się informacje, że okręty budowane dla Izraela są jeszcze w stoczní wyposażane w wyrzutnie rakiet – takich, które mogą przenosić broń atomową. W 2012 r. ty-

godnik „Spiegel” pisał już wprost: „Izrael umieszcza broń atomową na okrętach podwodnych z Niemiec” i „Niemcy pomagają Izraelowi w rozbudowie sił nuklearnych”. Rząd RFN skomentował to tak, że nie ma na ten temat żadnej wiedzy. Rząd Izraela, jak wiadomo, w ogóle nie komentuje informacji na temat posiadania broni atomowej. Niemniej „Spiegel” zacytował byłego ministra obrony Ehuda Baraka, który powiedział tygodnikowi: „Niemcy mogą być dumni z tego, że zabezpieczyli egzystencję państwa Izrael na wiele lat”.

Rzecz w tym, że posiadając okręty podwodne z rakietami atomowymi, z których zapewne co najmniej jeden krąży gdzieś stale, ukryty w głębinach, Izrael daje sygnał wrogom, że każda próba zniszczenia państwa żydowskiego, np. atakiem zaskoczenia, konwencjonalnym czy wręcz nuklearnym, może spotkać się z niszczącą odpowiedzią.

W 2017 r. rząd Angeli Merkel zgodził się sprzedać Izraelowi kolejne trzy okręty, przejmując 30 proc. ich kosztów (do kwoty 540 mln euro); mają wejść do służby od roku 2027.

Próba zadośćuczynienia

W 2013 r. reporter „Die Welt” uzyskał zgodę na towarzyszenie załodze INS „Tekuma” w podmorskim patrolu. W artykule, który potem opublikował, znalazło się zdanie: „INS »Tekuma« kosztował pół miliarda dolarów, z czego Niemcy zapłaciły połowę, także jako próbę zadośćuczynienia za okropności Holocaustu”.

Opowiedzieliśmy tu (w skrócie) historię niemiecko-izraelskiej współpracy wojсковej – opartej, powtórzmy, nie na formalnych zobowiązaniach, lecz na dobrej woli rządu Niemiec – aby na końcu zadać pytanie: czy ona może być punktem odniesienia dla relacji polsko-niemieckich? Konkretnie: dla kwestii zadośćuczynienia za straty, które Polska poniosła podczas II wojny światowej, a których Niemcy nigdy nie wyrównały w stopniu adekwatnym do ich rozmiarów? Albo, jeszcze konkretniej: czy szczególna relacja polsko-niemiecka w sferze obronności mogłaby być wyjściem z problemu reparacji (tego, który rząd w Berlinie uważa za rozwiązany, a którego rząd w Warszawie oficjalnie nie porusza, lecz który jest przecież obecny)?

Oczywiście, to tylko pomysł – opinia publicystyczna. ©P

CHAOS, NIEPEWNOŚĆ, EUFORIA

RAFAŁ KSIĘŻYK, DZIENNIKARZ I KRYTYK MUZYCZNY:

Kiedy rodziła się w Polsce wolność,
interakcje młodych ludzi opierały się na muzyce.
To ona była wówczas doświadczeniem podstawowym.
Dzisiaj nikt już nie oczekuje od muzyki takich wstrząsów.

JAN BŁASZCZAK: Twoja nowa książka „Dzika rzecz” ma podtytuł „Polska muzyka i transformacja 1989–1993”. Czyli mówi o wielkim przełomie. Jakie to były dla Ciebie lata? Dzikie?

RAFAŁ KSIĘŻYK: To był dla mnie czas formacyjny. Przyjechałem z Częstochowy do Warszawy, gdzie w 1988 r. zacząłem studiować prawo. Mieszkalem w różnych akademikach, więc miałem szerokie spektrum interakcji społecznych. Ich głównym nośnikiem stała się muzyka. Właśnie ona ułatwiała różnego rodzaju kontakty towarzyskie. Chłonałem wszystko, co działo się dookoła – a działo się bardzo dużo. Dotyczyło to też muzyki i tego, co z nią związane: koncertów, nowo powstających klubów, kanałów dystrybucji. Pod wieloma względami ta przestrzeń była bardziej zróżnicowana niż dzisiaj. Skończyło się tak, że prawo przestało mnie interesować. Owszem, skończyłem studia, ale poszedłem za głosem pasji. Zacząłem pisać.

Ale lata, o których piszesz, to był również czas chaosu. Dopiero w lutym 1994 r. uchwalono ustawę o prawie autorskim.

Umówmy się, że jeśli chodzi o jakieś uporządkowanie, nie było ono wtedy kwestią pierwszej potrzeby. Przede wszystkim od 1988 r. obowiązywała ustawa ministra przemysłu Mieczysława Wilczka, wedle której to, co nie było na rynku zakazane, było dozwolone. Otworzyła się droga

do swoistego ruchu „zrób to sam”, który ogarnął wszystkie branże. Nie tylko muzyczne.

Brak regulacji sprawił, że do Polski nie zawiątały przedstawicielstwa fonograficznych gigantów. Na poziomie muzyki ten nasz wolny rynek był wolny także od pragmatyzmu, medialnych formatów i podstawowego biznesowego know-how.

Idee społeczeństwa obywatelskiego silnie promieniowały wówczas na media, co w połączeniu z tym stąpieniem po omacku owocowało niespotykaną wolnością. Mam wrażenie, że widzów i słuchaczy traktowały one wówczas po partnersku, nie jak frajerów, którym wciska się towar, reklamy i propagandę w jednym, co dzieje się dzisiaj. W książce opisuję przypadek wrocławskiej telewizji Echo, gdzie w godzinach największej oglądalności działy się rzeczy zupełnie niekomercyjne, niewyobrażalne z dzisiejszego punktu widzenia. Do radia Solidarność – późniejszej Eski – można było w zasadzie wejść z ulicy, by zaprezentować ciekawe płyty. W mediach nie było jeszcze formatowania.

Gwiazdy tamtego okresu traciły fortuny przez piratów, ale czy na pewno zostałyby gwiazdami w świecie uporządkowanym według zagranicznych standardów?



Koncert zespołu Armia, ok. 1990 r.





→ Bo taka wolność to miecz obosieczny, część ludzi wykorzystała ją do działalności przestępczej, zakładając pirackie wytwórnie. Z drugiej strony to wtedy wydawano muzykę reprezentującą nieporównywalnie szerszy wachlarz estetyczny w stosunku do tego, co działo się wcześniej, kiedy obowiązywała kontrola państwowa, i tego, co później – kiedy o wszystkim zaczęły decydować mechanizmy rynkowe. To było widać już od 1994 r., gdy zaczęły się wielkie kariery polskich wokalistek. I to był już czysty biznes: im więcej zainwestujesz, tym więcej wyciągniesz.

Takie jaskółki komercjalizowania się rynku pojawiły się chwilę przedtem. Debiut Wilków był ogromnym sukcesem niezależnie od tego, ilu piratów się na nim dorobiło.

Tak, to była pierwsza w Polsce regularna kampania reklamująca album muzyczny. Od tego czasu rynek zaczął się nakręcać, bo ludzie chętnie kupowali nową muzykę, okazało się, że w grę wchodzi całkiem spore pieniądze. Trzeba jednak dodać, że one nie zawsze trafiały do artystów. Hey też cieszył się ogromną popularnością, ale na koniec zespół, który sprzedał kilkaset tysięcy legalnych płyt i kaset, po zakończeniu kontraktu został z długami u wydawcy, bo okazało się, że miał drakońskie zapisy w umowie.

Zanim w Polsce pojawił się Warner czy Universal, karty na rynku często rozdawali przedsiębiorcy innego formatu.

Co ciekawe, kiedy rozmawiałem teraz z Kazikiem Staszewskim czy Muńkiem Staszczykiem, to wspominali interesy z naszymi samorodnymi biznesmenami z pewną sympatią, chociaż na nich – koniec końców – stracili. To byli ludzie, którzy zjawiali się w Warszawie z walizkami pieniędzy i nęcili popularnych artystów gotówką wykładaną na stół. Dosłownie – Muniak dostał dwa nesesery pełne banknotów. Okazali się zbyt prostolinijni jak na te nowe realia gry rynkowej. To byli po prostu biznesmeni z fantazją, acz o bazarowej mentalności, czego nie można powiedzieć o wydawcach Heya, którzy prezentowali kapitalizm w wersji krwiozerczej i cynicznej. Zespół do dziś nie chce poruszać tematu współpracy z Izabelinem, bo to jest dla nich trauma.

Opisuję przede wszystkim artystów, którzy dokonywali przekroczeń. **Kształt jutra nie był jeszcze ustalony, ale euforyczna energia napędzała ludzi.** Jak ktoś był młody, żądny wrażeń, to po prostu płynął.

W „Dzikiem rzeczy” zwracasz uwagę na to, że ówczesni piraci nie ponieśli konsekwencji swoich działań. Mało tego, najwięksi z nich świetnie odnaleźli się na rynku po regulacjach z 1994 r. Ich doświadczenie okazało się jednak bezcenne.

Nie tylko doświadczenie: ci najbogatsi mieli fabryczki kaset i kompaktów, hurtownie, sieci dystrybucji. Maciej Chmiel, ówczesny muzyczny dziennikarz „Wyborczej”, opowiadał mi, jak pytał przedstawicieli największych wytwórni, dlaczego pracują z byłymi piratami. A oni mówili wprost, że tylko tamci są w stanie zapewnić profesjonalną produkcję i dystrybucję. W rezultacie piraci po prostu zmienili szyldy, podmienili nielegalny towar na legalny i zostali największymi wygranymi rynkowej przemiany, jeśli chodzi o wymiar muzyczny. To była naturalna metamorfoza, bez żadnych głosów oburzenia. Trochę jak PZPR w SdRP. W tym przypadku amnezja wynikała z pogoni za zyskiem. Może my nie wiedzieliśmy, do czego ta wolność ma służyć? Okazało się, że przede wszystkim służy do zarabiania coraz większych pieniędzy. Zapanował etos przedsiębiorczości, który w zgrzebnych postkomunistycznych realiach przybierał często postać groteskową.

Jak w tym wszystkim odnaleźli się popularni przed 1989 r. punkowcy i rockmani?

O ile sam ten euforyczny moment przełomu dał wszystkim wiatr w żagle, to szybko stało się jasne, że dla większości działających na scenie niezależnej zespołów była to ostatecznie zmiana niekorzystna. Choćby dla środowiska związanego z klubem Hybrydy: Izraela, Deutera

i innych. To wynikało również z dziwnego paradoksu tamtej epoki, kiedy wiele punkowych, niezależnych zespołów znalazło swoje miejsce wokół klubów studenckich. One oficjalnie podlegały władzy, ale nieoficjalnie dawały muzykom mnóstwo wolności. Prezesi tych klubów, czyli działacze studenckcy, kręcili różne interesy, bywali na partyjnych zjazdach, byli ludźmi systemu, natomiast w jakiś sposób imponowało im, że potrafią w ramach swoich wpływów zapewnić miejsce artystom niepoprawnym z punktu widzenia władzy.

Typowe dwójmyślenie późnego PRL-u.

Tak, w tym schyłkowym systemie było tyle szczelin, że nieprawomyślni muzycy mogli sobie – przy odrobinie wyobraźni i sprytu – nieźle funkcjonować. Natomiast kiedy zmienił się system i głównym wyznacznikiem zaczęły być narzędzia rynku, nie było już litości.

Wszelchobecna wolność miała wpływ nie tylko na sytuację ekonomiczną, ale także na artystyczne wybory tamtej sceny. Niezależnie od stylizacji wielu tych twórców łączył pociąg do ryzyka, a nawet transgresji.

Musiałem wybrać jakiś klucz do opisu muzyki tej epoki. Opisuję więc przede wszystkim artystów, którzy dokonywali takich przekroczeń. Kształt jutra nie był jeszcze ustalony, ale euforyczna energia napędzała ludzi. Jak ktoś był młody, żądny wrażeń, to płynął: przekraczał granice, sondował ekstrema. Oczywiście, wielu ludzi – szczególnie starszych – było sparaliżowanych tymi zmianami, niepewnością jutra. Padły zakłady pracy, bezrobocie stawało się ogromnym problemem. Natomiast dla undergroundowych muzyków taka jazda bez trzymanki była inspirująca. Symbolem tej epoki jest dla mnie zapomniany zespół Los Lovers, który z dnia na dzień spakował manatki i wyjechał z Wrocławia do Warszawy, by podbić świat. To jest rodzaj brawury, który za komunę nie był możliwy.

Większość tych historii nie kończy się happy endem.

Zależy, jak na to spojrzeć. Jeśli ktoś po prostu chciał grać, niekoniecznie zarabiając na tym kokosy, to pojawiło się wiele nowych możliwości. W całej Polsce powstał szereg małych, dziwnych klubików

otwartych na najróżniejsze inicjatywy. Beneficjentami tego był zespół Kinsky – studenci filozofii grający muzykę ekstremalną, której brutalność do dziś nie zwietrzała ani trochę. Na tym wypłynęły też Apteka czy Houk, którzy grali wszędzie. A jak się występuje 10-15 razy w miesiącu w najróżniejszych, czasem niewyobrażalnych warunkach, to jest to szkoła, która wyostrza ekspresję jak nic innego.

Poza tym na koncercie może cię wypatrzeć jakiś kultowy Aki Kaurismäki i wziąć twoją muzykę do filmu, jak to się stało w przypadku Houka. Czy to nie jest zespół, któremu brak profesjonalizmu ówczesnej sceny zrobił największą krzywdę? Czy to nie był materiał na międzynarodową gwiazdę?

Pierwszy skład Houka to był zespół szalonych stuprocentowo rock'n'rollowych osobowości. Obłądnie zdolni ludzie, którzy grali niesamowicie energetyczne koncerty, natomiast w życiu byli równie dzicy i zwariowani. Houk był fenomenem, bo w pewnym momencie na własną rękę zaczął grać muzykę, która stała się głośna na świecie w związku z eksplozją grunge'u. Oni się wpisali w ten powrót do surowych, garażowych brzmień i rzeczywiście wzbudzili zainteresowanie np. na festiwalu w Cannes. Czy zrobiliby wielką karierę? Fajnie tak myśleć. Rzeczywiście mieli szansę na większy rozgłos w Europie. O Stanach nie ma co mówić, bo to byłoby wożenie drewna do lasu.

A chcieli tam lecieć?

Pamiętajmy, że za muzyką nie nadążała też wtedy infrastruktura. Nie było odpowiedniego managementu. W przypadku Houka można przytoczyć kapitalną, choć smutną historię o tym, dlaczego nie wystąpili na festiwalu w USA. Nie udało się, bo ich management chciał zaoszczędzić parę stów na wizach i naściemniał w deklaracjach. Sprawa się wydała, zespół został uznany za oszustów i dostał zakaz wlotu do Stanów.

Wolność skutkowała niebezpiecznymi wyborami także poza sceną. Początek lat 90. to również okres, kiedy popularność w Polsce zyskują narkotyki, na których bogaci się mafia. Wielu muzyków, wydawców, właścicieli klubów miało kontakt i z jednymi, i z drugimi.



Koncert zespołu Hey, Opole, 1993 r.

Otworzyły się granice i jedną z rzeczy, które przez nie płynęły, rzeczywiście były narkotyki. Najpierw była moda na LSD, co wynikało z fascynacji latami 60., psychodelią, poszerzeniem świadomości. Przywożono też marihuanę, która wcześniej była, ale w postaci jakichś takich samosiejek. Muzycy wspominają ten czas przede wszystkim przez pryzmat wszechobecnej amfetaminy, którą w ramach naszej triumfującej przedsiębiorczości produkowano w podwarszawskich fabryczkach. To był narkotyk tamtych czasów, co wiąże się z jego specyfiką: nakręca, przyspiesza, ale też kasuje empatię i zuboża emocjonalnie. Co doskonale się miksowało z brutalnym kapitalizmem tamtych lat.

Do wielu płyt wracałeś przy okazji pisania „Dzikiej rzeczy” po raz pierwszy od lat, do niektórych – od dziesięcioleci. Czy wiązało się to z muzycznymi zawodami?

Na pewno najgorzej zestarzały się przeboje. One pojawiają się w książce raczej na marginesie, ale w przypadku wielu tych piosenek zastanawiam się, jak to się mogło komukolwiek podobać. Zagadką pozostaje dla mnie też popularność Krajowej Sceny Młodzieżowej z tymi potwornie grafomańskimi tekstami i ugrzecznioną muzyką. Natomiast wiele z opisywanych przeze mnie zespołów nabrało z czasem innego ciężaru gatunkowego. Max i Kelner w tamtym czasie przemawiali do mnie za sprawą bardzo celnych tekstów, natomiast sama muzyka wydawała mi się takim stukaniem. Dopiero z czasem zacząłem ją smakować: jaka tam jest gęstwina odniesień do czarnej muzyki, jakie niuanse aranżacyjne.

Scena ekstremalna i zespoły takie jak Kinsky czy Kobong do dziś robią wrażenie. Tak samo „Legenda” Armii. Płyty, które wydają mi się pewnym znakiem tamtych przemian, „1991” Izraela czy „Urojonecałemiasta” Apteki, zachowały siłę i ekspresję. Wiadomo, że „Spalaj się” Kazika jest bardzo naiwne, ale i zgrzebne. To proste, czasami nawet śmieszne przeszczerzanie kanonów czarnej muzyki ma dla mnie sporo uroku. Masz poczucie pionierskiej walki z materią i to promieniuje z tej płyty. Nie miałem więc takiego momentu, że pomyślałem sobie „ale obciach!”. Nie powiem ci jednak, jak te nagrania odebrałby dzisiejsi dwudziestolatkowie.

Porozmawiajmy i o nich. Muzyka pełni dziś inną funkcję. Młodzi ludzie mają Twoim zdaniem wobec niej inne oczekiwania.

Wtedy interakcje społeczne młodych ludzi opierały się właśnie na muzyce. To było doświadczenie podstawowe i pokoleniowe. Dzisiaj się to zmieniło: nikt nie oczekuje od muzyki takich wstrząsów. Jej przestrzeń uzależniła się od grantów, stała się sterylna i profesjonalna. Atmosfera wokół muzyki się zmieniła i nie wiadać takiej pokoleniowej potrzeby, by za jej sprawą przekraczać granice. Niemniej trudno o tym mówić, ponieważ odnosi się do świata, który się skończył w marcu 2020 r. Znów jesteśmy świadkami międzypoki, bo wraz z początkiem pandemii skończył się świat, który znamy, i jeszcze nie wiemy, jaki świat nastanie. W ostatnich dwóch tygodniach Polska zmieniła się na tyle, że niektóre moje poglądy zostały wywrócone.

→ **No właśnie, mówiłeś, że ostatecznie trochę wystraszyliśmy się wolności, a tu proszę – Strajk Kobiet i setki tysięcy młodych ludzi na ulicach.**

Po 1989 r. wymyślaliśmy sobie tę nową Polskę przy dużym udziale artystów. Wymyślaliśmy otwarte, różnorodne, kolorowe społeczeństwo – w ostatnich latach tego mi brakowało. Teraz nastąpiła taka eksplozja stłumionych wcześniej emocji, że Polska jest dziś zupełnie innym krajem. Kiedy byłem na protestach w Warszawie, z wielką radością zauważyłem, że ogromna większość ich uczestników to ludzie w wieku 15-25 lat. Pojawił się u nich impuls, by się pokazać w przestrzeni publicznej i przejść pokoleniową inicjację.

Szczególnie ciekawe, że tym protestom intensywnie towarzyszy muzyka. Od pochodów z bębnami, poprzez piosenki dobiegające z samochodu prowadzącego kolumnę, aż po telefony w rękach i głośniki wystawiane przez okna. Z racji moich zawodowych skrzywień zawsze w takich sytuacjach nie tylko nadstawiam ucha, ale też przeżywam rzecz refleksyjnie.

I do jakich wniosków doszedłeś?

To muzyka pokolenia wychowanego w sieci, gdzie wszystko się miesza, gdzie nie obowiązują hierarchie i podziały stylistyczne. Na protestach przenikały się bębny z karnawałową batucadą, podkradzione motywy ze starych przebojów z dołożonym aktualnym tekstem, techno – pełna skala.

I maturalny polonez...

Słyszałem też Bajm, który w moim odczuciu jest kwintesencją mieszczaństwa, i Beyoncé, która – niezależnie od jej deklaracji feministycznych – jest produkcyjniakiem globalnego przemysłu fonograficznego. I śmiałem się sam z siebie, że ja to oczekiwałem The Clash, najlepiej w wersji Aliansu, bo jestem staruchem, a to jest ekspresja dzieci sieciowej popkultury, którą sam kiedyś opisywałem jako dziką popkulturę. Ja sobie mogę myśleć o tym, że jest jakaś tradycja protest songu, jakaś tam muzyka zaangażowana, ale to już nie ma znaczenia, bo prędkość obiegu informacji jest taka, że młodzi ludzie nie mają czasu nad tym się zastanawiać. Nie mają takiej potrzeby. Biorą to, co mają pod ręką. Tempo, doraźność, lakoniczność,

które panują na łączach internetowych, przeniosły się i tutaj. Pokazują totalną zmianę kulturową. Tu jest jakiś fajny motyw, tu jest jakieś hasło, tam dobry *beat* – no to ciach! To ma jechać! Muzyka ma być przede wszystkim pigułką energii. Zupełnie inne podejście, kto wie, może nawet zdrowsze?

A może po prostu teraz protest songiem jest Cypis?

Którego dobrze kojarzę, bo moja nastoletnia córka czasem nuci jego pełne wulgaryzmów piosenki, kiedy chce mnie sprowokować. Ale ja się nie daję. Zresztą Cypis mi zaimponował, kiedy zobaczyłem, że nie ma notki na Wikipedii – to jest dopiero prawdziwy underground! Oczywiście, że to protest song, ale odstaje od kanonów, bo wyśpiewany jest na kibolską nutę.

Cieszę mnie, że rzeczywistość zweryfikowała moje poglądy. Młodzi ludzie wciąż potrzebują muzyki jako więzi społecznej. Idąc na protest, nie będą sobie przecież wyświetlać serialu w telefonie, co czynią w autobusach i na przejazdach między lekcjami. A że ta muzyka jest inna, niż mogłoby mi się wydawać – nie ma żadnego znaczenia. To jest ich racja, bo to oni – mówiąc górnolotnie – są przyszłością. Ja się cieszę, że są taką przyszłością.

Powiedziałeś, że znów jesteśmy świadkami „międzyepoki”. Czy przychodzą Ci do głowy jakieś strategie z czasów tej poprzedniej, które mogłyby się okazać przydatne dzisiaj?

Najprostsza lekcja brzmi: pokładaj wiarę w małych społecznościach, w przyjaciółach, w kolegach, w bliskich. Staraj się tworzyć swój świat, zmieniać go w skali mikro. Zadomawiaj się w nim poprzez przestrzeń, na którą masz wpływ. Taka zmiana może promieniować i oddziaływać dalej.

© Rozmawiał JAN BŁASZCZAK



Rafał Księżyk
„DZIKA RZECZ”
Czarne,
Wołowiec 2020

Naga siła

MACIEJ TOPOLSKI

Urodzony Don Juan i najwybitniejszy fotograf świata – taki obraz chciał po sobie pozostawić Helmut Newton.

HELMUT NEWTON TO FOTOGRAF LEGENDA. Pracował dla największych czasopism modowych na świecie: od „Le Jardin des Modes” przez „Queen” i „Stern” po „Vogue’a”. Wykonał portrety dosłownie wszystkich ważnych: Salvadora Dalí (tuż przed śmiercią), Margaret Thatcher (Żelazna Dama nie lubiła tego zdjęcia, wygląda na nim jak rekin), Leni Riefenstahl (zdaniem Newtona miała piękne nogi), Le Pena (z dobermanami, „Le Monde” opublikował obok tej fotografii zdjęcie Hitlera z owczarkami alzackimi) czy księżnej Monako, Karoliny (w drzwiach, w czarnej, pięknej sukni, ze smutnym boston terrierem na smyczy).

Twórczość Newtona, który kończyłby w tym roku sto lat, stanowi z jednej strony nieunikniony wzór, z drugiej – rodzi wiele pytań i wątpliwości. Otwarta w Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu w Toruniu wystawa retrospektywna „Helmut Newton: Lubię silne kobiety” stanowi najlepszą okazję, żeby te pytania zadać.

Sukces i seks

Helmut Neustädter urodził się 31 października 1920 r. w Berlinie w zamożnej rodzinie żydowskiej. „Mama mówiła, że przez cały dzień padało, tylko w chwili gdy przyszedłem na świat, nagle wyrzało słońce” – wspominał. Był chłopcem z fryzurą na pizia à la Louise Brooks, w aksamitnych ubrankach, do tego rozpieszczonym, mdlejącym, „przerazająco dziewuchowatym”. Tak widziała i stroiła go matka, Claire (a tak naprawdę Klara, z pochodzenia Polka). Dopiero gdy miał 12 lat, jego ojciec, Maks – Ślęzak, właściciel fabryki



©HELMUT NEWTON ESTATE; DZIĘKI UPRAWNIENIOM HELMUT NEWTON FOUNDATION

Catherine Deneuve dla pisma „Esquire”, Paryż, 1976 r.

sprzączek i guzików – postanowił zakończyć jego dziewczynski okres i zabrał go do fryzjera. „Matka na mój widok wybuchła rzewnym płaczem. (...) Nigdy za to ojcu nie podziękowałam, ale wtedy zmieniłam moje życie”.

W wydanej w 2002 r. „Autobiografii” Helmut Newton stwierdzi również, że zaraz po odwiedzinach u fryzjera kupił za kieszonkowe swój pierwszy aparat fotograficzny – agfa box (mógł to być również, źródła nie są zgodne, zeiss box tenor, albo i kodak brownie). Rolka filmu umożliwiła wykonanie dziewięciu zdjęć: osiem wypstrykał w berlińskim metrze (całkiem czarne), dziewiąte – ster-

czącej wysoko berlińskiej wieży radiowej, Funkturm, „małej wieży Eiffla”. Wraz z rozpoczęciem przygody z fotografią Helmut dostał również „szmergla na punkcie seksu, czy choćby samej jego namiastki”. Nie powinno dziwić, że opowieść snuta w „Autobiografii” dotyczy głównie relacji między seksem a fotografią.

Książka rozpoczyna się od opisu niani, czyli *Kinderfräulein*, która półnaga „siedziała w halce przed lustrem”, następnie pojawiają się służące z Prus Wschodnich o „wielkich, wspaniałych tyłkach”, pornograficzne pisemko „Das Magazin”, które kradnie starszemu bratu, pierwszy stosunek z dziewczyną z klubu pły-

wackiego (Newton był świetnym pływakiem) aż po...

Tej pornoopowieści nie przerywa nawet przejście władzy przez Hitlera w Niemczech i wprowadzenie ustaw norymberskich. Rodzice Helmuta uciekają do Ameryki Południowej, on rusza do Singapuru, na statku, na którym, jak pisze, „z zapalonym” żonę pewnego wiedeńcyka. W Chinach wdaje się w romans z dwa razy starszą kobietą, Josette, i pełni funkcję jej utrzymanka. Jak sam stwierdzi: „W Singapurze straciłem wszelką zawodową ambicję. W kwestii swojej kariery popadłem w całkowity letarg. Zdałem sobie sprawę, jak daleko odszedłem od celu, który sobie wyznaczyłem – że zostanę fotografem »Vogue’a«. Zamiast tego zostałem sprawnym jebaką”.

Z Chin – chociaż niektóre źródła podają, że znalazł się jeszcze z rodziną w RPA – dotarł do Australii, gdzie 4 grudnia 1946 r. gnany ambicją bycia sławnym fotografem zmienił nazwisko z Neustädter na Newton i przyjął tamtejsze obywatelstwo. Niemal dwa lata później, 13 maja 1948 r., wziął ślub z australijską aktorką June Browne (znaną pod pseudonimem Alice Springs, zapożyczonym od nazwy małego miasta w północnej Australii). Do tego punktu w autobiografii Newton kreuje siebie jako uwodziciela i bawidamka, potem cała jego uwaga skupia się na opisie kolejnych sukcesów fotograficznych. Od stworzenia w 1956 r. w Melbourne studia z innym słynnym fotografem, Henrym Talbotem, aż po wybór siedziby pod powstałą w rodzinnym Berlinie w 2003 r. fundację. Urodzony Don Juan i najwybitniejszy fotograf świata – taki obraz chciał po sobie pozostawić Helmut Newton.

Siła, czyli kosztowny towar

W opowieści Newtona jest jednak kilka fragmentów, nad którymi warto się zatrzymać. W 1978 r. wykonywał na paryskim moście Aleksandra III zdjęcia kolekcji *couture* do francuskiego „Vogue’a”. Zamiast żywych modelek w sesji wzięły udział manekiny. Podobną sesję wykonał również dziesięć lat wcześniej, wówczas jednak obok manekina pozo-
 wała modelka Willy Van Rooy (była ulubienicą Newtona, pojawiła się m.in. na kultowym zdjęciu z samolotem). Modelka i manekin tworzą na tym zdjęciu „coś w rodzaju Doppelgängera”, ➔



„Vogue” edycja brytyjska,
1967 r.



→ przerażającego lustrzanego odbicia, które upodobiło ciało sztuczne do żywego.

Newton przy okazji sesji na moście Aleksandra III przyznaje, że nadawał manekinom imiona: Georgette czy Le Con, „co znaczy idiotka”: „Jakkolwiek ją ustawię, spojrzenie ma tępe. Nie mogę zrobić nic, by ją ożywić. Postanawiam z niej zrezygnować. Na szczęście mogę wybierać z pięciu innych piękności schowanych w ciężarówce. Mam też do wyboru dziecię par różnych nóg, ramion i rąk”.

Bardzo podobna scena pojawia się w biograficzno-dokumentalnym filmie „Helmut Newton: Frames from the Edge” (1989), kiedy 69-letni wówczas fotograf spotyka się z kolejnymi modelkami – w świecie modelingu taki rodzaj spotkania określa się jako *go-see* – przegląda ich

książki fotograficzne i dokonuje wyboru dziewczyny do sesji zdjęciowej. Tak ciało żywe upodobiło się do sztucznego. Ciało staje się towarem do wyboru.

Koncept ciała na sprzedaż fascynował Newtona od czasu, kiedy starszy brat pokazał mu prostytutkę zwaną Ognistą Erną. Ta fascynacja odżyła podczas wizyt w domach publicznych Singapuru, a następnie w Paryżu, na ulicy Saint-Denis: „W kupowaniu kobiety jest coś, co mnie podnieca. Jak afrodyzjak działa na mnie to sprowadzenie kobiety do rangi zwykłego towaru – w środku dnia można się przechadzać ulicą, na której prezentuje się dwieście czy trzysta prostitutek, z czego sto pięćdziesiąt jest zdecydowanie godnych pożądania, a dookoła toczy się codzienne życie”.

W 2001 r. Lindsay Baker w artykule-wywiadzie dla „Guardiana” przy okazji organizowanej w Londynie wystawy „Helmut Newton: Work” pisała, że jego fotografia to sprawa gustu. Mimo to niektóre „z jego ekstremalnych, fetyszystycznych obrazów są dla wielu z nas [kobiet] po prostu okropne”. I dodaje: „W rzeczywistości [Newton] jest zadowolony z faktu, że nie wszyscy go lubią, chociaż ostentacyjnie irytują go ci, którzy uważają, że jego prace są poniżające dla kobiet. Dla mnie ujęcie kobiety w siodło jest zabawne w swoim absurdzie, ale z łatwością mogę zrozumieć, dlaczego można uznać je za obraźliwe”.

Ta wątpliwość dotycząca przedmiotowego traktowania kobiet – a nawet szerzej: fotografii jako typowo męskiej tech-



One nadchodzą (ubrane), „Vogue” edycja francuska, 1981 r.



Ulica Aubriot, Paryż. Sesja kolekcji domu mody Yves Saint Laurent, „Vogue” edycja francuska, 1975 r.

©HELMUT NEWTON ESTATE; DZIĘKI UPRIEMOŚCI HELMUT NEWTON FOUNDATION x3

nologii, o czym prawie pół wieku temu pisała Susan Sontag, która zarzucała zresztą berlińskiemu fotografowi mizoginię – powraca również przy okazji toruńskiej wystawy. Kim jest więc silna kobieta? Dla Newtona wszystkim tym, co określa projekty Yves’a Saint Laurenta: wytworna, pożądana, zmysłowa, bardzo elegancka, wyglądająca na drogą. Mówiąc inaczej: siła to skrojony przez mężczyznę luksusowy towar.

Bariera

W 1982 r. żona Newtona, June, zachorowała i przeszła operację. Aparat posłużył mu wówczas za rodzaj bariery, muru między „ja” a bolesną rzeczywistością. Jak przyznaje: „mogłem stawić czoło jej i mogłem stawić czoło temu, co

zrobili jej ciału, o wiele lepiej przygotowany i o wiele odważniej, kiedy pomiędzy oczyma June a moimi znajdował się aparat”. Fotografie Newtona nie odnoszą się do rzeczywistości, nie komentują jej, nie przybliżają. Mają służyć wytwarzaniu nowej rzeczywistości. Albo przywołaniu utraconej.

Pierwsza książka fotograficzna Helmuta Newtona była zatytułowana „White Women” (1974) i – wzbudzając kontrowersje – przyczyniła się do popularności terminu „porno szyk”. Tytuł wymyśliła jego żona, po czym przestraszona stwierdziła: „Ty, Żyd, nie możesz chyba swojej pierwszej książce dać takiego rasistowskiego tytułu”. Ale przyczyna, z powodu której Newton zmuszony był wraz z rodziną uciekać z rodzinnego

miasta, przestała mieć dla niego znaczenie. „Gówno – odparłem – to nie ma nic wspólnego z rasizmem, to wspaniały tytuł”.

Jednocześnie patrząc szerzej na jego twórczość ma się wrażenie, że wciąż próbował przywoływać świat, któremu wojna przyniosła kres. Świat zamożnej rodziny żydowskiej, pełen służących, których praca, jak sam przyznał po latach, przypominała pracę niewolniczą, oderwany od problemów, z jakimi borykało się niemieckie społeczeństwo po I wojnie światowej, wreszcie – nasycony seksualnymi obrazami, czy to związanymi z nianią, czy z matką. Świat *schwül*, wilgotny i duszny, w którym mógł, niby rozkapryszony dzieciak, wszystko.



→ Zwrot ku pornografii wydaje się w przypadku Helmuta Newtona oczywisty. To musiało się stać. Porno grafia zapewniała mu tak potrzebne w świecie sztuki kontrowersje, a zarazem tworzyła dla niego odrębną rzeczywistość, kierowaną fantazją seksualną i możliwością szybkiego wizualnego spełnienia: „Łatwo się nudzę i to pewnie jeden z powodów, dla których nigdy nie chciałem kręcić filmów. Film to przedsięwzięcie, które zajmuje mnóstwo czasu – wiele miesięcy, czasami lat życia – a ja się do tego zupełnie nie nadawałem. Dlatego uwielbiam fotografię i zawsze powtarzam, że nie warto kończyć żadnej pracy, która trwa dłużej niż trzy dni. Trzy dni to granica skupienia mojej uwagi”.

Tylko na obszarze pornografii mógł stworzyć fotografię – inspirowaną przedstawieniem baletowym Piny Bausch – na której krokodyl zjada balerinę. Cykl zdjęć kobiet w gipsie i gorsetach ortopedycznych. Kobiet rozbierających się na oczach gości w hotelowych poczekalniach. Kobiet wycierających oczy surowym mięsem. Kobiet-Doppelgängerów. Jest zdumiewające, że właśnie ten świat – władzy, bogactwa, seksu i ekscesu – stał się później światem mody.

Spytajmy raz jeszcze: kim są te silne kobiety według Helmuta Newtona? Cała ich siła dotyczy wizualnego oddziaływania, które zapewnia kontrowersja i seksualny wizerunek. Umiejętowa w luksusowym otoczeniu, podporządkowana konkretnej estetyce – bezwłose, zgrabne, młode ciało – odgrywająca przygotowane zawczasu role, czy to służki, czy aktorki obleganej przez *paparazzi*, kobieta przemienia się w ustanowiony przez mężczyznę obiekt oglądu. Lustro, w którym uwidaczniają się tylko jego męskie fantazje.

© MACIEJ TOPOLSKI

Jesienna dziewczyna

ANITA PIOTROWSKA

„Nigdy, rzadko, czasami, zawsze” to film, który temat aborcji ustawia inaczej niż dotychczas w kinie.

DZIWKA! – WOŁA Z WIDOWNI JAKIEŚ chłopaczysko, kiedy ona podczas szkolnego występu z przejściem w głosie śpiewa piosenkę o niszczącej sile miłości. Za chwilę przekonamy się, że bohaterka nie puści tego płazem.

Ma jesienne imię Autumn, ale żadna z niej przytulna jesieniara. Gra ją debiutantka Sidney Flanigan, przykuwająca wzrok od pierwszego ujęcia, niczym młodsza siostra Saoirse Ronan, jednocześnie charakterna i krucha. Być może ze swoim talentem i pasją chciałaby kiedyś pójść w ślady tytułowej Lady Bird z filmu Greta Gerwig – uciec z podupadłego miasteczka w Pensylwanii, z toksycznego domu i dorywczej pracy przy kasie, lecz życie właśnie napisało dla niej zupełnie inny scenariusz. Siedemnastoletnia Autumn jest w ciąży i wie, że musi ją przerwać.

„Nigdy, rzadko, czasami, zawsze” Elizy Hittman to film, który temat aborcji ustawia inaczej niż dotychczas w kinie. A przynajmniej w tych tytułach, które umieszczały problem na pierwszym planie i roztrząsały go pod rozmaitymi kątami, by w finale przechylić szalę na rzecz albo *pro-life*, albo *pro-choice*.

W telewizyjnym „Dekalogu 2” (1988) Krzysztofa Kieślowskiego decyzja o usunięciu ciąży przez bohaterkę (grała ją Krystyna Janda) stała się przedmiotem moralnej transakcji, a właściwy jej ciężar zrzucony został na barki starego lekarza (Aleksander Bardini). W 2007 r. powstały dwa znakomite filmy, na różne sposoby problematyzujące to zagadnienie: „Cztery miesiące, trzy tygodnie, dwa dni” Cristiana Mungiu – w kluczu politycznym, i „Juno” Jasona Reitmana – w kluczu psychologicznym. Rumuński reżyser ze szczegółami pokazywał koszmar aborcji przeprowadzanej nielegalnie, w upokarzających, chałupniczych warunkach, w następstwie niesławnego dekretu 770 wyda-

nego przez prezydenta Ceaușescu. Osadzony na antypodach tamtego świata współczesny film amerykański zdawał się godzić strony aborcyjnego sporu, zostawiając swojej bohaterce wolny wybór, ale i kibicując jej w decyzji o oddaniu nowo narodzonego dziecka do adopcji. Z kolei o trzy lata wcześniejsza „Vera Drake” Mike’a Leigh tworzyła portret londyńskiej sprzątaczkii z bardzo restrykcyjnych lat 50., która w geście współczucia dla ubogich dziewcząt, pozostawionych w kryzysie samym sobie, nieodpłatnie dokonuje pokątnych zabiegów.

Wiadomo jednak, że prawo może być przeciw kobietom dokonując zgoda odwrotnej ingerencji, czyli nakazując im przerwanie ciąży. W kinie dokumentalnym wydarzeniem ubiegłego roku była „Polityka jednego dziecka” Nanfu Wang i Jialing Zhang, gdzie osobista perspektywa jednej z reżyseerek rzucała światło na radykalną kontrolę urodzeń panującą przez kilkadziesiąt lat w Chińskiej Republice Ludowej. Niedawno wspominał też o tym fabularny film „Żegnaj, mój synu” Xiaoshuai Wang. Celowo pomijam tutaj tytuły z założenia pro-lajferskie, typu „Nieplanowane” (2019) Chucka Konzelmana i Cary Solomon, jako że ich silnie interwencyjny, zideologizowany przekaz o „cudzie narodzin” zazwyczaj idzie w parze z kiepską, łopatologiczno-manipulatorską formą. Szczególnie na tym tle widać delikatność „Nigdy, rzadko, czasami, zawsze” – filmu, który najlepiej streszcza jedno z haseł jesiennych protestów na polskich ulicach: „Nigdy nie będziesz szła sama”.

Te słowa odnoszą się nie tylko do postaci Skylar (Talia Ryder) – kuzynki Autumn, która solidarnie i bez zbędnych słów rusza z nią do Nowego Jorku. Właśnie tam główna bohaterka, z racji wieku pozbawiona w rodzinnych stronach prawa do samodzielnej decy-



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia
Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Śłuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Nigdy, rzadko, czasami, zawsze”

zji, ma umówiony zabieg. Również reżyserka nie pyta o nic i po prostu towarzyszy dziewczynom w tej wyprawie: w nieuczciwym zdobyciu pieniędzy i podczas jazdy autobusem, w tułaczce po wielkim obcym mieście i podczas wizyty w klinice.

Tym samym powściągliwie sprawozdawczym gestem przekazuje głos także instytucjom, które chciałyby odwieść Autumn od jej zamiarów. Wystarczą jednak same zbliżenia jej twarzy, ażeby domyślić się, że wszystko już zostało przemyślane i postanowione. Jedyne, co mogłoby jej teraz pomóc, to po prostu bycie tuż obok albo zwyczajny uścisk dłoni. Dodajmy jeszcze, że już początek filmu wyklucza sakramentalne „a gdzie byli wówczas jej rodzice?”.

Tytuł filmu odnosi się do wypełniania przed zabiegiem ankiety dotyczącej życia intymnego, a przede wszystkim do seksualnej przemocy, jakiej mogła zaznać młodociana pacjentka. „Nigdy, rzadko, czasami, zawsze” to wybór możliwych odpowiedzi, choć w zdawkowej formie przysłówków kryje się wszystko, co niewypowiedziane – zarówno w gabinecie, jak i w samym filmie. Hittman, zafascynowana minimalistyczną „Ucieczką skażoną” (1956) Roberta Bressona, w swoim trzecim pełnometrażowym tytule, nagrodzonym na Berlinale i Sundance, nie próbuje grać na emocjach i pozostawia widzowi przestrzeń dla domyslenia tego, co być może wydarzyło się wcześniej, poza kadrem. Nawet kiedy sytuacja Autumn jeszcze bardziej się komplikuje, zamiast mnożenia dylematów czy perswadowania czyichś racji reżyserka wybiera postawę milcząco wspierającą.

Solidarność „Nigdy, rzadko...” ma również głęboki wymiar społeczny. Nie przypadkiem film skupia uwagę na dziewczynach z robotniczego środowiska tzw. pasa rdzy, gdzie upadek przemysłu ciężkiego przyniósł nie tylko ekonomiczne konsekwencje jej mieszkańcom, ale i następstwa polityczne w skali kraju – o czym świadczą ostatnie wybory prezydenckie, kiedy to oczy całego świata zwróciły się właśnie na postindustrialną Pensylwanię. Opowieść o jesiennej dziewczynie mimochodem punktuje, co to znaczy być kobietą w pozbawionym perspektyw, opresyjnym otoczeniu: końskie zaloty należą tu do łagodniejszych zachowań w relacjach damsko-męskich. I przypomina, że ofiarami ograniczonych praw reprodukcyjnych bywają przede wszystkim kobiety słabo wyedukowane, niedoinformowane i niezamożne.

Film Hittman oglądany w dzisiejszej Polsce wydaje się zatem obrazem jakby z trochę innej planety, choćby dlatego, że nie wpisuje się w żadne polityczne czy religijne kruczaty, nie ma tu mowy o deformacjach płodu lub fizycznych cierpieniach matki, nie ma też demonizowania problemu ani bagatelizowania go. Zamiast tego jest ciche, lecz uparte siostrzeństwo – tylko tyle i aż tyle. ©

NIGDY, RZADKO, CZASAMI, ZAWSZE

(*Never Rarely Sometimes Always*)

– reż. Eliza Hittman. Prod. USA/Wielka Brytania 2020. Dystryb. UIP. Film był wydarzeniem wrocławskiego *American Film Festival*. Data premiery kinowej jeszcze nie jest znana.

WARTO ZOBACZYĆ

1. iHuman



Dokumentalny, reż. Tonje Hessen Schei, Norwegia 2019, Canal+ Dokument, 18 XI, 20.00, 22 XI, 16.00

Sztuczna inteligencja może być dla człowieka dobrodziejstwem, ale może go również zniszczyć. Dokument przedstawia jej blaski i cienie (choć z akcentem na to drugie), dyskutując z uczonymi, informatykami, prawnikami czy psychologami. Jedno jest pewne: zmiana, którą ma przynieść ludzkości AI, niepostrzeżenie dokonuje się już teraz.

2. Mały topór



Miniserial, reż. Steve McQueen, USA/Wielka Brytania 2020, HBO GO Twórca „Wstydu” i „Zniewolonego” stwo-

rzył telewizyjną antologię, która w pięciu odciskach przygląda się doświadczeniom czarnoskórych londyńczyków pochodzenia karaibskiego. Z ich perspektywy przypomina o historycznych postaciach i wydarzeniach, opowiada także o miłości, dorastaniu, edukacji czy muzyce.

3. My dwie



Dramat, reż. Filippo Meneghetti, Francja/Belgia/Luksemburg 2019, Cineman, vod.pl Nina i Madeleine to emerytki, które latami

ukrywały przed światem łączący je związki. Kiedy wreszcie mogłyby zacząć żyć ze sobą otwarcie, pojawiają się nowe komplikacje. Film w subtelny sposób pokazuje, jak trudno bohaterkom uwolnić się od społecznej i rodzinnej presji. W rolach głównych Barbara Sukowa i Martine Chevallier.

4. Kolejny film o Boracie



Komedia, reż. Jason Woliner, USA 2020, Amazon Prime Video Niesmaczny, niepo-

prawny politycznie humor, wręczanie spotkanych ludzi w kompromitujące sytuacje – za to kochamy albo nienawidzimy Borata. I właśnie to znajdziemy w najnowszym filmie o nim. Grany przez Sachę Barona Cohena dziennikarz z Kaczachstanu wyrusza tym razem do Ameryki, by ośmieszyć kraj pod rządami Republikanów.



Jude Law jako Sam
w serialu „Dzień trzeci”

roku, sześćoiodcinkowa podróż w głąb rodzinnej traumy, sennego koszmaru, pradawnych, poprzedzających chrześcijaństwo religijnych wyobrażeń.

Bohater filmu, Sam, zauważa w lesie, gdzie szuka samotności, nastoletnią dziewczynę próbującą się powiesić. Ratuje ją, uspokaja, proponuje, że odwiezie ją do domu. Dziewczyna, Epona, kieruje go na położoną w pobliżu wyspę Osea. Jej jedyne połączenie z lądem to długa, wąska grobla, wyłaniająca się z morza tylko na kilka godzin w ciągu dnia podczas odpływu. Samowi znacznie trudniej będzie opuścić wyspę, niż się na nią dostać. Przegapia pierwsze „okno” na wydostanie się z Osea za sprawą zbiegu tyleż absurdałnych, co niegroźnych zbiegów okoliczności. Im dłużej jednak mężczyzna przebywa na wyspie, tym bardziej mamy wrażenie, że pozornie sympatyczna, ekscentryczna, zamknięta lokalna społeczność kryje jakąś straszną tajemnicę.

W cieniu dawnych i nowych bóstw

Osea istnieje naprawdę. To niewielka wyspka u wybrzeży Essex we wschodniej Anglii. W 1903 r. wyspę zakupił Frederick Charrington – dziedzic piwowarskiej fortuny, który po tym, gdy na ulicach Londynu zobaczył pijanego mężczyznę bijącego swoją żonę, przeżył głębokie religijne nawrócenie i zdecydował się poświęcić majątek na walkę z alkoholizmem. Na Osea założył wspólnotę dla wychodzących z uzależnienia. Na wyspie panowała pełna prohibicja, uzależnione osoby uzyskiwały możliwość mieszkania i pracy w przyzwoitych warunkach.

Charrington liczył na to, że wyspa zmieni się z czasem we wzorcowy, wolny od alkoholu nadmorski kurort. Dziś Osea znajduje się w prywatnych rękach, z odpowiednim wyprzedzeniem i za niemałą cenę można wynająć na niej dom od któregoś z mieszkańców. Dystans od ładu i tłumów turystów czyni z niej atrakcyjne miejsce dla szukających anonimowości celebrytów i wszystkich spragnionych spokoju.

„Dzień trzeci” kręcono na Osea, a historia wyspy stanowi punkt wyjścia dla świata przedstawionego, jaki budują twórcy. Zamieszkująca ją społecz-

Religia horroru

JAKUB MAJMUREK

„Dzień trzeci” pokazuje ambiwalentny stosunek popkultury do religii: pojawia się ona dopiero wtedy, gdy bohaterom załamuje się ich świat. Gdy nie potrafi im pomóc racjonalna, świecka cywilizacja i jej terapie.

WIELE OPowieści GROZY ZACZYNA się podobnie: wędrowiec skręca w nieodpowiednią drogę, gubi się w nieznannej okolicy, zatrzymuje się w miejscowości, przez którą powinien jak naj-

szybciej przejechać, a najlepiej ominąć ją szerokim łukiem. Tak zaczyna się też „Dzień trzeci” (HBO) – jeden z najciekawszych, najbardziej niepokojących, wizyjnych i ekscentrycznych seriali tego

ność tworzy w serialu swoją własną, zamkniętą rzeczywistość, nieufnie patrzy na wszystko to, co na zewnątrz. Mieszkańcy są niemal wyłącznie biali, wyspa wygląda jak żywa skamielina Anglii sprzed czasów, gdy zaczęły ją zmieniać kolejne fale migracji.

Co jednak kluczowe, mieszkańcy wyspy wyznają własną religię. Chrześcijaństwo miesza się w niej z elementami pogańskimi, głównie celtyckimi. Jezus sąsiaduje ze starożytnymi bóstwami wojny, roślinności i morza, chrześcijańskie rozumienie ofiary – z rytuałami sprzed przybycia Rzymian na Wyspy Brytyjskie.

Gdy Sam dociera na Osea, trwają tam przygotowania do wielkiego, folklorystycznego festiwalu, mającego przyciągnąć turystów i zainteresować ich oryginalną kulturą wyspy. Sam, a wraz z nim my, ma wrażenie, że w tym wszystkim z pewnością nie chodzi wyłącznie o folklorystyczną ciekawostkę i turystyczną atrakcję. Że dla mieszkańców Osea festiwal i ich wierzenia niosą ze sobą najwyższe stawki – jakich zsekularyzowany świat Zachodu od dawna nie przypisuje już religii. Im więcej mężczyzna dowiaduje się o tym, w co tak naprawdę wierzy się na Osea, tym bardziej jest przerażony. Każdy kolejny odcinek ma coraz bardziej mroczny, halucynacyjny, oniryczny charakter, jakbyśmy wkraczali w środek śnionego przez Sama koszmaru.

Gatunkowo „Dzień trzeci” wpisuje się we wzorce tzw. horroru folkowego – jak nazywa się odmianę tego gatunku, gdzie źródłem grozy jest konfrontacja przedstawiciela współczesnej, miejskiej, racjonalnej cywilizacji z żyjącą na jej uboczu, zamkniętą wspólnotą, zjednoczoną wokół swoich prastarych, mrocznych, niezrozumiałych rytuałów. Wzorcowym przykładem pozostaje przede wszystkim „Kult” („Wicker Man”, 1973) Robina Hardy’ego. Szkocki policjant, sierżant Howie, w poszukiwaniu zaginionej dziewczyny trafia na wyspę Summerisle w archipelagu Hebrydów. Mieszkańców łączy dziwna zmowa milczenia, nikt nie chce pomagać w śledztwie. Policjant odkrywa też, że mieszkańcy Summerisle porzucili chrześcijaństwo i powrócili do pogańskiej, celtyckiej religii przodków.

Krytyka często porównywała „Dzień trzeci” do „Kultu”. Mimo wielu podobieństw oba tytuły różni zasadniczo rzecz. Inaczej niż w serialu z 2020 r., w filmie z 1973 r. granica między światem chrze-

ścijańskiej i pogańskiej religijności zarysowana jest bardzo wyraźnie. Howie jest pobożnym prezbiterianinem, w pierwszej scenie filmu poznajemy go w trakcie nabożeństwa. Pogański świat wyspy przeraża go i odrzuca moralnie.

W „Dniu trzecim” wszystko to, co religijne – chrześcijaństwo, pogaństwo, synkretyczne wierzenia mieszkańców Osea – zlewa się religijnie obojętnemu Samowi oraz identyfikującym się z nim widzom w jedną, niezrozumiałą i przerażającą całość. Inaczej niż „Kult”, „Dzień trzeci” mówi z wnętrza zupełnie już zsekularyzowanej, postchrześcijańskiej kultury.

Egzorcyzmowanie kultury

„Kult”, powstały zaledwie pięć lat po roku ’68, daje się czytać jako komentarz do kontrkulturowej rewolucji tamtych czasów. Lord Summerisle, największy właściciel ziemski na wyspie i jej faktyczny przywódca, w świetnej kreacji Christophera Lee, ma zmysłową charyzmę porywającej tłumi gwiazdy rocka z epoki. Wyspa przypomina społeczność hipisów. Panują na niej bardzo swobodne obyczaje seksualne, co oburza purytańskiego Howiego. Jak się jednak z czasem okazuje, za malowniczymi pogańskimi rytuałami i wyzwoloną od pruderii obyczajowością kryje się przemoc i mroczne, zrytualizowane okrucieństwo, z ofiarami z ludzi włącznie.

„Kult” można by czytać jako jeden z wielu filmów z epoki dokonujących rozliczenia z rewolucją obyczajową lat 60., ostrzegających przed zawartymi w niej destrukcyjnymi tendencjami. Szczególnie chętnie podejmuje je kino gatunkowe, które daje widzowi przyjemność obcowania z kontrkulturowymi, wywrotowymi treściami, by na końcu potępić je i spacyfikować w jakiejś formule konserwatywnego, moralistycznego zakończenia.

Kino grozy lat 70., przyglądając się obyczajowej rewolucji, szuka opisujących ją i mających przerazić widza metafor w różnych porządkach. W „Dreszczach” (1975) Davida Cronenberga metafora ma charakter medyczny: mieszkańców luksusowego apartamentowca pod Montrealem infekuje tajemniczy pasożyt, znoszący wśród swoich nosicieli wszelkie ograniczenia związane z ekspresją popędu seksualnego i agresji. W „Egzorcycie” (1973) Williama Friedkina, podobnie jak w „Kulcie”, metafory dostarcza religia.

Opetana przez demoniczną istotę nastolatka na progu okresu dojrzewania, Regan, w metaforyczny sposób wyraża lęki pokolenia rodziców dzieci kwiatów, niezdolnych zrozumieć tego, co „wstąpiło” w ich dzieci i skłoniło do zakwestionowania świata wartości poprzednich pokoleń. Film Friedkina jest wyraźną konserwatywną reakcją nie tylko na rok ’68, ale także na powojenną emancypację kobiet. Matka Regan, Chris, samotnie wychowuje córkę. Jest niezależną, aktywną seksualnie i zawodowo kobietą sukcesu, aktorką ze świetnie rokującą karierą. Film wyraźnie sugeruje, że skupiona na pracy i nowym związku kobieta zaniedbała córkę, zostawiła ją samą sobie i wystawiła przez to na działanie demonicznych sił.

Tak jak w „Kulcie”, w „Egzorcycie” chrześcijaństwo oddziela wyraźną granicę od wszystkich innych systemów religijnych. Film otwiera sekwencja wykopalisk archeologicznych w Iraku, w których bierze udział katolicki egzorcysta, ojciec Merrin. Irak przedstawiony jest jako wrogi, przerażające miejsce: upał, kurz, pustynny krajobraz, obcy, nieprzeniknieni, milczący, ogólnie wrodozy Arabowie, wreszcie wydobywane spod ziemi przerażające wizerunki demonów z odległej, babilońskiej przeszłości.

Przedchrześcijańska religijność jest w „Egzorcycie” wyłącznie źródłem duchowego zagrożenia. Demon, który przejmie kontrolę nad Regan, nazywa się Pazuzu – tak samo jak bóstwo panujące nad demonami wiatru w religiach starożytnej Mezopotamii. Konserwatywnie interpretowane chrześcijaństwo przedstawiane jest z kolei przez twórców filmu jako odpowiedź nie tylko na „demoniczne zagrożenie”, ale także chaos świata, którego „naturalny” porządek zaburzyła emancypacja kobiet i zrewoltowana młodzież.

Pomyśleć to, co nieludzkie

Na początku lat 70. „Egzorcysta” okazał się nie tylko kasowym hitem, ale także jednym z najlepiej przyjętych horrorów w historii. Jako pierwszy obraz z tego gatunku otrzymał nominację do Oscara w kategorii „najlepszy film”. Dziś jego recepcja jako arcydzieła kina grozy ulega rewizji. Polityka genderowa filmu, jego obraz Bliskiego Wschodu rozmijają się z wrażliwością współczesnej wykształconej publiczności kinowej. A obraz, którego twórcy wydają się naprawdę wierzyć →

→ w diabły i egzorcyzmy, jest zwyczajnie obcy i niezrozumiały. Krytycy i historycy filmu coraz częściej piszą o „Egzorcystcie” jako o propagandzie fundamentalistycznego chrześcijaństwa, niezdolnego pogodzić się z przemianami, jakie uważamy za oczywiste – np. związanymi z sytuacją kobiet w społeczeństwie.

Nawet jeśli w przypadku ciągle artystycznie znakomitego filmu Friedkina opinia redukująca go do propagandowej funkcji jest niesprawiedliwa, to z pewnością zasługuje na nią wiele filmów z podgatunku, jaki pomógł stworzyć: horrorów o diabelskim opętaniu. Weźmy najpopularniejsze reprezentującego go tytuły z ostatnich lat: produkcje z serii „Obecność” (2013 i 2016) czy „Annabelle” (2014, 2017, 2019). Oparte na sprawach opisanych przez parę amerykańskich „demonologów”, badaczy zjawisk paranormalnych i egzorcyzistów – Eda i Lorraine Harrisów – filmy te sprzedawane są jako „historie oparte na faktach” i pokazywane w Stanach we współpracy z różnymi fundamentalistycznymi grupami religijnymi. Historie o diabłach, demonach i opętaniach są dla nich atrakcyjne jako efektowny sposób na przypomnienie sekularyzującemu się Zachodowi o religii. Istnienie diabła i jego sług ma być bowiem pośrednim dowodem istnienia Boga. Podobne rozumowanie wprost przedstawia film „Egzorcysty Emily Rose” (2005) – tytułowa bohaterka, głęboko religijna dziewczyna, wierzy, że jej opętanie jest znakiem danym przez Boga współczesnym, którzy zapomnieli o jego istnieniu, a film podziela to przekonanie.

Na tle wspomnianych produkcji bardzo ciekawie odróżnia się pokazywany

„Dzień trzeci” to horror folkowy.

Źródłem grozy jest tu konfrontacja przedstawiciela miejskiej, racjonalnej cywilizacji z zamkniętą wspólnotą, zjednoczoną wokół prastarych, mrocznych rytuałów.

tuż przez zamknięciem kin w Polsce obraz „Saint Maud” (2019), debiut brytyjskiej reżyserki Rose Glass. Młoda pielęgniarka, Maud, dostaje zadanie opieki nad terminalnie chorą byłą tancerką, Amandą. Maud jest fanatycznie religijną osobą, w jej religijnej gorączce jest jednak coś piękniejszego – domyślamy się, że jej ekspresyjne chrześcijaństwo jest nieudaną próbą poradzenia sobie z jakimś ciężarem z przeszłości. Amanda, choć znajduje się na progu śmierci, nie zaprzęta sobie głowy religią: znieczula się alkoholem, odurza się narkotykami, spotyka z młodą pracownicą seksualną, otacza przyjaciółmi. Pragnie korzystać z życia, dokąd tylko może. Maud uznaje, że Bóg powierzył jej zadanie zbawienia duszy Amandy – misja ta kończy się jednak najpierw ośmieszeniem dziewczyny, a potem tragedią.

Inaczej niż w „Egzorcystcie” i filmach czerpiących z jego motywów, w „Saint Maud” to chrześcijański fundamenta-

lizm, nie demony rodem z Asyrii, jest siłą „opętującą” tytułową bohaterkę. W jej surowym jak mnisia cela mieszkaniu główne miejsce zajmuje „ołtarzyk” z obrazami Boga z różnych tradycji chrześcijańskich, od katolickiego krucyfiksu po wizyjne obrazy zrodzone z heterodoksji Williama Blake’a. Bóg, który tworzy się w wyobraźni Maud, jest groźną, przerażającą istotą, prowadzącą kobietę do samozniszczenia.

W podobny sposób do religii podchodzi „Dzień trzeci” – gdy „Saint Maud” trafi do sieci, polecam obejrzeć go łącznie z serialem. Obie produkcje doskonale pokazują głęboko ambiwalentny stosunek współczesnej popkultury do religii. W obu religia pojawia się wtedy, gdy bohaterom załamuje się ich świat. Gdy konfrontują się z tym, czemu nie potrafi zaradzić racjonalna, świecka cywilizacja, jej dyskursy i terapie. Sam jest złamanym człowiekiem – kilka lat przed wydarzeniami z serialu stracił syna, do dziś nie potrafi zakończyć procesu żałoby. Maud nie umie poradzić sobie z winą z przeszłości, z samotnością i beznadzieją śmierci, jakie obserwuje w swojej pracy pielęgniarki zajmującej się terminalnie chorymi.

A jednocześnie religia ani Samowi, ani Maud nie niesie pocieszenia, duchowego spokoju. To, co religijne, jest raczej – podobnie jak filmowy, telewizyjny czy literacki horror – medium, w jakim wyraża się egzystencjalna groza, to, czego nie można racjonalizować i oswoić, sposobem na doświadczenie i przeżycie tego, co nie jest ludzkie, przerażenia, które mimo wszystkich swoich wygód racjonalna, postchrześcijańska cywilizacja nigdy nie potrafi od nas do końca usunąć.

© JAKUB MAJMUREK

REKLAMA

pomóż



PMM.ORG.PL



66% dzieci

poniżej 5. roku
życia w Senegalu
cierpi na anemię.

uwaga

anemia



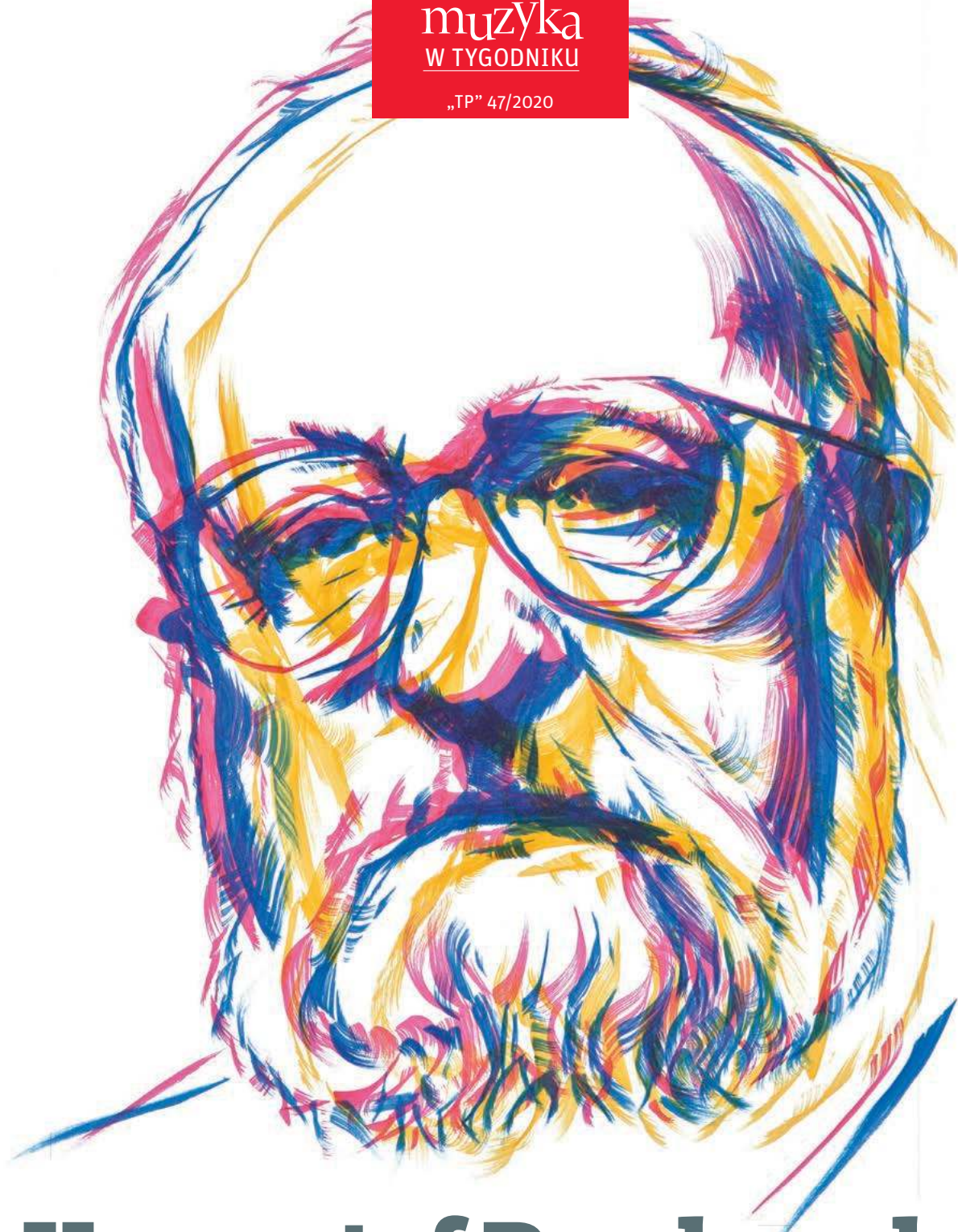
**Polska Misja
Medyczna**



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

muzyka
W TYGODNIKU

„TP” 47/2020



Krzysztof Penderecki

23 XI 1933 – 29 III 2020



ARCHIWUM RODZINNE

Krzysztof Penderecki, ok. 1960 r.

Koniec i poza nim

JAKUB PUCHALSKI

29 marca tego roku nie tylko ostatecznie zamknęła się twórczość Krzysztofa Pendereckiego. Zamknęło się kilka epok.

Odszedł ostatni żyjący z wielkich awangardystów XX wieku, i zarazem pierwszy z tych, którzy porzucili awangardę, uznając ją za ślepą uliczkę – jeden z nielicznych, którzy gotowi byli zmieniać bieg także własnej sztuki.

Skończyła się też jednak epoka znacznie dłuższa, w której wychowywaliśmy się od pokoleń i która panowała nam pewnie od czasów Monteverdiego, albo nawet Josquina. Skończył się świat, w którym twórczość muzyczna ze swym powszechnie rozumianym miejscem na szczytach kultury personifikowana jest przez ważnego, wybitnego twórcę.

Twórcę, którego głosu się słucha – jakkolwiek byłby wypowiedany i nawet wówczas, gdy się z nim w jakiś sposób nie zgadza.

Wraz z odejściem Krzysztofa Pendereckiego odeszła wywyższona figura artysty – a już na pewno figura kompozytora. Która przeżyła swą apoteozę w XIX wieku, od Beethovena do Wagnera, odnalazła się następnie w kulcie Strawińskiego, po czym przeszła na jego wybranych następców, aż po polskiego twórcę. Jeżeli wraz z Pendereckim skończył się romantyzm, to nie z powodu stylistycznego zwrotu w jego twórczości z lat 70., lecz z powodu dziedzictwa roli artysty i jej recepcji.

Nie oznacza to, że nie powstają nowe dzieła, znakomite lub nawet genialne, że brakuje wybitnych autorów, że muzyczny świat nagle się skurczył. Nic z tych rzeczy. Natomiast pierwszy raz od początków rozwoju indywidualnej twórczości znaleźliśmy się w sytuacji, w której brakuje osoby, z którą można by powszechnie utożsamić współczesną twórczość muzyczną – kompozytora, który w sposób istotny i zauważalny mówiłby o uniwersalnych problemach swoich czasów. Jak niegdyś Monteverdi, Bach i uwielbiany Telemann, Haydn i Mozart, Beethoven – itd. Każdy odrębny, każdy kształtujący współczesny sobie świat nie tylko dźwięków, ale i wartości – w stopniu, jaki trudno nam niekiedy zrozumieć.

Ostatnie dziesięciolecia pokazały, że żyliśmy w epoce Pendereckiego. To jego utwory były oczekiwane i komentowane. Nawet jeżeli czasem budziły sprzeciw krytyków, były istotne na zupełnie innym poziomie niż czysto muzyczna refleksja. Jako jedyne powszechnie przypominały kulturową, humanistyczną rolę, jaką ma muzyka.

Krzysztof Penderecki przyjął niegdyś tę rolę z prostotą i oczywistością. Rola zaszczytną, ale niekoniecznie wdzięczną, bo nienaturalną już dla wielu jego kolegów, tchnącą właśnie owym dawnym światem, z którym chcieli zerwać. Rola konserwatywną, właściwą dla poprzedniej epoki – a wszak liczyła się tylko awangarda. Trudną, bo pełną wielkich słów i wielkich tematów, które onieśmiały albo wręcz budziły zażenowanie, grożąc ześlizgnięciem się w pompacyjne frazesy. Rola jednak nie tylko symboliczną, ale i pragmatyczną, i jako taką – bardzo istotną. Niezwykle odpowiedzialną. Świat jednak potrzebuje wielkich tematów i gestów. Oraz potrzebuje wiary w geniuszy. Hołdując im uznaje, że ich działalność – w tym przypadku komponowanie muzyki – jest wciąż czymś ważnym i wielkim. Bez nich nie byłoby to tak oczywiste.

W tej chwili miejsce po Pendereckim pozostaje puste i nie widać na nie kandydata. Nie brak znakomitych kompozytorów, ale żaden nie jest w stanie mówić do świata – albo też żadnego świat nie jest w stanie usłyszeć. Żaden nie posiada uniwersalnego głosu, z którym można się nawet nie zgadzać, ale który dobitnie istnieje i trzeba się do niego ustosunkować. Nowa era kolektywnego indywidualizmu nie jest zainteresowana takimi postaciami,

więc żadnej nie wykreowała. Widać to nawet w najdrobniejszych przykładach: gdy dwa lata temu przygotowaliśmy dodatek poświęcony twórczości Pendereckiego, zwróciłem się świadomie do komentatorów, dla których niekoniecznie był to wygodny temat. A jednak żaden nie odmówił swojego udziału. W tej chwili nie ma kompozytora, który mógłby połączyć w refleksji tak różne osoby – a z nimi i czytelników.

Przed dwoma laty, w jubileuszowym dodatku na 85-lecie, omawialiśmy drogę twórczą, dorobek i pozycję Krzysztofa Pendereckiego. Dziś, gdy nadchodzi kolejna, ale pierwsza pośmiertna rocznica urodzin, pozostają wspomnienia – i właśnie wspomnienia trzymają Państwo w rękach. Poprzednim razem wypowiadali się krytycy i badacze, w tej chwili są to przede wszystkim artyści – a w każdym razie osoby, które na swojej drodze zetknęły się z kompozytorem i jego muzyką, i muzyka ta w jakiś sposób je ukształtowała. Część tych zapisów powstała jeszcze w kwietniu, pod bezpośrednim wrażeniem śmierci twórcy. Siłą rzeczy głos zabierają wyłącznie przedstawiciele późniejszych od Pendereckiego pokoleń, przypomnijmy jednak osoby, które także, gdyby mogły, z pewnością nie odmówiłyby swoich wypowiedzi: przede wszystkim Mściława Rostropowicza, będącego jedną z najważniejszych postaci muzyki XX wieku, wiolonczelisty i dyrygenta, który nie tylko dokonywał prawykonań, ale i przyjaźnił się z kompozytorem; wielkiego skrzypka Isaaca Sterna, którego przywołuje Emanuel Ax (nie bez powodu: wiele lat wspólnie występowali i nagrywali); albo Hansa Rosbauda – znakomitego dyrygenta urodzonego jeszcze w XIX wieku, którego sympatia dla muzyki współczesnej dotyczyła jednak chyba znacznie mniej radykalnej twórczości, a mimo to w 1960 r. bisował „Anaklasis” 27-latką z Polski po prawykonomaniu w Donaueschingen.

Dziś muzyka Krzysztofa Pendereckiego żyje nie mniej wyraźnie niż wówczas. Przeżywa nawet drugą młodość, trafiając do młodych słuchaczy nie tylko swą awangardową siłą. Właśnie pojawiło się nowe nagranie „Pasji wg św. Łukasza”, pod dyr. Kenta Nagano, od razu dostrzeżone na świecie. Penderecki należy już wprawdzie do historii – lecz historia należy do nas. ©



RAFAL GUZ / FORUM

Ze skrzypaczką Anne-Sophie Mutter na koncercie w Filharmonii Narodowej. Warszawa, marzec 2009 r.

Drogi Krzysztofie

ANNE-SOPHIE MUTTER

Utrata Krzysztofa Pendereckiego pozostawia głęboką pustkę w moim sercu, tak jak u wszystkich muzyków i miłośników muzyki na całym świecie. Premiera jego „Recordare” we wrześniu 1984 r. w Stuttgarcie była dla mnie doświadczeniem granicznym. Rozpoczęła się nowa era.

W

ciągu ostatnich 25 lat miałam szczęście dokonywać prawykonań wielu jego dzieł. Każdy utwór, jaki dla mnie napisał, był wyzwaniem i głęboko mnie poruszał – np. zapierająca dech II Sonata na skrzypce i fortepian, Duo concertante albo La Follia, utwór na skrzypce solo, za którym wiele lat tęskniłam. Albo też II Koncert skrzypcowy „Metamorfozy”.

KONCERT SKRZYPCOWY „METAMORFOZY” stał się moim kołem ratunkowym podczas choroby i śmierci męża w 1995 r. Ostatnia, wolna część kończy się sceną żałobną, w której dusza opuszcza pozabawione życia ciało i wznosi się w niebiosy. Muzyka Pendereckiego wskazała mi drogę do zrozumienia ludzkich przemian.

MÓJ PODZIW rozciąga się także na inną część jego dzieła, a znaczenia tego przedsięwzięcia dla życia muzycznego nie da się przecenić. Otwarcie w maju 2013 r. Europejskiego Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego w Łuśławicach było realizacją marzenia jego życia, z uporem realizowanego przez wiele dekad: dać młodym muzykom wszelkie możliwe szanse, pozwolić im optymalnie rozwinąć zdol-

ności i wyrosnąć na osobowości artystyczne. Za to także jestem nieskończenie wdzięczna wielkiemu muzykowi.

JEGO WSTRZĄSAJĄCY JĘZYK MUZYCZNY, mistrzostwo formy wypełnionej głębokim duchowym blaskiem w każdej nucie kompozycji czynią jego dzieło darem dla świata. Poznanie tego cudownego człowieka, który z pasją zbierał i uprawiał drzewa, na zawsze pozostanie dla mnie życiowym skarbem.

„Polskie requiem”, „Pasja Łukasza”, „Siedem bram Jerozolimy” i „Tren pamięci ofiar Hiroszimy” – by wymienić tylko kilka – to monumentalne pomniki dla ludzkości.

DROGI KRZYSZTOFIE, TĘSKNIĘ ZA TOBĄ i zawsze będę wdzięczna za twoją muzykę, którą podzieliłeś się ze mną i otaczającym Cię światem. Uszlachetniłeś i wzbogaciłeś nasze życie, dałeś nam wgląd w inny wymiar, o którym warto marzyć i do którego warto dążyć. Będę twoim muzycznym „pokornym sługą” do końca mego życia.

Módlmy się wszyscy za jego duszę. Prawdziwy prezent dla niebios... I połączmy się też w modlitwie za jego rodzinę – jesteśmy z Wami w bólu. Nie jesteście sami! ©

Plan IX Symfonii

REMY FRANCK

Jako nastolatek gwałtownie buntowałem się przeciwko muzyce współczesnej. I choć naprawdę nienawidziłem kompozytorów awangardowych, był jeden wyjątek: Krzysztof Penderecki.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałem jego muzykę, w Monachium w 1971 r., zachwyciło mnie doświadczenie siły ekspresji i retoryka utworów. Stałem się wielkim wielbicielem jego sztuki, a później – miałem prawdziwe szczęście – także przyjacielem kompozytora i jego żony. W 2012 r. mogłem wręczyć mu Nagrodę za całokształt działalności (Lifetime Achievement) od International Classical Music Awards (ICMA). W 2014 r. otrzymał Nagrodę ICMA za nagranie kompletu swoich symfonii, a także dwie inne nagrody w 2016 i 2018 r., co wraz z Nagrodą Specjalną (Special Achievement Award) dla Centrum Pendereckiego w Lusławicach czyni go najbardziej nagradzanym przez ICMA współczesnym kompozytorem.

Po raz ostatni widziałem się z Krzysztofem w Warszawie w 2019 r. Powiedział mi wówczas, że przestał komponować, ale mimo to chciał napisać przynajmniej jeszcze jedno dzieło: swoją IX Symfonię lub następną Pasję.

Przypominałem sobie wtedy, co stwierdził kiedyś: „Zawsze piszę szybko, dlatego tak dużo skomponowałem. Kiedy wiem, dokąd wszystko zmierza, kiedy mam opracowany plan, to naprawdę idzie szybko, wręcz sunie jak w zegarku. Jestem oburęczny. Gdy zmęczy się prawa ręka, kontynuuję pisanie lewą”. Śmierć uniemożliwiła mu pisanie kolejnych dzieł. Plan tak bardzo symbolicznej IX Symfonii weźmie ze sobą do grobu.

Mimo to jednak, dzięki swym ośmiu symfoniom skomponował najważniejszy po Szostakowiczu cykl symfoniczny. Symfonie te, podobnie jak wiele innych jego utworów, świadczą, jak głęboko humanistycznym i refleksyjnym był kompozytorem – muzycznym filozofem, który mimo całej swej melancholii, często wyrażanego niepokoju, nigdy nie pozostawiał wrażenia pustki i depresji. Wręcz przeciwnie: muzyce Pendereckiego zawsze towarzyszy tęsknota i nadzieja.

Na razie opłakujemy stratę wielkiego kompozytora. Ale czy nie powinniśmy przede wszystkim być niezmiernie wdzięczni, że taki talent narodził się w 1933 r. i mógł się rozwinąć, stając się wielkim człowiekiem, którego znamy i którego wyjątkowa, bogata spuścizna ma trwać wiecznie? On na pewno nie jest martwy! ©

REMY FRANCK jest przewodniczącym International Classical Music Awards (ICMA) i redaktorem naczelnym www.pizzicato.lu.



HIROYUKI ITO / GETTY IMAGES

Emanuel Ax podczas koncertu w Lincoln Center.

Nowy Jork, lipiec 2018 r.

Koncert

EMANUEL AX

Moim pierwszym spotkaniem z muzyką Krzysztofa Pendereckiego było usłyszenie Isaaca Sterna przegrywającego jego Koncert skrzypcowy.

Utwór zrobił na mnie ogromne wrażenie, miał też fantastyczne powodzenie u publiczności. Z kompozytorem miałem zaszczyt spotkać się później, gdy dyrygował swoją I Symfonią na New Horizons Festival w Filharmonii Nowojorskiej. Zupełnie inny rodzaj muzyki, ale równie imponujący.

Henry Kravis, amerykański przedsiębiorca i filantrop, postanowił ofiarować swej żonie jako prezent urodzinowy nowe dzieło na fortepian i orkiestrę. Ówczesna szefowa Carnegie Hall, Judith Arron, natychmiast spróbowała nakłonić p. Pendereckiego, by zgodził się napisać ten utwór – i szczęśliwie się zgodził. Przypadł mi zaszczyt premierowego wykonania Koncertu fortepianowego „Zmartwychwstanie” z Wolfgangiem Sawallischem i Orkiestrą Filadelfijską. Sądzę, że p. Penderecki początkowo myślał o zupełnie innym rodzaju muzyki, ale atak i tragedia z 11 września 2001 r. w Nowym Jorku pchnęła go do komponowania w wienie elegijnej.

Niestety, nie miałem z nim zbyt wiele osobistego kontaktu podczas pracy. Myślę, że trochę wolno kończył utwór – ostatnia strona partii fortepianu przyszła faksem dzień przed pierwszą próbą! Ale udało nam się wszystkiego nauczyć i mam nadzieję, że wykonanie było akceptowalne. Bardzo się cieszę, że utwór grany jest teraz przez wielu pianistów i że pojawiło się wspaniałe nagranie znakomitego młodego pianisty, Szymona Nehranga. Jestem dumny, że znalazłem się u początku drogi dzieła wielkiego mistrza. ©

Moje lata z Krzysztofem Pendereckim

JADWIGA RAPPE

My, muzycy polscy, zawdzięczamy mu możliwość wyjścia z zaściankowości lat powojennych, spotkania z szerokimi horyzontami i perspektywami muzyki na światowym poziomie, wreszcie szanse zaistnienia w centrach muzycznych.

Rok 1977. Warszawska Jesień, kilka lat po triumfie „Pasji wg św. Łukasza”, razem z grupą przyjaciół bywaliśmy na wszystkich koncertach festiwalowych. Niektóre z nich odbywały się w sali koncertowej PWSM na Okólniku w Warszawie. Pewnego dnia podczas przerwy w koncercie miałam okazję z bliska zobaczyć słynnego już kompozytora z żoną – sensacja! Do dziś pamiętam, że otaczała ich gromada dziennikarzy. W ówczesnej, siemieżnej rzeczywistości oboje wydawali się przybyszami z innego wymiaru, a legendarna elegancja p. Elżbiety sprawiała, że pamiętam nawet fason jej pantofelków!

ROK 1980. Koniec czerwca, po wygranej przeze mnie Konkursie Bachowskim w Lipsku. Dzięki protekcji wspaniałej śpiewaczki, p. Stefanii Woytowicz, ówczesnej wieloletniej wykonawczynie „Pasji” i „Jutrzni”, otrzymałam z Impresariatu Polskiego Radia propozycję uczestnictwa w prawykonaniu światowym „Te Deum”, przewidzianym na wrzesień w Asyżu.

Spędzając wakacje z rocznym synkiem w Supraślu, zaopatrzona w nuty „Te Deum”, wkuwam partię solową, siedząc w wynajętym pokoiku na stryszku u moich gospodarzy. Od czasu do czasu mam szansę skorzystać z pianina w świetlicy Domu Kultury w Supraślu. Po dwóch tygodniach materiał jest nauczony, moje dane osobowe złożone do wyrabiania paszportu w Impresariacie. Mam wyznaczone spotkanie z kompozytorem w Hotelu Europejskim w Warszawie, gdzie mam się przedstawić państwu Pendereckim, być może wykonać fragment utworu; szczegóły poznam podczas spotkania.

Hotel Europejski – wówczas najelegantszy w Warszawie – został w swej części przekształcony w biuro prasowe kompozytora. Kręcili się tu pracownicy Impresariatu Polskiego Radia, Pagartu, krytycy, dyrektorzy różnych instytucji. Byłam oszołomiona liczbą osób. Sam mój przyjazd do Europejskiego z niezbyt odległego Osiedla Za Żelazną Bramą, gdzie wówczas mieszkalam, obfitował w co najmniej trzy pechowe zdarzenia, ale w końcu udało mi się dotrzeć na czas. Zostałam przedstawiona Mistrzowi; nie musiałam nic śpiewać, co mnie nieco zdziwiło. Spotkanie było krótkie, kawa, uścisk dłoni... Po powrocie do domu rozpoczęło się długie oczekiwanie na odbiór obiecanego paszportu i szczegółów wyjazdu do Asyżu.

KRZYSZTOF PENDERECKI:

Mnie interesują tematy wielkie i uniwersalne. I zawsze wydawało mi się, że szkoda czasu na drobiazgi.

Niestety, po kolejnym telefonie do Impresariatu dowiedziałam się, że zdecydowano się zaangażować inną śpiewaczkę. Rozczarowanie moje było spowodowane nie tyle rezygnacją z mojej osoby, ile niepoinformowaniem mnie w jakikolwiek formalny i elegancki sposób o tym fakcie. Gorycz pozostała na długo.

MARZEC 1981. Recital we Floriancie w Krakowie. Bardzo udany. Na koncercie jako

sluchacze Witold Lutosławski z panią Danutą oraz państwo Pendereccy. Radość i duma, bo znakomici goście przyszli po gratulować po koncercie!

ROK 1982 LUB 1983. Jeden z pierwszych festiwali w Lusławicach i zaproszenie do wykonania pieśni Moniuszki. To wtedy dopiero miałam okazję poznania bliżej Krzysztofa i Elżbiety. Rozmach towarzyszący ich życiu, liczba znakomitych artystów ze świata oraz gości przewijających się przez lusławicki dom oszałamiała. Padaly sławne nazwiska, chłonełam nowinki z wielkiego świata, ciesząc się jednocześnie, że jest mi dane w jakimś niewielkim stopniu uczestniczyć w kreowaniu muzycznej rzeczywistości.

ROK 1983. Pierwsze tournée po Europie z „Te Deum”. Zbieg okoliczności sprawił, że zaproszono mnie do udziału w części ogromnego wyjazdu Orkiestry i Chóru Filharmonii Krakowskiej po Europie. Znakomici soliści (Jadwiga Gadulanka, Wiesław Ochman, Andrzej Hiolski), dwóch dyrygentów: Krzysztof Penderecki i Tadeusz Strugała. Chrzest bojowy rozpoczął się już w Krakowie podczas pierwszego dnia prób. Musiałam wykonać całe „Te Deum” najpierw z jednym z dyrygentów, a potem z drugim. Z uwagi na różnice temp, interpretacji itd. nie było to łatwe zadanie. Rano prawie straciłam głos ze zdenerwowania, ale próba poszła świetnie – a właściwie obie próby. Na ten debiut czekałam długo...

Potem – szereg koncertów we wspaniałych salach, owacje publiczności, podziw dla kompozytora, a jednocześnie możliwość rozmów z nim, zdziwienie, że tak wielki człowiek ma takie świetne poczucie humoru, potrafi być nawet lekko pikantny w żartach. Uwielbiałam słuchać jego rozmów po koncertach, podczas licznych spotkań z Iwanem Monighettim i Grigorijem Żyslinem. Obaj zawdzięczali Pendereckiemu szansę koncertowania poza ZSRR, prowadzenie licznych kursów mistrzowskich w Polsce, a następnie masę kontaktów na Zachodzie.

ROK 1985-1986. Pierwsze wykonania fragmentów „Polskiego requiem”, wyjazd do Waszyngtonu, debiut koncertowy z Mściśławem Rostropowiczem w Waszyngtonie, następnie Carnegie Hall z Krzysztofem Pendereckim. ➔

→ Phyllis Bryn-Julson, Wiesław Ochman, Mariana Nicolesco, Zachos Terzakis, Malcolm Smith. Tam, w USA, stwierdzam po raz kolejny, że nazwisko Penderecki ma zasięg ogólnosiwiatowy i że dzięki możliwości współpracy z tym kompozytorem uzyskujemy pewnego rodzaju „znak jakości”, bilet wstępu do elitarnej grupy wykonawców jego muzyki, ale i do współpracy ze znakomitymi salami koncertowymi oraz teatrami operowymi.

Moja ścisła współpraca z Krzysztofem trwała 24 lata. Setki koncertów na całym świecie, udział w najbardziej prestiżowych festiwalach, szansa występów w bardzo zróżnicowanym repertuarze – od jego kompozycji do dzieł innych kompozytorów różnych epok.

Wykonywałam „Te Deum”, „Polskie requiem” (łącznie z prawykonaniem „Sanctus”), prawykonanie światowe i mnóstwo wykonań na świecie „Siedmiu bram Jerozolimy”, „Credo”, uczestniczyłam w koncertowych wykonaniach oper „Czarna maska” i „Raj utracony”. Włączałam także do programów recitali jego wczesne pieśni. Trzykrotnie nagrałam „Polskie requiem”, dwukrotnie „Siedem bram Jerozolimy”.

Mogłam prześledzić ewolucję jego stylu kompozytorskiego, wykonując jeszcze z chórem Filharmonii Narodowej „Pasję” i „Jutrznie”, aż po wypracowanie swoistego języka neoromantycznego, w którym zawsze jednak pobrzmiewają charakterystyczne dla barwy jego kompozycji skoki interwałowe i zestawienia instrumentalne.

My, muzycy polscy, zawdzięczamy mu bardzo wiele: możliwość wyjścia z zaściankowości lat powojennych, spotkania z szerokimi horyzontami i perspektywami muzyki na światowym poziomie, wreszcie szanse zaistnienia w centrach muzycznych i w świadomości światowych odbiorców naszej muzycznej pracy.

Istnieje powiedzenie, że za sukcesem każdego mężczyzny kryje się zapracowana kobieta... Elżbieta Penderecka – kobieta-instytucja, nieustrudzona pomocnica Krzysztofa, wspaniała pani domu, kreatorka Festiwalu im. Ludwiga van Beethovena. Elżbietko, mój nieustający i bezgraniczny podziw.

© JADWIGA RAPPE

Szkoła języków

DOROTA KOZIŃSKA

Żadnej taryfy ulgowej, żadnych fiszek ze słówkami. Agresywne klastery, raptowne glissanda i zgrzytliwe współbrzmienia sekundowe łapaliśmy niczym akcent w cudzoziemskiej mowie.

W

mojej rodzinie nie było muzyków. Nikt nie grał na żadnym instrumencie, wszyscy za to lubiliśmy śpiewać i oddawaliśmy się tej rozrywce bez żadnych zahamowań. Na Boże Narodzenie jeździliśmy co roku do Domu Pracy Twórczej SARP w Kazimierzu, gdzie święta obchodzono równie hucznie, jak u Eckdahłów z „Fanny i Aleksandra” Bergmana. Na pasterkę do fary chodzili dorośli. Dzieci – pod kierunkiem pana Wieśka, późniejszego profesora Politechniki Warszawskiej – kolędowały do upadłego przy kominku, w cieple ognia z trzaskających polan.

Przy jednej z takich okazji poznałam dziewczynkę, która rok wcześniej zapisała się do harcerskiego chóru dziecięcego przy Teatrze Wielkim. Oczywiście zrobiłam to samo, z chęci udowodnienia wszystkim, że nie jestem gorsza od koleżanki. Nie przypuszczałam, że ten szczególny kaprys zaważy na całym moim późniejszym życiu.

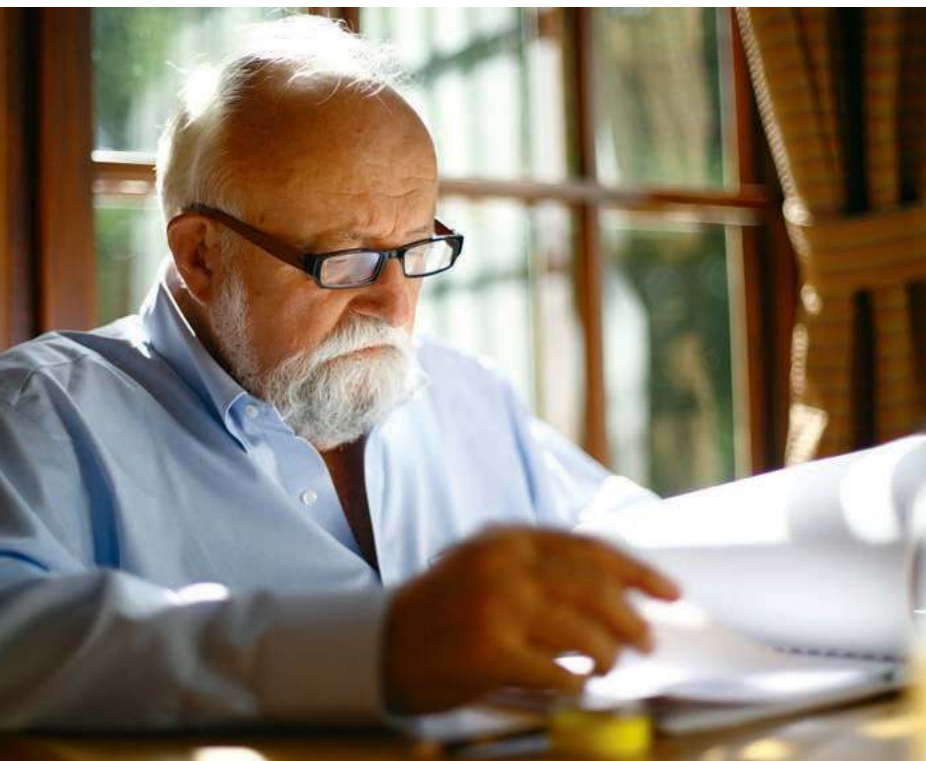
Tak się złożyło, że ukształtował również mój sposób słyszenia i odbioru muzyki. Korepetytorzy zespołu – założonego tuż po wojnie przez warszawskiego basę Władysława Skoraczewskiego – stosowali metody tyleż staroświeckie, co skuteczne w kształceniu małych aktorów na największej scenie świata. Wszystkie partie przyswajaliśmy na pamięć, powtarzając wybrane fragmenty tak długo, aż fraza dosłownie wryła się w mózg. Tonać podchwytywaliśmy od solistów, instrumentów w orkiestrze lub poszczególnych głosów w chórze mieszanym. Śpiewaliśmy czysto i w rytmie, bo uczono nas rozumieć formę jako całość. Trochę jednak zazdrościliśmy dorosłym, którzy przynajmniej na próbach mogli korzystać z nut.

Nie minął rok moich nowych doświadczeń, a marzenie się spełniło.

W 1977 r. dostaliśmy do rąk partytury chóralsne „Pasji według św. Łukasza” Krzysztofa Pendereckiego. Na dobrą sprawę dopiero wtedy opanowałam zapis nutowy w praktyce – i to od razu w postaci rozszerzonej o notację efektów, z którymi nie mieliśmy do czynienia ani w „Carmen” Bizeta, ani w Wagnerowskim „Tannhäuserze”. Była to jednak nasza jedyna ściągawka podczas wielomiesięcznych prób sekcyjnych, później zaś w pełnym składzie utworu: w Filharmonii Narodowej, z tamtejszą orkiestrą i chórem, ze Stefanią Woytowicz, Andrzejem Hiolskim i Bernardem Ładyszem oraz Leszkiem Herdegenem jako narratorem, pod batutą Andrzeja Markowskiego, słynnego z nieustępliwości w egzekwowaniu muzycznych detali.

Z perspektywy lat postrzegam tamten czas jak intensywny kurs języka obcego – w tym przypadku dźwiękowego – metodą głębokiego zanurzenia. Żadnej taryfy ulgowej, żadnych fiszek ze słówkami. Agresywne klastery, raptowne glissanda i zgrzytliwe współbrzmienia sekundowe łapaliśmy niczym akcent w cudzoziemskiej mowie. Niecodzienne interwały i progresje harmoniczne stały się naszym chlebem powszednim. Metoda Skoraczewskiego, poparta skrupulatnością Markowskiego, przyniosła nieoczekiwany efekt. Po kilkudziesięciu próbach zaczęło nam się podobać.

Zanim wyszliśmy na estradę przed pierwszym koncertem z „Pasją”, mówiliśmy już płynnie „po pendereckiemu” – do tego stopnia, że z czasem zaczęliśmy posługiwać się tym językiem dla własnej uciechy. Na którymś z letnich obozów chóralskich sama popełniłam ośmiogłosową kompozycję wokalną w stylu „Pasji Łukaszej” – aczkolwiek z odmiennym, nie do końca cenzuralnym tekstem modnej wówczas pio-senki z aluzją polityczną. Próbowaliśmy



BRUNO FIDRYCH / PLASTERSTUDIO

Prof. Krzysztof Penderecki przy pracy w swoim domu w Lustawicach, wrzesień 2013 r.

przez miesiąc: uroczyste prawykonanie odbyło się w przykuchennej stołówce, pod dyktando studenta warszawskiej PWSM, który został później najprawdziwszym dyrygentem.

Wtedy byłam już zbuntowaną licealistką i miałam za sobą kilka innych osobistych doświadczeń z muzyką Pendereckiego. W 1978 r. w Teatrze Wielkim zaczęły się próby do scenicznej wersji „Pasji”, w reżyserii i scenografii Andrzeja Majewskiego, w tej samej obsadzie – jeśli nie liczyć Bożeny Betley-Sieradzkiej, która przejęła arcytrudną partię sopranową po pierwszej wykonawczyni – i pod batutą Jacka Kaspszyka, świeżo upieczonego laureata III nagrody na Konkursie Dyrygenckim im. Herberta von Karajana w Berlinie. Dziwny był to czas – zespoły Teatru burzyły się przeciwko młodemu kapelmistrzowi i samej muzyce Pendereckiego, która załaziła im za skórę już wcześniej, przy okazji polskiej premiery „Diabłów z Loudun” w inscenizacji Kazimierza Dejmka. Na domiar złego końcówce przygotowania zbiegły się z atakiem zimy stulecia i awarią

KRZYSZTOF PENDERECKI:

Nigdy nie interesowałem się dźwiękiem dla dźwięku, formą dla formy, co uchroniło mnie od choroby awangardyzmu, jałowej pustki i nudy abstrakcyjnych rozwiązań formalnych. Chciałem, aby moja muzyka była wyznaniem, szukałem autentycznej, nowoczesnej ekspresji dla odwiecznych tematów.

centralnego ogrzewania, co ostatecznie przelało czarę goryczy przemarzniętych chórzystów. Wcześniej popatrywali na nas spoje łba i nie kryli poirytowania, gdy Kaspszyk nie mógł się nachwalić „dzieciaczków” od Skoraczewskiego.

Co prawda, to prawda – mieliśmy fory nie tylko z racji nieletniego wieku. Dzięki żelaznej dyscyplinie pracy z Markowskim czuliśmy się w tej aurze dźwiękowej jak ryby w wodzie. Podobnych komplementów nasłuchaliśmy się od Kazimierza Korda, który w 1980 r. poprowadził „Jutrznie” w Krakowie i Warszawie – z prawie identycznym zestawem solistów, tym samym chórem dziecięcym i zespołami Filharmonii Narodowej, które osiem lat wcześniej dokonały pierwszego nagrania dzieła, właśnie pod batutą Andrzeja Markowskiego. Pamiętam, jak śmieliśmy się w kułak, kiedy dorośli chórzyci przed trudniejszymi wejściami pomagali sobie kamertonem. W swojej dziecinnej arogancji czuliśmy się od nich lepsi: nie potrzebowaliśmy tłuc się po głowie stalowymi widelkami, wystarczyło nam odebrać dźwięk, powiedzmy, od klarnetu basowego i wejść o tryton wyżej.

Do dziś mam kłopot z oceną koncertów muzyki współczesnej, na których kamerton jest narzędziem równie nieodzownym jak partytura. Wciąż nie mogę opędzić się od myśli, że jeśli chór nie może się obyć bez kamertonu, to albo śpiewa w niezrozumiałym dla siebie języku, albo z utworem jest coś nie tak. Już w dzieciństwie przyjąłem do wiadomości, że muzyka nie zawsze musi być „piękna”: że dysonans, krzyk, lekkie zachwianie pulsu, dodatek obcego dźwięku w akordzie mogą wnieść w przekaz niespodziewany ładunek ekspresji. Kiedy dorosłam, zrozumiałam, że odnosi się to również do twórczości dawnych epok. Niezmiennie bliskie są mi słowa Zygmunta Mycielskiego, który po prawykonaniu „Pasji Łukaszej” pisał, że nie zna w muzyce „doskonalszego przykładu takiej organizacji nieporządku”. Miałam szczęście, że pierwsze klocki muzyczne sprzątałam według wskazówek Pendereckiego. ©

JAN

Klata: Na poważnie



O, PANDZIWNOCI BYTOWANIA SWOBOD-
nego, pandemiczna panwolności pan-
odczuwania czasu, co to nigdy dotąd taki
jak zawsze. Niczego nie ma, wszystko ina-
czej, a bez sensu, może gdzieś tam z sen-
sem głębszym, ale poukrywanym staran-

nie, struktury sensu nie wychodzą na ulice, nigdzie nie wy-
chodzą, nikt nie wychodzi, chyba do apteki, może część z nas
na cmentarz, bo teraz już wolno w ramach teleporady. Tele,
czyli zdalnie, teleżycie, choć nie wiadomo, w czyjej dłoni pi-
lot, w czym rękę Prospera tajemnicza laska.

Ludzie żyją niepostrzeżenie, gdzieś po kątach pochowani,
żeby ich wirus nie zauważył, żeby saturacja się zgadzała,
żeby, statystycznie rzecz biorąc, nie zderzyć się z czymś nie-
uchwytnym, co złapie i nie wiadomo, co robi – może tylko
postraszy, a może dobije. Ludzie załękniieni jak Ian Gillan

we mgle, dzieci czasu swego w ćmie liściopadowej, sennej,
miazmatycznej. Ryzyko niedożycia jest hybrydowe, jak
wszystko dziś, dojutrkowe, bez perspektyw jakich bądź.
I bądź tu mądry, hybrydowa istota, kiedy nie znasz dnia ani
godziny kwarantanny potencjalnej, kiedy mniej lub bar-
dziej udanie zamaskowani bliźni, chcąc nie chcąc, mogą cię
kropelkowo dziabnąć niewiadomym zza węgła, na klamce,
na poręczy, w przeciągu, na drągu, bankomacie czy po pro-
stu na kasie w Biedronce. Hybrydowa istota człowiecza, ży-
jesz nie-życiem 2020, oby tylko takie cyferki nieżycia, ale
się nie zapowiada na stop. Lęk zaciska wargi pod maseczką,
stara się oddychać jak najmniej, jak najrzadziej, żeby nie ku-
sić Licha...

I wtedy na scenę wchodzi on, cały na białło, John Cage.
A raczej fenomenalny Kirył Petrenko, szef Filharmoników
Berlińskich, i wyciąga ręce do orkiestry, do świata, do ci-
szy, której nie ma, póki my żyjemy. Kompozycja jakże traf-
nie zatytułowana 4'33". Hymn naszych czasów. Na jaki
bądź instrument. Dzieło poruszające, brzmiące ponadcza-
sowo i dojmująco współcześnie zarazem, wielowątkowe,
wszechwątkowe, przenikające do ostatniej nuty, do ostat-
niego okłasku, do ostatniego oddechu. Do usłyszenia w in-
ternetach.

PS. 4'33" Johna Cage'a jest również do ściągnięcia na
dzwonek w smartfonie. ©

Lektor: Jesteśmy, by czytać



■ *Olga Tokarczuk*
CZUŁY NARRATOR
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2020, ss. 300.

NOBEL BYWAŁ PARALIŻUJĄCĄ
klątwa – na nowy
tom wierszy Wisławy
Szymborskiej czekaliśmy po
decyzji Akademii sześć lat.
Olgi Tokarczuk klątwa na
szczęście nie dosięgła, choć
na kolejną powieść pewnie
też trochę poczekamy.
Na razie otrzymaliśmy
zbiór dwunastu szkiców
zamknięty wykładem
noblowskim, w którym
znalazły się wielokrotnie
już cytowane słowa
o czułości jako „najbardziej
wyrafinowanym sposobie
ludzkiej komunikacji”

i podstawowym
mechanizmem
psychologicznym powieści.
To dobre podsumowanie
książki będącej po trosze
autobiografią intelektualną,
po trosze pisarskim
autokomentarzem
odslaniającym tajniki
warsztatu. A także
pochwałą fikcji, analizą roli
powieściowego narratora
i szczególnego sposobu
istnienia bytów, jakimi
są powieściowe postacie,
uwalniające się niekiedy
spod władzy swojego twórcy.
Ta książka cała jest dialogiem

– z czytelnikami, z młodymi
adeptami sztuki pisania, ale
też z lekturami, które Olge
Tokarczuk formowały,
i po prostu ze światem.
Dodajmy – światem tu
i teraz. Szkic „Ognozia”
powstał „dziwnym latem
2020”, kiedy niewiadoma
przyszłość kazała ponownie
stawić podstawowe
pytania, uświadamiając nam
naszą złożoność i zależność
od innych stworzeń.
Olga Tokarczuk odwraca
tradycyjne myślenie
o grzechu pierwotnym
i sugeruje, że „grzechem, za
który zostaliśmy wygnani
z raju, nie były ani seks, ani
nieposłuszeństwo, ani nawet
poznawanie boskich tajemnic,
lecz właśnie uznanie siebie
za coś oddzielnego od
reszty świata”. Elementem
wspomnianego grzechu jest
oczywiście nasz stosunek
do zwierząt i niewrażliwość
na ich cierpienie, utrwalana
przez religię i uzasadniana
przez filozofów,

niepozwalająca dostrzec
w nich „innych, niepojętych
i bliskich nam istot”.
Wraz z monoteistycznym
Bogiem stworzyliśmy
spółkę z ograniczoną
odpowiedzialnością
– i przestaliśmy rozumieć
niesamowitą złożoność
tego świata. W dodatku
łatwo wyrzekamy się
własnego indywidualnego
języka na rzecz zbiorowego,
który narzuca nam
politycy i media. Także
dlatego niezbędna jest nam
literatura, bo przynosi
podwójną terapię: „jest ze
swojej natury siecią, która
łączy i ukazuje ogrom
korespondencji między
wszystkimi uczestnikami
bytu”, równocześnie zaś
„obcowanie z językami
twórców działa jak
szczepionka przeciw
wizji świata tworzonej
doraźnie i traktowanej
instrumentalnie”. Powtórzę
za autorką: „Tak, jesteśmy tu
po to, żeby czytać”. © P

PAWEŁ

Bravo:

Zimny nos



PIĘĆ PROCENT DODATKOWEGO PODATKU od dochodu powinni płacić ludzie, którzy zdecydują się dalej pracować zdalnie, kiedy już nie będzie to dyktowane strachem przed zarazą i państwowymi nakazami. Taką sugestią zawiera raport Deut-

sche Banku na temat sposobów odbudowania świata „lepszego” po pandemii. To jeden z takich zbiorów pobożnych życzeń, ufryzowanych w eleganckie wykresy komunałów i poukrywanych między nimi świeżych, niebanalnych obserwacji, które przeglądam tylko dlatego, że jeszcze mocniej niż wino, papierosy i czekolada w szponach nałogu trzyma mnie czytanie. Zwłaszcza w listopadowe wieczory, które zaczynają się około piątej i trwają, aż koło północy wątroba puka wkurzona od środka, żeby już nie otwierać kolejnej butelki.

Ten i ów zareagował na raport złośliwie, że świat po pandemii byłby lepszy, gdyby zacząć od likwidacji banków. Ale propozycja DB rozgrzebała całą masę problemów dotyczących sensu pracy, jej aspektów egzystencjalnych i wspólnotowych. Czy *Homo faber* to oddzielna jednostka, rozliczająca się samotnie z losem, czy też jej „faberowość” ujawnia się tylko przez odniesienie do nieuchwytnego organizmu, który tworzą wszystkie inne jednostki?

„Pracownicy zdalni przyczyniają się w mniejszym stopniu do tworzenia infrastruktury gospodarki, ale czerpią z niej wszystkie korzyści”. W tej nowomowie chodzi o to, że pracownik siedzący na kanapie nie wydaje nic na dojazd, nie płaci za posiłki na mieście, kupuje mniej ubrań, a poza tym uzyskuje „pośrednie oszczędności z powodu utraconej socjalizacji” (po ludzku: nie przepija części wypłaty z kolegami po fajrancie). Dlatego sprawiedliwe jest, by tacy szczęściarze (zwykle pracujący w lepiej płatnych, ale wcale nie tak potrzebnych zawodach) oddawali dolę państwu. Po to, by za jego pośrednictwem wesprzeć ludzi, którzy nie mogą się przestawić z racji zawodu (bardziej „tradycyjnego” i bardziej potrzebnego ogółowi) lub swojej pozycji na drabinie społecznej, albo szukają sobie nowego miejsca w życiu po tym, jak pandemia wymiotła ich branżę.

Apage, socjalizm! Pracownicy zdalni powinni jeszcze dostać premię za to, że nie spalają benzyny i nie zapychają ulic – pisze prasa o liberalnym nastawieniu. To fałszywa walka z nierównościami – pisze z kolei prasa lewicowa: praca zdalna daje większe szanse na rynku młodym, których nie stać na wynajem mieszkania w drogiej dzielnicy, oraz ko-

bietom, które muszą siedzieć w domu z małym dzieckiem. I tak to się kręci wśród różnych sprzecznych racji, a mnie się to wydaje po prostu niewykonalne – bo jak rzecz policzyć i egzekwować? Nie trzeba lektury akt procesów o oszustwa przeciw bankowcom, wystarczy zobaczyć, jak choćby w gastronomii próbuje się czasem obejść *lockdown*, żeby pamiętać, jak twórczy może być ludzki umysł w omijaniu prawa.

A że gastronomia próbuje kombinować, to owszem, brzydko i niehigienicznie, ale trudno tego nie rozumieć. Może za bardzo nam się rozrósł ten sektor, a świat nie potrzebuje codziennie paru miliardów kanapek i kubków z kawą, ale jednak to był biznes oparty na jednym z najuczciwszych fundamentów, czyli na zaspokajaniu ludzkiego głodu (a taki np. handel narkotykami, z racji tego, że w ogóle nie słucha się władzy, niezbyt ucierpiał w *lockdownie*). Parę moich ulubionych lokali, którym pomagam skromnym groszem przetrwać, z pizzerią na Wiślniej na czele, jednak nie kombinuje – więc z każdym dniem słowa „na wynos” rymują mi się coraz bardziej z „zimny nos”. Szkoda, że nie lubię sushi, bo to mógłbym jeść na ławce bez pośpiechu, bez obaw, że wystygnie. A tak, poruszam się niezgrabnie, gorączkowo, wciąż uważając na szalik i spodnie. Brassens w piosence o kochankach z parkowej ławki śpiewał, że po latach dociera do nich, iż tam na zielonych deskach przeżyli najlepszą część swej miłości. Chciałbym już, żeby była wiosna i ten lepszy świat, co go Deutsche Bank projektuje. Ale wtedy zatęsknię za zieloną ławką na Plantach, bo nigdy nie znajdę bardziej wyszukanej restauracji. ©P

Niebawem ziąb definitywnie mnie wygoni z ławki i zajmę się domowym gotowaniem (nie lubię przynosić do domu jedzenia z knajpy, trzymam te dwie sfery osobno). Potrzeba ogrzania ciała i medytacyjnego ukojenia umysłu idealnie się spaja we wszelkich multiwarzywnych zupach wymagających siekania w kostkę. Polacy czasem używają włoskiego słowa „panino” (w l. mn. „panini”), jakby to był osobny rodzaj kanapki – a nie jest. Podobnie w kwestii zup: włoskie „minestrone” to inna nazwa jarzynowej – ale warto podpatrzeć u Włochów kilka reguł. Po pierwsze, większość warzyw (ze świętą trójcą **cebula + marchew + seler naciowy** na czele) pokrojonych w kostkę dusimy chwilę na **oliwie**, zanim zalejemy **bulionem** – jeśli komu etyka nie zabrania, to koniecznie mięsnym. Po drugie, nie ma takiej zupy, którą by mógł zepsuć **koncentrat pomidorowy** dodany na końcu – chyba że jest

to minestrone po genueńsku, wtedy dodajemy pod koniec **po jednej łyżce pesto** na osobę (i pamiętamy, żeby w zupie było dużo **fasolki szparagowej**, ona się lubi z pesto). Po czwarte, **drobna fasola** pasuje do wszystkiego, nie tylko do barszczu, podobnie jak cienkie paski **kapusty** lub **jarmużu**. Uwaga na **groszek** – tylko mrożony, ale w niewielkich ilościach, bo to dominujący typ. I wreszcie na ostatni kwadrans gotowania **garstka** (ale naprawdę mała) **ryżu** na osobę – zagęszcza cudownie i z prostej zupy robi prawdziwy zimowy comorft food. A żeby podwoić umami, oczywiście **tarty parmezan**.



GŁOSY MOKRADŁA

Często zadajemy sobie pytanie: co się stanie,
jeśli wpadniemy do bagna?
Okazuje się, że nic strasznego.

ADAM ROBIŃSKI

FILM O TYM MIEJSCU MÓGLBY ZACZYNAĆ SIĘ OD ZDJĘCIA SATELITARNego: niebieska planeta zawieszona w czerni kosmosu. Potem kadr coraz bardziej by się zawężał: najpierw do jednej półkuli, potem do pokrzywionych konturów Europy, zielonej krainy przeciętej na pół przez dużą rzekę, wreszcie do szarego punktu w jej środkowym biegu. Plama wciąż by rosła, a wraz z nią ciemnozielony obszar na prawym brzegu. Gdy-

by nie kanciaste skrzyżowania okalających go od południa ulic, teren w zadziwiający sposób kształtem przypominałby okrąg, a więc i planetę. Przybliżenie trzeba by teraz wyhamować, a wreszcie zatrzymać je na czterech okutanych w kurki osobach zakładających kalosze na skrzyżowaniu warszawskich ulic Zastowskiej i Spadowej. Obok nich pojawiłaby się czerwona pinezka podpisana „Zakole Wawerskie”.

– Wychowałam się w Wawrze, z wycieczkami szkolnymi złaziliśmy całą dzielnicę, ale tu nie trafiliśmy nigdy – mówi jedna z nich, Olga Roszkowska. – Może dlatego, że Zakole leży pomiędzy dwiema dzielnicami, Wawrem i Pragą-Południe? To teren graniczny, a więc niczyj. Zaczęłam tu przychodzić dopiero jako dorosła, i to nie z racji sąsiedztwa, ale konkretnych zainteresowań. To były głównie spacerory ornitologiczne.

– Ja trafiłam tu parę lat temu, gdy szukałam nieużytków w obrębie miasta w ramach innych działań artystycznych – tłumaczy druga, Krysia Jędrzejewska-Szmek. – Trudno znaleźć kogoś, kto byłby tu mocno zakorzeniony. To miejsce jest zbyt zapomniane, niewidzialne. Kiedy rozmawialiśmy z sąsiadami, ludźmi, którzy mieszkają przy okalających Zakole ulicach, słyszałyśmy cały czas podobne historie: pani, która mieszka tu od 13 lat i codziennie chodzi z psem na spacerory, ale nigdy nie zapuszcza się dalej niż wzdłuż kanałku. Inna raz próbowała z dziećmi wejść w ols, ale się sparzyła i nigdy więcej nie spróbowała. Jeszcze inna, która mieszka tu całe życie, jako dziecko miała zakaz łążenia po tym terenie i przestrzega go do dziś. Więc chyba sporo osób kojarzy Zakole Wawerskie, ale raczej z zewnątrz. Po prostu je mijają.

– To tak jak ja – dodaje Ola Knychalska. – Dwa lata temu przeniosłam się na Grochów, mieszkam dosłownie dziesięć mi-



nut stąd. Milion razy przejeżdżałam obok Trasą Siekierkowską, ale nigdy nie zastanawiałam się, co dzieje się za parawanami akustycznymi. Dopiero Krysia mi pokazała.

Granice języka

W opublikowanym w drugiej połowie lat 90. ubiegłego wieku opracowaniu awifauny Zakola Wawerskiego dr hab. Patryk Rowiński ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego bez ceregieli rozprawia się z tą aurą tajemniczości: „Pomimo znacznego stopnia zmeliorowania terenu, poziom wód gruntowych w obrębie znacznej części starorzecza był równy z poziomem gruntu i w ciągu roku podlegał niewielkim wahaniom”. Zanim powstały wały przeciwpowodziowe, Wisła regularnie zalewała te tereny. Rowiński badał Zakole pod kątem zamieszkujących je – stale i w przelotach – ptaków. Przez pięć obserwacji na obszarze 147 hektarów (Zakole to niecałe 200 ha) doliczył się 126 gatunków, w tym 74 lub 75 lęgowych. Čwierć wieku później każdy stołeczny ptasiarz powie, że Zakole to skarb. Co rusz da się tam złapać w lornetkę lub obiektyw gatunki, które w mieście są rarytasem. Derkacze, błotniaki, bączki czy trzciniaki.

– Przychodząc tu, miałyśmy poczucie, że dostępne od lat opracowania naukowe nie pozwalają przybliżyć się do tego miejsca – tłumaczy Krysia, kiedy trzy wyżej wymienione i czwarta z osób, niżej podpisany, ruszają wzdłuż kanału. Ten biegnie południkowo i od wschodu

zamyka ols. Choć oficjalnie nazywa się Kanałem Wawerskim, mapy mówią o nim Nowa Ułga. Zapewne z ulgą patrzą na niego mieszkańcy wybudowanego kilka lat temu osiedla, bo tylko wąska nitka wody oddziela ich od ciemnego, mokrego lasu. – Więc ta dokumentacja naukowa, ten suchy, rzeczowy język i spisy gatunkowe nijak nie pozwalają na pełne zrozumienie tego, co się tu dzieje. Język dochodzi do ściany, za którą jest przecież tak wiele.

Olga: – Przyszliśmy na to bagno z myślą, że jest jak czysta tablica. Że jak w nie wejdziemy, to przekonamy się, jak różne może mieć oblicza. Że ma nas czegoś nauczyć.

Trochę bardziej klarowny jest krótki opis, który widnieje na facebookowym profilu Zakola: „Naszym celem jest poznanie Zakola Wawerskiego wraz z jego mieszkańcami i bywalcami, a także zrozumienie, czym dla nich jest to miejsce, oraz rozpoznanie, jakie relacje i zależności w nim zachodzą”.

Trzeci krajobraz

Choć za działaniami oficjalnie stoi „Krytyka Polityczna”, wszystkie rozmówczynie (Krysia, artystka po biologii, dawniej pracownica Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Warszawskiego; Olga, członkini kolektywu Spółdzielnia „Krzak”, którego nieoficjalne motto brzmi: „Przyjaźń, sztuka, ogrodnictwo”, kolejność dowolna; oraz Ola, przedstawicielka wspomnianej „Krytyki”) podkreślają, że to nie jest wyłącznie →



Scena ze spaceru performatywno-botanicznego prowadzonego przez Tarasa Gembika i Iwę Kołodziejską. W tle goławskie bloki przy ulicy Ostrobramskiej po drugiej stronie Trasy Siekierkowskiej. Warszawa, wrzesień 2020 r.

→ projekt i że są otwarte na wszystko, co wyniknie z eksploracji Zakola. Tym bardziej że w działania zaangażowana jest większa grupa, m.in. Zuzia Derlacz i Igor Stokfiszewski oraz szereg innych osób i – co ważne – istot.

Na razie skupiają się na poznawaniu bagna i kontekstów, w które jest uwikłane. Potem będą się zastanawiać, jak chronić takie miejsca, i tłumaczyć swoje wnioski na język międzynarodowego projektu „Right to the City” – „Prawo do miasta”, którego Warszawa jest częścią, obok Sewilli, Marsylii, Sztokholmu i Zagrzebia (każde z miast roztrząsa inne zagadnienie; w Warszawie padło na przyrodę i klimat).

– Miejsce, które powszechnie traktuje się jako nieużytek, jest w rzeczywistości gęsto zamieszkane – kontynuuje Krysia. – Istoty, które je zamieszkują, też mają swoje prawa, swój głos, w który próbujemy się wsłuchać. Jednocześnie nie zapominamy, jak delikatne jest to miejsce pod kątem napięć społecznych. Debat o tym, czy powinno się je zabudować, czy chronić.

Mówiąc o napięciach, ma na myśli m.in. skomplikowaną sytuację własnościową. Zakole to bezlik drobnych działek i ponad setka właścicieli, którzy od wielu lat nie mogą doczekać się decyzji odnośnie do ich przyszłości: dopuszczenia zabudowy na tym terenie lub wykupu działek przez miasto.

Gilles Clément, francuski architekt krajobrazu, nazwał tego typu przestrzeń „trzecim krajobrazem”. To „nieokreślone, pozbawione funkcji przestrzenie, które trudno nazwać. Nie należą ani do strefy cienia, ani do strefy światła. Mieszczą się na obrzeżach. Na skraju lasu, wzdłuż dróg i rzek, w zapomnianych przez kulturę zakątkach, tam, gdzie nie docierają maszyny. (...) Między tymi fragmentami krajobrazu nie wykształca się żadne podobieństwo. Mają tylko jeden wspólny element: wszystkie tworzą terytorium będące ostoją dla różnorodności, która wypierana jest ze wszystkich innych miejsc” – pisze w „Manifestie trzeciego krajobrazu”.

Olga: – Cały czas są z nami słowa byłego wiceburmistrza Wawra Jacka Wiśnickiego, który zauważył, że Zakolu nie towarzyszy żadna opowieść. Zamiast niej jest pustka narracyjna. Jeśli jej nie wypełnimy, to wkrótce zrobi to ktoś inny – mówi, wymownym skinieniem głowy wskazując na wspomniane już nowe osiedle. – Ale żeby ta opowieść była pełna, musi uwzględniać wiele głosów. I żaden z nich nie powinien dominować. Nasza próba polega na zetknięciu ze sobą głosów świata nauki i sztuki. Na łączeniu w pary artystek i naukowczyń. Tak, żeby ich punkty widzenia się dopełniały i pomogły nam usłyszeć te pozostałe, pozaludzkie głosy.

Stres ślimaka

Te spotkania były kameralne: początkowo, w lipcu, na bagno zapraszani byli eksperci i specjaliści różnych dziedzin. Chodziło o próbę jego zrozumienia od strony biologii, polityki, urbanistyki, antropologii, filozofii czy aktywizmu przyrodniczego. We wrześniu kilkanaścioro artystów i biologów wróciło na Zakole na dwudniowe warsztaty, podczas których dobierano pary i opracowywano plan przyszłych spacerów. Spraszano na nie kameralne grupy uczestników: studentów biologii, licealistów, uczniów z ośrodka socjoterapii, ale też gości z otwartych zapisów. Odbýto się sześć spacerów: bobrowo-ruchowy, torfowiskowy, medytacyjno-bezkęgowcowo-wizualny, mykologiczno-pasożytniczy, dźwiękowo-ornitologiczny oraz roślinno-performatywny. Dla przykładu, podczas wczuwania się w bo-

bry uczestnicy z delikatnością względem otoczenia próbowali zmierzyć się z gęstwiną olsu oraz własnymi ograniczeniami.

Krysia: – Prowadzili go Łukasz Wójcicki, performer i tancerz, oraz Michał Kryciński, biolog terenowy, który na co dzień wchodzi w trudno dostępne miejsca. Tak to wyglądało: Michał powiedział Łukaszowi: „Przejdźmy się tak, na wprost”. I poszli. Ale z dużą świadomością ruchów ciała, tego, jak reaguje ono na przeszkody, oraz jak owe przeszkody reagują na to ciało. Zazwyczaj gdy idziesz przez trudny teren, to jesteś jak taran. Odgarniasz gałęzie, łamiesz je, walisz przed siebie na oślep. Tymczasem Łukasz zasugerował, żeby zmienić sposób chodzenia. Poruszać się bardziej jak istota zamieszkująca mokradło. To było jak taniec, praktyka choreograficzna. Tu się wygnę, tam pójde na czworaka albo przez coś przeskocz. Okazało się, że taka zmienna perspektywa pozwala dostrzec o wiele więcej śladów aktywności bobrowej niż tradycyjny chód. W tym spacerze brali udział licealiści, emocji było sporo. Dla niektórych to było bardzo trudne doświadczenie. Ale fantastycznie patrzyło się na to, jak sobie pomagają i z czasem oswajają te wpadki w bagno. Często padało pytanie: a co, jeśli wpadnę? Otóż okazuje się, że nic strasznego.

Olga: – Naukowcom najbardziej podobało się w tym wszystkim chyba to, że zostają zwolnieni z konieczności nazywania wszystkiego. Że ważna jest sytuacja, obecność, a nie terminologia, listy gatunków, nazwy. Siła stwierdzenia „nie wiem” jest ogromna. Z kolei studentki i studenci biologii mówili nam po spacerze, że chcieliby przed każdym wyjściem w teren robić ćwiczenia oddechowo-medytacyjne, które zaproponowała prowadząca. One im się pomagały skupić na tu i teraz. Obcowanie z przyrodą bez tego skupienia jest jak granie na źle nastrojonym instrumencie. Przecież kiedy bierzesz do ręki instrument, to najpierw poświęcasz parę chwil na to, by go dostroić. Zauważanie, obserwowanie innych bytów też wymaga takiej kalibracji, zmiany skali i tempa.

Krysia: – My tu wszyscy przekraczaliśmy granice. Igor Siedlecki, który razem z Zuzią Koftą prowadził spacer medytacyjno-bezkęgowcowy, śmiał się potem, że jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby ktoś się obawiał, że obserwowany ślimak za nadto się zestresuje. Uważał, że to już lekka przesada. Człowiek też jest przecież częścią tej układanki.

Olga: – Nam chodzi o świadomość tego, że jeśli ty na coś patrzysz, to jednocześnie to coś patrzy na ciebie. Podczas spaceru mykologiczno-pasożytniczego mieliśmy chodzić z myślą, że nasze stopy masują ziemię. Od razu rodzą się pytania: czy tej ziemi się to podoba? Czy sprawia jej to przyjemność? To oczywiście tylko nasza projekcja, bardzo symboliczny gest, który jednak pozwala nam podkreślić, że staramy się działać w ramach mutualistycznych relacji.

Niewidzialna ulica

Dopiero po godzinie tkwienia nad kanałem uświadamiamy sobie, że choć cały czas mówimy o bagnie, to w nie jeszcze nie weszliśmy. Jakbyśmy chcieli cierpliwością zasłużyć na zaproszenie. Mijamy resztki obozowiska bezdomnych. Niewidzialne miejsca to siłą rzeczy dom dla niewidzialnych ludzi („Śasiadka ze Spadowej opowiadała nam o parze starszych ludzi, którzy każdego wieczora wchodzi w ols, a rano z niego wychodzą”). Wreszcie dochodzimy do ścieżki, która wnika w zarośla.

– Zieleń była w tym roku w Warszawie niesamowicie bujna. Teraz te trzciny zaczęły już się kłaść, więc widać wyraźny

zarys wejścia. Latem zdarzało nam się stać przed tą ścianą zieleni i zastanawiać się, gdzie jest ta ścieżka. Łączyliśmy w tę i z powrotem, nie mogąc jej znaleźć – śmieje się Olga.

– Ona jest tu od dawna. Na dodatek na mapach Google’a opisano ją jako ciąg dalszy ulicy Spadowej – mówi Kryśia. – Jest też szlak rowerowy! Wyobraź sobie miny rowerzystów, których tu kilkakrotnie spotykałyśmy. Stali z rowerami przed tym murem z roślin i zastanawiali się: wchodzić czy nie.

Ścieżka jest wąska i raczej prosta. Biegnie nasypem, woda dookoła jest czarna, więc olsze nie rzucają żadnych cieni. Mało tu zresztą jakiegokolwiek światła. Więcej uwagi zwraca się na odgłosy: szum wiatru, szuranie liści, chlupotanie błocka pod kaloszami. Ale to wszystko są mikrodźwięki, bo w skali makro dominuje huk miasta: tumult samochodów, syreny karet, jakiś alarm. To irytujące i dziwne, bo widok nijak nie przystaje do krajogłosu. Karetki i radiowozy są na bagnie o wiele głośniejsze od kruków i wron.

Czasem drogę zagradzają krzywo rosnące pnie, trzeba wtedy się do nich przytulić i przeciśnąć („Jak ktoś wpada do wody, to zwykle tu!”), innym razem przedept się rozpycha („Zobacz, mimo że teren jest niedostępny, to ciągle ktoś tu łązi, kładzie te kłody i utrwala ścieżki”). Wody jest w olsie tyle, że olchowe kępy ledwie z niej wystają. Gdzieniedzie wlewa się na ścieżkę, a wtedy chlupotanie wchodzi na wyższe rejestry. Kryśia opowiada o tropach łosia, na które natknęli się uczestnicy jednego ze spacerów, i o dzikach, których po odstrzałach związanych z afrykańskim pomorem świń ostatnio brakuje. Są i bobry: świeża tama i klarowne, kształtne tropy łap odbite w mule jak po jakimś sławnym dziecku uwiecznionym w alei gwiazd.

To gdzieś tam pada pytanie: co dalej? Ale odpowiedź przypomina błogosławione na bagnie „nie wiem”.

Ola: – Zastanawiamy się, rozmawiamy, nie mamy gotowej odpowiedzi. Chcemy uruchomić stronę internetową, będącą repozytorium różnego rodzaju wiedzy o Zakolu. Opublikować tam wszystko to, co do tej pory zarejestrowałyśmy, m.in. zdjęcia i rozmowy z ludźmi, których tu zapraszałyśmy. Na wiosnę planujemy powtórzyć serię spacerów. Coraz częściej myślimy też o roli facyliacyjnej. Zgłasza się do nas coraz więcej ludzi zainteresowanych tym miejscem i otwartych na wspólne działania, a my ich ze sobą wzajemnie łączymy. Czujemy, że to jest właśnie jedno z naszych najważniejszych zadań – wytworzenie wokół Zakola społeczności zainteresowanej jego losami i wspólne budowanie jego tożsamości.

Olga: – To jest nieustanne balansowanie na grząskim gruncie. Z jednej strony mamy pejoratywne myślenie o bagnie na poziomie językowym. Bagno jako coś, co się osusza. Dla właścicieli działek zamrożona sytuacja prawna oznacza zmarnowane szanse. Z drugiej strony trzeba przecież nieustannie mówić o wartości tych terenów w obliczu kłęski klimatycznej. One są dla miast na wagę złota, więc należałoby je dowartościowywać. Tłumaczyć, że magazynują dwutlenek węgla, na czym polega naturalna retencja, zatrzymywanie wody w krajobrazie. Do tego

dochodzi ożywcze spostrzeżenie, że my wcale nie jesteśmy temu bagnu do czegośkolwiek potrzebni. Świetnie funkcjonuje bez nas. To jest ogromna wartość niedostępnego. Więc ciągle kombinujemy, gdzie powinno się wytyczyć granicę. Jak stworzyć opowieść o miejscu, doceniając i szanując jego niedostępność. Zarazem staramy się patrzeć szerzej i myśleć o możliwościach przetłumaczenia doświadczeń z Zakola na inne tego typu tereny.

Może więc chodzi o to, by wysnuć opowieść o tym miejscu, a potem zrobić krok wstecz, np. na drugi brzeg kanału?

Olga: – Albo zauważyć, że to nie jest jednolity teren. W jednym miejscu nasza obecność będzie miała istotny wpływ na otoczenie, w innym mniejszy, a w jeszcze inne nikt o zdrowych zmysłach nie wejdzie, bo pogoni go komaroza.

Fatamorgana

Z olsu wychodzimy na aleję starych topól sięgającą Gocławia. W oddali, za bezkresną łąką, mającą białe sylwetki nowych osiedli. Gdzieś przed nimi kryje się granica: trasa, która oddziela

dzielnice i miasto od nie-miasta. To abstrakcyjny widok: błoto, chaszcze, kleszcze i bloki jak fatamorgana. Tylko że teraz droga niespodziewanie się kończy, bo zamiast drzew jest rumowisko. Strzaśkane pnie i labirynt z grubaśnych gałęzi, prawdopodobnie efekt wichury sprzed paru dni. Zupełnie jakby mityczny stwór – może gigantyczny praprzodek bobra? – postawił tu tamę. To jednocześnie dowód na to, że żadne miejsce nie jest skończone i stałe, lecz dynamiczne.

Ola: – Chciałybyśmy, by to, co robimy na Zakolu, wpływało na uważność naszej relacji, zarówno z tym miejscem, jak i między nami. Jedną z uczestniczek,

osoba ze sporym doświadczeniem aktywistycznym, przyszła tu pełna niewiary w procesy ochrony przyrody. Mam wrażenie, że na Zakolu zobaczyła sens lokalnego działania.

Olga: – Aktywizm klimatyczny często sprowadza się do pytania, czy jesteśmy w stanie uratować świat. Wszelkie działanie jest obciążone katastroficznymi wizjami i poczuciem, że i tak wszystko na nic. Wiele osób przechodzi przez kryzys wiary, wpada w ten słynny już marazm antropocenu. Intymność, jakiej tu doświadczyłyśmy i ciągle doświadczamy, pozwala chyba przestawić myślenie na właściwe tory. Bycie z małą grupą, bycie z tym terenem i zamieszkującymi go bytami zamienia się w szczerą troskę o Zakole i o wszystkich dookoła.

Pośród połamanych topól natrafiamy na starą jabłonkę. Jej gałęzie uginają się od jasnozielonych owoców. Pełno jabłek leży też w trawie. Upychamy nimi torby i kieszenie. Na kilku z nich Ola znajduje kłaki, szaroburą, grubą sierść jakiegoś mieszkańca Zakola. Próbuje zgadywać, czyją, ale zaraz potem wzruszamy ramionami. Czy to ważne?

Gdyby to nie był artykuł, tylko film, kamera mogłaby się teraz unieść znad okrągłego, utyłanego w sierści jabłka, a potem coraz szybciej oddalać, ukazując kolejno zarysy bagna, miasta, kraju, kontynentu, półkuli, wreszcie przypominającej kształtem owoc planety zamieszkaanej przez miliardy różnych istot.

© ADAM ROBIŃSKI

■ Więcej o projekcie ZAKOLE na stronie www.zakole.pl

STANISŁAW

Mancewicz:

Ameryka a Dziaders



TO ZUCHWAŁOŚĆ I WYSTAWIENIE SIĘ na sztych od zależnionych o całość świata, ale wypada się dziś wreszcie przyznać, że wybory w Ameryce miały dla nas sens z jednego powodu – by móc poprzyglądać się aktywności polskiej prawicy. Rzecz ja-

sna, reakcje jakichś egzotycznych odłamów lewicy też były świetne, z pogranicza Drogi Mlecznej, ale to jednak komentarze prawicy, gdy tylko dotyczą wydarzeń zagranicznych, są atrakcją nie z tej ziemi. To znaczy z tej, ale jednak nie z tej. Prawica polska podczas każdych wyborów w Ameryce wchodzi w apogeum autoprezentacji i udowadniania polskiej publiczności, jakoby była światowym ośrodkiem jakichś amerykańskich, republikańskich w dodatku, wartości. Ludowe podania mieszają się tu bardzo swobodnie z referatami dla bardziej wymagających, a wspomagane są te opowieści zeznaniami tzw. naocznych świadków, którzy w Ameryce byli, jeździli tam samochodem z napędem na cztery koła, odwiedzili ranczo, jedli kielbasę myśliwską, byli tam profesorami i widzieli Manhattan, albo coś w tym stylu. Jest tak, bo – to mniemanie – świat prostych amerykańskich mitów jest chyba wciąż najważniejszym elementem wiary w porządek świata dla wielu pokoleń polskich Dziadersów. Dziaders polski – zważmy – bez amerykańskiego mitu nie istnieje, amerykański mit jest dopisany do genotypu polskiego Dziadersa, podobnie jak wszyte tam są bardzo bolesne deficyty dolarów, gum do żucia czy dzinsowych spodni.

O polskim, prawicowym złudzeniu amerykańsko-republikańskim, od którego zaczęliśmy, myślimy najczęściej, gdy dochodzą nas słuchy, że ambasador bądź ambasadorka amerykańska wydzwaniania do p. Kaczyńskiego. Chodzi zawsze o to, by

ów sobie darował np. jakieś regulacje uderzające w amerykański biznes bądź w wartości własnie. Wtedy to – popatrzmy – p. Kaczyński i jego koledzy dowiadują się niejako ze źródła, że coś im się kompletnie poplątało. Nawet nam, oddalonym od p. Kaczyńskiego jak Chicago od Nowego Targu, jak hamburger od pieroga ruskiego, sprawa to trudność intelektualną. To po to p. Kaczyński jest tak podobny do p. Trumpa, by ten go teraz uczył, co to są amerykańskie wartości? To arcydziwne jednak, że przemila p. Mosbacher w kółko do p. Kaczyńskiego dzwoniła i polecała mu zmieniać ustawy, przepisy bądź to wybijała go z tzw. narracji, wprowadzając w dysonans poznawczy. Nie tylko jego, ale miliony polskich Dziadersów, którzy ów dysonans opisywali w prawicowych portalach i wyrzucali go z siebie ze łzami w oczach, na naszych oczach.

Jest jeszcze coś, co polską prawicę silnie wyróżnia, a właściwie wybrzusza, głównie podczas wyborów amerykańskich, a jest to chciejstwo. Dla jasności – słowo to oznacza uznanie produktów wyobraźni za rzeczywistość. Jest to przypadłość całkowicie nieuleczalna i pół biedy, gdy chciejstwem popisuje się jakiś – za przeproszeniem – felietonista. Chciejstwo staje się bardzo kłopotliwe, gdy czyni to wysoki funkcjonariusz państwowy. No więc, to na boku, premier kraju publicznie opowiada o epidemii same chciejstwa, podobnie główny medyk. W przypadku wyborów amerykańskich główny propagandysta, szef tutejszej telewizji, napisał coś takiego, co musimy przytoczyć w całości, jest to bowiem najlepiej udowodnione chciejstwo – jak by powiedział ktoś młodszy – *ever*. Tak to leciało: „Warto było zarwać noc i powitać piękny poranek. Trump straci chyba tylko AZ, a poprawi w FL, WI, MI, OH, PA. Wygrała mobilizacja prowincji i ukryta siła shy voters. Dobre dla PL i świata – bezp. i powstrz. pochodz. lewicowej rewolty kult. Piana i wycie CNN i PL odpowiednika uroczę”. Nikt lepiej, z większym talentem, nie przedstawia sensu politycznego bytu polskiej prawicy niż p. Kurski. Zaiste, człowiek by sobie powył, ale nie ma do czego. Prawica polska, popatrzmy, bardzo nieostrożnie przenosi swe lokalnie wyznawane chciejstwa na rzeczywistość poza jej kontrolą. Jakby nie zauważa, że ma wpływ na zaledwie maluśki kawałek świata, jakąś łąkę, ze trzy wierzby płaczące i zdeorientowanego Dziadersa. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



CAŁY NARÓD WSPIERA GWIAZDY ESTRADY!



21.11 | SOBOTA

godz. 17.00 | GALA WRĘCZENIA NAGRODY ZNAKU I HESTII IM. KS. J. TISCHNERA

Transmisja spotkania z udziałem laureatów: Roberta Piłata, Aleksandry Domańskiej, Mariny Hulii
oraz ks. Adama Bonieckiego, Henryka Woźniakowskiego i Miłosza Puczyłdowskiego | Prowadzenie Jolanta Kogut

Fundator
nagrody

godz. 20.00 | PREMIERA FILMU DOKUMENTALNEGO „HEDA”

Występują: Heda Debirova, Marina Hulia, Marta Rybicka, Michał Żejmis
Scenariusz i reżyseria: Kamil Witkowski, współpraca: Marina Hulia

znak

**ERGO
HESTIA**

POJĘCZOWNIK
TEATRALNY

CYKL FILMÓW DLA MŁODYCH TEATROMANÓW

Nowy film w każdy wtorek
na Facebooku i kanale You Tube MIK

mik.waw.pl

RMF

Classic

prezentuje

Nie Do Mówienia**Artur Andrus**

w rozmowach pełnych humoru

w każdą niedzielę po 10:00

tylko w RMF Classicrmfclassic.pl